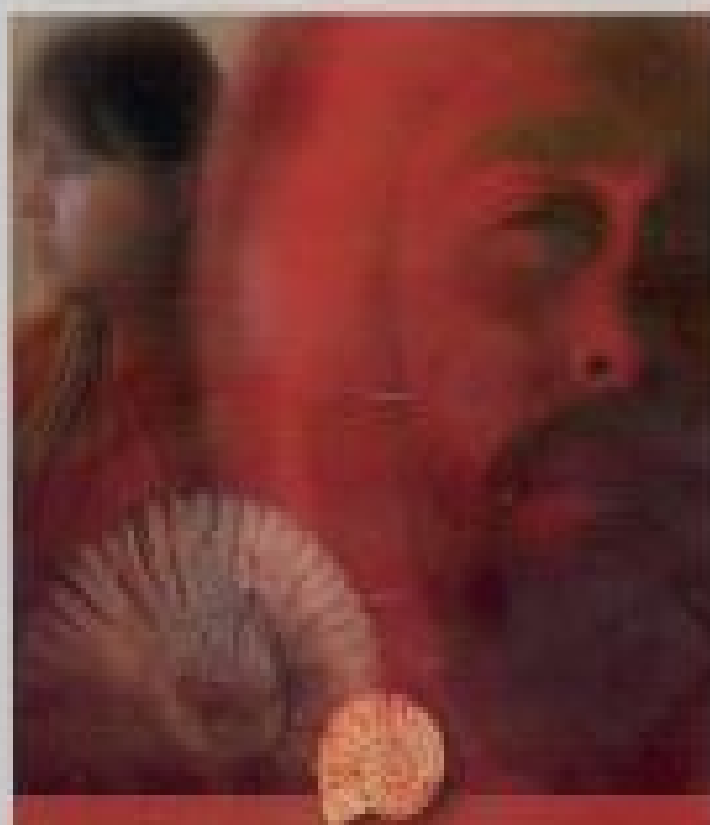


JAMES BRADLEY



Głębokie
pole

James Bradley

Głębokie pole

Tytuł oryginału: THE DEEP FIELD

Przekład:

VIOLETTA DOBOSZ

TOMASZ SKUPNIEWICZ

C&T

TORUŃ

dla Mardi
i mojej matki, Denise

Między 18 a 28 grudnia 1995 roku szerokokątna kamera 2 była skierowana na wąski wycinek nieba w gwiazdozbiorze Ursa Major, Wielkiej Niedźwiedzicy. („Wąski” oznacza tu mniejszy niż fragment nieba zasłonięty przez ziarenko piasku trzymane w wyciągniętej ręce.) Obserwacje te były analogiczne do badań jądra skały, które geolodzy wykonują, wierząc wąskie otwory w głąb Ziemi...

Obraz otrzymany w głębokim polu Hubble’a, jak je nazwano, pozwolił odkryć istnienie tysiąca pięciuset galaktyk na najdalszych krańcach podlegającego obserwacji wszechświata. Oczywiście nie było mowy, by dokładnie zmierzyć odległość; to, że były one bardzo dalekie, udało się ustalić - za sprawą właśnie Edwina Hubble’a - dzięki przesunięciu ich widm ku czerwieni. Młde światło najbardziej odległych z tych galaktyk było zbyt słabe, by przebić się przez atmosferę Ziemi, tak więc nie dało się ich zobaczyć przez żadne teleskopy naziemne bez względu na ich rozmiary. Tylko krążący po orbicie kosmiczny teleskop Hubble’a mógł przekazać nekające ludzkie umysły obrazy odległego wszechświata. Zdołał dojrzeć zewnętrzne granice przestrzeni - i czasu.

Światło z odległych galaktyk widzianych w głębokim polu Hubble’a wędruje do nas od dziesięciu do dwunastu miliardów lat, tak więc niesie ze sobą informacje o tych galaktykach - nie o takich, jakimi są teraz, lecz jakimi były dziesięć do dwunastu miliardów lat temu,

wkrótce po powstaniu wszechświata.

TOM WILKIE i MARK ROSSELLI, *Wizje nieba*

Ze swojej strony, opierając się na metaforze Lyella, spoglądam na naturalne zapisy geologiczne jako na historię niedoskonale zachowanego świata, spisaną w zmieniającym się dialekcie; z historii tej znamy wyłącznie ostatni tom, odnoszący się jedynie do dwóch, może trzech państw. Z tego tomu zachowały się najwyżej dwa, może trzy krótkie rozdziały, zaś z każdej strony tylko kilka linijek.

KAROL DARWIN, *O pochodzeniu gatunków*

PROLOG

Fotografia to jakby prymitywny teatr, rodzaj Tableau Vivant, ustawienie nieruchomej twarzy pokrytej makijażem, pod którym widzimy trupa.

ROLAND BARTHES, *Camera Lucida*

Ta opowieść zaczyna się od zdjęć.

Wątpię, czy rozpoznalibyście je teraz, ale w okresie, kiedy zmarła, cieszyły się jeżeli nie sławą, to przynajmniej poważaniem. Nawet obecnie pojedyncze sztuki znajdują się w galeriach bądź prywatnych kolekcjach, ale większość znikła: niektóre spakowano w klimatyzowanych magazynach, inne sprzedano za ułamek ich prawdziwej wartości, kilka pozostaje w rękach jej znajomych. Jednak znaczna ich część po prostu przepadła, zaginęła lub została zniszczona, niczym szczątki przeszłości, którą zdajemy się ledwie pamiętać.

Od wielu lat posiadam album z jej zdjęciami, katalog z wystawy retrospektywnej, którą w rok po ich śmierci zorganizowało Międzynarodowe Centrum Fotografiki w Nowym Jorku. I chociaż klej na grzbiecie już tak nie trzyma i wypadają kartki, to papier nadal jest świetnej jakości, a druk, pomimo upływu dziesiątków lat, wciąż

zachowuje kolory. Co więcej, niezależnie od całej jego delikatności, znajduję w wadze tego albumu i w jego wieku jakąś otuchę. Obecnie wolę takie przedmioty: konkretne, namacalne; stałam się ostrożna w stosunku do tego, co wirtualne, przejściowe. Ostatecznie tak niewiele rzeczy jest w stanie przetrwać; musimy trzymać się tego, co pozostaje.

Książka ma solidną oprawę, płócienną, ale syntetyczne włókna oplatające tekturę z przodu i z tyłu postrzępiły się i gdzieś wystaje karton - wytarty, szarobrazowy. Jest też obwoluta - ten ozdobny wynalazek dziewiętnastowiecznych księgarzy - a na niej reprodukcja rozwijającej się gałązki paproci w barwach zieleni mchu, szarości łupków, głębokiego brązu; paleta chłodnych kolorów przedwiecznych lasów deszczowych, które pokrywają odludne doliny Tasmanii. Jest jednocześnie pogodna i ponura, niemal religijna w swym tonie, przejrzysta, spokojna, medytacyjna, stanowi wyraz porządku prostego, a zarazem niesłychanie złożonego.

Na stronie przedtytułowej widnieje data publikacji, rok 2031, który wydaje się tak niemożliwie odległy: inna epoka, inny świat. Czasem moje wspomnienia o tamtym okresie wydają się jaśniejsze niż to, co tu i teraz, posiadają przerażającą wyrazistość snu. Jednakże czy pamiętam coś naprawdę, czy też wszystko, co widzę, to wymieszane engramy skąpane w skojarzeniowej poświacie mnemotechniki - tego nie wiem. Wszystko, co widzimy, może nas oszukać, nawet własne wspomnienia. Zwłaszcza

wspomnienia.

Książka była prezentem od Międzynarodowego Centrum Fotografiki na otwarcie wystawy retrospektywnej. Miałam wtedy dziewiętnaście lat, a oni nie żyli od roku. Poleciałam do Nowego Jorku wahadłowcem z Sydney, odrzutowym taranem z zadartym nosem wznoszącym się w kosmos, a potem opadającym przez cienką warstwę atmosfery po drugiej stronie Ziemi. To był długi lot, siedem, może osiem godzin, ale mnie wydawał się jeszcze dłuższy. Pomimo secesji, wycieńczających lat niekończącej się wojny domowej, Nowy Jork wciąż stanowił centrum świata, a ja pragnęłam tych możliwości, które wydawał się oferować.

Może byłam naiwna, ale nie potrafiłam wtedy przewidzieć, jaki wpływ wywrze na mnie to wydarzenie. Podejrzewam, że Sophie to wiedziała, ponieważ gdy stałam pomiędzy nią a Rolandem, słuchając mowy dyrektora otwierającego wystawę, odkryłam, że dławię łzy, wdzięczna jej, że odwiodła mnie od pomysłu, bym sama przemówiła. Pamiętam, jak Roland objął mnie ramieniem, a ja się w niego wtuliłam. Pamiętam również nagłe pożądanie, gdy poczułam zapach jego płynu po goleniu, jego skóry i szamponu, oraz upokarzające pomieszanie, jak mi się dziecinnie zdawało, czystego żalu z tą natrętną, niestosowną zmysłowością. Rozmyślając o tym, zastanawiam się, co by zrobił, gdybym później, wieczorem oferowała mu siebie, pozwoliła, by muśnięcie policzka

wargami stało się czymś więcej, albo gdybym stanęła bladym świtem u drzwi jego hotelowego pokoju. Miał tylko pięćdziesiąt lat i wciąż był przystojny, choć może nieco sterany życiem, zaś ja byłam młoda, lecz przestałam już być dzieckiem. Gdybym mogła, spytałabym go o to, ale nie żyje już od ponad wieku, a nie zgodził się na zachowanie swojej pamięci.

Znalazłam ten album miesiąc temu, a raczej znalazł go Denzel. Jest moim opiekunem i pomagał mi akurat posprzątać me ciasne mieszkanie. Weszłam do pokoju i zobaczyłam, jak nad nim ślęczy.

To coś starego, powiedział, wskazując na datę. Wyrzucimy to?

Denzel lubi pozbywać się różnych rzeczy, co oznacza, że jest prawdopodobnie idealną osobą do zajmowania się Zaawansowanymi Wiekowo. (Kiedy to przestaliśmy być starzy, a staliśmy się „Zaawansowani Wiekowo”?)

Stanęłam obok niego i spojrzałam na książkę. Nie, powiedziałam. Nie wyrzucimy.

Popatrzył na mnie, zaskoczony chyba nutą ostrości w moim głosie. Jakby chcąc się wytłumaczyć, otworzyłam tylną okładkę i skrzywiłam się na odgłos trzasków i pękania starego kleju. Na wewnętrznej stronie obwoluty było jej zdjęcie z młodości, mniej więcej z czasu, gdy się urodziłam. Widząc, jak się w nie wpatruję, Denzel nachylił się bliżej i podążył za moim wzrokiem.

Znała ją pani?, zapytał.

Była moją matką, odpowiedziałam.

Nagle uniósł szacujący wzrok. Naprawdę?

Parsknęłam śmiechem, zastanawiając się, skąd to niedowierzenie w jego głosie: czy to przez samą myśl, że osoba tak stara jak ja miała kiedyś matkę, czy może przez zupełny brak podobieństwa w naszym wyglądzie, czy też przez fakt, że moja rodzicielka znalazła się w książce. Cokolwiek to było, prawda jest zbyt złożona, a zdolność koncentracji Denzela zbyt ograniczona, poklepałam go więc tylko po pięknej dłoni.

Naprawdę, rzekłam.

Od tamtej pory spędzam wiele czasu, przeglądając album, ostrożnie przewracając każdą kartkę, uważając, by nie poznać ich palcami - ostatecznie wszystko, co przetrwało pierwszy wiek nowego milenium, zasługuje na traktowanie z szacunkiem. I za każdym razem zachwyam się bezruchem zdjęć, ich płaskością. Ludzie często zakładają, że hologramy i ejdetyki są po prostu lepszymi wersjami fotografii - bo są trójwymiarowe, bo można nimi manipulować - ale to nieprawda. Dwuwymiarowość zdjęcia, nieruchomość jego powierzchni nie są czymś gorszym, są integralną częścią istoty fotografii. Nie jest to pochwycona przestrzeń, jak hologram, nie można też sięgnąć do niego i dotknąć przedmiotów, jak to jest w ejdetykach. Jest to raczej zachowana na zawsze chwila: wieczna, platoniczna, doskonała.

Tego dnia, gdy Denzel znalazł książkę, stałam, powoli przewracając

strony, a on sprzątał wokół mnie. Wszystkie jej zdjęcia były piękne, ale moją uwagę najbardziej przyciągnął cykl „Wymieranie”. Nie znam się na sztuce, ale wiem, że istnieją w niej dzieła - przedmioty w przestrzeni, zlepki słów, kolorów i dźwięku - które wydają się wykraczać poza sumę swych części, tworząc coś większego, coś, co wychodzi poza granice fragmentów, z których zostało stworzone. Niemcy mają na to odpowiednie słowo (Niemcy zawsze mają na wszystko odpowiednie słowa); *Gestalt*. Być może melodia jest tego najlepszym przykładem (moim zdaniem właśnie muzyka stanowi najczystszy sposób wyrażania ludzkich uczuć). Nie jest ona jedynie zestawieniem nut, lecz także interakcją pomiędzy nimi. Usuń jedną, inną zmień, a melodia zniknie równie szybko, jak się pojawiła. Muzyka jest zarówno zbiorem dźwięków, jak i czymś więcej. Podobnie jak te zdjęcia: przekraczają sumę swoich części składowych, tworząc przestrzeń, ciszę, w którą się zapadamy i w której przechodzimy przemianę.

Może was zaskoczyć, że piszę o tym akurat książkę; druk przecież stał się w zasadzie przeżytkiem w ciągu kilku ostatnich dekad. Jednak książka jest formą, którą kocham tym bardziej, im bardziej się starzeję. A jestem przecież niewiarygodnie stara. Jednak do słów ciągnie mnie coś więcej niż tylko dziwaczna obsesja osoby Zaawansowanej Wiekowo na punkcie środka przekazu, który dawno wyszedł z mody. Wszyscy wiemy, że mogłam zrobić inaczej, pokazać wam zdjęcia, byście mogli

poprzerzucać je od niechcenia, a dopiero potem znaleźć fragmenty tekstu, które być może by was zainteresowały. Chcę jednak, byście trochę popracowali. Chcę, byście wyobrazili je sobie z pomocą moich opisów. Moich wspomnień. Oczywiście wcale nie musicie tego robić. Możecie je zobaczyć, jeśli chcecie. Sprawdziłam w Galerii Narodowej w Canberze i w Galerii Sztuki Nowej Południowej Walii; w obu są jej fotografie. Są też inne, które nietrudno odnaleźć, w Paryżu, Londynie, a także w Nowym Jorku, San Francisco, Amsterdamie, Szanghaju. A jeśli uważacie, że nie musicie widzieć ich w oryginale, to w Lexica są archiwa i katalogi niezliczonych pomniejszych galerii i zbiorów prywatnych, w których znajdują się reprodukcje w postaci bitmap. Mają taką rozdzielczość, że dla ludzkiego oka są wręcz doskonałe. Jest nawet pałac pamięci poświęcony jej pracom gdzieś w oceanie danych, obecnie jest jednak przestarzały, przepływ informacji w nim powolny i rzadko kto go odwiedza. Ale jeżeli możecie się powstrzymać, zróbcie to, użyjcie wyobraźni, posłuchajcie mnie. Ponieważ sądzę, że spodobałaby się jej ta ironia, fakt, iż jej fotografie obrazujące czas i pamięć można przywrócić do życia, wywołać przez niedoskonały filtr języka.

Na początek wybrałam trzy. Widnieją w katalogu na stronach 27, 34 i 38. Pierwsza jest najprostsza. Tak jak cała seria, której część stanowi, przedstawia ona amonit, przedwiecznego kuzyna łodzika. Ta akurat muszla została przedzielona wzdłuż, jedna jej połowa odcięta, by ukazać

delikatne przegrody wnętrza zachowane w kamieniu, który łuszczy się jak mika, jest lśniący i kruchy jak szkło. Jakimś cudem komory nie zostały zapchane kruszywem, ich wnętrza pozostały otwarte na światło. Nakładają się na siebie niczym przedsionki krystalicznego, spiralnego serca, stają się coraz mniejsze, gdy zwoje kurczą się do rozmiarów punktu.

Drugie zdjęcie na pierwszy rzut oka również wydaje się przedstawiać amonit, lecz gdy się przyjrzeć uważniej, okazuje się jego odbiciem, odciskiem w skale pozostałym po usunięciu skamieniałości. Podobnie jak zdjęcie, odbicie to wydaje się naśladować rzeczywistość, ale tak naprawdę jest zarówno czymś mniej, jak i czymś więcej; przestrzeń, pustka, samo jego istnienie przypomina nam o tym, czego brakuje, co przeminęło. Muszlę tego amonitu cechowały zębate segmenty, dopasowane do siebie jak elementy dziecięcej układanki, wąskimi czubkami skierowane do wewnątrz, do środka spirali. Obraz staje się coraz mniej wyraźny, w miarę jak oddalamy się od punktu centralnego, aż otwór muszli jest ledwo widoczny, niczym duch w kamieniu.

Trzecia fotografia jest najbardziej niezwykła. Jest to fotomontaż, nakładające się obrazy zapisują wędrówkę pary rąk w czasie i przestrzeni. Dłonie, tak srebrnoszare i półprzezroczyste jak w jednym z eksperymentów Mana Raya*[* Man Ray - amerykański fotografik żyjący w latach 1890-1976 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).] z

prymitywnym obrazowaniem medycznym, odkrywają powierzchnię niewidzialnego przedmiotu, miękkie światło, które zatrzymuje się tam, gdzie przeszły, ujawnia pokryte bruzdami zwoje trzeciego amonitu, podobnie jak w zaparowanym lustrze, po którym ktoś przeciąga dłonią, pojawia się odbicie. Kontury skamieliny są zamazane; zamiast nich widzimy maleńkie fragmenty jej powierzchni, czy też raczej proces jej odkrywania, fragmentaryczność pamięci dotyku. Efekt namacalności uzyskano przez nałożenie zdjęć, pochwycenie ruchu dłoni dookoła przedmiotu, gdy starają się go odkryć, poznać.

To właśnie taki spokój jest w tych zdjęciach niezwykły, biorąc pod uwagę zgiełk w jej życiu i ówczesnym świecie. Aby je zrozumieć, musimy się cofnąć do tego okropnego roku, w którym świat patrzył, jak Indie i Pakistan pogrążają się w wojnie. Musimy sobie wyobrazić nieustanny szum mediów, obrazy narastającego konfliktu sączące się niczym krew w marzenia planety, gdy czekała na nieuchronną wiadomość o użyciu broni nuklearnej. Pokazywane bez końca zamazane nocne zdjęcia rac świetlnych rozsiewających fosforową bladość nad dachami Islamabadu, łukowate tory lotu rakiet, ściśnięte w szeregach czołgi, ciągnące nieubłaganie pylistymi polami nad Indusem. A kiedy w końcu to nadeszło, moment wybuchu wypalił się w zbiorowej pamięci planety, jego ogrom wykroczył poza kadr drżającej kamery, która go nagrywała, poza urywane szłochy czekającej na śmierć korespondentki Foxa. Biel

zalewająca ekran, potem zakłócenia. A potem nic. New Delhi znikło w mgnieniu oka, zmiecione w ułamku sekundy pomiędzy kolejnymi kadrami.

Tego dnia w New Delhi zginęło co najmniej dwadzieścia milionów ludzi, w Islamabadzie piętnaście. A był to dopiero początek; kolejne pięćdziesiąt milionów zostało zabitych w trzech innych wybuchach, które nastąpiły, nim to szaleństwo się skończyło. W ciągu następnych kilku tygodni dalsze sto milionów zmarło z powodu wtórnych skutków eksplozji. Nawet dzisiaj te liczby wydają się niepojęte, ta ich krągłość, ciąg nieskażonych zer świadczących o niskiej cenie życia jednostki. Bo czymże w końcu jest jedno życie w porównaniu z milionami? Czy gdybyśmy znali dokładną liczbę, to bardziej byśmy ich opłakiwali, czy ta dokładność przeszłaby powłokę odrętwienia, jakie ogarnia nas w obliczu takich wydarzeń? I jak pojedynczy umysł, pojedyncze ciało zdołałoby pomieścić pamięć po tylu istnieniach, nie załamując się pod jej ciężarem?

A jednak pamięć o nich żyje, nie tylko w białym marmurze Pięciu Monumentów, ale tu, w nas, w organizmach tych, którzy przetrwali te okropne dni. Radioaktywne promieniowanie po wybuchach przeniknęło nasze ciała, zanieczyściło komórki, zbierając się niczym muł w porach naszych kości. Śmiercionośna mgła plutonu (którego okres połowicznego rozpadu jest dłuższy niż cała historia ludzkości), wstąpiła w nas, naznaczyła, dryfując ku ziemi, bez wątpienia tak, jak cienkie, ciemne

cienie umarłych znaczyły białe mury ruin, czyniąc z nas świadków kruchości życia. Może za kilka eonów ktoś wykopie nas z objęć ziemi, a ta chwila zostanie odczytana z naszych kości, podobnie jak historia klimatu odczytywana jest przez meteorologów ze słoików drzew w starych lasach. Gdziekolwiek czas złoży nasze wątłe ciała, będziemy nosić w sobie tę chwilę, jak kamienie gnane poprzez zmieniające się kontynenty w topniejących lodowcach Gondwany.

Taka jest, rzecz jasna, funkcja organizmu, zapamiętywanie. Jesteśmy naczyniami czasu, nasza materia jest reliktem naszych żywotów, ciał, w które weszliśmy, miłości, których zazналиśmy. Muśnięcia warg kochanka na karku, oddechów krótkich jak uderzenie serca. Wrażliwości żółkniejącego siniaka, zanikających śladów po ugryzieniu, zbierającej się pod skórą krwi. Pobrużdżonej blizny bądź szybkiego pulsu pod palcami. Niemych zarysowań wyleczonych pęknięć, których blade ślady zniekształcają półprzezroczystą siność rentegowskiego zdjęcia przepołowionej kości - cichego świadka momentu uderzenia, którego nie da się wyplenić. Bólu od liny na szyi powieszzonego, jego wyrazu twarzy, jak gdyby miał zasnąć. Fantomowego bólu brakującej kończyny, zapisanego we wzorach zorzy nerwowej elektryczności. Nasze ciała - zamieszkujące porowatą przestrzeń pamięci membrany zawieszane w czasie.

Moja historia zaczęła się w tym właśnie roku, roku bomby. Tak jak

moja matka, noszę w sobie jej wspomnienie. Może promieniowanie przeniknęło przez łożysko. A może później wtopiło się w moje ciało, bardziej delikatnie. Jakkolwiek było, tamten rok stał się podstawą, na której została zbudowana moja materia. Rok, w którym turecki satelita spadł na ziemię na skalistym wybrzeżu Daryacheh-ya-Damak, wysoko na smaganych wiatrem pustkowiach środkowego Iranu, ciągnąc za sobą przez cały Afganistan cichą, bezbarwną śmierć, gdy spadał, a jego martwe skrzydła wirowały i rozsypywały się w palącym czystym powietrzu. Rok, w którym książę student wstąpił na tron Federacji Brytyjskiej, a jego szczupła twarz tak niesamowicie przypominała twarz jego matki. Rok, w którym *Prometeusz*, pokonując grawitację, wzbił się w próżnię i poleciał na Marsa. Rok, w którym samotna pływaczka wynurzyła się w jaskini pod błękitnymi wodami Morza Śródziemnego, by odkryć zaginiony świat malowanych na skalnych ścianach zwierząt i łowców o szczupłych kończynach, pod którymi niczym duchy czaiły się cienie rąk zarysowane w plamach ochry, ich rozmyte kształty znaczące kamień już od czterystu wieków. Halogenowy snop jej latarki wychwycił atletyczne postacie bizonów i mastodontów pod sklepieniem wysokich ścian, odbite światło wody igrało na nich niczym poruszająca się tkanina jak ze snu, lejąca, przenikalna... Cicha przestrzeń jaskini była jak głęboka katedra pamięci, śniąca pod ziemią pieśń o kamieniu.

Luddyści twierdzą, że ciało nie powinno żyć tak długo. Myślę, że

trudno się z nimi nie zgodzić, a mimo to materia trwa. Martwię się jedynie o umysł. Nie wierzę, że jest przygotowany, by poradzić sobie z życiem tak długim jak obecnie, z tym niekończącym się przyrostem lat. Nie jestem najstarsza, daleko mi do tego, a już żyję ponad cztery wieki. W tym ogromie przeżytego czasu, dekad, lat, tygodni i chwil, gdy życie zmienia się nieustannie i ciągle od nowa, zaczynamy się zatracać, gubić i zapominać różne rzeczy. Tak więc istnieje mnemotechnika. Pomaga nam pamiętać, sprawia, że najdawniejsze zdarzenia wydają się nie bardziej odległe jak wczoraj, choć to, co było wczoraj, właśnie nam umyka. Ale mnemotechnika nas zmienia, stajemy się podatni na sugestię, zapamiętujemy rzeczy, które nigdy się nie wydarzyły, pamiętamy zapach, smak, pospolite szczegóły dotyczące spraw i osób, które nie istniały. Bezmiar naszych wspomnień staje się morzem, na którym się unosimy. Albo w którym toniemy.

Ja nie czuję się zagubiona; nie pamiętam życia mojej matki ani przedmiotów, które pojawiły się na zdjęciach. Ale gdy wpatruję się w nie dzień po dniu, wydaje mi się, że zaczynam rozumieć, zaczynam sobie przypominać. I to nie tylko za sprawą mnemotechniki. W głębi niekończących się korytarzy Lexica znalazłam o niej monografię, biografię napisaną tuż po jej śmierci przez jakąś Amerykankę. Nie wiem, na ile jest dokładna, chociaż w przedmowie przeczytałam, że odmówiłam wywiadu. Niczego takiego nie pamiętam, ale to było dawno temu, a ja w

młodości bardzo się ceniłam. Z autorką rozmawiali moja ciotka Sophie i Roland, więc książka może nie jest taka zła, choć ja nie potrafiłabym tego ocenić. Pomogła mi jednak, pomogła mi zacząć odnajdywać drogę do jej umysłu, do pamięci o niej. A ja też mam swoje wspomnienia - o nich obojgu - wspomnienia, które z każdym dniem stają się ostrzejsze, bardziej namacalne. Mówię wam to, żebyście zrozumieli, iż książka niniejsza to rekonstrukcja, dzieło wyobraźni.

I prawda.

apokryf

(1)

Kiedy byłem dzieckiem, moi rodzice każdego lata wynajmowali domek na południowym wybrzeżu Nowej Południowej Walii. Moje wspomnienia z tamtego okresu są w dużej mierze fragmentaryczne i polegają na skojarzeniach, ale pamiętam dźwięk wiatru w trawach na wydmach, poszum fal odbijających się od klifów. Pamiętam także cichy odgłos piany bijącej o brzeg każdego wieczora, piekące słońce na twarzy i ramionach. Rzadko pływałem, ponieważ ocean zawsze wydawał mi się groźnym żywiołem, czymś niepodlegającym kontroli i wrogim, ale w najgorętsze dni rodzice podprowadzali mnie do fal i czułem, jak chłód wody przesuwa się po mojej skórze.

Pozostawiony sam, gdy oni kąpali się lub pływali na desce, poznawalem plażę, segregowałem muszelki, kamyki i drewno wyrzucone przez Pacyfik. Zawsze fascynowały mnie muszle, rzeźbiona gładkość ich kształtów, zamknięta forma, bezwzględne piękno ich otworów.

Dorastając zacząłem zbierać muszle, które znalazłem, i klasyfikować je według własnych tajemnych systemów, ponieważ nie ma przewodnika po muszlach opracowanego dla niewidomych. Aż kiedyś, gdy miałem piętnaście lat, pewnego dnia pracownik muzeum

włożył w moje dłonie skamieniały amonit. Gdy trzymałem ten kamienny ciężar i słuchałem, jak przewodnik wyjaśnia, że ma prawie dwieście milionów lat, odkryłem, iż czuję respekt nie tylko wobec piękna spiralnego kształtu i ukrytych w nim sekretów, wessanych w kruszywo, które zebrało się na jego komorach, ale również wobec faktu, że ta rzecz kiedyś żyła i oddychała, po czym utonęła w ogromnych oceanach czasu po to tylko, by spocząć w moich dłoniach.

SETH LAMARQUE, *Język muszli*

TONIĘCIE

Wszystko dziś istnieje po to tylko, by koniec końców znaleźć się na fotografii.

SUSAN SONTAG, *O fotografowaniu*

Pochwycona w słabym świetle słońca w miejscu, gdzie wynurza się na powierzchnię z objęć ziemi, spękana powierzchnia łupka połyskuje oleistym potem niczym bok zwierzęcia. Sącząca się ciecz plami spękaną skałę, tam gdzie odłupuje się i odpada warstwa za warstwą, ukazując całe mnóstwo kruchych kształtów. Niczym kwasoryty pradawnego Diirera, płetwiaste cienie ryb trwają wśród liści prehistorycznych morszczyków i splecionych wstęg trawy morskiej, podczas gdy tu i ówdzie, w hałdach przypominających wyrzucone przez morze wraki, leżą ukształtowane przez naturę muszle: płaskie ostrygi, stożkowate ślimaki, zwinięte amonity. Wszystkie nieme, stężałe: woda, życie, ruch - wszystko przekształcone w lżawiący kamień, ciężki od wagi wspomnień.

Widziana przez obiektyw powierzchnia skały rozmywa się na krótko, po czym wyłania się z powrotem, kiedy aparat mierzy odległość, światło i ustawia ostrość, guzik pamięci zamraża obraz w zespole obwodów, gdy zostaje naciśnięty raz, potem następny, zawsze uwalniając

ten moment od czasu i przestrzeni, tworząc cyfrowe świadectwo przemijania. Wreszcie Anna opuszcza aparat, głębiej wsuwa dłonie w rękawy, nie po raz pierwszy żałując, że zapomniała rękawiczek. Nawet poprzez ciepły materiał kurtki czuje, że wiatr stał się zimniejszy, cieknie jej z nosa, bolą uszy. Na południu i zachodzie, nad ciągnącym się bez końca dorzeczem Jangcy, po zimowym niebie pędzą chmury, dzielą się i rozpadają pod wpływem własnego ciężaru na wietrze. Pod spodem ich cienie ścigają się w zmiennych wzorach światła po nagich, opadających ku tamie wzgórzach.

Gdzieś zza jej pleców wiatr niesie do oczu i gardła smród dymu papierosowego, więc na krótką chwilę odwraca się i rzuca piorunujące spojrzenie. Jak gdyby czekając, aż ulegnie i się odwróci, profesor Zhou patrzy jej w oczy z miejsca, gdzie stoi, opierając się o zniszczoną maskę landcruisera, i unosi rękę w ospałym, drwiącym geście pozdrowienia. Drażniący papieros tkwi luźno pomiędzy żółtymi od nikotyny palcami uniesionej dłoni, dym ulatuje na wietrze.

Stojący obok Zhou kierowca, obserwator tej niemej sceny, mówi coś w ostrym, twardo akcentowanym mandaryńskim dialekcie, a pozostali wybuchają śmiechem i odwracają się, by na nią spojrzeć. Wyczuwając, że to kolejny zakamuflowany, pełen drwiny sprawdzian z rodzaju tych, którymi Zhou wydaje się rozkoszować, Anna nie daje się onieśmielić kpinom i nie spuszcza oczu. Uporczywość jej spojrzenia sprawia, że to oni

czują się speszeni i po kolei odwracają wzrok, podejmując rozmowę, tym razem ciszej, mniej pewnie. Ale nie Zhou. On wytrzymuje jej spojrzenie, sekundy mijają, aż w końcu unosi papierosa do ust, zaciąga się głęboko i kiwa głową, powoli, płytko. Ruch jest prowokacyjny, wyzywający, daje do zrozumienia, że zdała test, ale nie przekazuje nic więcej: żadnej akceptacji, żadnego ciepła. Żadnej przyjaźni.

Jednak to małe zwycięstwo nie poprawia jej nastroju; pogarsza go tylko, jest jak woda na młyn ponurego gniewu, który narastał w niej od czasu, gdy zaczęła tę pracę cztery dni temu. Obok siebie czuje, że Lo patrzy na nią, wie, że jego twarz przybrała ten zamyślony, dziwnie współczujący wyraz, który widziała u niego już kilkakrotnie. Ale nie mówi nic, żeby dodać mu otuchy, w ogóle nie zwraca na niego uwagi. Zamiast tego koncentruje się z powrotem na skamieniałościach, zmienności niepewnego światła.

Stojąc ponownie przed spękaną ścianą wzgórza, okręca się i mruży oczy, próbując znaleźć jakiś punkt, który mógłby zasugerować jedność, jakiej szuka. Jednak jej nastrój wpłynął i na to, obrazy, których poszukuje, uparcie odmawiają wyłonienia się ze szczegółów zbocza. Mimo to pstryka ze złością kilka zdjęć pragnąc, by same odnalazły własną równowagę, choć nawet wduszając przycisk wie, że nie ma to żadnego sensu, że te ujęcia będą jak poroniony płód. W końcu, sfrustrowana, stawia ciężki but na bryle łupku, kopie ją mocno i posyła w dół po zboczu,

u którego stóp kamień roztrzaskuje się z głuchym dźwiękiem. Odgłos i gwałtowność tego ruchu zaskakują ją, bezwiednie robi krok do tyłu po to tylko, żeby poczuć na swoim ramieniu powstrzymującą rękę Lo.

Anno... zaczyna, lecz ona strąca jego dłoń.

Wchodzę tam, mówi, robiąc aparatem ruch w stronę położonej wyżej na wzgórzu spękanej łąty gruntu. Nie czekając na odpowiedź, zaczyna się gramolić do góry.

Nie jest to długa wspinaczka, ale szorstka trawa i porosty pokrywające zbocze są śliskie, a wiatr szaleje dokoła, stwarzając zagrożenie utraty równowagi, porusza się więc niepewnie, z jedną ręką wyciągniętą, by móc złapać się czegoś, gdy się poślizgnie. Wszędzie wokół niej leżą akcesoria z opuszczonego wykopaliska, przykryte brezentem mocno przytwierdzonym kołkami do lichej ziemi. Na zachodzie jeden róg uwolnił się i wybija staccato, wydając dźwięki, które nie harmonizują z przenikliwością wiatru. Gdy go mija, zauważa szybko lecące stado kaczek, kropkowane V na tle zachmurzonego nieba. Wcześniej fotografowała ten brezent niemal pod tym samym kątem, jego postrzępiony brzeg w miejscu, gdzie oderwał się od metalowej ramy, rysował się na tle sinopurpurowego nieba, ale wspomnienie przyjemności zaczerpniętej z tego pojedynczego obrazu, z czystości lodowatego pustkowia, zwiększa jedynie jej frustrację.

Odwraca się i widzi, że Lo idzie za nią, porusza się zygzakiem w

górze stromej zbocza, od czasu do czasu podpierając się ręką. Zawstydzona własną drażliwością, łagodnieje i zwalnia, czekając, aż ją dogoni, ale w chwili gdy to robi, światło zanika nagle, jakby je ktoś zgasił. Zaskoczona spogląda do góry i widzi ogromną chmurę burzową wiszącą tak nisko, iż wydaje się w zasięgu ręki. Na północy szczyty wzgórz już są zasłonięte przez deszcz i kłębiące się obłoki, a po chwili ciemność spada na nią ścianą wody, która zalewa ją falą, a każda kropla jest jak nóż, tak zimna, że aż parzy. Poniżej Lo pokazuje, żeby zeszła, po czym ześlizguje się i potyka w drodze do landcruisera, do którego pozostali już się gramolą, pokrzykując i przeklinając. Wznosi jedną rękę, by osłonić się przed siekącym deszczem, ale te kilka sekund potrzebne do zejścia w dół i przebiegnięcia do samochodu wystarczą, by woda przylepiła jej włosy do głowy i przemoczyła wierzchnią tkaninę kurtki. W pośpiechu poślizgnęła się na stopniu i boleśnie uderzyła piszczelą w jego brzeg, ale Lo wyciąga rękę i pomaga jej wejść do środka. Kiedy pociąga drzwi, żeby odciąć się od deszczu, te nie zatrząskują się od razu - są wygięte z boku i trudno się domykają - pociąga więc jeszcze raz, mocniej, i w końcu jej się udaje.

W środku zaskakuje ją śmiech.

Pogoda szybko się dziś zmienia, mówi Lo, ściśnięty obok niej.

Za szybko, odpowiada. Jestem przemoknięta do suchej nitki.

Po twarzy Lo przemyka chwilowe zakłopotanie i Anna zdaje sobie sprawę, że mówi za szybko.

Mokra, wyjaśnia, unosząc ręce, żeby pokazać przemoczoną kurtkę i włosy. Tym razem Lo kiwa głową ze zrozumieniem.

Mokra, powtarza, jakby chciał tym słowem przypieczętować kontakt, jaki się między nimi nawiązał, zaś Anna uśmiecha się, nagle czując do niego sympatię, dziwnie zadowolona ze świadomości, że ją lubi, prawdopodobnie uważa za atrakcyjną. Tę chwilę bezcześci chmura dymu z ust siedzącego przed nią Zhou.

Wrócimy jutro, żeby mogła pani skończyć, mówi, nie odwracając się, z oczami utkwionymi w siekącym deszczu i chmurach widocznych przez przednią szybę.

Anna wie, że fakt, iż odezwał się do niej po angielsku, nie jest przejawem grzeczności, lecz swego rodzaju impertynencji czy raczej złośliwej protekcyjności. W odległym kącie kabiny czuje utkwiony w siebie wzrok, odwraca się i widzi, że jeden z członków ich świty wpatruje się w nią, podczas gdy student asystent siedzi milczący, najwyraźniej pragnąc stać się niewidzialnym. Lo spogląda to na jednego, to na drugiego, wyraźnie niespokojny. Wtedy Zhou na przednim siedzeniu głęboko zaciąga się dymem, a odgłos jego oddechu przerywa ciszę. Dłonią z zapalonym papierosem czyni gest w kierunku kierowcy, silnik z rykiem budzi się do życia i w podskokach ruszają w dół.



Powrotna podróż przez wzgórza zajmuje trzy i pół godziny,

samochód wije się i ślizga po nieutwardzonej pofałdowanej drodze, niewidocznej prawie przez zasłonę deszczu. Dwa razy zapada się w błoto, a kierowca, Lo i student asystent otrzymują zadanie wyciągnięcia go, podczas gdy Anna, Zhou i ich bezimienny towarzysz stoją z boku i przyglądają się zmaganiom z błotem i deszczem, twarzom wykrzywionym z wysiłku, kiedy tamci potykają się, pchając oporną kupę żelastwa. Gdy lodowata woda wypełnia jej buty i strumykami ścieka po twarzy i szyi za kołnierz, po plecach, przylepiając kurtkę i ubranie do szczupłego ciała, Anna przyłapuje się na tym, że przeklina w duchu Nicholasa, dziennikarza, któremu miała towarzyszyć, a który w tej chwili leży w pensjonacie, unieruchomiony przez gripę.

W samochodzie Zhou prawie się nie odzywa, pali tylko jednego papierosa po drugim. Wydaje się mieć niewyczerpane zapasy tanich chińskich fajek, chętnie wybieranych przez wieśniaków z tego regionu. Często też nimi kierowcę i obaj sprawiają, że w kabinie, już i tak dusznej od ogrzewania, z ledwością można oddychać. Nikotyna przyprawia Annę o zawroty głowy i mdłości.

Nawet Lo milczy - jego dobroduszość najwidoczniej nadwątlili już deszcz i przytłaczająca atmosfera wypełniona dymem wnętrza samochodu. Raz - tylko raz - Anna próbuje nawiązać rozmowę z nieznanym mężczyzną, jednak odpowiedzi, jakie otrzymuje, wydają się jej lakoniczne i zdawkowe, choć słabo znając dialekt mandaryński, nie

może być tego pewna. Z powagą i fascynacją patrzy, jak mężczyzna siedzi ze wzrokiem utkwionym gdzieś przed sobą, ledwo zauważając obecność Lo.

Jest prawie ciemno, gdy docierają do miasteczka, wjeżdżając od północy, tak że miga im przed oczami ogromne rozlewisko wzbierającej rzeki, rozciągającej się na południe i wschód aż po zamazany przez marznący deszcz horyzont. Ołowiana woda burzy się, gdzieniegdzie znaczą ją białe czapy, płachty deszczu suną po jej powierzchni. Po chwili dokoła zaczynają wznosić się wzgórza, kręta droga szybko opada w stronę ciągnącej się płataniny ulic. Wzniesienia po obu stronach są splekane i pobrużdżone, pełne głębokich dziur, tak iż tworzą poszarpany księżycowy krajobraz: węgiel, który leży pod ich majaczącymi cielskami, wydobywany był przez ludzi z miasta kilofami i łopatami, a hałdy odpadów i sterty żużlu zostawiane tam, gdzie popadnie. Dwa dni wcześniej, kiedy Anna po raz pierwszy wjechała do miasteczka, niektórzy mieszkańcy wciąż pracowali, pomimo oficjalnego nakazu ewakuacji. Poruszali się niczym mrówki po pokrytych kraterami wzgórzach, dźwigając na ramionach kosze po brzegi wypełnione węglem. Teraz ludzi nie ma, są tylko wykopy pozostawione na pastwę deszczu, kilofy, kosze i łopaty porzucone w beładnych stosach, rdzewiejące kadłuby ciężarówek wożących węgiel do Jangcy, porzucone wśród kałuż błota. Gdy kierowca manewruje krętą drogą, Anna obserwuje, jak Zhou i Lo wpatrują się w

obraz zniszczenia z twarzami niemymi, nieodgadnionymi.

Samo miasto jest jak setki innych w tym regionie: spękany beton komunistycznej architektury upstrzony warstwami zbierającej się przez dziesięciolecia sadzy. Rdzewiejące anteny satelitarne przysrajają dachy i ściany, kable i przewody rozciągają się pomiędzy budynkami niczym pajęczyna gigantycznego, silikonowego pająka. Gdy mijają herbaciarnię, Anna zauważa samochód wojskowy, który parkował pod jej oknem poprzedniej nocy, czy może tylko auto do niego podobne. Podczas gdy żołnierze gawędzili sobie z prostytutkami pracującymi po drugiej stronie uliczki, z wozu dolatywała wojskowa muzyka i coś, co Nicholas przetłumaczył jako wy-tyczne odnośnie relokacji i ewakuacji. Dzisiaj jednak samochód milczy, znajdujące się na dachu głośniki ociekają deszczem, zaś żołnierze kryją się pod wiatą, gdzie za ich plecami wisi jakaś wyblakła reklama wietnamskiego raktopornosa, na której otwarte usta i pneumatyczne ciała raktorów zzieleniały ze starości, palczaste członki poźółkły i zaczęły się łuszczyć, twarze stały się odrętwiałe, złaknione udawanego pożądania. Żołnierze siedzą na odwróconych beczkach po nafcie, podnoszą do ust papierosy, rozmawiają i jedzą coś z parujących styropianowych opakowań. Gdy landcruiser ich mija, Anna dostrzega błysk pieniędzy pomiędzy dwoma, dłoń szarpiącą zwitek nowych juanów i puszczającą go ze śmiechem. Zastanawia się, co sprzedają - narkotyki, programy komputerowe, raktoporno, a może coś

mniej namacalnego, ale znacznie droższego: koncesje handlowe, informacje, zabezpieczenia, czy może jakąś namiastkę wolności.

Widząc, że obserwuje żołnierzy, Lo spogląda na nią i prawie niezauważalnie kręci głową. Anna odwraca wzrok, starając się nie myśleć o tym, że piecze i pęka jej pęcherz. Po dotarciu na miejsce wraz z Lo rzuca się desperacko do drzwi pensjonatu, by uniknąć strug deszczu, przeciskając się do hałaśliwego wnętrza. Za nimi Zhou i ich bezimienny towarzysz idą spokojnie, moknąc, milczący, z ponurymi twarzami. Czując coraz większe parcie na pęcherz, Anna pędzi do wychodka na zewnątrz, kuca w cuchnącej ciemności, a wiatr i deszcz huczą po blaszanym dachu. Zwierzęce ciepło własnego moczu wznoszące się pomiędzy jej nogami jakoś dodaje jej otuchy po atmosferze, jaka panowała w samochodzie.

Gdy jej pęcherz jest już pusty, idzie na górę i puka do drzwi Nicholasa. Nikt nie odpowiada, więc stuka jeszcze raz i w końcu Nicholas pojawia się z szarą skórą i kocem zarzuconym na ramiona.

Cześć, mówi, uśmiechając się słabo. Jak było?

Anna walczy z falą urazy, która wzbierała w niej, odkąd odkryła, że przed wyjazdem z Hongkongu Nicholas nie raczył zaszczepić się przeciw świńskiej grypie.

Okropnie, odpowiada. Nie zrobiłam prawie żadnych godnych uwagi zdjęć, a potem zmarnowaliśmy trzy i pół godziny, wracając w deszczu. Zhou kopcił przez całą drogę.

Właśnie to czuję, mówi, a jego twarz marszczy się z obrzydzenia.

Lepiej ci?

Kręci głową. Postanowiłem powiedzieć Zhou, że spróbujemy zrobić jeszcze trochę zdjęć, jak przestanie padać, a potem przeprowadzę wywiad przez telefon.

Myślisz, że pójdzie na to?

Nicholas wzrusza ramionami. Tak naprawdę to mnie to nie obchodzi. Wywiad to jedynie taki zapychacz - liczą się tylko zdjęcia.

Kiedy mu powiesz?

Prawdopodobnie rano. Chcę skontaktować się z Derekiem, żeby to potwierdzić, a przez tę burzę nigdzie nie można się na razie dodzwonić.

Anna krzywi się na wzmiankę o Dereku, wydawcy niedzielnego dodatku *Straits Times*, który zlecił im tę robotę.

Powodzenia. Ma zamiar wyjść, ale się waha.

Potrzebujesz czegoś?

Nicholas kręci głową. Wezmę jeszcze trochę środków przeciwbólowych i spróbuję zasnąć.

o

Kiedy po umyciu się i założeniu suchego ubrania Anna skręca do stołówki, Zhou i ich bezimiennego towarzysza już nie ma, a kierowca siedzi przy stoliku w rogu z jakimś mężczyzną, którego Anna nie zna. Gdy wchodzi do środka, obaj podnoszą wzrok, przyglądają się jej badawczo

niespeszeni, mówią do siebie głośno, wiedząc, że Anna ich nie rozumie. Towarzyszem kierowcy jest starszy mężczyzna z lewą połową twarzy pokrytą różową, pomarszczoną warstwą poparzonej tkanki; brak mu oka i brwi, zaś zdrowa skóra najwidoczniej została zbyt ciasno napięta na czaszce, przez co usta pozostają cały czas wykrzywione. W miejscach, gdzie tkanka została uszkodzona, siwe włosy rosną kępkami, zwisając nad zdeformowanym kawałkiem ucha. Widząc go, Anna wzdryga się i gapi, po czym z poczuciem winy odwraca spojrzenie.

Kiedy ponownie kieruje tam wzrok, on wciąż ją obserwuje, chociaż kierowca skupił się na powrót na trzymanej w dłoni szklaneczce whisky, która miała pewnie stanowić balsam po trudach podróży, jaką właśnie przebyli. Z papierosem wciśniętym pomiędzy kikuty wskazującego i środkowego palca, jednooki uśmiecha się okrutnie i nagle Anna zdaje sobie sprawę, że widziała go już wcześniej w wąskich uliczkach miasteczka, poruszającego się szybko pomimo kul, niczym drapieżnik, okaleczony, ale wciąż niebezpieczny, z pustą nogawką starego munduru polowego podpiętą wysoko, ujawniającą dramatyczny stopień kalectwa, z oczami tak zimnymi i czarnymi jak u rekina.

Jest w nim coś, co wywołuje u niej dreszcze, jej strach wznosi się niczym ciemna masa wody w studni, rozlewa się, plami jaskrawe światła pensjonatu, a gdy jej serce zaczyna przyspieszać, Anna zwalcza irracjonalną chęć ucieczki. Wtedy dłoń na jej ramieniu sprawia, że

podskakuje.

Lo!, wyrzuca z siebie, tak że wokoło przycichają rozmowy i ludzie odwracają się, by zlokalizować źródło hałasu.

Anna, mówi, dłoń trzymając wciąż na jej ramieniu. Wszystko w porządku?

Kiwa głową. Tak, przestraszyłeś mnie tylko.

Puszczając jej ramię, pochyła głowę w geście wyrażającym przeprosiny. Bardzo mi przykro, mówi, i chociaż Anna nie wątpi w jego szczerość, nie może otrząsnąć się z wrażenia, że on także, choć bardzo subtelnie, próbuje się z nią drażnić. Nagle zastanawia się, czy dla tego paleontologa istnieją jakieś ukryte głębie.

Jadłeś?, pyta, a Lo kręci głową.

Jeszcze nie. Przyszedłem zapytać, czy zaszczyliłabyś mnie swoim towarzystwem. Znowu ten jego nieśmiały uśmiech.

Zhou cię nie potrzebuje?

Profesor Zhou jest zajęty sprawdzaniem prognoz pogody ze stacji satelitarnej w Lanzhou. Na razie jestem wolny, mówi, i tym razem Anna jest pewna, że słyszy w jego głosie ironię. A twój kolega dziennikarz?

Wciąż chory.

Ach, przykro mi to słyszeć.

Ciesząc się z jego towarzystwa, Anna uśmiecha się szeroko. Usiądź, proszę, mówi.

Siadając, Lo przywołuje gestem kelnerkę. Napijesz się whisky?, pyta.

Zerkając na kierowcę i jego znajomego, Anna zauważa, że są głęboko pogrążeni w rozmowie, a szofer śmieje się urywanym, szczekliwym głosem.

Tak, odpowiada, nagle pewna. Z przyjemnością.



Zamawiają makaron z pszenicy, baranię w pieprzu i laotańską whisky, którą kelnerka przynosi w wyblakłych od wielokrotnego mycia plastikowych kubkach. Krzywiąc się od chemicznego posmaku ciemnego, cuchnącego płynu, Anna pociąga trzy razy, opróżniając kubek, krztusi się i kaszle. Jej oczy łzawią od palącego, metalicznego niesmaku w ustach. Siedzący naprzeciwko Lo przygląda się jej z uniesionymi brwiami, ale ona nie przeprasza, tylko stawia kubek na stół i kiwa na kelnerkę, by przyniosła jej następną porcję, zdając sobie sprawę, że chce się upić, chce wyzwolenia, które da jej alkohol. Wie, że nie jest w najlepszym miejscu, by poczuć się wolna - jest biała, jest samotna - ale nie obchodzi jej, czy stanie się to za sprawą whisky, czy czegoś poważniejszego.

Na ekranie nad barem ubrana w skafander kosmiczny postać obraca się wolno na tle ciemności oraz zimnych i jasnych jak lód, błękitno-białych gwiazd; lina ratunkowa unosi się niczym pępowina pomiędzy człowiekiem a białym kadłubem statku. Za nim inna postać

porusza się wzdłuż czarnego, lustrzanego skrzydła. U dołu ekranu od prawej strony do lewej przemykają chińskie znaki nie do odszyfrowania, podczas gdy w prawym górnym rogu tkwi zawsze rozpoznawalne logo Pepsi. Podążając za jej spojrzeniem, Lo obraca się na krześle.

Naprawiają panel, mówi.

Słucham?

Panel, uderzył w niego meteor i doszło do uszkodzenia. Teraz go naprawiają.

Na ekranie jedna z odzianych w białe skafandry postaci podaje drugiej wygiętą taflę czegoś, co wygląda jak czarne szkło.

Kto to?

Amerikanin, Foster. A ten drugi to Gromeko, odpowiada Lo z obojętnością, która klóci się z wagą wydarzenia, jakie opisuje. Gdy mówi, przychodzi kelnerka z jedzeniem, bez słowa odsuwa na bok ich kubki i z brzękiem stawia na stole talerze. Lo podnosi kęs pałeczkami i marszczy nos. Miejscowa specjalność, wyjaśnia z sardonicznym uśmiechem, a Anna, rozluźniona przez whisky, śmieje się, co dla niego stanowi sygnał do rozpoczęcia długiego monologu o niedociągnięciach miejscowej kuchni. Jego głos brzmi trochę zbyt donośnie, Anna kilka razy zauważa, jak ludzie z pobliskich stolików rzucają w ich stronę rozzłoszczone spojrzenia. Przy tym wszystkim jego sposób bycia jest tak powściągliwy, że Anna nie może powstrzymać się od śmiechu, świadoma tego

kontrastu. Jednak kiedy chwali jego angielski, zadowolenie w jego uśmiechu zdradza próżność kryjącą się za fasadą skromności.

Jako student spędziłem trochę czasu w Kanadzie, tłumaczy, na uniwersytecie w Toronto.

I?, zachęca go, by mówił dalej.

Byłem tam dość długo, miałem więc czas, żeby dobrze nauczyć się języka.

Kiedy naciska mocniej, Lo zaczyna mówić, najpierw powoli, a potem z coraz większą swobodą, o rozległych terenach północnej Kanady, o odwiecznych oceanach i górach ukrytych pod zamarzną ziemią i jezorami lodowców, o ich pofałdowanych, nakładających się na siebie powierzchniach, o zatopionych w nich tajemnicach. Opowiada jej o pracach w terenie wraz z przyjacielem archeologiem, o picciu i ćpaniu w namiotach daleko za Kołem Podbiegunowym, gdzie słońce nigdy nie zachodziło. Jego ręce poruszają się w podnieceniu, gdy opisuje prehistoryczne szlaki handlowe i migracyjne, wijące się przez zamarznęte morze, naczynia wypalone w Chinach trzy tysiące lat przed tym, jak zostały znalezione na Alasce, indiańskie rzeźby odkryte na Syberii. Mówi o kle morsa, z którego pradawny artysta wykonał niedźwiedzia o długim pysku, z nogami wyrzuconymi do tyłu, jakby leciał, a którego znalazł pewnego popołudnia leżącego sobie jak gdyby nigdy nic w tundrze, na wpół przykrytego trawą, i którego wyciągnął i zaniósł do

swojego namiotu, nie wspominając o tym przyjacielowi, kierownikowi wyprawy, choć zdawał sobie sprawę z jego niezwyklej wartości historycznej. Wciąż ma tego niedźwiedzia u siebie w mieszkaniu w Pekinie. Potem już wolniej, z większym trudem opowiada jej o latach, kiedy nie mógł wrócić do domu, bo zadawał się z dysydentami w Kanadzie, o latach, które spędził na zmywaniu naczyń i wprowadzaniu danych do komputerów w anonimowych biurach.

Potem rozmowa schodzi na jej temat i Lo wydaje się odzyskiwać dobry nastrój, sondując ją pytaniami, które wciąż balansują na krawędzi impertynencji, łagodzonej tylko pokorą w zachowaniu i niemą sugestią, że nie musi odpowiadać, jeśli nie chce. Od dawna już z nikim tak nie rozmawiała i czuje teraz, że nie pozostaje obojętna wobec jego zainteresowania, subtelnego flirtu. Jej policzki płoną od whisky. Chwilę po tym, jak zjedli, nagle zdaje sobie sprawę, że jest pijana, podobnie chyba jak Lo, opada plecami na oparcie krzesła, pociera twarz, a pomieszczenie wiruje dokoła. W pewnej chwili Chińczyk wstaje niepewnie, chwieje się z godnością kogoś bardzo, ale to bardzo pijanego i zygzakiem odnajduje drogę do toalety. Kiedy wraca, patrzy na nią z taką powagą, że przez chwilę Anna myśli, iż złoży jej niedwuznaczną propozycję.

Wiem co nieco o tobie i o twoim bracie, mówi. O tym, jak zniknął. Kończąc, popija whisky i czeka na odpowiedź.

Skąd?, pyta w końcu Anna.

Nicholas mi powiedział. Mówił, że zniknął w sierpniu. I że byliście...
Lo urywa, potrząsa dłonią, szukając właściwego słowa...*shuang bao tai*,
bliźniętami.

Anna kiwa głową. Tak.

Musi ci być ciężko, że nic o nim nie wiesz.

Tak, powtarza, lecz coś w jej głosie wyraźnie onieśmiela Lo, ponieważ nie zadaje już więcej pytań, a zamiast tego zaczyna mówić o swojej pracy z Zhou, o ich szaleńczym dążeniu do wykopania i skatalogowania tylu łupkowych reliktyw, ile się tylko da, zanim pochłonie je woda; o swoim żalu, że źródło dopiero co odkryte zostanie prawie natychmiast utracone. W końcu Anna pyta go o Zhou i bezimiennego człowieka, który wszędzie z nim jeździ. Lo rozgląda się po pomieszczeniu, zanim odpowie cichym głosem.

Profesor Zhou jest świetnym naukowcem, mówi, ale w życiu - z lekceważeniem macha ręką - nie idzie mu już tak dobrze. Ten mężczyzna, którego nazwiska nie znasz, jest, jak pewnie zgadłaś, przysłany przez władze. Ma trzymać Zhou na oku, ma dopilnować, żeby nie zrobił niczego... Lo przerywa na chwilę, jakby w poszukiwaniu odpowiedniego słowa...głupiego.

Nijakość tego wyrażenia wydaje się jakaś taka złowieszcza, jak tyle innych rzeczy w Chinach.

Głupiego?, pyta Anna. Nie rozumiem.

Pięć lat temu pracował przy złożu łupku w Tybecie. Miała tam stanąć rafineria, joint venture z jakąś amerykańską firmą. Ale profesor Zhou powiadomił o tym międzynarodowe środowisko naukowców, zorganizował kampanię z gwiazdami filmu i politykami, przez co rząd był zmuszony do zachowania tego złoża dla badań naukowych. Drogo to kosztowało chiński naród, a to znowu wkurzyło rząd. Pieniądze ludu to też pieniądze rządu.

Więc dlaczego nie powstrzymali go od prac nad obecnym złożem?

Zhou odkrył je dwa lata temu. Jest zbyt znany, żeby się go pozbyć, ale można go zmusić do współpracy.

Stąd nasz niemy przyjaciel.

Lo przytakuje.

Ale tutaj żaden taki cud się nie zdarzy, prawda?

Lo kręci głową. Tutaj nie. Trzy Wąwozy to zbyt poważny projekt, żeby wstrzymać go z powodu skamielin. Nagle się śmieje czy raczej poszczekuje sardonicznie. Nie wstrzymają budowy tamy ze względu na ludzi, wioski czy nawet miasta, więc dlaczego mieliby ją wstrzymać z powodu jakichś starych kamieni?

Słyszałam coś chyba, że mogą wstrzymać projekt pod naciskiem ze strony Ameryki i Europy.

Anna!, śmieje się. Myślałam, że wiesz coś o Chinach. Oni mają

gdzieś to, co myśli sobie reszta świata. Politykom i urzędnikom w Pekinie zależy tylko na pieniądzu, władzy. Ta tama to ogromne pieniądze, największe z możliwych. Tak czy siak, Zachód za bardzo się nas teraz boi, ma zbyt wiele własnych problemów, którymi musi się zająć. Spójrz na Amerykę! Albo Niemcy. Sądzisz, że liczą się aż tak, by mówić nam, co mamy robić?

Anna nie odpowiada od razu, rozumiejąc nagle, skąd taki, a nie inny stosunek Zhou do niej, skąd jego wrogość.

Jak ważne są te skamieliny?, pyta w końcu.

Ważne.

Anna zaciska pięść i uderza w laminowaną powierzchnię stolika raz, potem drugi, trzeci, a w jej piersi narasta bezsilny gniew.

Dlaczego...?, zaczyna, lecz urywa. Czy skamieliny ulegną zniszczeniu, gdy woda zaleje okolicę?

Niektóre być może tak, ale nie wszystkie. Staną się po prostu niedostępne. Dlatego profesor Zhou i ja katalogujemy ile się da, zanim poziom wody podniesie się zbyt wysoko.

Ale jest was tylko dwóch.

Patrzy na nią przeciągle. To i tak lepiej niż nikt.

o

Zatrzymują się przed jej pokojem. Anna wpada na drzwi, waląc w nie głośno, i słania się na framugę, po czym oboje wybuchają

histerycznym, pijackim śmiechem. Już dawno tak dużo nie piła, myśli poprzez wywołany alkoholem mętlik. Nawet w czasie tych dziwnych, niemal surrealistycznych tygodni po tym, jak z kontynentu zaczęła napływać chińska armia, ani miesiąc później, gdy jej ciało tęskniło za życiem, które zostało mu wydarte, gdy zachwianiu uległy wszelkie jego rytmy, nawet wtedy nie zaczęła pić. Nie tak jak niektórzy. Obok niej Lo opiera się o ścianę, świdrując ją wzrokiem, mimo że jego głowa huśta się na wszystkie strony, próbując znaleźć punkt równowagi. Jego ciało blisko... Wyciąga dłoń, dotyka jej grzywki, twarzy, Anna czuje jego palce na skórze, ciepłe, żywe. Nie była z nikim od czasu Jareda i zapomniała już ciepła skóry. Chce, żeby jego dłoń tak pozostała, ale nawet w takim stanie rozumie, że nie może sobie na to pozwolić, i ostrożnie odsuwa ją, umieszcza z powrotem przy jego boku. Przez długi czas nie puszcza jej jednak, stoją twarzą w twarz, nie odzywają się, aż w końcu Lo uwalnia się, odwraca i odchodzi. Gdy znika, Anna zamyka drzwi na klucz i w ubraniu gramoli się do wąskiego łóżka, starając się ogrzać je ciepłem własnego ciała. Od okna, które grzechocze na wietrze, ciągnie zimne powietrze. Z jakiegoś miejsca w pensjonacie dochodzą podniesione głosy mężczyzny i kobiety, zaś z dołu przez podłogę przebijają się nasilone odgłosy z baru. Stopniowo drzenie jej ciała ustępuje, ciepło skulonej sylwetki rozlewa się po posłaniu. Po kolei zdejmuje warstwy ubrania, aż wreszcie leży naga w zmechaczonej nylonowej pościeli drapiącej jej skórę. Wyciągając rękę, gasi

jarzeniowy blask sufitowej lampy i leży nieruchoma w ciemności. Jest bardziej pijana, niż sądziła, pomieszczenie krąży niespokojnie dokoła. Z pokoju po drugiej stronie korytarza nadal dobiegają głosy mężczyzny i kobiety, cichsze, ale bardziej kłótlive, podczas gdy na zewnątrz deszcz bije o blaszany dach falami dźwięku. Odgłos wiatru zaczyna przypominać pisk.

Sama w łóżku myśli o Danielu, wspomina Lo, jak tego ranka kucał obok niej w jednym z wykopów osłoniętych od wiatru. Bryła łupku - wielka jak serce byka postawione na wąskim boku - podtrzymywana jego ręką i drewniany młotek... Gotowy do uderzenia, odwrócił się nagle do niej, uśmiechnął szelmowsko, rozejrzał z wyczekiwaniem niczym magik z wodewilu, po czym uderzył - nie za mocno, ale wystarczyło, by miękka powierzchnia łupku pękła. Odłożył narzędzie, wziął kamień w obie ręce i delikatnie, jakby otwierał jajko, rozdzielił go. A w środku spoczywał, niczym do snu zwinięty, amonit, jego ciemna powierzchnia lśniła.

Wiedziałaś, że tam będzie, powiedziała z wyrzutem, a Lo uśmiechnął się szeroko, wyraźnie rozbawiony swoją magiczną sztuczką. Wyciągnęła rękę i pozwoliła swym palcom igrać po zimnej powierzchni skorupy.

Jednak Lo, pragnąc pokazać jej więcej, już stał.

Powinniśmy się pospieszyć, powiedział. Chyba będzie burza.

Właśnie wtedy go zobaczyła, w płaszczyźnie odrzuconego kamienia,

kształt amonitu tak wyraźny jak dłoń odcisnięta w piasku, ułożenie jego zwojów i zmarszczek odbite w spłaszczonych ziarenkach. Prawie nieświadomie wyciągnęła rękę, wodziła nią po spiralnym obrazie nieobecnej muszli w miejscu, gdzie leżała wduszona w skałę. Jedno odbijało się echem w drugim, jak ona... jak on...



Wkrótce ten pokój, ten budynek, całe miasto znikną, połknięte przez rozlewającą się Jangcy, utoną. Ludzie już się stąd wynoszą, ulice są na wpół opustoszałe, lecz niedługo nie będzie tu zupełnie nic, miejsce niegdyś pełne życia zgnije i rozpadnie się, pozostawione na pastwę wiatru, deszczu, a w końcu wody, która powoli będzie się wznosić wokół niego, wlewać do środka, aż te ulice znikną na zawsze. Leżąc samotnie w pokoju powoli wirującym dokoła, Anna przypomina sobie wyraz twarzy Lo, kiedy próbował wyjaśnić jej istotę swej desperackiej szamotaniny, by udokumentować to miejsce, zanim zostanie stracone, i odkrywa, że jest to rodzaj straty, którą rozumie aż nadto dobrze. Tak niewiele możemy zachować, tak mało jest rzeczy, które mogą nam być ostoją. Ku własnemu zaskoczeniu czuje kluchę w gardle i najpierw próbuje ją wykrztusić, a potem ulega jej, poddaje się, płacze, uwalniając powolny pijacki szloch, tak nieskończenie smutny, zaś gdy się uspokaja, wie, że ten moment to jakiś zwrotny punkt, że musi wyjechać z Chin, wyjechać z Hongkongu; musi wracać do domu.

Apokryf

(2)

Pięć tysięcy lat temu starożytni mieszkańcy Mezopotamii czcili ptaki jako święte, ponieważ ich ślady odcisnięte w błocie tak przypominały pismo klinowe, iż Mezopotamie uważali, że gdyby udało im się odszyfrować plątaninę znaków pozostałą po ich przejściu, to poznaliby dusze bogów.

Pięćdziesiąt wieków później my także ledwie rozumiemy echa ukrytego języka wplątanego w tkaninę naszego świata, języka, który szepce i szumi niezliczonymi kształtami i wzorami rzeczy żyjących i nieżyjących. Porządek jest widoczny, gdziekolwiek się obrócimy: od spirali łodzika po pręgi tygrysa; od pulsującego rytmu naszego serca po wirujące oko cyklonu; od ciągów Fibonacciego objawiających się tu i ówdzie w strukturze roślin po pływające wzory utworzone przez ławice ryb i stada ptaków poruszających się jak jedna istota w oceanie i powietrzu.

SETH LAMARQUE, *Język muszli*

PALIMPSEST

Wielka jest moc pamięci. Trwogą przejmuje, Boże mój, to niezgłębione, nieskończone bogactwo. I tym właśnie jest dusza, tym i ja sam jestem.

AUGUSTYN, *Wyznania świętego Augustyna* (tłum. Zygmunt Kubiak)

Kiedy miałam siedemnaście lat, zakochałam się. On miał mieszkanie w Newtown, które dzielił z kilkoma znajomymi, pięć pokoi, w których panował wieczny brud i bałagan, nad klubem bilardowym. Okno jego sypialni wychodziło na zaułek, gdzie klientela owego klubu biła się, pieprzyła, handlowała prochami, a ich głosy, ostry brzęk butelek, niskie powarkiwania i jęki wznosiły się do okna wraz z ciepłym powietrzem. Ktoś mieszkający niedaleko miał pianino i w niektóre noce, o trzeciej, czwartej nad ranem, gdy umilkł głuchy stukot bilardowych kul, grał Satiego, łamiące się melodie z *Gymnopodies*, które wesoło ulatywały w noc. Był studentem medycyny i pracował na część etatu, sprzątając w domu opieki. Jego zmiana kończyła się około dziewiątej i każdego wieczora po robocie jechał na rowerze na basen w Victoria Park, i pływał aż do zamknięcia. Czekałam w jego pokoju, a gdy wracał, patrzyłam, jak w świetle nocnej lampki zdejmuje z siebie ubrania; miał trzeci sutek jak

pieprzyk nad twardym brzuchem i inkaski tatuaż, który otaczał jego ramię powyżej bicepsa.

Mimo tych wszystkich szczegółów, nie pamiętam jego twarzy ani imienia. Nie pamiętam, jak się poznaliśmy, jak się pierwszy raz kochaliśmy. Nie pamiętam nazwy ulicy. Nawet namiętność, którą do niego czułam, pożądanie tak ogromne, że wypełniało każdą chwilę przez całe tygodnie i miesiące, wydają się puste, z lekka śmieszne. Pamiętam za to ciepłe noce, odgłosy ruchu na ulicach, słodki zapach spalin benzyny i gazu w powietrzu.

Pisząc to tutaj, redukuje wszystko do zbioru wrażeń zmysłowych - dźwięków, zapachów, ciepła powietrza na mojej skórze - a potem tylko słów; ciągów dźwięku, znaków na monitorze. A jednak są one czymś więcej, są wspomnieniami bytów, wspomnieniami, które leżały ukryte przez całe moje życie głębiej niżli słowa, głębiej niż język jest w stanie wyrazić, a które mogły zostać wskrzeszone w całej swej wyrazistości przez zapach chloru na jego skórze w czasie tamtych parnych nocy. I to ten zapach, związany z nim tak niepodzielnie, w końcu zastąpił go w głębie mej pamięci. Wspomnienie tej woni jest jakby bardziej wyraźne, ostrzejsze niż obraz chwili, niczym złote wino gronowe pozostawione, aby dojrzeć w winnicy, i jego smak bogatszy, bardziej subtelny niż słowa, których moglibyśmy użyć, chcąc go opisać.

Być może poczucie fragmentaryczności pamięci - to, jak całość

zanika kawałek po kawałku, aż pozostają tylko te rozrzucone resztki wżarte głęboko w nasze ciało jak odłamki szkła - jest intensyfikowane przez mnemotechnikę; a może właśnie natura pamięci czyni z mnemotechniki konieczność. Tak czy owak, pozostaje nam wrażenie niekompletności, smutek, przed którym nie ochroni nas żadna ilość dokumentacji.

Dziewięć miesięcy po moich narodzinach zrobiła sobie zdjęcie, autoportret do serii „Wymieranie”. Zwykle nie lubiła wścibskiego oka obiektywu, ale na tym zdjęciu nie cofa się przed nim, nie licząc tego, że, paradoksalnie, jej oczy są zamknięte, jak gdyby w ten sposób odmówiła aparatowi dostępu do swego wnętrza, niby członek prymitywnego plemienia obawiający się o swoją duszę. Za nią ogrom nieba, tarcza słońca chowająca się za horyzontem, przygaszone światło wylewające się z ust oceanu, brudny oranż przechodzący w szarawy błękit, i w końcu, gdzieś wysoko w górze, brak koloru bardziej niż jakiś konkretny odcień - nadciągająca ciemność nocy. Cienkie pasmo chmur przecina skraj nieba, a padające zza niego światło sprawia, że wydaje się prawie pozbawione koloru, jak smuga azotanu srebra. Matka ma na sobie stanik od bikini i wzorzysty sarong, jej skóra lśni od kropel, bosa stopy mną pomarszczony piasek. Jej ciało jest szczupłe, słabo umięśnione, subtelna siła ramion i brzucha rysuje się pod opalenizną, ciemne włosy, sztywne od soli i wody, odgarnęła do tyłu, odsłaniając wysokie kości policzkowe i delikatność

szyi. Jej uroda tak oczywista, a jednak jakaś nieuchwytna, szczególna. Za jej plecami zastygła w bezruchu fala i chociaż nie sposób tego stwierdzić na pewno, trudno oprzeć się wrażeniu, że woda cofa się, odsłaniając piasek, zostawiając na nim swój ślad.

Zawsze bardzo lubiłam to zdjęcie nie tylko za enigmatyczny bunt jej postawy, za to, jak prosta odmowa otworzenia oczu nie tylko rejestruje ambiwalentny stosunek do własnej pracy, ale też za to, jak fotografia ta zawiera w sobie - i w niej - Seta. Przez wiele lat po ich śmierci ustawiałam ją w pokojach i mieszkaniach, które zajmowałam, wdzięczna za to, że pamięta w moim imieniu. Ostatecznie jednak stała się jedynie świadectwem tego, jak mało pamiętam, talizmanem mego zapomnienia. Pewnego dnia próbowałam wyobrazić sobie jej twarz, nie udało mi się to jednak, a kiedy wzięłam zdjęcie i spojrzałam na obcą osobę rozciągniętą na jego płaskiej powierzchni, nie znalazłam niczego, co bym pamiętała, tylko obraz równie nieadekwatny do przeżytego doświadczenia, jak te słowa do tej chwili. Tak więc wzięłam zdjęcie i odłożyłam je, usunęłam z mego życia jego napominające spojrzenie.

Moja porażka nie została usprawiedliwiona upływem lat. Ale chociaż zapomniałam twarz mojej matki, pamiętam inne rzeczy, szczegóły, doznania: zapach jej perfum, ton głosu, charakterystyczne dla niej zwroty, na używaniu których przyłapuję się nawet teraz.

Mówi się, że muszla nosi w sobie własną historię, materialną

opowieść o życiu, którym kiedyś żyła, a które teraz przeminęło, zamrożoną w bezruchu spiralnej struktury. Są też ślimaki, które w RNA przekazują pamięć z pokolenia na pokolenie. Ale tak jak zwierzątko w muszli zanika i umiera, tak sączy się esencja naszej pamięci, pozostawiając niewiele ponad słowa, kruche skorupy, które pękają i rozpadają się w naszych dłoniach.

ZNAJDUJE TO przypadkiem, twardy kształt po zewnętrznej stronie torby z aparatem.

Zaciekawiona kładzie torbę na kolanach, odpina przylepce kieszeni. Sięga do środka, jej dłoń zamyka się wokół czegoś zwartego i twardego. Gdy wyciąga to na światło dzienne, zaskakuje ją waga przedmiotu owiniętego w materiał. Zanim go odwinie, zdumiona obraca w dłoniach, próbując wyobrazić sobie, co to może być, dlaczego to tu włożyła. Ukazuje się jej zwinięta postać amonitu, jego kształt doskonały, niespękany, jakby został wyciągnięty ze swego grobu bez najmniejszej skazy, a szary kamień wokół niego rozdzielił się gładko jak obsydian. W zamyśleniu przewraca go, wodzi palcami po delikatnej krzywiznie zewnętrznej krawędzi, dośrodkowym ruchu spiralnej struktury. Nie jest duży - nie szerszy niż jej dłoń, gruby na dwa palce - ale jego ciężar, jego zwartość są pomimo to zaskakujące.

Unosząc oczy w stronę światła, które sączy się przez drzwi balkonu, w stronę rozchodzącego się blasku promieni UV, wciąż waży go w dłoni, podrzuca delikatnie raz, dwa. Potem jednym szybkim ruchem kładzie obok siebie na łóżku i ponownie zagłębia się w kieszeni torby w poszukiwaniu jakiejś notatki, kartki, czegoś, co wyjaśniłoby jego obecność, chociaż już wtedy wie, że to Lo włożył go tam tego ranka trzy tygodnie temu, kiedy obudziła się z paskudnym, jątrzącym się kacem przy wtórze bębniącego w okno zimnego deszczu. Ale niczego nie znajduje.

Tuląc muszlę w dłoniach, wychodzi na balkon. Powietrze jest ciepłe i wilgotne, na niebie wiszą ciężkie chmury, ich ciemne brzemie skłębione i spękane. Zeszłej nocy nie mogła spać, mając ciało naelektryzowane przed nadciągającą burzą, w trakcie której błyskawice przecinały horyzont, grzmoty sunęły w powietrzu infradźwiękiem, tak że psy szczekały, a w domach mrugały światła. O trzeciej zaczęła się ulewa, posyłająca na ziemię nieprzeniknione płachty wody; skończyła się o piątej. Teraz jest cicho i szaro, powietrze czasem zadrży od przelotnych fal ciepłego deszczu, który zatrzymuje się na liściach albo wysycha przy zderzeniu z asfaltem, pozostawiając delikatne znaki niby kleksy.

Trzy dni temu, wracając z porannych biegów, stanęła przy krawędzi balkonu, dając słońcu pieścić swoją skórę. Na wschód ciągnął się niezmierny menisk Pacyfiku, po przeciwnej stronie na klifowych brzegach tłoczyły się czerwone dachy, na północ zakręcały białe piaski

Bondi, a długa linia ich łuku urywała się, tworząc poszarpane wzory za klifami Ben Buckler. Nad jej głową mewa wzleciała w niebo powolną spiralą na wznoszących prądach ciepłego powietrza bijącego od piaskowca; obserwowała lot ptaka, wychylając się w przestrzeń poza krawędzią balkonu, wiatr owiewał jej twarz, szyję. Jako dziecko przykładła do ucha muszle, które znalazła na plaży, słuchała szumu powietrza, które w nich wibrowało. Jej matka mówiła, że słyszy morze, że muszla wspomina swój dom, ale Anna doznawała jeszcze czegoś innego, czegoś jak zawroty głowy, kiedy to wszystko inne było w ruchu, oprócz niej: chwila swobodnego spadania - wszystko zdaje się tak odległe. To zmysłowe wspomnienie zrodziło się nieproszone, intensywne i pełne skojarzeń, gdy wiatr i powietrze podpierały jej wychylone ciało.

Ale dzisiaj odwraca się plecami do oceanu, opiera się o ścianę balkonu, trzymając przed sobą muszlę. W jej dłoniach ten ciężar jest jak zagadka, bodziec do medytacji, gładka powierzchnia doskonała, ale niema. Wodzi po raz kolejny po spirali, jej kciuk zatacza kręgi, ciągłym ruchem biegnąc na zewnątrz, a każde okrążenie zawiera w sobie to, co było przedtem, aż palec ześlizguje się w powietrze, tam gdzie koniec, zaś ona obraca krągły ciężar skamieliny w dłoniach, unosi go do nosa i ust - chłodny, suchy kamień o stęchłym zapachu jak oddech dopiero co rozłupanej skały.

W końcu, przypominając sobie o zdjęciach, wchodzi do środka,

wyciąga aparat z futerału, poszukuje w jego pamięci fotografii, które zrobiła tego zimnego popołudnia, po czym ładuje dane na dysk. Przegląda je po kolei, odnotowując z cichą satysfakcją bogactwo kolorów, wyrazistość i siłę kompozycji. Gdy patrzy na nie po raz kolejny, dostrzega to, czym w istocie są: komercyjną robotę - elegancką, inteligentną, profesjonalną; ale wyczuwa też coś innego, może nie tyle w samych zdjęciach, co w ich modelach, jakąś harmonię, której nie potrafi nazwać. Przejrzawszy wszystkie, wraca na początek, ponownie je sortuje, tym razem wolniej, niektórym przygląda się dłużej. Pracując, przypomina sobie formę skamielin pod palcami, kiedy badała skałę, poznając kształty sterczących z niej okazów, ich teksturę, gdy przygotowywała się do zrobienia zdjęcia. Powracają wszystkie szczegóły dnia. Zimno wiatru, smród tytoniowego dymu. Głos Zhou. Uśmiech Lo. Zamykając oczy, może prawie wywołać ponownie ich obraz, wspomnienie o nich unosi się tuż za granicami przypomnienia.

MINEŁY TRZY tygodnie od powrotu z Chin, trzy tygodnie, odkąd obudziła się w wąskim łóżku pensjonatu, sama i zdezorientowana, z głową, gardłem i żołądkiem zamulonymi obrzydliwością kaca. Huk dźwięku wypełniał pokój, szarpał jej nerwy jak ból zęba; dźwięku, który stał się powoli dochodzącym ze wzmacniacza głosem, bełkoczącym coś niezrozumiale po chińsku, oraz grzmiącą, zniekształconą muzyką wojskową. Ogłuszona zamachem na jej psyche, przekreśliła się, naciągnęła

na głowę cienką poduszkę, ale i tak nie pomogło to odciąć się od rzeki jazgotu. Jak przez mgłę przypomniła sobie, że minionego wieczora widziała zaparkowany na ulicy przed pensjonatem wojskowy samochód.

Po kilkunastu minutach prób przekonania samej siebie, że jeszcze może zasnąć, poddała się temu, co nieuniknione, i odsuwając na bok poduszkę, usiadła. Żółć podeszła jej do gardła, przełknęła desperacko kwas, który napływał jej do ust, palił gardło i wypełniał nozdrza smrodem własnych wnętrzności. Za jej plecami marznący deszcz smagał brudne szyby, niebo pozostawało złowieszczo ciemne. Przez chwilę, która wydała jej się całym wiekiem, siedziała pochylona do przodu, próbując zebrać energię do następnego ruchu, aż w końcu wstała mocno chwiejnie i potykając się, podeszła do umywalki w rogu pokoju. Nagła moc jarzeniówki umocowanej na ścianie oświetliła jej odbicie w lustrze, gdy przygarbiła się, by dojrzeć swe podkrążone oczy i szarą skórę. Choć z powodu zniekształceń trudno to było stwierdzić na pewno, muzyka z głośników ciężarówki chyba się zmieniła, jedna orkiestra wojskowa została zastąpiona przez inną. Czując się jak półtora nieszczęścia, wyciągnęła apteczkę w poszukiwaniu jakichś środków przeciwbólowych.

Gdy wróciła spod prysznic, przed jej pokojem czekał Nicholas. Opierał swe zbolące ciało o ścianę, twarz pokrywały mu kropelki potu.

Był telefon od Dereka, oznajmił. Przejrzał prognozy ze stacji meteorologicznych; według przeprowadzonych symulacji deszcz się

nasili. A ponieważ w górnym biegu rzeka już wylewa, uważa, że powinniśmy wynosić się stąd jak najszybciej.

No to kiedy wyjeżdżamy?

Jak szybko się da, odparł i wymienili słabe uśmiechy, zjednoczeni chwilowo przez potworność sytuacji.

Z powrotem w zimnym pokoju, zawinęła ręcznik na głowie i ubrała się, wtarła krem nawilżający w zniszczoną skórę wokół oczu, by zmniejszyć łomot w głowie. Samochód wojskowy odjechał, w pomieszczeniu zrobiło się ciszej, ale deszcz wciąż siekł szyby, bębniąc, gdy w nierównych odstępach czasu wznosił się do ryku. Alkaliczny smród wody z kranu przylgnął do jej skóry. Włączyła przestarzały telewizor, chwiejający się na stoliku przy oknie, i skakała po kanałach - TV Shopping, teleturnieje, amerykańska komedia z chińskim dubbingiem - aż znalazła wiadomości. Obrazy płynącego szlamu zalewającego wąskie ulice, walące się budynki, grupy mężczyzn i kobiet desperacko ustawiający ściany z worków z piaskiem dla ochrony przed wzbierającą wodą majaczącą na brudnym, pomazanym ekranie, kadr przesuwający się powoli z góry na dół, odbiór zakłócony przez burzę. Nieprzetłumaczony komentarz.

Ostatecznie minęły dwa dni, zanim podjęli podróż z powrotem do Strefy Autonomicznej: dzień i noc w wynajętym samochodzie na zalanych wodą drogach, potem noc na twardych ławkach na lotnisku, następnie dwa loty starymi radzieckimi Tupolewami, na siedzeniach obitych

materiałem cuchnącym od dymu, potu, czterech dekad strachu i nudy. Około południa drugiego dnia deszcz zaczął słabnąć, ale do tego czasu wyrządził już wiele szkód, kiepsko utwardzone nawierzchnie dróg powyginały się i powybrzuszały, gdy woda wymyła ich podkłady, pozostawiając zdradzieckie wyrwy zasłonięte przez mulastą wodę niewiadomej głębokości. Kiedy samochód przedzierał się przez potoki szlamu, Anna wyglądała przez okno na zmagające się z żywiołem grupy wysiedleńców. Na ich skromny dobytek zarzucony na plecy lub na taczki, ustawiony w stosy na starych ciężarówkach. Na malującą się na twarzach rozpacz, gdy widzieli mijający ich samochód i posyłali mu puste, wyczerpane spojrzenia. Na klatki z kurczakami, poustawiane jedna na drugiej, na podskakujące w nich główki z czerwonymi grzebieniami i szeroko otwarte jaszczurcze ślepia; na krowy i świny prowadzone przez dzieci. Na biegające dokoła szczekające psy, dręczone niepokojem, oszołomione gorączką podróży. Czowała intensywny swąd palonego drewna i nafty unoszący się w powietrzu. Dwa i pół dnia lurowatej kawy i ogromnych ilości cukru, by zabić jej smak, dwa i pół dnia lotnisk i wymuszonej rozmowy z Nicholasem, który śmierdział gorączką i stęchłym potem.

Po powrocie do swego małego mieszkania w Western zadzwoniła do Sophie, żeby powiedzieć jej, co zdecydowała. W Nowym Jorku było już późno, po północy. W tle Anna słyszała rozmowy, nagły wybuch śmiechu.

Dłużej już tak nie mogę, wyznała, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie, żeby się nie załamał. Jestem jak duch, cień, nie pamiętam nawet, kim byłam.

Chcesz tu przyjechać, zatrzymać się u mnie?, zapytała Sophie. Mogę pożyczyć ci na bilet jeśli...

Mam pieniądze, odparła Anna. Chcę tylko...

Wrócić do domu, dokończyła za nią Sophie. Wiem, rozumiem.

Potrzebuję jakiegoś miejsca, gdzie mogłabym się zatrzymać.

Masz przyjaciół, mogłabyś...

Anna przerwała jej. Nie, żadnych przyjaciół, nikogo ze znajomych. Twarz Sophie, płaska i podzielona na mikroskopijne piksele, spoglądała na nią z ekranu.

On był też moim bratem, przypomniała jej Sophie ganiącym, nerwowym głosem. Słowa te wiszą między nimi bez odpowiedzi, bo taka nie istnieje.

Muszę kończyć, rzekła w końcu Anna. Zadzwoń, jeśli stwierdzisz, że możesz mi pomóc.

Sophie zadzwoniła dwa dni później z wiadomością, że znalazła mieszkanie niedaleko Bondi. Znajomi jej znajomych szukali kogoś, kto mógłby się nim zaopiekować przez dwa miesiące, ale dopiero za dwa tygodnie. Wcześniejsze plany nagle przypadkowo legły w gruzach. Annę ta zwłoka zirytowała; musiała wyjechać jak najdalej stąd, a dwa tygodnie

wydawały jej się miesiącami. Na lotnisku w Hongkongu myślała o Danielu, zagadce jego nieobecności, słuchała zapowiedzi startów i lądowań. Po jakimś czasie zawyły silniki samolotu, rzędy neonowych świateł budynków w mieście rozciągnęły się pod nią jak pożlebione rafy, jasne na tle nieba przed świtem, i poczuła chłód szorstkiego pleksiglasu okna na swoim policzku.

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ Anna kroczy po schodach z piaskowca prowadzących do Muzeum, mija drzwi w poszukiwaniu czegoś, czego nie potrafi nazwać. W porównaniu ze zgiełkiem ulicy Muzeum jest ciche, chłodne, w powietrzu unosi się lekki, stęchły zapach, który wydaje się przynależeć do innego czasu. Ze stojaka przy wejściu bierze przewodnik i zaczyna zwiedzać galerie. Na początku uderzają ją zmiany; podświetlone od tyłu zbiory danych ze swoimi kolorowymi ekranami sensorycznymi i buczącymi panoramami dźwiękowymi, kabiny z pleksiglasu, w których dzieci w goglach i rękawicach rzucają się i wiją jak senne mary zawieszane w tylko dla nich widocznych krainach, aktywowane głosem hologramy równie ostre, wyraźne i trójwymiarowe jak sama rzeczywistość, a jednak półprzezroczyste, niematerialne. Wśród nich są jednak i inne elementy, które niewiele zmieniły się od czasów królowej Wiktorii. Długie gabloty z drewna i szkła mieszczące pozbawione wilgoci, polakierowane eksponaty, podpisane na żółknących skrawkach papieru

kilka dziesięcioleci wstecz. Szklane słoje wypełnione zwiniętymi węzami, szczurami i płodami, śliskimi, ślepymi i spuchniętymi od formaliny.

Kiedy Daniel był dzieckiem, uwielbiał to Muzeum i rodzice spędzali tu z nim i z Anną dużo czasu, przyglądając się obojgu, gdy snuli się między galeriami. Daniela fascynowały obiekty bardzo konkretne, wypchane niedźwiedzie i antylopy, ogromny szkielet tyranozaura. Anna natomiast odkryła, że zwraca się ku reliktom ludzkiego bytu, złuszczone grotom strzał, narzędziom, wyrzeźbionym z kości sylwetkom ludzi, reprodukcjom malowideł skalnych z Lascaux i Kakadu; fascynowała ją ich zagadkowość. W konfrontacji z pamiątkami po życiu, które przeminęło tak dawno temu, zawsze ogromnie się wzrusza, jak gdyby miała w ręku list napisany dawno temu i nigdy niedostarczony. Kiedyś w Muzeum Wojny w Canberze zalała się łzami, czytając list żołnierza umierającego w okopach na froncie zachodnim, poruszona do głębi przez jego prosty język i rozbijającą bezpośredniość, która sprawiła, że nie mogła przestać płakać.

W końcu znajduje wystawę poświęconą praoceanom. Zrekonstruowane szkielety ichtiozaurów i prehistorycznych krokodyli zwisają z sufitu zawieszane na ciemnych linkach. Kamienne płyty na postumentach ukazują pokryte guzami płetwy i toporne czaszki, ostre zęby i oczodoły. W jednym rogu całą platformę zajmuje amonit o średnicy równej wzrostowi dorosłego człowieka i trzydziestocentymetrowym

otworze wejściowym. A pomiędzy nimi szklane gabloty wypełnione historycznym śmieciem, resztkami, które stały się cenne dzięki przypadkowi rządzącemu przetrwaniem. Muszle, czaszki, ryby z zachowanymi płetwami, jeżowce, wodorosty.

Przed długi czas porusza się powoli po pomieszczeniu, przykłada otwarte dłonie do gablotek, żałując, że nie może sięgnąć do środka i dotknąć eksponatów. Nie jest pewna, czego szuka, ale czuje się tak, jakby tajemniczy prezent od Lo poruszył w niej jakąś strunę, a ona przez krótką chwilę słyszała echo czegoś głęboko w swoim wnętrzu, echo jakiegoś związku, jasności, których częścią są te przedmioty podróżujące jak drewno niesione na wodzie poprzez bezmiar oceanu czasu. Na jednym końcu wystawy stoi otoczony linami niedbale ociosany kawał skały. Zatrzymuje się i patrzy na zszargane kości płetwy zatopionego w nim plezjozaura, na cienkie palce jak u stworów, które zamieszkiwały koszmary z jej dzieciństwa. Potem spogląda przez ramię, żeby sprawdzić, czy jest sama, przechodzi przez ogrodzenie ze sznura, dotyka dłonią kamienia. Jego zimna powierzchnia połyskuje jak szkło.

Dwa dni wcześniej położyła się na łóżku, założyła cybergogle i rękawice i zatopiła się w ciekłosieci. Dzięki zdjęciu prezentu od Lo, służącemu jej za przewodnika, wyszukiwarka konsoli znalazła informacje, które mogłyby ją zainteresować, rysunki, artykuły nie tylko o wymarłych amonitach, ale również o ich kuzynach, łodzicach i innych głowonogach,

ośmiornicach, kałamarnicach i mątwach. Zafascynowana, oglądała hologramy przedstawiające rytuały godowe kałamarnic, wyszukane zalotne wirowanie, potem stare wideo o ośmiornicy znajdującej drogę przez labirynt i rozwiązującej kolorowe zagadki. Zaskoczyły ją ich wysoka inteligencja i złożoność zachowań. Otoczona hologramami ośmiornic i kałamarnic, obserwowała barwne wzory tańczące na ich skórze, zdumiona, że te falujące kolory nie są jedynie kamuflażem, ale systemem komunikacji równie skomplikowanym jak u delfinów albo naczelnych, z którego ludzie nic nie rozumieją. Stamtąd jej wyszukiwarka poprowadziła ją do pałacu pamięci artysty ze Sri Lanki, miejsca morskich kolorów i fal, oceanicznych panoram dźwiękowych, gdzie unosiła się w hologramie powiększonej muszli łodzika o wygiętych ściankach przypominających fakturą taflę macicy perłowej. W centrum edukacji dzieci dotknęła ejdetycznej wersji muszli łodzika, wodziła koniuszkiem palca po jej brązowych paskach, po czym puściła, tak jak poinstruował ją system; muszla nie upadła, ale odpłynęła na wyciągnięcie ręki, wyrosły z niej głowa i macki, kolory igrały na ich powierzchni jak płynne cienie, a po chwili krótko żyjąca istota pognała w cyberprzestrzeń szybko jak myśl.

Gdzie indziej przeczytała o niesamowitej, wiecznej geometrii muszli amonitu, o jej prędkiej, cyklicznej ewolucji, o jej komorach i środowiskach, do jakich musiała się przystosować. W końcu natrafiła na bibliotekę ejdetycznych replik różnych gatunków amonitów. Obejrzała je

jeden po drugim, szepcząc do siebie ich nazwy - *Echioceras*, *Pleuroceras*, *Dactylioceras*, *Siemiradzka*, *Psiloceras* - tak zachwycona ich tajemniczym brzmieniem, że gdy Muzeum zaproponowało jej tłumaczenia i wyjaśnienia, odmówiła, chcąc zapamiętać je, jak gdyby były kabałą, zaklęciami wywołującymi stworzenia, które reprezentowały. Na końcu wybrała *Spinoceras* o zwojach rozwiniętych jak róg barana albo spirala narysowana na piasku i nadziwić się nie mogła jego pozornej delikatności.

Kiedy zdjęła okulary, w pokoju było ciemno, bolały ją oczy, miała mdłości z powodu zbyt długiego przebywania w wirtualnej przestrzeni. Ranek przeszedł w popołudnie, popołudnie w zmierzchu, niskie chmury sunęły powoli w głąb lądu, światło nad bezkresnym oceanem przybrało barwę szarobłękitną.



Gdy wychodzi z Muzeum, pada deszcz, krople są ciepłe, rzadkie, wilgotne powietrze brzemienne od ich ciężaru z plaskiem rozbijającego się o asfalt. Po drugiej stronie ulicy, pod baldachimem chmur w Hyde Parku szepczą z nimi liście, a ona czuje w nozdrzach żyzny zapach ziemi. Jej drogę przecina ibis, krocząc po królewsku pomimo brudnego upierzenia nastroszonego w obronie przed wilgocią. Napawa się tym spokojem szarugi, wrażeniem dryfowania, nie ma ochoty przecinać tej chwilowej więzi, jaką poczuła w Muzeum, ale gdy schodzi po splekanych

schodach do stacji metra, wokół niej unosi się ciepły odór, czuje, że to doznanie już jej się wymyka, ekrany, które oblepiają ścianę, szepczą i schlebiają tańczącymi na nich tekstem i obrazami. Mozaikowa posadzka pod jej nogami została prawie zupełnie wytarta przez niezliczone stopy; nad głową sondujące macki korzeni drzew wypełzają ze szczelin w suficie, budząc swym wtargnięciem lekki strach.

Kiedy mija bramkę, smród, który unosił się wokół niej, gdy schodziła po schodach, wzmagają się; rozgrzana guma, ropa i coś bardziej znajomego, bardziej ludzkiego, gryzący zapach moczu i potu, odór nie mytych ciał wionący od skulonych postaci zbierających się w grupy wzdłuż ścian, ludzi o pogrążonych we śnie albo rezygnacji twarzach, o rękach oplatających skromny dobytek.

Idąc, przypomina sobie historię, opowiedzianą kiedyś przez byłego przyjaciela w czasie kolacji w Hongkongu, o tym, że tunele i piwnice pod miastem stały się rajem dla tych ludzi, dla samotnych, szalonych, zagubionych. Nazwał ich troglodytami, a Anna pokręciła głową. Są bardziej jak morlokowie, rzekła cicho. Ten mężczyzna, kolega Jareda z Australii, mówił o labiryncie opuszczonych tuneli kolejowych, przejściach podziemnych, schronach, kanałach i piwnicach ciągnących się od nabrzeża do Pyrmont, Centrum i jeszcze dalej. O przykrytych gruntem zaginionych rzekach, wpompowanych kanalizacją do sypiących się katakumb, o zapomnianych jaskiniach i strumykach, nawet o jeziorze

długim jak futbolowe boisko o wodach tak czystych i świeżych jak w górskim potoku, które kiedyś leżało gdzieś pod wrzaskliwą George Street. Mówił o kierowniku kopalni, który pływał tam codziennie z latarką przyczepioną do gogli. Roześmiał się wtedy i powiedział, że były tam też ryby, okonie, sumy, karpie, wszystkie o łuskach wyblakłych w ciemności, o oczach wielkich i wylupiastych. Zaś Anna, nie wierząc mu, uśmiechnęła się i zapytała: A krokodyli tam nie było? Popatrzył wówczas na nią, odwracając swą nieokrzesaną, zarozumiałą twarz, zaczerwienioną od alkoholu, po czym roześmiał się i zaniechał dalszej opowieści na rzecz czegoś innego, czegoś nowego.

Wtedy ta historia wydawała się absurdalna - mit z innej epoki odrodzony we współczesnym przebraniu - jednak teraz wydaje się bardziej wiarygodna. Gdy Anna idzie po peronie, jakiś człowiek o twarzy czarnej od brudu mamrocze coś i czka, łapiąc niewidzialne muchy, metr od niego siedzi inny, gapiąc się bez słowa. Kobieta na ławce tuli dziecko, obok niej stoi papierowy kubek na monety. Mężczyzna w garniturze, w marynarce zarzuconej na nagi tors, siedzi i płacze w ciemnym kącie pod schodami. Odwracając się od nich, Anna dostrzega swe odbicie w szklanej tafli ekranu, kolory pod nim migają. Jej twarz, jego twarz, obie pochwycone w upiornym nałożeniu na film reklamowy. Stacja wydaje się oddalać, głosy odbijające się od sklepienia stają się coraz słabsze. Zawirowanie w powietrzu: otarło się o nią czyjeś ciało. Pięć metrów dalej

komórka krwi skręca się i mutuje w łonie kobiety, zaczyna ją trawić białaczka. Potem ciepły wyziew z tunelu i nadjeżdża pociąg, rozdierając powietrze piskiem metalu, rozdzielając je, gdy przetacza się z grzmotem bezmiaru światła i dźwięku.

BUDZI SIĘ z nagłą świadomością w księżycowej poświacie znad oceanu. Tego popołudnia na stacji, jej odbicie... widziała to już wcześniej. Nie swoją twarz, nie jego, ale to spojrzenie, to upiorne spojrzenie. Naga w świetle księżyca sięga po dysk z danymi i przegląda zdjęcia. Niebieskie światło monitora pobudza ją do życia. W końcu znajduje: tę jedną fotografię, jedną z tych, które złożyły się na jej drugą wystawę. Ona i Daniel obok siebie, ich szczupłe ciała i niesamowicie podobne twarze, szerokie usta i migdałowe oczy wpatrujące się niewzruszenie w obiektyw, ich piękno uczynione niezwykłym, prawie niezemskim poprzez dziwny, zamierzony dystans wobec aparatu. Rękę zgięła w łokciu, dłonią przykryła jedną z piersi o ciemnych sutkach; druga pozostała nieosłonięta. Patrząc na zdjęcie, przypomina sobie wieczór otwarcia wystawy, niewielką powierzchnię galerii. Poszła do pokoju na tyłach, w którym Jadwiga, właścicielka tego przybytku, miała biuro oddzielone przepierzeniem od zasadniczej części przerobionego magazynu. Małe pomieszczenie zawałone było płótnami i sztychami, za które nie zapłaciła, których nie sprzedała i takimi, które czekały na swoją wystawę. Słyszała

tu szum rozmów, przebijające się przez harmider poszczególne głosy. Rżący śmiech jakiejś kobiety. Moralizatorski ton młodego prezentera telewizyjnego, który wcześniej przeprowadzał z nią wywiad, kiedy siedziała sama na wysokim stolku pośród bieli ścian galerii, a operator kamery pozwalał, by wywiad nałożył się na jej milczące zdjęcia. Leniwie przeglądała jakieś czasopismo do czasu, aż za rogiem pojawiła się Jadwiga i chwyciła ją za ramię, mówiąc, że musi tam wrócić, że wszyscy tam są; zapytała ją jeszcze, czy zdaje sobie sprawę z tego, iż będzie gwiazdą, będzie taka wielka, że każdy... W tym momencie przerwała i powtórzyła jeszcze raz, jak gdyby sama nie mogła tego pojąć: że każdy będzie wiedział, kim jest. Trzymając dłoń na jej ramieniu, Jadwiga pchnęła ją do zatłoczonego pomieszczenia. Gdy się tam znalazły, pociągnęła ją w stronę mężczyzny, którego nazwiska nigdy nie poznała, ale idąc tak, zobaczyła Daniela stojącego przed zdjęciem - przed *tym* zdjęciem, powiększonym do rozmiarów dwukrotnie przewyższających ich rzeczywisty wzrost, tak że twarze i ciała zdawały się wynurzać ze ściany. Jakby czując na sobie jej wzrok, Daniel odwrócił się z wyrazem twarzy nieświadomie naśladującym ten na zdjęciu, przed którym stał. Chłód przeczucia przebiegł przez jej ciało niczym prąd, gdy spojrzała na inne zdjęcia w galerii: na każdym z nich albo ona, albo Daniel, wszystkie ciemne, odległe, prawie klinicznie surowe. Wróciła wzrokiem do brata, który uśmiechał się teraz szeroko, a jego oczy przepełnione były drwiną z

mężczyzny, którego przedstawiała Jadwiga, nieświadome jej nagłego przeczucia straty.

O 22:20 CZASU tokijskiego na autostradzie pod Yokohamą ciężarówka wioząca plastikowe rury na budowę w Tokio traci sterowność i ślizga się zygzakiem, rozbijając mniejszy samochód prowadzony przez Saori Murakami, żonę Yauhiro Murakami, japońskiego fizyka przebywającego na pokładzie *Prometeusza*. Saori Murakami ginie na miejscu, podobnie jak dwie z jej córek, trzecia umiera trzy godziny później na stole operacyjnym, czego bezpośrednią przyczyną jest rozległy krwotok wewnętrzny. Kierowca ciężarówki nie odnosi poważniejszych obrażeń.

Zapisek na karcie medycznej najmłodszej córki każe medykom pamiętać o jej tożsamości; podobne ostrzeżenie zostaje im przekazane po wprowadzeniu do komputera numeru rejestracyjnego samochodu. W ciągu godziny wiadomość zaczyna przeciekać, rozprzestrzenia się w mediach i w sieci. Dwie godziny później Centrum Kontroli Lotów na Przylądku Canaveral zwołuje konferencję prasową, na której ogłoszono oczekującym dziennikarzom, że Murakami został powiadomiony i że załoga prosi, by na razie uszanować ich prywatność. Złożono oficjalne kondolencje i wyrazy otuchy.

Kiedy Anna wraca o siódmej z joggingu, media już dawno o tym

trąbią. W nocy stojąca na czele misji komandor Svenson złożyła oświadczenie w imieniu Murakamiego, dziękując opinii publicznej za wsparcie; parząc kawę, gdy czajnik bulgocze i bucha parą, Anna widzi, jak ponownie puszczają jej wystąpienie, widzi Svenson i jej kosmicznie bladą, spiętą twarz.

Minęły ponad dwa miesiące od ostatniej normalnej rozmowy załogi *Prometeusza* z Ziemią; opóźnienie przekazu już po miesiącu zbyt się zwiększyło, by można było się porozumieć. Od tamtej pory załoga jest ograniczona do rutynowych meldunków, często z konieczności, gdy walczą z problemami, które nękają misję prawie od chwili, gdy opuściła orbitę Ziemi i wyruszyła w przestrzeń kosmiczną w stronę Marsa. Mimo że jest tworem ekspertów z tuzina państw, statek kosmiczny nawiedza plaga trudności technicznych. Przynajmniej trzy razy były już problemy z urządzeniami filtrującymi tlen; dwukrotnie nie zadziałały systemy naprowadzające, co wymagało kilku nasyconych paniką wyjść w przestrzeń, by naprawić błędy, nim korekta kursu stała się niemożliwa; systemy komputerowe wytworzyły niezwykle i prawdopodobnie nieusuwalne krótkotrwałe zakłócenia. Sześć tygodni po starcie intensywna aktywność słońca na prawie dwa tygodnie uwięziła astronautów w malutkiej kapsule chroniącej przed promieniowaniem, w przestrzeni ledwo mogącej pomieścić ich osiem ciał. A ostatnio część układu zasilania została zniszczona przez meteoryt.

Patrząc na obraz komandor Svenson, spłaszczony i zniekształcony zakłóceniami, Annę po raz kolejny uderza ogrom ryzyka, jakie zgodziło się podjąć tych ośmioro ludzi. Sześciomiesięczna podróż na martwą planetę w statku niewiele większym niż autobus, a wszędzie dookoła bezkresne zimno i ciemność. Osiemnaście miesięcy w kompleksie mieszkalnym na Marsie bez możliwości oddychania tlenem z atmosfery, mając do picia jedynie przefiltrowany i uzdatniony mocz i pot. Potem sześć miesięcy w drodze z powrotem na Ziemię. Podobnie jak wielu innych, Anna nie jest pewna, jaki sens ma taka odwaga. Przez chwilę wierzy, że ta misja jest aktem wiary w przyszłość, która wydaje się coraz bardziej niepewna; nawet skład jej załogi - czterech mężczyzn, cztery kobiety: dwoje Amerykanów, dwoje Rosjan, jedna Niemka, jeden Japończyk, Brazylijka i Hindus - jest wyrazem międzynarodowej solidarności w czasach, gdy świat wydaje się zmieniać w postrzępiony patchwork aktów okrucieństwa i policyjnych akcji, granicznych utarczek i pełnej napięcia i złości izolacji, ale Anna widzi to także jako próżność, astronomicznie drogi akt pychy. Czego by jednak nie mówić, oni tam są, dalej od Ziemi niż kiedykolwiek znalazł się jakikolwiek człowiek.

Skończywszy kawę, wyłącza telewizor. Wczorajsze wspomnienia Daniela, wystawy, poruszyły płataninę winy i żalu. Nie mogąc spać, spędziła parę godzin po przebudzeniu na nieustannym odtwarzaniu nie tylko własnego wstydu, poczucia porażki, że wróciła z pustymi rękoma,

ale także winy z powodu swojego zachowania sprzed czterech lat, kiedy to wyjechała bez uprzedzenia. W ciszy zalanego światłem księżyca pokoju rozwiązanie wydawało się łatwe: wystarczyło poprosić o wybaczenie i je uzyskać. Ale teraz, w świetle dnia, nie wygląda to na takie proste, a cały proces obfituje w niebezpieczeństwa.

Gdy myje się i ubiera, nie może otrząsnąć się z lęku. Dwa razy przestaje robić to, co akurat robi, na wpół zdecydowana poniechać zadania, którego ma się podjąć, ale zbiera się w sobie i kontynuuje.

Na dworze słońce już wysoko stoi na niebie, plamy chmur, które spowijały morze o świcie, zostały wypalone przez skwar. Jednak nad oceanem widać kolejny zbliżający się front, wielkie zwały biało-niebieskich cumulusów zebranych w stosy, kłębiące się pióropusze wzniesione w błękicie porannego nieba. Schodząc w dół niewielkiego pagórka do stacji przy Campbell Parade, Anna wpatruje się w odległy obłok, w jego wyraźne kontury w świetle przefiltrowanym przez okulary i to przypomnienie cykliczności pogody, krążących frontów burzowych i spokojnych, ta chmura i wiatr uspokajają ją.

Jednak przy Bondi Junction, z powodu problemów na dalszym odcinku linii, każą pasażerom wysiąść z pociągu i przesiąść się do autobusów, które dowiozą ich do miasta. Razem z innymi Anna pcha się do i tak już zatłoczonego pojazdu, przeciskając się w stronę jedyne wolnego miejsca. Ponieważ za nią wsiada jeszcze więcej ludzi, z tyłu

dolatują rozzłoszczone krzyki, że autobus jest już przepełniony, a Anna, świadoma oczu chciwie skierowanych na jej siedzenie, odwraca wzrok, patrzy przez zasmarowane okno na mijające ich samochody, wypełnione drzewami ogrody.

Kiedy autobus staje na Town Hall Station, nie schodzi do metra. Zamiast tego decyduje się przejść pieszo pół kilometra do galerii Jadwigi. Na Elizabeth Street ruch został wstrzymany przez tuzin policjantów - wszyscy w bojowych butach, uzbrojeni i nafaszerowani elektroniką - sprawdzających dowody osobiste i przeszukujących samochody detektorami narkotyków. Gdy ich mija, spogląda na hełmy bojowe z przyłbicami i zastanawia się, dlaczego dali się tak odczłowieczyć, czy to ze względu na bezpieczeństwo, czy aby onieśmielić innych, czy może z obu tych powodów naraz.

Dochodząc na miejsce, odkrywa, że galeria Jadwigi wygląda prawie dokładnie tak, jak ją zapamiętała. W kawiarni na rogu stoją nowe krzesła, a jej goście siedzący przy stolikach na ulicy są chyba trochę lepiej ubrani. Jednak malutką uliczkę wciąż zacieniają przerośnięte australijskie akacje, których brudna kora pachnie w gorącym powietrzu; wąskie balkony sięgające trzeciego piętra po każdej stronie ulicy wciąż są tak samo zaniedbane. Jednak Anna prawie tego nie zauważa, mdli ją na myśl o tym, co ją czeka. Na jednym z balkonów śpiewa ptak, jego przeciągły trel niesie się ponad dachami; gdzieś indziej wznosi się i opada głośny warkot

wiertarki. Przy drzwiach podnosi rękę do dzwonka, nie patrząc w baczne oko kamery. Gdy miała tu swoją pierwszą wystawę, drzwi zawsze były otwarte, ale wkrótce po tym zaszło coś, co Jadwiga zawsze określała jako „rozbórę”. Zniszczona wystawa obrazów, płótna porozdzierane, pocięte żyłkami i śrubokrętami, pomazane farbą, graffiti na zachęcająco pustych ścianach. Dostało się też Jadwidze, na tyle poważnie, że spędziła prawie tydzień w szpitalu. Anna pamięta, jak ją odwiedzała, jak Jadwiga zabawiała rzeszę życzących jej powrotu do zdrowia, odmawiając przyjęcia owoców i czekoladek, jako prezentów „poniżej ich możliwości”. „Nie możecie się bardziej postarać?”, skrzeczała ku ogólnej uciezce. Jej twarz opuchnięta była od siniaków, jedno oko zasłonięte opatrunkiem poplamionym zakrzepłą, czarną krwią. Anna dała jej bujne, tropikalne kwiaty, które migotały pomarańczowo na tle zielonego papieru. Jadwiga przyciągnęła ją do siebie, tak że Anna poczuła chudość ciała starszej kobiety - gest, który zaskoczył ją swą szczerością. Uważaj na siebie, szepnęła. Jesteś zbyt cenna, by cię stracić.

Minęły cztery lata, odkąd po raz ostatni widziała się z Jadwigą czy z nią rozmawiała, cztery lata od jej nagłego odwołania wystawy, którą razem zaplanowały. Już wtedy czuła, że to tchórzostwo, ni stąd ni zowąd zadzwonić i oznajmić jej, że wyjeżdża. Zrobić coś takiego kobiecie, która jej pomagała, była jej przyjaciółką, której wnikliwość i intuicję tak bardzo ceniła. Kobiecie, która pożyczala jej pieniądze, gdy ich potrzebowała.

Anna, pochłonięta przez szalejący ogień swej miłości, zapomniała o tym wszystkim, opuściła ją po jednym telefonie. A teraz wraca, przychodzi niezapowiedziana (choć wie, że inaczej by sobie z tym nie poradziła), spodziewając się - mając nadzieję - że Jadwiga będzie u siebie, że jeszcze raz przyjmie ją z otwartymi ramionami.

Przestraszona, że zrezygnuje i odejdzie, jeśli nie zrobi tego natychmiast, Anna dźga przycisk domofonu, uwalniając elektroniczny dzwonek. Słyszając kliknięcie zamka, popycha drzwi, ale nie może wejść, gdyż jakiś wysoki mężczyzna odciąga je od niej, a jego szczupła sylwetka wypełnia przejście. Ma poplamioną winylową marynarkę, źle dopasowane spodnie i brudną koszulę, o kilka numerów za małą. Jego twarz i szyję pokrywa warstwa brudu, kości wyraźnie rysują się pod ziemistą skórą i rzadkim zarostem. Gdy przeciska się obok niej, Anna cofa się mimowolnie, zaś mężczyzna staje na moment tak blisko, że czuje smród jego oddechu, widzi mięsaki jątrzące się pod brodą. Przenosi wzrok z jej oczu na usta, piersi, potem unosi głowę, ich spojrzenia spotykają się, patrzy na nią w taki sposób, że Anna nie ma wątpliwości, co sobie myśli. I nagle, zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, mija ją, idzie po schodach na ulicę i odchodzi.

W środku jest chłodniej, w długim pomieszczeniu stoją ogromne płótna, na których przez warstwy kolorów przebijają się stłumione bagienne krajobrazy. W galerii jest kilka osób, stoją w ciszy przed

malowidłami albo szepczą do siebie po cichu. Anna czuje, że drży, splata ciasno ręce i próbuje to powstrzymać. Ale Jadwiga się nie pojawia. Chcąc się pozbierać, Anna zaczyna snuć się powoli po wystawie, patrzeć na obrazy. Początkowo jest zawiedziona, gdyż stwierdza, że nie za bardzo jej się podobają, nie wywołują w niej żadnego wrażenia, są zbyt spokojne, jakby wyblakłe, ale gdy patrzy na kolejne, tę pierwszą reakcję zastępuje wzrastający podziw dla poczucia głębi, które udało się pochwycić artyście, sposobu, w jaki wzory i możliwości wydają się wirować pod prostą powierzchownością. Patrząc dyskretnie na pozostałe osoby, Anna próbuje ocenić ich reakcje, ale są profesjonalistami, ich opinie kryją się za zasłoną beznamiętnie zaangażowanej uwagi.

Krążąc po galerii, Anna wie, że jedynie odwleka to, co nieuniknione. Jadwiga tu jest; w sobotnie popołudnia zawsze ma największy ruch, chociaż sama nigdy się nie pokazuje, pozwalając mecenasom sztuki w spokoju przyglądać się obrazom. Tak więc Anna dziwi się, widząc, jak wychodzi zza przepierzenia, za którym znajduje się jej biuro - sztywna i wyprostowana spieszy w stronę drzwi. Ale zanim tam dotrze, jakaś kobieta odłącza się od dwójki znajomych i cichym głosem pyta o coś. Zaczepiona w połowie drogi, Jadwiga odwraca się, spokojnie, życzliwie wskazuje na jedno z płócien i kiwa głową. Zwiedzająca mówi coś cicho do swoich znajomych, a Jadwiga idzie ku drzwiom, ale zauważając wpatrującą się w nią Annę, ogląda się zaciekawiona. Tym razem staje w

miejscu. Żadna z nich nic nie mówi. Po chwili Jadwiga rusza w jej stronę, powoli, z rozmysłem. Anna zdaje sobie sprawę, że nie wie, co powiedzieć, stoi więc niema, gdy kobieta zatrzymuje się przed nią z niewzruszoną twarzą. Ponieważ Anna się nie odzywa, Jadwiga splata ręce.

Dobrze wyglądasz, mówi.

Dziękuję, odpowiada nieśmiało Anna.

Nie wiedziałam, że znowu jesteś w Sydney.

Przyjechałam niedawno.

Czy Jared jest z tobą?

Anna kręci głową. Jadwiga nie odpowiada, tylko mruży oczy.

A jak się miewa Jean-Paul?

Na wzmiankę o mężu coś przemyka po twarzy Jadwigi. Nie całkiem wzdrygnięcie, raczej chwila wahania, ale wystarczy, by Anna zamarła.

Co?, pyta. Coś się stało?

Jadwiga wpatruje się w nią chłodno.

Nie słyszałaś?

Nie, co takiego?

Chodź ze mną, mówi Jadwiga. To nie jest sprawa dla moich klientów. Odwraca się i powoli zmierza do biura.

W małej przestrzeni za przepierzeniem przy biurku stoi młoda kobieta skupiona na konsoli przed oczami. Gdy wchodzi, podnosi wzrok.

Matyldo, mówi Jadwiga, to Anna Frasier.

Matylda wyciąga rękę. Ta od zdjęć?, pyta.

Zgadza się, odpowiada Anna, spoglądając na Jadwigę, która stoi obok niej bez słowa.

Widziałam kilka zdjęć w mieszkaniu Jadwigi, są imponujące.

Anna puszcza dłoń Matyldy. Dziękuję. To miło, że tak uważasz.

Zerkając na właścicielkę galerii, Matylda wyłącza konsolę.

Będę na zewnątrz, mówi.

Usiądź, zaprasza Jadwiga, wskazując na krzesło.

Gdy Anna siada, jej strach narasta, podsycany przez to, jak Jadwiga opiera swoje szczupłe ciało o blat, jak stoi z założonymi rękoma, oczami utkwionymi w skrzyżowanych nogach.

O co chodzi?, pyta Anna. Co się stało?

Jean-Paul nie żyje, Anno, odpowiada beznamiętnym głosem.

O Boże, wzdycha. Nie wiedziałam.

Jadwiga spogląda na nią ostro. Tak sądziłam.

Kiedy to się stało?

Siedem miesięcy temu.

Jak...?

Białaczka.

Anna nie musi pytać, żeby wiedzieć. Jak niemy ogień, białaczka zaczęła się rozprzestrzeniać poprzez nieznanymi nosicieli, uderzając na przedmieściu, w szkole, w bloku. Ludzie zapadali na nią jeden po drugim,

a po jakimś czasie zanikała równie nagle, jak się pojawiła, pozostawiając po sobie jednych umierających, a innych nietkniętych. Na początku wskaźnik zachorowań był niski, mieścił się w granicach normy, ale kiedy liczba chorych zaczęła rosnąć, stało się jasne, że działa tu jakiś nieznany czynnik. Niektórzy mówią, że choroba ma podłoże wirusowe, że wywołuje ją niezidentyfikowany retrowirus przeniesiony we krwi nosiciela, który rozprzestrzenił się w powietrzu. Inni twierdzą, że to wina środowiska, reakcja na wzrastającą toksyczność biosfery albo dotychczas niezauważony rezonans genetyczny wywołany gęstością mikrofal na obszarach miejskich, gdzie zaraza rozprzestrzeniała się najszybciej. Ale przy wszystkich tych teoriach prawda jest taka, że nikt niczego nie wie na pewno. Niezaprzeczalne jest jedynie to, że choroba szerzy się nieubłaganie, a jej ofiary giną błyskawicznie.

Przykro mi, mówi Anna, a w tej samej chwili nawiedza ją wspomnienie ostatniego spotkania z Jean-Paulem w pewien piątek późnym wieczorem w restauracji w Chinatown, w zatłoczonym i zadymionym miejscu, gdzie wszędzie dokoła w specjalnych zbiornikach pływały ryby i kraby i gdzie panowała burzliwa atmosfera. Było to dzień po tym, jak zadzwoniła do Jadwigi i powiedziała jej, że wyjeżdża, że wystawy nie będzie. Był w restauracji z klientami, zauważył ją po drugiej stronie sali, podszedł zdecydowanie do jej stolika, długie włosy opadały mu na oczy.

Wyjeżdżasz, rzekł z akcentem ślizgającym się po słowach, wyraźniejszym teraz, gdy był lekko wstawiony.

Przytaknęła konwulsyjnie, pewna, że będzie zły. Obawiała się tej strony jego osobowości, której nigdy wcześniej nie poznała, a do tego świadomość, że zdradziła Jadwigę, odebrała jej odwagę.

Czy to dobry człowiek?, zapytał, zaciskając dłoń na jej ramieniu.

Tak, odparła. Czy Jadwiga jest zła?

Wzruszył ramionami. Trochę. Zrobiłaś jej świństwo, ale przejdzie jej. Ona cię kocha, wiesz. Jesteś jej protegowaną.

Anna zaczerwieniła się, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Mam klientów, oznajmił. Muszę do nich wracać. Ale maleńka Anno, uważaj w tym Hongkongu. Nadal pamiętała sposób, w jaki to powiedział, jakby to były dwa słowa: „Hong Kong”. To niebezpieczne miejsce. Miał już się odwrócić, ale stanął w pół obrotu i klęknął przy niej.

Anno, rzekł nagle, prawie szeptem, musisz mieć pewność, że ten mężczyzna też cię kocha. Pamiętaj, że jeśli tak ci na czymś zależy, że mogłabyś poświęcić temu wszystko, to może cię to zniszczyć. Miłość jest niebezpieczna, moja droga, miłość jest niebezpieczna. Następnie ujął jej dłoń w swoje ręce i pocałował ją w czoło. Uważaj na siebie.

Przez chwilę, która wydaje się bardzo długa, obie siedzą w ciszy, Jadwiga uważnie przygląda się swoim butom, Anna próbuje przyswoić sobie ten obrót zdarzeń. Jadwiga i Jean-Paul byli częścią jej życia od

czasów college'u. Związani bardzo huczny  lubem, wydawali si  nierozl czni. Mieli ju  wczesniej ma onk w, Jadwiga pozbawionego habitu Jezuit  o wiele od niej starszego, a Jean-Paul francusk  aktork . To drugie ma eństwo przys o P zno, traktowali je jak dar, niespodziank , kt ra zdumia a ich oboje.

Powinna s by a do mnie zadzwoni , m wi Anna. Przyjecha abym.

Porzuci as mnie, ripostuje Jadwiga. Nie mia am obowi zku ci  szuka . W jej g osie s ycha c by o cie  w gierskiego akcentu prze lizguj cego si  pomi dzy sp aszczonymi australijskimi samog oskami, gdy si  z o ci a.

Przykro mi, powtarza Anna. Przepraszam za wszystko. Pociera twarz, staraj c si  powstrzyma c łzy.

Przeprosiny niczego nie zmieniaj , Anno.

Nie.

Poza tym s ysza am,  e ty te  kogo  utraci as.

Zaskoczona Anna podnosi wzrok po to tylko, by zobaczy ,  e Jadwiga waha si , jak gdyby z o liwo c, kt ra zainspirowa a t  uwag , zaszokowa a r wnie  i j .

Tak, odpowiada Anna spokojnym g osem. Utraci am.

Czy co  ju  wiadomo?, pyta Jadwiga tonem nieco mniej cynicznym, a Anna kr ci g ow .

Nic.

To straszne, stracić brata.

Anna przytakuje. Ponieważ się nie odzywa, Jadwiga chrząka i mówi wyraźnie pojednawczym tonem.

Dlaczego przyjechałaś, skoro nie chodzi o Jean-Paula?, pyta.

Żeby zobaczyć się z tobą, odpowiada Anna, pociągając nosem. Żeby przeprosić.

Jadwiga dotyka swojej brwi, końcem palca unosi ją w górę osobliwie delikatnym ruchem.

Dobrze. Masz mi coś do pokazania?

Zdumiona, Anna podnosi wzrok. Nie, odpowiada cicho, ale widząc, że Jadwiga się uśmiecha, wybucha śmiechem, a łzy sprawiają, że prychnie i bulgocze.

Absolutnie nic?

Anna wyciera nos. Chyba znalazłam właśnie ciekawy temat.

Tak?

Amonity.

Jadwiga wygląda na zmieszaną. Nie wiem nic o tych... amonitach.

Mam przy sobie jeden, mówi Anna, sięgając do torby i wyjmując z niej podarunek od Lo.

Jadwiga odwija go i obraca w dłoniach.

Rozumiem, mówi, choć nie wydaje się przekonana. Gdzie je zdobędziesz?

Jeszcze nie jestem pewna, myślałam, że Muzeum może udostępni mi swoje zbiory.

Mam klientkę, której syn pracuje w Muzeum, wyznaje Jadwiga. Mogłabym do niej zadzwonić, zapytać, czy nie umówiłaby cię z nim na spotkanie.

Anna waha się. Nie dlatego, że propozycja jest mało atrakcyjna, ale dlatego, że wie, iż to coś więcej niż oferta pomocy - jest to próba naprawienia stosunków, które ona, Anna, zepsuła.

Dobrze, rzeczy w końcu. Podoba mi się ten pomysł.

JEST 2:14, a ona wciąż nie śpi, jej ciało jest niespokojne, umysł szaleje jak podczas pełni księżyca, gdy pływowy ruch wody w mózgu nie daje jej zasnąć przez dwa, trzy dni z rzędu, aż w końcu z wyczerpania zaczyna śnić koszmary. Nie wiedząc, co robić, ubiera się i wychodzi na zalane światłem księżyca ulice, jej ciało szybko intuicyjnie odnajduje rytm, rozbrzmiewa równomierny odgłos jej stóp na chodniku. Tu, wśród ogrodów i cichych ulic, jest jak w innym, tajemniczym świecie, a gdy biegnie, czuje, jak wywołana bezsennością desperacja zaczyna ją opuszczać, zastąpiona rytmicznym spokojem endorfin.

W Hongkongu często to robiła - chłodne powietrze mieszkania, komputerowo regulowane oświetlenie nie współgrały z jej i tak już wrażliwym biologicznym rytmem. Podobnie jak ona, Jared też miał lekkie

sen, metabolizm prawie jak u ptaka, a kiedy interesy kręciły się szybko, przez tydzień spał po dwie, trzy godziny dziennie. Ale nie cierpiał na tę niespokojną, niedającą usiedzieć w miejscu bezsenność, która kazała jej żyć w mrocznym świecie bez odpoczynku przez większą część jej dorosłego życia. Więc ubierała się w środku tropikalnych nocy, zjeżdżała windą sześćdziesiąt pięter w dół do błyszczącego lobby, gdzie przed rzędami ekranów wideo siedzieli senni, znudzeni strażnicy, i biegała w wilgotnym powietrzu. Miasto było ciche, zwykle zatłoczone ulice puste, poruszały się po nich jedynie powolne śmieciarki i ciężarówki wiozące zapakowaną w folię żywność albo inne, mniej smakowite ładunki, które lepiej przewozić pod osłoną ciemności; przemykały też po nich wszechobecne taksówki, od czasu do czasu zaterkotał motorower, niekiedy obładowany wiezionym na targ towarem - połciami mięsa, popakowanymi liśćmi, nieoczyszczonymi korzeniami. Nad głową miała cieniste kontury drzew, liście szeleszczące w ciemności, wznoszące się w łagodnym powietrzu neonowe tuby ze szkła i betonowe wieże budynków. Tu i ówdzie dobiegał ją zapach chińskich wypieków, migwały kolorowe lampiony burdeli, z balkonów wychylały się półnagie dziewczyny. Wzdłuż jednej z ulic, którymi biegała, ciągnął się rząd manufaktur pracujących bez przerwy nawet w środku nocy, gdzie szeregi kobiet pochylały się nad stołami zawałonymi stosami ta-nich kłapek plażowych, bawełnianych koszulek i garniturów. Czasami któraś podnosiła głowę i patrzyła na Annę

niczym aktor, który po raz pierwszy podczas swojego występu zauważył publiczność. Zaś tam, gdzie ulica stromo opadała w dół, wciśnięta pomiędzy ruchome schody i mur albo powyginaną blachę, widziała gdzieniegdzie świecące na tle ciemności niczym ekrany okna mieszkań, otwarte na nocne powietrze, niekiedy dostrzegła nie okryte ciała rozwalone w fotelach albo na niepościelonych łóżkach. Słyszała warkot stawianych przy posłaniach wentylatorków. Wszędzie dławił ją słodkawy zapach zgnilizny, kwiatów i rynsztoków. A potem siedziała w półmroku swojego pokoju, z nagimi kolanami podciągniętymi pod brodę, patrzyła na śpiącego Jareda, grę snów na jego twarzy. Jej pot stygł na skórze w klimatyzowanym powietrzu.

W poniedziałek rano dzwoni pod numer, który dała jej Jadwiga. Łączy się z wideosekretarką, na której nagrana jest krótka wiadomość identyfikująca jej rozmówcę jako mężczyznę, którego szuka. Jest młodszy, niż się spodziewała, i przystojniejszy, przy czym nie ma w jego blond włosach nad opaloną, inteligentną twarzą nic sztucznego. Jednak jego powitanie jest zwięzłe, wręcz na granicy uprzejmości. Pozostawia numer kontaktowy, tak jak została poproszona, lecz ledwie zdążyła się rozłączyć, słyszy dzwonek telefonu, na ekranie pojawia się jego twarz.

Anna?, pyta.

Tak.

Jak mogę pani pomóc? Gdy mówi, czyni gesty w stronę kogoś, kogo nie widać na ekranie, i przeprasza ją natychmiast. Mamy dziś trochę zwariowany poranek, wyjaśnia, a Anna po raz pierwszy zauważa przebłysk humoru, który sprawia, że jego wcześniejsze zniecierpliwienie jest mniej denerwujące. Tłumaczy swoje powiązania z właścicielką galerii i czuje ulgę, gdy on przerywa jej, mówiąc, że zna Jadwigę. Jednak gdy przedstawia mu cel tej rozmowy, traci zainteresowanie.

Mamy tu w Muzeum osobę, która zajmuje się takimi rzeczami, oznajmia. Mógłbym panią z nią skontaktować, jeśli pani chce.

Nie, odpowiada Anna, zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie wziął ją za jakąś nieopierzoną studentkę sztuki. Prawdę mówiąc, chciałam przyjść najpierw się rozejrzeć.

Następuje chwilowa pauza. Kiedy zamierza pani do nas zawitać?

Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam; kiedy wam będzie pasowało.

o

Stosując się do sugestii Dylana, przychodzi późnym popołudniem, tuż przed zamknięciem, co, jak powiedział, da jej kilka godzin, by rozejrzeć się we względnym spokoju, oraz okazję zbadania zbiorów Muzeum bez płacenia za wstęp. Pyta o niego przy wejściu dla personelu i po kilku minutach mężczyzna wychodzi drzwiami bezpieczeństwa. Gdy podaje jej rękę, Anna dostrzega iskierkę zainteresowania w jego oczach.

Prowadzi ją po schodach parę kondygnacji w dół, następnie przez kilkoro drzwi do długiego pomieszczenia zastawionego metalowymi szafami o powyginanych drzwiach pokrytych pełną zarysowań warstwą farby. Po drodze trąkocze z ożywieniem, mówi jej o trzymanyh tu okazach, wskazując na różne obiekty, gdy je mijają. Po chwili, unosząc palec, zatrzymuje się, otwiera jedną z szaf pełną półek zawałonych bryłami kamienia, z których sterczą pękate kształty muszli.

Może powinna pani zacząć od tego, mówi, przyciągając wózek i ładując na niego kilka eksponatów, żeby je mogła zbadać.

Te nazywają się *Beudanticeras*, kontynuuje, kładąc dwie skamieniałości. Pochodzą ze skarp wapiennych w środkowym Queensland. Bierze kolejny okaz i kładzie go na wózek. Jeśli poszukuje pani czegoś bardziej niezwykłego, to proszę bardzo, skamieliny z wyszczerbionymi krawędziami muszli, albo to, *Hyphantoceras*, gdzie widać różnice w uzwojeniu.

Spoglądając na nią znad rozłożonych amonitów, Dylan waha się, po czym uśmiecha się szeroko, trochę nieśmiało.

To ja sobie już pójdę, dobrze? Chyba lepiej będzie, jak zostanie pani z nimi sam na sam i się rozejrzy.

To byłoby najlepsze rozwiązanie, przyznaje Anna. Czy są tu jakieś rzeczy, których nie wolno mi dotykać? Nie, proszę je tylko odkładać na miejsce, a jeżeli nie będzie pani pewna, gdzie coś leżało, to proszę to

zostawić, a ktoś kompetentny jutro je pouklada. No i niech pani niczego nie upuści.

Postaram się.

Ile czasu pani potrzebuje?

Nie wiem. Czy godzina to nie będzie za długo?

Nie, mówi Dylan. Ja muszę iść nadgonić parę rzeczy. Proszę wcisnąć dzwonek, kiedy pani skończy. Za tamtymi szafkami jest stolik z lampką. Może pani z niego skorzystać.

Po jego wyjściu Anna prowadzi wózek do stolika i wyklada okazy, które położył na nim Dylan. Zapala lampę nad głową, a jej jasne światło zalewa stolik. W tle szumi klimatyzator, lecz poza tym w pokoju panuje cisza. Na półce po jednej stronie leżą eksponaty, czekające, aż ktoś odłoży je na miejsce. Dwie ryby, zbiór dziwnych stworzeń morskich - jeżowców i innych, mniej znanych; jakieś zwierzę o delikatnych płetwach rozłożone na dwóch płaskich kawałkach kamienia, które kiedyś stanowiły część większej całości; dziwne, nie całkiem sferyczne bryły, spoiny pokrywające ich powierzchnię niczym blizny. Oglądając się przez ramię, by upewnić się, że jest sama, Anna sięga do pierwszego z eksponatów, ryby, szerokiej i płaskiej jak flądra. Łuski błyszczą jak macica perłowa, gdy przebiega po nich palcami, zdumiona, że zachowały swój blask po setkach milionów lat. Po chwili jej dłoń wędruje ku drugiej rybie. Dłuższej, brzydszej, bardziej prymitywnej, o nierównych, żarłocznych zębach sterczących z

masywnej dolnej szczęki jak fragmenty potłuczonej szyby; sinusoidalny kształt ciała budzi skojarzenia zarówno z szybkością, jak i okrucieństwem. Głaszcząc jej opancerzoną głowę, zastanawia się, jak wiele zachowało się we wnętrzu ryby, czy pod kościstą powłoką kryją się kamienne żyły, zbudowany z kryształów mózg. Poniżej kwadratowe łuski wciskają się w skórę jej palców niczym kod, falując nierówno w miejscu, gdzie gnijąca ryba została zmiażdżona przez opadający muł, zanim skamieniała całe eony temu.

W końcu powraca do zebranych amonitów. Większość z nich nie cechuje się niczym szczególnym, ale jest przynajmniej jeden, który przyciąga jej uwagę; może nie rzuca się w oczy tak jak niektóre z pozostałych, ale jest czystszy, bardziej konsekwentny w swej geometrii. Anna zapisuje akurat jego numer katalogowy w swoim notesie, gdy słyszy, że po drugiej stronie pomieszczenia otwierają się drzwi. Zakładając, że to Dylan, podnosi witający wzrok, ale kroki wydają się kierować w bok zamiast do niej. Dobia do niej jeszcze inny dźwięk, nieregularne stukanie, lekkie i szybkie, które wydaje się przemieszczać wraz z krokami. Po chwili oba odgłosy cichną, a Anna słyszy hałas otwieranej szafy i wysuwanej szuflady. Potem znowu kroki i delikatny stukot. Zaciekawiona, zmierza w kierunku źródła dźwięku i widzi go, jak idzie w jej stronę. Wyciągniętą lewą ręką maca regały, poruszając się wzdłuż nich, w prawej trzyma długą białą laskę, którą przesuwają przed

sobą, od czasu do czasu przypadkowo stukając w półki. Ma na sobie garnitur, ciemne włosy odgarnięte do tyłu z pociągłej, orlej twarzy. Lustrzane okulary zasłaniają jego oczy i przez chwilę Anna sądzi, że to gogle, że laska to różdżka, a on jest głęboko pogrążony w jakiejś ukrytej, stworzonej przez maszynę rzeczywistości. Jednak jego ruchy - szybkie, pewne, wdzięczne - nie przypominają gestów osoby przebywającej w ciekłosci. Zbliżyła się szybciej, niż się spodziewała, aż nagle, ledwie kilka metrów przed nią, skręca w przejście pomiędzy regałami. Idzie za nim tak cicho, jak tylko potrafi, ale gdy dociera za róg, stwierdza, że on tam stoi i czeka.

Kto to?, pyta, a Anna, wytrącona z równowagi jego nagłą bliskością, robi krok do tyłu. Dopiero teraz zauważa, że jest wysoki, znacznie wyższy od niej, a w jego zastygłej sylwetce jest coś, co przywołuje na myśl drapieżnika przyłapanego na braku czujności. Jednak nawet stojąc metr od niej, wydaje się jej nie widzieć, krótkimi, urywanymi ruchami kręci głową z lewa na prawo.

Kto to?, pyta ponownie. Czy to ty, Dylan?

Cofając się o kolejny krok, Anna nagle zdaje sobie sprawę, że on jej nie widzi, że jest ślepy.

To nie Dylan, mówi, tak spokojnym tonem, na jaki może się zdobyć. Mam na imię Anna. Jestem fotografem.

Gdy tylko się odezwała, mężczyzna przestaje ruszać głową, skupia

się na niej.

Co pani tu robi?

Słucham?, mówi, zdumiona tonem tego pytania.

Odwiedzającym nie wolno korzystać ze zbiorów po siedemnastej.

Uzgodniłam to z Dylanem Boydem. Zastanawiam się nad wykorzystaniem zbiorów w projekcie, nad którym pracuję.

Mężczyzna waha się, jak gdyby trawiąc te informacje.

Czy Dylan jest z panią?

Nie, wrócił na górę.

Rozumiem, mówi, nie kryjąc niezadowolenia. Zechce mu pani przypomnieć o godzinach otwarcia dla gości, kiedy go zobaczy. A teraz, proszę mi wybaczyć.

Zanim Anna zdąży odpowiedzieć, on odwraca się i odchodzi, znów przesuając dłonią po półkach. Dwa rzędy od niej zatrzymuje się, skręca w jakieś przejście i znika jej z oczu.

Pozostawiona sama, Anna stoi bez ruchu, słucha stukotu laski przemieszczającej się wśród półek. W końcu pukanie ustaje, zastępuje je odgłos wysuwanej szuflady, przekładanych eksponatów. Tak cicho jak tylko potrafi, Anna zmierza w stronę dźwięków, zatrzymuje się na rogu, za którym zniknął mężczyzna. Stoi w połowie alejki przy otwartej szufladzie, głowę uniósł do góry, a ręce przesuwa po skamielinach. Usta ma lekko rozchylone, jak gdyby mruczał coś do siebie. Patrząc na niego z

profilu, Anna zauważyła, że kontur jego twarzy jest bardziej niezwykły, niż jej się z początku wydawało, wydłużony, niemal koński, kości policzkowe i broda sterczą zbyt mocno. Jego ciemne, przetykane siwizną włosy opadają prawie na kołnierz. Nie mogąc się zdecydować, czy jest przystojny, czy brzydki, przygląda się, jak unosi eksponat, nad którym pracuje, a jego długie dłonie biegają po jego powierzchni.

Jak gdyby wyczuwając jej obecność, waha się, obraca głowę w jej stronę. Anna wstrzymuje oddech, nie porusza się, nie wydaje żadnego dźwięku. Stoją tak przez dłuższą chwilę, aż w końcu on się rozluźnia, powraca do badanego okazu, a Anna, z szybko bijącym sercem, wycofuje się za róg.

Wieczorem, wspominając miniony dzień, przyłapuje się na tym, że wraca myślami do spotkania z niewidomym mężczyzną. Nawet teraz, gdy jest sama w swoim mieszkaniu, czuje się podenerwowana. Ale nie tylko jego obcesowość, jego protekcyjne zachowanie denerwują ją tak bardzo. Nie może otrząsnąć się z uczucia, że jego ślepotą uczyniła ją nierealną, niewidzialną. Zamykając oczy, wciąż widzi okrutną linię jego ust, płynne ruchy dłoni na kamieniu, miękkie, pieszczotliwe, niemal erotyczne.

W POMIESZCZENIU z eksponatami Anna otwiera torbę, wyciąga aparat. Zakrzywiony plastik obudowy, gładki pod jej palcami, nie jest

śliski, lecz jedwabisty, jego zwartość i ciężar działają na nią uspokajająco. Niewłączony, niczym się nie wyróżnia, jego ergonomiczne kształty dopasowują się do dłoni z taką naturalnością, jak gdyby był przedłużeniem ręki. Uruchamiając go, sprawdza, czy nie ma jakichś zewnętrznych uszkodzeń, potem wyłącza systemy zabezpieczające i aktywuje systemy wewnętrzne, osłony rozsuwają się, soczewki i obiektyw wysuwają i aparat ożywa w jej dłoni. Przeglądając menu, nastawia przyrząd, by przeprowadził wewnętrzną diagnozę, sprawdził części ruchome i odczyty, a systemy ćwierkają i szepczą w środku.

Aparat jest już trochę przestarzały, słynie wśród fotografów ze względu na specyficzny projekt interfejsu i całą serię systemowych bajerów, ale w ciągu wielu lat używania go Anna przyzwyczaiła się do jego osobliwości, a proces ich poznawania stworzył pomiędzy nią i przedmiotem pewien rodzaj więzi. Podczas pracy daje swoim rękom wielką swobodę, aż gesty stopniowo stają się spokojne, niemal nieświadome, podobnie jak u pływaka, którego ciało samo pamięta rytm pociągnięć. I podobnie jak w tym hipnotycznym wzorcu wytworzonym między mięśniami i wodą - zamach, oddech, zamach, oddech - podczas pływania, Anna czuje, jak jej umysł i ciało stają się jednością, gdy powtarza cielesną mantrę, sprawdzając systemy, a jej wyobraźnia uwalnia się z więzów świadomości.

Nie jest łatwo wejść w taki stan, ale gdy już jej się uda, to

skojarzenia, których szuka, wskakują na miejsce jak zębki trybików, jak gdyby nareszcie spostrzegła coś, co zawsze istniało; coś prostego, oczywistego, nieodpartego. Przez większość dni jednak zwyczajnie haruje, czekając na chwile natchnienia, które, wie to, czai się gdzieś tuż poza jej zasięgiem. Na dodatek chwile takie nie trwają długo, są zawsze ulotne, zawsze niekompletne, skojarzenia, które odkryła, zwykle przeciekają jej między palcami jak woda, pochwycony obraz rzadko odzwierciedla to, co w nim naprawdę dostrzegła.

To jej trzeci dzień tutaj. Już pierwszego popołudnia wiedziała, że znalazła to, czego jej było trzeba. Na początku Dylan był powściągliwy, ale kiedy powiedziała mu, że bez problemu może zapłacić za dostęp do zbiorów, rozluźnił się i porozmawiał z opiekunem eksponatów w jej imieniu. Teraz może przychodzić tu przez cztery tygodnie, ma nadzieję, że tyle czasu jej wystarczy, by dokończyć dzieła, które zaczyna kształtować się w jej umyśle. Ale choć ma dostęp do okazów, odkrywa, że nie bardzo może skupić się na pracy. Za każdym razem, gdy drzwi do magazynu się otwierają, Anna podskakuje, skóra na jej plecach i karku cierpnie, kiedy słucha odgłosu stóp na linoleum. Gdy przemierza korytarze Muzeum, ma wrażenie, że jest ciągle obserwowana, czuje na sobie wzrok, ale kiedy się odwraca, nikogo nie widzi. Koniuszki jej palców ożywają, gdy wodzi nimi po rysach w stole, przy którym pracuje. I przez cały czas myśli o tamtym mężczyźnie, o czającym się w nim

niebezpieczeństwie, o jego wyizolowaniu. O linii jego ust, o jego niechęci.

Trochę wcześniej mijał przeszkloną ścianę biblioteki. Anna podniosła wzrok znad rozłożonego przed nią woluminu i zobaczyła go u boku innego mężczyzny, którego nie знаła. Obaj byli pochłonięci rozmową. Doszli do schodów i ten drugi człowiek naprowadził go na stopnie; ślepiec odwrócił się, nie przerywając rozmowy, uniósł dłoń, by podkreślić wagę swoich słów zagłuszonych przez szklaną ścianę. Stojąc wciąż przy schodach, jego towarzysz spojrział na Annę, ich oczy spotkały się na chwilę. Konspiracyjnym ruchem brwi dał znać, że dostrzegł jej obecność, uśmiechnął się krzywo, a grymas ten, okrutny w swej niedbałości, przyprawił ją niemal o torsje. Ślepiec ruszył po schodach niczego nieświadomy.

Wczoraj natomiast widziała, jak idzie po schodach ku drzwiom dla personelu, badając laską stopnie przed sobą. Gdzieś z dołu dochodziły dźwięki ruchu ulicznego, trąbienie klaksonów. Każdy schodek pokonywał ostrożnie, ale ze sprawnością, która zdawała się świadczyć o tym, że dobrze je zna. Na górze zwolnił, jakby się spodziewał, że jego laska stuknie w szklane drzwi, po czym wyciągnął rękę, dotknął metalowej klamki i zamknął wokół niej swoje palce. Przyciśnięta do framugi, Anna była tak blisko, że mogłaby wysunąć rękę i dotknąć go, ale nie uczyniła tego. Gdy otworzył drzwi, zatrzymał się, chyląc głowę, jakby nasłuchiwał, lecz zaraz zniknął. Wypuszczając powietrze, zdała sobie sprawę, że

wstrzymywała oddech.

Potem, sama w pomieszczeniu z eksponatami, uniosła dłoń ku oczom, próbując przesłonić światło, które przeciekało pomiędzy palcami. W tej osaczającej, gęstej ciemności starała się wyobrazić sobie jego świat, dziwną dysjunkcję tego co publiczne i prywatne - jak to jest, zawsze być widzianym, nigdy nie widząc - ale podnosząc przed sobą dłoń, znalazła jedynie powietrze.



Gdy kończy sprawdzanie aparatu, słyszy, że drzwi magazynu z eksponatami otwierają się, jej ciało napina się na dobrze zapamiętany odgłos stukotu laski o linoleum, głośnego stąpania jego butów. Podążając za dźwiękiem kroków, wślizguje się za rząd szaf i wychyla tak, by móc go obserwować. W dłoni wciąż trzyma przygotowany aparat, przyciskając go do piersi. Otworzył jakąś szufladę, bada amonit, w skupieniu ściągając brwi. Anna patrzy, jak przebiega palcami po powierzchni muszli, stuka w nią dwukrotnie. Fakt, że nie jest świadomy, iż ona obserwuje tę chwilę prywatności, podnieca ją, każe działać pod wpływem impulsu; unosi aparat, spogląda przez wizjer, naciska guzik. Jego twarz zamiera na dźwięk cichego furkotu silniczka; odwraca się ku niej, chwyta laskę. Jak gdyby ten ruch przełamał jakiś czar, Anna opuszcza dłoń, odwraca się i ucieka w stronę drzwi.

NA KAŻDE żyjące stworzenie przypadają nieprzeliczone miliardy tych, które zginęły; na każdy gatunek, który stapa, pełza, pływa, czy lata, przypadają miliony wymarłych. Ciała nieżywych powracają do torfowej ciemności, z której się zrodziły, wślizgując się w objęcia ziemi. Kość zamienia się w kamień, ciało w ziemię. Pamięć genetyczna niezliczonych pokoleń obraca się w nicość, gdy ginie gatunek, a jego wymarcie jest nieodwracalne.

Jednakże pozostają fragmenty. Skamieniały maswerk paproci w zimnej skale. Pokryte łuskami segmenty owada pochwyconego w bursztynie z żywicy jakiegoś pradawnego drzewa, jego zwinięte skrzydła. Żółtawa czerwień piór uzębionego ptaka, zatopionych głęboko w łupku. Zagadkowy ślad szponiastej łapy odcisniętej w mule na dnie rzeki setki milionów lat temu. Zamrożone sylwetki mamutów i bizonów zachowane w niebiesko-białych grobach lodowców.

Spękana przestrzeń ziemi jest tkaniną utkaną z osiadających warstwami pamięci i zapomnienia, jest jak arras, palimpsest...

Apokryf

(3)

Różnica pomiędzy ożywionym a nieożywionym, żyjącym a nieżyjącym jest ontologiczną fikcją wpisaną w ludzką kulturę niemal od zarania dziejów. Niemniej jednak jest to fikcja: materia ma wrodzoną tendencję do organizowania się, tworzenia wzorów, które zmierzają do stanu krytycznego, do punktu pomiędzy sztywnością przesadnego porządku a turbulencją przypadkowości. Wzory będą trwały w tym stanie prawie nieskończenie, balansując na krawędzi chaosu jak surfer niesiony bezwolnie po powierzchni oceanu, wciśnięty pomiędzy stabilność niełamiącego się grzbietu fali za swoimi plecami a potencjalną katastrofę czyhającą gdzieś na przedzie.

Istnieją surowe zasady rządzące zachowaniem materii w takich stanach i niezależnie od tego, czy mówimy o żyjącej komórce, czy też o oku cyklonu, zasady te pozostają niezmiennie.

SETH LAMARQUE, *Język muszli*

ZAKRZYWIONY CZAS

Odkrycia dotyczące struktury przestrzeni i czasu zawsze oddziałują na strukturę umysłu. Inne rodzaje odkryć wzbogacają wiedzę ludzką bez oddziaływania na jej podstawy. Tym niemniej, wszystko, co ma coś wspólnego z koncepcjami przestrzeni, będzie sugerowało różne sposoby konstruowania wiedzy. Dzięki odkryciu Ameryki poznaliśmy kilka nazw rzek i wzgórz i kilka rzadkości przyrodniczych, jak wodospad Niagara; jednak nie było to ostatecznie wielkie wydarzenie dla ludzkiej myśli. Lecz wraz z tym nastąpiło odkrycie, że Ziemia jest okrągła, a w niebie i myśli, sercu i rozumie powstało wielkie zamieszanie.

GASTON BACHELARD, *L'Experience de l'espace dans la physique contemporaine*

Kiedy teraz próbuję go sobie wyobrazić, umyka mi jak woda. A jednak zawsze był częścią mnie, jego geny wplątane w moje, nasze istoty połączone, zawarte głęboko w spiralnej poezji naszego DNA. Mam jego włosy - czy też raczej miałam, teraz są biosyntetyczne, jak większa część mnie, ale kiedyś były ciemne i gęste - i chociaż przeklinałam je za to, że były tak niesforne, to tak naprawdę wiedziałam, że są dla mnie darem.

Mam też jego czoło, wysokie, dumne, a pod nim jego kanciaste kości policzkowe. Nigdy nie byłam piękną - nie tak jak moja matka - to do niego zawsze byłam podobna. Po trzydziestce zrobiłam sobie kilka drobnych operacji, mając nadzieję, że zbliżą moje ciało do kształtu, który sobie wyobraziłam, wygładziłam kilka ostrych krawędzi, moja twarz złagodniała, usta stały się pełniejsze. Ale oczy zostawiłam nietknięte, być może przez swego rodzaju perwersję, ponieważ były jego. Były to oczy ślepeca.

Moje pierwsze wspomnienie związane jest właśnie z jego oczami. Czasami trudno ustalić, co pamiętamy, a co jest wytworem naszej wyobraźni, ale to akurat pamiętam, zawsze pamiętałam. Choć przychodzi mi do głowy, iż to przekonanie, że zawsze pamiętałam, samo mogłoby być wytworem mnemotechniki, jednak nie zamierzam dłużej drażnić tej myśli, gdyż takie rozważania to prosta droga do szaleństwa. Byliśmy na Wyspie Książęcej w Zatoce Gwinejskiej, na której Anna chciała sfotografować miejsce, gdzie Eddington*[* Arthur Stanley Eddington (1882-1944) - angielski astronom i fizyk; w roku 1919 zorganizował ekspedycję w celu obserwacji całkowitego zaćmienia Słońca, podczas której stwierdzono ugięcie promieni świetlnych gwiazd w polu grawitacyjnym Słońca, co z kolei stało się pierwszym obserwacyjnym potwierdzeniem ogólnej teorii względności Einsteina.] przeprowadził swoje słynne eksperymenty. Czasami zdaje mi się, że pamiętam tę wyspę,

ciemnozielone rzędy palm kokosowych szepeczących w tchnieniu wiatru, opadających w stronę błękitnej tafli zatoki, kłującą w oczy biel piasku, chociaż tak naprawdę nie mogę być pewna: w porowatej przestrzeni pamięci obrazy i wrażenia zmieniają się i umykają, jedno zlewa się z drugim, aż w końcu niczemu nie można ufać. Może właśnie dlatego czasem zastanawiam się nad wyrazistością tego akurat wspomnienia; w ciągu prawie trzech stuleci, które minęły od tamtego dnia, powinno było wyblaknąć tak jak inne obrazy, bardziej znaczące, świeżość powinna z niego ulecieć jak z żółknącej fotografii. Jednak pamięć nie podporządkowuje się żadnym zasadom: podobnie jak ocean, wyrzuca bez sensu czy powodu to, co w sobie mieści, tak że niekiedy z objęć czasu wypływają najdziwniejsze rzeczy, wolne unoszą się na powierzchni, gdy my miotamy się na wszystkie strony. Dwa dni temu przyłapałam się na nuceniu piosenki, którą wyspiarki śpiewały tyle lat temu, portugalskie słowa spływały z mojego języka, jakby to było wczoraj.

Nie wiem, dlaczego pamiętam akurat ten dzień, choć pewne jest, że wtedy po raz pierwszy zanurzyłam się w ciekłosci. Trudno nam to sobie teraz wyobrazić, ale ciekłoscie była wtedy jeszcze w powijakach. Oplatała już wprawdzie planetę, ale ledwie co zaczęła ekspansję w kosmos. Pojawiały się w niej obrazy z maleńkich sond, które niczym mrówki poruszały się po spokojnej powierzchni Księżyca; z przekaźników krążących nad lodowymi górami orbitującej wokół Jowisza Europy; ze

zmrożonych pustyń Marsa, z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej i z wysokiego toru lotu komet, gdzieś daleko poza układem słonecznym; informacje pulsowały i przepływały poprzez sieć satelitów, przenikając powietrze, gdy spakowane dane unosiły się na mikrofalach do ruchomych odbiorników, szemrając w poskręcanych, szklanych włóknach światłowodów, a pod powierzchnią oceanu rozgałęziały się i rozprzestrzeniały po kontynentach niczym pędy winorośli. Życie również się tam zakorzeniło, cyfrowe odpowiedniki prokariotów nieustannie pełzały po łączach, żywiły się, zmieniały, wzrastały. Gdzie indziej znowu zbudzili się pierwsi dzicy Myśliciele i po omacku jęli szukać drogi poprzez kolejne pokłady swoich światów. Ale pomimo pojawienia się tych pierwotniaków cyfrowej ekologii, nieskończona złożoność i różnorodność, która jest teraz tak wszechobecna, miała dopiero opanować świat. Nawet technologie ciekłosieciowe były jeszcze w powijakach, wielu ludzi wciąż podłączało się ręcznie, sprzęgali się z siecią przy pomocy dwóch monitorów, a ciekłosurfowanie zyskiwało popularność nie tylko jako technologia, ale też jako koncepcja oddziałująca na kulturę i świadomość równie niezaprzeczalnie, jak wirus działa na genom. Ludzki umysł się zmieniał, podobnie jak miliony lat wcześniej zmienił się język, przyspieszając swoją kognitywną ewolucję, zmieniając ludzkość nie do poznania w czasie, który w historii planety jest jedynie mgnieniem.

Miałam wtedy nie więcej niż dwa lata, więc moje zanurzenie było starannie nadzorowane. Seth trzymał mnie na kolanach i pamiętam obok siebie Annę, wysoką jak wcielenie bóstwa, szczuplejszą, bardziej oficjalną niż w rzeczywistości. Nie przypominam sobie, jak się tam dostaliśmy, pamiętam tylko gogle na mojej twarzy, chwilowe zagubienie podczas zanurzania się w ciekłosci, spadanie trwające tyle co uderzenie serca i niemal natychmiastowe pojawienie się dokoła czegoś, co mnie uniosło, co było lżejsze niż woda, ale nadal ciekłe, ciepłe, obejmowało mnie ponownie jak łono, które dopiero co zapomniałam. Byłam świadoma obecności Setha, spokojnego, ale tak odległego jak głos próbujący przedrzeć się przez sen. Po chwili znaleźliśmy się w galerii pogrążonej w głębokim niebieskim półmroku, w okrągłym pomieszczeniu o proporcjach nacechowanych niewiarygodną doskonałością geometrii, tej transcendentnej, wiecznej. W centrum stał prosty postument wykonany z czegoś, co wydawało się pozbawionym wszelkiej skazy kryształem, którego font skąpany był w świetle tak miękkim, tak pięknym, że pragnęłam patrzeć na nie bez końca. Topologia była konwencjonalna, konkretna, ale materia tego miejsca składała się z czegoś, czego jeszcze nigdy nie widziałam, czegoś płynnego, a każda cząstka tej ciekłej jedności stanowiła węzeł znaczeń, w którym można było się zagłębić i go eksplorować, jak świat skonstruowany z luster, gdzie każde zwierciadło to jakaś idea i w każdym znajdują się kolejne, otwierające się na inne

możliwości, na zewnątrz, do wewnątrz, w górę, ku granicy nieskończoności w każdym kierunku. Wokół nas rozlegał się szept, nie dźwięk, ale obecność, głębokie cienie zmieniającej się przestrzeni, jakby niewidzialne duchy poruszały się poprzez jej strukturę. Wątpię, czy rozumiałam wtedy znaczenie tego, co zobaczyłam, obiektu o tak niezliczonych implikacjach, że był odtwarzany w nieprzebranej ilości wirtualnych komnat podobnych do tej, w której się znalazłam; wszystko, co widziałam, to ejdetyk skamieniałej muszli, którą załoga Prometeusza znalazła w spękanej ścianie klifu niedaleko marsjańskiego równika, przedmiot, który później stał się znany jako Pierwszy Relikt. Stał na kryształowym ołtarzu pośrodku pomieszczenia, którego geometria nieubłaganie zmuszała do patrzenia właśnie w jego kierunku. Miał ledwie pięćdziesiąt centymetrów średnicy, chociaż moim dziecinnym oczom wydawał się dużo większy. Na początku się bałam, w jego obcości intuicyjnie wyczuwałam coś nienawistnego, mój umysł buntował się na jakimś pierwotnym poziomie, podobnie jak wtedy, gdy widzimy powiększone setki tysięcy razy mikroskopijne główki tasiemców i kleszczy - niepokojące wyobrażenia chorej nieświadomości. Przestraszona, przysunęłam się bliżej Anny. Nie puściła mojej dłoni, ale i nie pozwoliła mi się wycofać. Zamiast tego klęknęła przy mnie i uniosła mnie powoli w kierunku skamieliny.

To tylko kamień, powiedziała, dodając mi otuchy. Nie skrzywdzi

cię. Wzięła moją rękę i położyła ją na chłodnym boku. Dotknij, powiedziała, pozostawiając swoją dłoń na mojej, aż przestałam się bać i powoli, nieśmiało zaczęłam odkrywać jego kontury, moje malutkie dłonie dotykały wyszczerbionych brzegów spiralnych zawijasów, pancernych guzów na zewnętrznej stronie muszli, dziwnie kryzowanego wola przy wejściu i sześciu otworów wokół niego, które były na tyle duże, by pomieścić trzy moje palce, a przez które pięćset milionów lat wcześniej wyslizgiwały się i dźgały macki tego kosmicznego łowcy, gdy podkradał się do swej ofiary w głębiach zaginionych marsjańskich oceanów. Kiedy moje dłonie go odkrywały, mój strach powoli obumierał, obcość reliktu wprawdzie nie zanikła, ale stała się warunkiem zrozumienia jego natury. Czułam spokój pozbawionego oddechu wcielenia Anny za moimi plecami. A w końcu, jej dłoń na mojej. Odwróciłam się i zobaczyłam, że uśmiecha się delikatnie.

Piękny, prawda?, rzekła.

Gdy już zdjęliśmy gogle, po raz pierwszy doznałam tego dziwnego uczucia powrotu ze świata wirtualnego do cielesnego, którego konkret i brak skojarzeń przetworzony został w ciągu kilku minut z normalności w coś nudnego, monotonnego. Jak powracanie do siebie po kwasie albo genetycznie zmodyfikowanej *ayahuasce**[* ayahuasca - halucynogeny napój przygotowywany przez Indian amazońskich z kory niektórych gatunków winorośli.], które zażywaliśmy w latach trzydziestych

dwudziestego pierwszego wieku; świat wydawał się wtedy taki nieruchomy, taki dwuwymiarowy w porównaniu z istnieniem ewoluujących możliwości i sieci asocjacji, które, jak wyczuwałam, kryły się gdzieś pod kolejnymi pokładami wirtualnej rzeczywistości galerii. Trzymający mnie Seth wciąż wydawał się twardy, nie elastyczny, nie tak jak powierzchnie tam... wewnątrz? W głębi? Nawet w wieku dwóch lat wyczuwałam na jakimś prymitywnym poziomie, że słowa, które znałam, nie oddałyby tego, czego właśnie doświadczyłam - było to coś giętkiego i przepuszczalnego, jak woda, napięcie powierzchniowe, które stawia opór, potem się ugina, by nagle, nie rozrywając powierzchni, jednak ulec. Okręciłam się na jego kolanach, wyciągnęłam rękę, by dotknąć jego twarzy. Pamiętam potrzebę czucia jego cery, zbadania jej tekstury, która nagle stała się dla mnie tak obca. Musiałam się dowiedzieć, czy moje dłonie nie przejdą przez tę powierzchnię, sprawdzić, czy Seth jest równie materialny jak przedtem. Czy to świat się zmienił w międzyczasie, czy może tylko ja. Jego twarz była poważna jak nigdy dotąd. I wtedy po raz pierwszy pociągnęłam za jego okulary, próbując je ściągnąć.

Widziałam, jak się kuli, jak gdyby chciał się cofnąć, ale ona dotknęła jego ramienia, stając za moimi plecami, sięgnęła do jego twarzy, delikatnie zdjęła okulary, ujawniając kryjącą się pod nimi ślepotę. Nie wiem, czego się spodziewałam, czy w ogóle miałam jakieś oczekiwania; oczywiście pamiętam, jak Anna mówiła mi, że do pewnego czasu tak

naprawdę wcale nie rozumiałam, czym była ślepotą dla Seta, jednak wiem, że zaskoczyła mnie bladość skóry pod szklami, pustość jego spojrzenia. Niektórzy ociemnieli mają oczy, które u widzących budzą odrazę, wylupiające, zniszczone, przymrużone; ale jego oczy były po prostu puste, ciemne jak moje, ale niezogniskowane. Kiedy był dzieckiem, Rachel, jego siostra, uczyła go utrzymywać je w bezruchu, pomagając poznać zwyczaje widzących, a on, jako dobry uczeń, zapamiętał jej lekcje. Jego oczy nie były rozbiegane, głowa mu nie podskakiwała. Zaciekawiona, wodziłam wokół nich palcami, badając pulsującą cienkość jego powiek, podobnie jak kilkanaście minut wcześniej robiłam to z reliktem. Z pewnością nie było to dla niego miłe doświadczenie, ale zniósł je bez narzekań, nawet, jak chciałabym wierzyć, czerpiąc z tego pewną przyjemność. Nie mam wątpliwości, że mnie kochał, na swój własny sposób, ale jego miłość była bardzo skryta, rzadko wyrażana otwarcie, była równie sroga i dumna jak on sam.

Nie wiem, jakie myśli przelatowały mi przez głowę, gdy moje dłonie błądziły po jego oczach i brwiach, białej linii blizn. Nie pamiętam, czy jego ślepotą wydawała mi się dziwna. Wszystko, co pamiętam, to galeria, relikty i jego oczy.

Takie same oczy, jakie widzę teraz w lustrze; jedyne, co mi po nim pozostało.

LISTOPADOWY UPAŁ, powietrze gorące i nieruchome jak szkło. Brak wiatru. Nawet mewy wznoszące się na ciepłych prądach ponad klifami umilkły. W miejscu, gdzie morze styka się z lądem, woda faluje głęboko i powolnie jak oddech śpiącego, światło migocze na falach, gdy toczą się to w przód, to w tył. Noc jest jasna i chłodna, upał dnia wykrwawia się w górę, w przestrzeń.

Przez cztery dni nie wraca do Muzeum. Godziny w ciągu dnia spędza na plaży, anonimowa wśród tłumu, czasem czyta, czasem śpi, ale głównie pływa albo ujeżdża fale, które nieprzerwanie suną po Pacyfiku. Za drzwiami pralni w swoim mieszkaniu znajduje poobijaną nartę ręczną, wyschnięty piasek wciąż oblepia jej zakrzywioną podstawę. Strzepując go, przypina ją tak, że zakrzywiony kształt przedłuża jej ramię, sprawiając, że czuje się śliska i niebezpieczna, jak rekin. Jednak w tłoku tuż przy brzegu okazuje się nieprzydatna, zbyt łatwo uderzyć nią nic niepodejrzewającego pływaka, więc bojąc się przypadkowego zranienia, rusza w stronę najdalszych boi, gdzie surferzy gonią się po zwałach ciemnej, zimnej wody. Fale są tu większe, bardziej przerażające, ale panuje spokój, wrzaski i śmiechy z plaży niosą się po wodzie jakby z daleka, pływający na deskach rzadko się odzywają, skupieni i cisi jak łowcy. Już dawno nie pływała z nartą, ale wkrótce czuje, że wraca jej pewność siebie, przypomina sobie, kiedy złapać falę, a kiedy pozwolić jej sunąć w stronę brzegu, patrząc, jak piana powstaje na jej grzbiecie, gdy się cofa. Nie

zapomniała również, jak podporządkować się wodzie, ciało rozluźnia się, łapiąc jej rytm: szybkie uderzenia pierwszych pociągnięć, gdy fala narasta za jej plecami, wzrastająca prędkość, gdy się na niej kładzie, poddaje się jej pędowi, pozwala się na chwilę unieść w ślizgowym locie. Rzeźbione ostrze narty tnie szklistą powierzchnię fali, gdy Anna ślizga się po niej, żywioł wydaje się wznosić na jej spotkanie, gdy jej ciało opada. Woda z nagłym hukiem zamyka się dokoła, jej powierzchnia zakrzywiając się tworzy kopułę, po której Anna się posuwa; potem fala się kurczy, szybko, zawsze za szybko, jak gdyby sam czas przyspieszał, na zakończenie rzucając ją w dół, w kipieli, a ona okłada zalewającą ją wodę pięściami. Po chwili wystrzeliwuje jak z działa, ściana bieli niesie ją ku górze, podnieconą i prychającą. Jej skóra ciemnieje w ultrafioletowym świetle.

Wieczory spędza w ciekłosci, surfując na falach danych, ciesząc się poczuciem braku końca, niezliczonych możliwości; albo czyta, wyciągnięta na łóżku przy drzwiach balkonowych otwartych na nocne powietrze. Odgłosy samochodów i odrzutowców mieszają się z szumem fal. Strużki słonej wody wypływają co jakiś czas z jej nosa i uszu, podgrzane do temperatury krwi.

Ale nie może pozbyć się niepokoju, który wije się w jej żołądku. Niczym skrywany wstyd, zdjęcia, które zrobiła tamtego popołudnia w sali z eksponatami, spoczywają niewywołane w pamięci jej aparatu. Nie może zapomnieć skupienia na jego twarzy, gdy głaskał zieloną powierzchnię

skały, jego uduchowienia. I żeby nie wiadomo jak próbowała, nie może zapomnieć wrażenia, że stała się intruzem, że sam akt podniesienia aparatu i uchwycenia tej osobistej chwili był gwałtem.

Nie jest to nowe uczucie, ten czający się na granicy świadomości wstyd będący następstwem grzechu fotografii. Nawet kończąc studia, niechętnie pracowała z ludźmi, którzy nie byli modelami, i ostrożnie podchodziła także do tych, którzy pozowali chętnie i świadomie. Sama przecież nie lubiła wścibstwa aparatu, więc jak mogła kierować go na innych? Jedyńm wyjątkiem był Daniel. *Ta* sytuacja jednak jest inna, gorsza, ślepotą tego człowieka sprawia, że jej działania są jakoś bardziej karygodne, i nawet chłód obmywających ją fal nie może pozbawić jej uczucia brudu, skalania.

W sobotę dzwoni do galerii, czując potrzebę rozmowy, ale Matylda mówi jej, że Jadwiga wyjechała na tydzień do Melbourne. Obawiając się, iż Matylda wyczuje jej niepokój, Anna szybko kończy, nie zostawia żadnej wiadomości. Znowu sama, przegląda dotychczasowe wyniki poszukiwań, czyta swoje notatki, próbuje skoncentrować się na literaturze o muszlach i ich symbolice, którą udało jej się znaleźć, ale nic z tego nie wychodzi, więc się poddaje.

Jednak wciąż nie kasuje zdjęć.

Późnym niedzielnym wieczorem bardziej czuje niż słyszy odległe dudnienie, jakby pod ulicami miasta przejeżdżał pociąg. Słucha przez

kilkanaście sekund z otwartą książką w zgięciu ramienia. Gdy dudnienie nie powtarza się, wychodzi na balkon i rozgląda się ponad dachami. Niczego tam jednak nie ma - tylko światła Bondi odbite na gładkiej powierzchni morza i blade półkole księżyca nad postrzępionymi cirrusami. A potem wznoszące się i opadające odległe zawodzenie syren.

W poniedziałek rano media huczą od doniesień o podłożeniu bomby w niewielkim centrum handlowym Coogee. Na obraz strażaków ciągnących węże i falującego dymu nałożono zdjęcie sprzedawcy zabitego w wybuchu. Jakiś student z Indonezji pracujący po nocach, uśmiecha się szeroko za swoimi okularami, jego skóra prawie czarna na prześwietlonej fotografii. Minister Porządku Publicznego, uśmiechnięty, w koszuli z krótkim rękawem na schodach swojego podmiejskiego domu ponagla Izbę Wyższą, żeby jak najszybciej przyjęła nową ustawę rządu o Zatrzymaniu Domniemanego Sprawcy, zaprojektowaną tak, by Nowa Południowa Walia dostosowała się do innych stanów, dając policji swobodę, której potrzebuje w takich sytuacjach.

o

Godzinę później czeka przy wejściu dla personelu Muzeum na Dylana, który, gdy już przychodzi, wygląda na udręczonego. Przepraszając wyjaśnia, że za półtorej godziny musi zastąpić kolegę, którego zmogła grypa, i w obecności mediów dokonać prezentacji nowych darów dla Muzeum, że jest to część obowiązków osoby odpowiedzialnej za kontakty

z mediami. Kiedy pyta ją, czy ma coś przeciwko temu, by przełożyć ich rozmowę na inny dzień, Anna kręci głową.

W porządku, odpowiada. Rozumiem.

Jeżeli to ci jakoś pomoże, to mogę na dziś załatwić dostęp do biblioteki i sali z eksponatami.

Jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

Tak więc przed południem ponownie znajduje się sama w magazynie z eksponatami. Sprawdza numery katalogowe skamielin, które oglądała tydzień temu, i jeden po drugim zdejmuje je z półek. Jest to powolny proces, którego z pewnością nie przyspiesza fakt, że jej uwagę przykuwają też inne okazy znajdujące się na tych samych półkach. W końcu jednak ma je wszystkie, a także kilka nowych.

Po kolei kładzie je na stole, robi po parę zdjęć każdego w niskiej rozdzielczości. Potem przesuwają je, sprawdza różne kąty, czeka, aż coś przyciągnie jej uwagę, aż kolory, tekstura, gra światła same się w coś ułożą. Czekają na chwilę olśnienia, kiedy to poczuje, że fizyczna rzeczywistość fotografowanego przedmiotu i wyobrażenia, które dały jej poszukiwania, współgrają ze sobą i choć na moment łączą się w jedną całość. Na chwilę, w której, jak wirujące tęczowe oleju na wodzie, te zasadniczo odmienne nici splecą się razem w obraz, który wyrazi bardziej wymownie, niż mogłyby to uczynić słowa, to intuicyjne zrozumienie, to niewypowiedziane, pierwotne znaczenie, które nie daje jej spokoju. Na

chwilę wizualnej poezji, która zdoła pochwycić to znaczenie, zawrzeć je w sobie i, podobnie jak buczenie kamertonu, będzie z nim współbrzmiała.

Daniel nazwał kiedyś „klikaniem” to poczucie nagłego zrozumienia, kiedy nie uformowana, zawsze prawie nieosiągalna zawartość wyobraźni wkracza w świat świadomości. Tę chwilę, kiedy ożywa coś nowego. Może surowego, na wpół wykształconego, ale potężnego i niezaprzeczalnego. Daniel mówił o matematyce, a oboje byli wtedy pijani i na lekkim haju, ale gdy opisywał to wrażenie, kiedy twierdzenie albo dowód ogniskuje się na jakiejś konkretnej myśli, Anna wiedziała, że takie samo uczucie daje jej niekiedy jej praca.

Dzisiaj jest blisko, czuje to, choć wciąż czegoś brakuje, czegoś decydującego. Jednak nie ustąpi, chce spróbować wymusić na sobie to ulotne zrozumienie, więc nie tchórzy, nie wycofuje się, bierze eksponaty, robi jakieś notatki, sfrustrowana bębni palcami po porysowanym blacie stołu. W końcu, zniechęcona i zła, odkłada aparat. Za oczami czuje napięcie, to początek bólu głowy; rozproszona, masuje mostek nosa, ale to nie pomaga. Spoglądając na bałagan przed sobą, rozważa spakowanie się i powrót do domu, ale już sama myśl o tym to więcej, niż może wytrzymać.

Na dworze gorące powietrze wczesnego popołudnia wydaje się niemal ciekłe, słońce odbija się od szyb samochodów tak, że musi mrużyć oczy, nawet w okularach. Każdy błysk sprawia, że głowa jej pulsuje.

Jednak po drugiej stronie ulicy, w Hyde Parku, jest chłodniej, cętki załamane światła padają na chodnikowe płyty, powybrzuszane, wypchnięte przez wędrujące korzenie figowców o ciemnych pniach. W kafejce w kącie parku znajduje miejsce w cieniu, zamawia kanapkę, na którą i tak nie ma ochoty. Przy stoliku obok rozmawia i śmieje się grupa mężczyzn i kobiet, hałaśliwych pomimo upału. Spoglądając na nich, Anna rozpoznaje kilka osób z Muzeum. Jeden z mężczyzn uśmiecha się szeroko, macha do niej, a Anna, z nadzieją, że nie podejdzie do niej i nie zmusi jej do rozmowy, odpowiada tym samym. Zjada połowę kanapki, powoli, flegmatycznie, ledwie ją smakując; drugą połowę pozostawia nietkniętą i siedzi w milczeniu, nie chcąc wracać do Muzeum, ale w swym uporze nie przygotowana na to, by zmarnować dzień.

Zaglądając do swojego codexu, znajduje wiadomość o wystawie artysty, którego kiedyś znała, wystawie, która ma miejsce całkiem niedaleko. Szczęśliwa, że ma wymówkę, postanawia wykorzystać bliskość galerii, mając nadzieję, że kilka godzin z dala od skamielin pomoże pozbyć się bólu głowy.



Galeria znajduje się w dole zaułka, klatka schodowa opada gwałtownie pomiędzy dwoma budynkami, po czym otwiera się na większą przestrzeń, z której ciężkie drzwi przeciwpożarowe prowadzą do starej windy towarowej. W surowej bieli wnętrza prace rozwieszono

daleko od siebie, a każdy sztych przedstawia powyginane różnorako blade ciała. Zatopione głęboko w osłaniających fałdach leśnego mroku, ich wiotkie, niemal erotyczne kształty po bliższych oględzinach okazują się ciałami ofiar gwałtownej śmierci, architekturą zgłębiającą martwość - zimna, pofałdowana skóra, ciemnokrwiste mięso, wybałuszone oko czy głęboka wklęsłość po uderzeniu - która zdaje się wylaniać z zielononiebieskiego światła. Efekt jest niepokojący, tym bardziej w antyseptycznym chłodzie galerii, i Anna wychodzi, czując się zbrukana, nerwowa, jak gdyby obrazy i ich brutalność przesiąkły ją niby plama, sprawiając, że pomimo upału zrobiło się jej zimno. Zgiełk ulicy stał się jakoś nierealny. Przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą, spiesząc się, przeciskając przez tłumy ludzi, widzi tylko groteskę, hałaśliwe, stłoczone, zawadiackie, chamskie gęby, niczym chaos wyklęty z wyobraźni Breugela - ich lubieżność zapowiedzią śmierci. Rozglądając się dookoła, nagle uświadamia sobie obecność czujnych oczu i ciał, ich tajemnego języka sygnałów i gestów, żebraków i heroinistów, ćpunów z głowami w obłokach opierających się o drzwi, ściany i słupy.

Ulice te zmieniły się z biegiem lat. Niegdysiejsza dzielnica opuszczonych biurowców i niszczących sklepów z używanymi rzeczami, z plątaniną kabli w górze i samochodami tłoczącymi się między budynkami, w ciągu ostatniej dekady zmieniła się w gniazdo życia i rozrywki, miejsce, gdzie szykowne restauracje i butik walczą o uwagę

klientów z chińskimi kinami, ciekłosieciowymi galeriami, straganami i ulicznymi sprzedawcami, burdelami, barami GO-GO i sex shopami. Gdy wzgórze opada ku zachodowi, w stronę Chinatown i Darling Harbour, salony tatuażu ustępują miejsca zatłoczonym chińskim supermarketom i restauracjom, warzywa, ryby i mięso wystawione są na chodniku śliskim po splukaniu wodą ze szlauchów, w powietrzu ciąży smród odpadków.

Kiedy okolica ta rozwinęła się, stała się droższa, modniejsza, kosztowne wieżowce z prywatną ochroną wzniosły się ku niebu, górne piętra biurowców i magazynów zaadaptowano na mieszkania, przyciągając ludzi, którzy późno kładą się spać, schodzą ze swych wysoko położonych gniazd, aby jeść i pić w restauracjach i barach, ludzi w większości młodych, bogatych, odnoszących sukcesy.

Ale są tu i inni mieszkańcy, bezpostaciowe, mroczne pospólstwo, na które ledwie spoglądają sąsiedzi wyćwiczeni w niedostrzeganiu, niewidzeniu. Oni to kulą się na rogach ulic i w bramach, rozwalają się na ławkach przystanków autobusowych i pod drzewami w parku, pijąc, śpiąc albo śpiewając dla samych siebie. Oni to siedzą wzdłuż wykonanej z piaskowca estakady, po której dudnią pociągi ze stacji Central do Museum. Oni to zbierają się co wieczór w parkach i na pustych placach, czekając na polowe kuchnie misji miłosierdzia z twarzami zwróconymi ku napominającemu kaznodziei.

Są to ludzie, którzy wymykają się spisom ludności, wyślizgują się

łączonym bazom danych banków i rządu, zaadresowane do nich listy wracają do nadawcy z adnotacją „adresat nieznany”; ich telefony są odłączone, karty kredytowe anulowane, konta zamknięte, a dowody na ich istnienie znikają po trochu, aż można by pomyśleć, że w ogóle nie żyli, zaś te zanikające ślady to jedynie krótkotrwałe zakłócenie w sieciach baz danych. To oni nie korzystają z drugiej szansy, wychodzą z więzienia i zaraz oglądają się za siebie, znikają z przytułków i szpitali, nie racząc nawet powiedzieć, że odchodzą. To oni zabierają się okazją w samochodach innych, gnani pragnieniem, by być wszędzie tylko nie tam, gdzie akurat są. Czasami powracają na krótko do świata żywych, do rzeczywistości, gdy ich akta przechodzą przez policyjne komputery; niekiedy pojawiają się w systemach informatycznych klinik, czasem w dokumentacji tych paru szpitali, które przyjmują nieubezpieczonych. Jednak częściej identyfikowani są na podstawie DNA albo uzębienia, kiedy leżą zimni i bez ruchu na metalowym stole. Przeważnie nie mają imion ani narodowości, włóczą się po ulicach i zaułkach, wygrzebują zepsute owoce i niedojedzone hamburgery z koszy na śmieci, żebrzą albo kradną, pragnąc jeszcze jednej działki, jeszcze jednej okazji, ostrożni, by nie stać się okazją dla innych. Nikt nie znaczy ich przemijania, więc przemijają niezauważeni.

Są wszędzie, na każdym przedmieściu każdego miasta. Bez domu, bez pracy, głodni, ale to właśnie do takich miejsc ich ciągnie. Niektórzy,

jak ci z pustymi oczami, drażliwe ćpuny i bladzi, niknący kokainiści, przychodzą po narkotyki, desperacko pragnąc zaspokoić otępiający, zżerający ich głód. Inni zjawiają się w poszukiwaniu kryjówki, gdzie nikt ich nie znajdzie. Niektórzy po prostu wsiadają w pociąg, wysiadają na Central i nigdy nie wracają. Szczęściarze znajdują schronienie w brudnych ruinach opuszczonych budynków, inni śpią w zaułkach albo na śmietnikach, pod kartonami w parkach lub na dworcach.

Jednak dwie zimy temu kartonowe miasto zaczęło rosnąć w słabym cieniu Browarów. Miejsce to, obejmujące cały kwartał, miało stać się - jak to wciąż określa pokryty graffiti plakat - „nowym kamieniem milowym W życiu centrum”. Ale w następstwie krachu pieniądze wyciekły jak woda i projekt upadł. Umilkły młoty pneumatyczne, dźwigi rozebrano, mieszczące biura barakowozy przeniesiono na inne, nowsze budowy, aż w końcu pozostała jedynie skorupa niegdyś rozrastającego się budynku, walące się fragmenty murów i dźwigary, rdzewiejące szkielety kadzi i rur, które wiły się przez budowlę. A kiedy nawet firmy ochroniarskie zerwały kontrakty, bo nie dostawały pieniędzy, wprowadzili się tu włóczędzy, wdzięczni za ochronę przed deszczem i mroźnym południowo-zachodnim wiatrem, który wiał tu od gór.

Na początku było ich tylko kilku, śpiących na spękanej ziemi, kałuże deszczu zbierały się wokół nich, gdy leżeli skuleni, chroniąc się przed wiatrem. Ale stopniowo bezdomnych przybywało, a latem ich schronienia

stały się bardziej trwałe, pojawiły się namioty i przybudówki zrobione z arkuszy blachy i plastiku ukradzionego z budów, sofy i fotele wyszukane na śmietnikach, plakaty przyklepione do spękanych murów. Oczywiście tutejsi mieszkańcy narzekali, podobnie jak właściciele drobnych firm. Jednak agent budowlany z Hongkongu, który był właścicielem gruntu, ugrzązł w oszałamiającym labiryncie umów finansowych i kredytowych, których plątaninę sądy wciąż jeszcze usiłują rozwikłać. Natomiast zarządcy masy upadłościowej nie bardzo mieli chęć marnować pieniądze na to tylko, by miejsce to pozostało niezamieszkane. Wszystko w swoim czasie, mówili, wszystko w swoim czasie. Jednakże mijały miesiące, a ten czas wcale się nie przybliżał, zaś Browary, bo tak zaczęto nazywać to miejsce, zaczął rządzić się własnymi, dość osobliwymi, półoficjalnymi zasadami. Nie niepokoiony przez policję i radę miejską, żyje własnym życiem, praktycznie niezauważany.



Słońce wisi już nisko, ukryte za budynkami miasta, gdy ona dociera do Hyde Parku. Ciepłe powietrze przesycone jest zapachem trawy i kwiecica, złote światło miękko pada na ściany domów, które wyrastają ze wznoszącego się ku Cross wzgórza. Na schodach do Muzeum od piaskowca bije gorąco opływające jej twarz i ciało. Jednak drzwi dla personelu nie otwierają się automatycznie, a spoglądając na zegarek, ku własnemu zaskoczeniu zdaje sobie sprawę, że jest już po piątej.

Zaglądnając przez szybę do środka, widzi, że strażnik stoi na swoim miejscu, unosi więc rękę i puka. Tamten podnosi wzrok, jego chwilowe wahanie jest jak niema reprimenda; wciska guzik i drzwi odblokowują się ze słyszalnym pyknięciem.

Anna prosi go, żeby zadzwonił po Dylana, ale nie ma go w jego biurze. Na szczęście strażnik ją pamięta i lekko kręcąc głową, pozwala wrócić do magazynu z eksponatami. Wdzięczna Anna mija go pospiesznie i schodzi po schodach z obawą, że przyszła za późno. Kiedy jednak dochodzi do drzwi, okazuje się, że nie są zamknięte na klucz. Poruszając się szybko, zaczyna przekładać eksponaty z powrotem na wózek.

W połowie pracy wzdryga się na jakiś hałas. Z okazem w dłoni, staje prosto, nasłuchuje. Przez chwilę nic się nie dzieje, a potem znowu to słyszy, tym razem wyraźniej: odgłos zamykanej szuflady w odległym końcu pomieszczenia.

Kto tam?, woła, nagle przestraszona. Ponieważ nie otrzymuje odpowiedzi, czuje, że serce zaczyna jej walić jak młotem. Wie, że mogłaby po prostu wyjść, zamknąć drzwi i odejść, ale tego nie robi.

I nagle on pojawia się obok niej, jego szczupła postać tak blisko, że mogłaby go dotknąć.

Anna, odzywa się, przy czym nie jest to pytanie, a raczej powitanie.

Odwraca się do niego twarzą, serce jej wali. Jezu!, woła. Zawsze podkrada się pan do ludzi w ten sposób?

Przepraszam, mówi, chociaż nie brzmi to szczerze. Nie wiedziałem, że mnie pani nie widzi.

Gapi się, niepewna, co odpowiedzieć, i zła na niego i na samą siebie za to, że tak się przestraszyła.

Pracowała pani?

Waha się, jest ostrożna. Wcześniej, owszem, mówi.

Zdjęcia.

Poszukiwania, prace przygotowawcze. Jeszcze nie jestem gotowa do fotografowania.

Dylan mówił, że interesuje się pani amonitami.

Właśnie je przeglądałam.

Dlaczego?

Słucham?, rzuca, a jej złość powraca, bo znów czuje się przesłuchiwana.

Dlaczego interesują panią właśnie amonity?

Przez dłuższą chwilę wpatruje się w niego. Czy ma pan jakieś imię?, pyta w końcu.

Podnosi rękę i wyciąga w jej stronę. Seth LaMarque.

Spogląda na jego dłoń, wdzięczne, delikatne palce. Ponieważ jej nie cofa, Anna ujmuje ją w swoją, zauważając sieć białych blizn, które pokrywają wewnętrzną część jego dłoni i nikną pod rękawem. Gdy ją puszcza, nagle przychodzi jej do głowy, że może powinna wziąć tę rękę,

poprowadzić ją do swojej twarzy, by poznała jej kontury, ale nie robi tego. W tym momencie ogarnia ją nagle poczucie głębi dzielącej ich przepaści, świadomość tego, jak mało rozumie ze świata owego dziwnego, sztywnego człowieka.

A czym się pan zajmuje?, pyta.

Jestem paleontologiem. Oficjalnie na etacie uniwersytetu, ale część czasu spędzam tutaj.

Ale pan jest...

Ślepy? Oczywiście.

Więc jak pan widzi skamieliny?

Uśmiecha się delikatnie. Moje badania nie skupiają się głównie na skamielinach, chociaż widzę je dość dobrze moimi dłońmi; interesują mnie systemy biologiczne.

Rozumiem, mówi, chociaż wcale nie jest tego pewna.

A nad czym pani pracuje?

Wzrusza ramionami. Chyba sama jeszcze tak do końca nie wiem. Ale w tych muszlach jest coś, do czego próbuję dotrzeć; są czymś więcej niż tylko relikdami, a może czymś mniej; jest w nich jakaś niemota, jak w liście albo... wierszu, ale napisanym w języku, który zapomnieliśmy. Czy to, co mówię, ma jakiś sens?

Ogromny, mówi. One są jak szyfry albo zamknięte systemy znaczeń. Można je posiąść, ale nie można dostać się do środka, nie można się w nie

zagłębić. I nie jest to tylko kwestia materii, czasami chodzi o doskonałość formy, także o geometrię.

Wbrew sobie Anna uśmiecha się szeroko. Zgadza się. Pewnie teraz mi pan powie, że to najbanalniejsze spostrzeżenie z możliwych.

Nie, wcale nie.

Przez kilkanaście sekund stoją tak, niepewni co dalej, jak gdyby powstał jakiś wyłom w ich barierze obronnej, ale żadne nie jest gotowe, by przez niego przejść. W końcu to Seth się odzywa.

Pozwoli pani, że coś pani pokażę?, pyta.

Oczywiście.

Mija ją i podchodzi do stolika, który sprzątała. Wyciąga lewą rękę i zręcznymi, płynnymi ruchami nadgarstka i palców szybko bada skamieliny, które na nim zostały.

To nad tymi okazami pani pracowała?

Nad niektórymi, mówi.

Gdy Anna odpowiada, Seth zatrzymuje się nad jednym z nich, średniej wielkości muszlą o może dwudziestocentymetrowej średnicy. Została dokładnie wyczyszczona, otaczający ją kamień odłupany tak, że został sam amonit. Anna zna go dobrze, spędziła sporo czasu, badając go, zachwycona warstwami ochry, brązu i bladobiałego kryształu, które wyściełały jego komory. Przysuwając go do siebie, Seth stawia go na krawędzi, szybko bada dłońmi, z twarzą odwróconą, całkowicie

pochłonięty.

Proszę spojrzeć tutaj, widzi pani, jak zwoje nakładają się na siebie?, mówi, wodząc palcami po spirali. Albo tutaj - jego palce macają linie, gdzie stykają się komory - łączenia, widzi pani, jak krawędzie dzielą się na te siodełka w kształcie litery U? To niektóre z cech, jakie wykorzystujemy przy identyfikacji i klasyfikacji gatunków. Przez kilka chwil obraca muszlę, bada ją, waży w dłoniach, głaszcze, jak gdyby była to pierś kobiety: ciepła, miękka, elastyczna. W końcu odkłada na miejsce.

Proszę mi podać dłoń, mówi cicho.

Anna spogląda na niego pytająco, ale on głowę wciąż trzyma wysoko, jego twarz jest prawie bez wyrazu. Nieśmiało wyciąga jedną rękę, kładzie obok jego, jej wskazujący palec wypełnia przestrzeń między nimi. Gdy go dotyka, on przykrywa jej dłoń swoją. Jej oddech przyspiesza, kiedy czuje pulsowanie jego krwi. Delikatnie wznosi jej dłoń ku sobie, kładzie ją na spirali skamieliny. Lekki nacisk sugeruje, że jej dłoń powinna tu pozostać, gdy on cofa swoją rękę, jego palce ześlizgują się, puszczając jej jeden po drugim, odsłaniają jej dłoń jak wachlarz. Ich ciała zwracają się ku sobie, jego oddech na jej czole...

Zamknij oczy, szepce Seth.

Dlaczego?

Zaufaj mi; i ku własnemu zaskoczeniu Anna wykonuje jego polecenie.

Przez dłuższą chwilę nic się nie dzieje, potem powoli zaczyna poruszać jej dłoń po chłodnej powierzchni muszli, prowadząc ją wokół spiralnego kształtu, wodząc palcami po krętych kształtach łączeń, delikatnie wciskając je w pęknięcia, które znaczą powierzchnię.

Powiedz mi, co czujesz.

Ja... zaczyna, potem waha się, słowa ją zawodzą. Nie wiem.

Skoncentruj się, mówi głosem cichszym, bardziej stanowczym. Jednocześnie jego ręka znów prowadzi jej dłoń po spirali. Spróbuj zapamiętać co czujesz, teksturę, ilość grzbietów. Zapamiętaj, co się z czym łączy. Nie pozwól, żeby to oczy dyktowały ci, co czujesz, pozwól widzieć swoim dłoniom, one mają własny sposób, własną logikę. Zapisz to, co widzą, w swojej pamięci, potem użyj wyobraźni, by nadać kształt temu, co zapamiętasz. Zapamiętaj to w taki sposób, a muszla stanie się częścią ciebie, dopełnieniem w twoim umyśle.

Widziałam, jak idziesz przez ten pokój, jak gdybyś miał w głowie jego mapę. Czy o to ci chodzi?

Tak, odpowiada pośpiesznie. Uczyń teraz muszlę częścią siebie, a nigdy już cię nie opuści, nigdy.

Gdy Seth mówi, Anna uświadamia sobie, że nie wie, gdzie kończy się jej ciało, a zaczyna jego, jak gdyby płynęli razem jak rtęć, jak woda.

Te muszle to nie, mruczy Seth, nie w przestrzeni, lecz w czasie; osnowa biegnąca przez zmienną materię ziemi. One kiedyś oddychały i

pływały, teraz ich oddech jest zakuty w kamieniu, zanurza nasze dłonie w oceanach czasu. Są pamięcią ziemi o tym, co było, a czego już nie będzie.

I wtedy bez ostrzeżenia cofa dłoń, a Anna, zaskoczona tą nagłą nieobecnością, łapczywie chwyta powietrze.

Otworzyłaś oczy, prawda?, pyta Seth, a Anna kręci głową, mrugając w blasku sztucznego światła.

Nawet cię nie zapytam, skąd wiesz.

Seth uśmiecha się, jakby cieszył się tym małym triumfem.

Zawsze byłeś niewidomy?, pyta.

Zawsze, odpowiada. Zawsze.

Anna się nie odzywa, bo nie wie, co powiedzieć. W tej ciszy Seth dotyka palcami powierzchni swojego zegarka bez szkła.

Muszę iść, oznajmia, ale gdy się odwraca, ona robi krok za nim, kładzie dłoń na jego ramieniu.

Skąd wiedziałeś, że to ja? To znaczy, przedtem.

Seth uśmiecha się. Używasz takich samych perfum jak moja siostra, odpowiada, po czym powoli oddala się od niej.

Gdy poszedł, Anna jeszcze raz pochyła się nad stołem, wodząc palcami po skamielinie, powoli, delikatnie. Ma wrażenie, że doświadczyła czegoś głębokiego, wejrzenia w inny świat, którego nigdy sobie nie wyobrażała. Wciąż jeszcze tam jest, gdy do pokoju wchodzi strażnik, jego kroki odbijają się echem, kiedy wzdłuż rzędów półek zmierza w jej stronę.

Zamykamy już, mówi.

Odsuwając muszlę, Anna wstaje.

Już idę.

TEGO WIECZORA, chociaż obiecała sobie, że tego nie zrobi, otwiera swój codex, łączy się z programem skanującym, który opłaciła, by szukał Daniela, z programem wyczulonym na cyfrowy odpowiednik odcisków jego palców, który przez ostatni rok bez przerwy monitorował sieci - transakcje bankowe, sprawdzenia tożsamości, podania o kredyt, kontrole paszportowe albo przekroczenia granicy, bilety lotnicze, raporty policyjne, karty parkingowe, zamówienia pizzy, porównanie z DNA pacjentów szpitali, testy krwi, kostnice - wszystko, co mogłoby się z nim wiązać. Gdy program przetwarza kody dostępu, Anna czuje, że jej serce bije szybciej, palec stuka szybko w bok urządzenia, denerwuje się pomimo świadomości, że i tak nic nie znajdzie, że skaner skontaktowałby się z nią natychmiast, gdyby natrafił na jakikolwiek ślad.

Nie zawsze tak było. W ciągu wielu dni i tygodni po tym, jak armia z kontynentu wtoczyła się na wyspę, a dudnienie czołgów wdarło się w spokojne, wilgotne powietrze świtu, ściagała jego ducha po ulicach i w sieciach, szukając gorączkowo jakiegoś znaku, dowodu, że wciąż żył. Nie zważając na niebezpieczeństwo, wielokrotnie przemierzała miasto, nie mogąc w żaden sposób przywyknąć do zmiennych obrazów przemocy, do

surrealizmu usłanej ciałami ulicy, niskiego warkotu opancerzonych transporterów sunących przez potłuczone szkło i płonąca benzyna, do syku armatek wodnych, krzyku uczestników zamieszek, gdy zderzali się z tarczami i gumowymi pałkami żołnierzy - wszystko to w tym samym czasie, gdy kilka metrów dalej panowała niemal nadprzyrodzona cisza. Nie potrafiła zrozumieć, jak można szydzić z żołnierzy, obrzucać ich gradem jedzenia i kawałków muru, a zaledwie kilka godzin później traktować ich jak bohaterów tylko dlatego, że za pomocą ostrej amunicji pozbyli się rabusiów ze sklepów i domów. Butiki i centra handlowe organizowały wyprzedaże, na których roiło się od łowców okazji do kupienia czegoś tańszego, podczas gdy na zewnątrz rozeźlony motłoch przewracał i podpalał ich mercedesy i bmw. W paplaninie ciekłosieci plotki rozprzestrzeniały się jak szalejący pożar, gdy agitatorzy, obserwatorzy i ludzie interesu próbowali nadażyć za wydarzeniami albo szukali swoich bliskich, przy czym nikt nigdy nie był pewien, co jest prawdą, a co nie, komu można ufać, a kto jest szpiclem InfoBezpieki. I gdy zaczęły się krachy na giełdzie, a kapitał jął odpływać gdzie indziej, zabierając ze sobą banki i przedsiębiorstwa, ciekłosieć szumiała od szalonego przepływu informacji, niektórych wiarygodnych, innych nie, gdy każdy próbował znaleźć się krok przed potężną burzą, jaka ich osaczała.

Jej jedynym śladem był bilet na lot KLM do Ho Szi Min.

Zarezerwowany rankiem, gdy nadjechały czołgi, opłacony gotówką, ale nie odebrany; samolot odleciał zaledwie półtorej godziny przed zamknięciem lotniska. A potem cisza.

Zagadka tego biletu nadal ją dręczy, a w ciągu pierwszych tygodni wręcz nie dawała jej żyć. Szybko stało się jasne, że nikt nie będzie z nią rozmawiać; pracownicy Ambasady zarzuceni byli innymi, pilniejszymi problemami, jej znajomi albo zaginęli, albo uciekli, uniwersytet zamknięto aż do odwołania.

Tak więc, sama w malutkim pokoju w Western, który wynajęła za te niewielkie pieniądze, które jej zostały po zamrożeniu konta, stała się ofiarą dzikich fantazji na temat jego zamiarów, jego losu, ofiarą rozbudowanych konstrukcji opartych na domysłach i zagadkach, które mogły runąć w każdej chwili, bez ostrzeżenia, jeszcze raz pozostawiając ją sam na sam z chłodnym faktem jego nieobecności.

Gdzieś w głębi duszy wie, że cisza po tak długim czasie może znaczyć jedną z dwóch rzeczy - albo Daniel nie chce zostać odnaleziony, albo nie żyje, ale jakaś jej część nie chce się pogodzić z tym, co, jak sama wie, jest prawdziwe. Oczywiście jej rodzina - matka, ojciec, Sophie - wszyscy chcieli go opłakać i żyć dalej, ale w przeciwieństwie do nich, Anna nie podda się nieuchronności jego nieobecności. Są listy umarłych, na których nie ma jego nazwiska, mówiła im Anna; był obywatelem obcego państwa, nawet Bezpieka nie mogłaby go zabić; ukrywa się gdzieś

z powodów, o których albo nie chce, albo nie może mówić. Jednak gdy mijaly miesiące, a on nie dawał znaku życia, walka o to, by się kontrolować, by opanować smutek i żal, na które nie chciała sobie pozwolić, stała się bardziej wyczerpująca, do tego stopnia, że nie potrafi sobie teraz wyobrazić, jak mógł odejść, gdyż boi się, że jej świat się rozpadnie, a z niej zostanie wrak.

Jednak przede wszystkim nie może uwierzyć, że on nie żyje, ponieważ nie potrafi pogodzić się z myślą, że mogłoby do tego dojść bez jej wiedzy na jakimś podświadomym poziomie. Czułaby to, jest tego pewna, nawet teraz. Istnieje pomiędzy nimi więź silniejsza niż język, równie niewysłowiona i niezaprzeczalna jak sama świadomość. On jest połową jej, a ona połową jego i teraz, gdy zniknął, czuje to wyraźniej. Utracenie go byłoby jak utracenie własnego odbicia. Jak utracenie siebie.

POCHODZIMY Z CIEMNOŚCI: noszeni dziewięć miesięcy w głębi ciała, unosimy się zawieszeni w płynach owodniowych, śniąc bezobrazowe sny, czekając.

Czekając...

Spokojny rytm serca matki i migoczące echo naszego własnego, wyznaczającego upływ dni i miesięcy. Brak przestrzeni; tylko płynność tej intymnej ciemności, wszechświat mierzony przepływem gorącej krwi, namacalnym rytmem podwójnie bijących serc.

Potem łono się rozwiera, nasza delikatna, skulona postać przedziera się z wrzaskiem na światło dzienne. Mówią, że tego nie pamiętamy, że nasze ciało jest tak zaprojektowane, by zapomnieć tę chwilę, ale w głębiach mnemoniki udało mi się na nią natknąć: najpierw długi moment światła pojawiającego się niczym dziura wydarta w znajomym kształcie świata; potem nieprzyjemny, dudniący a jednocześnie piskliwy odgłos. Następnie lodowaty chłód sali porodowej, mroźne powietrze palące moje płuca, dławiące. Zakrzywione szpony chirurga, ich lateksowa woń. Przerazenie tak wielkie, że nie sposób opisać go słowami: pierwotne, obezwładniające.

Na początku wszystko stanowiło jedność: czas, przestrzeń, materia; jedność bez wymiarów i wieku. Jej symetria doskonała, kompletna... Ale potem jedność pękła, pojawiła się skaza, jedna, druga, trzecia, czas i przestrzeń pognały na zewnątrz, mnożąc się i dzieląc, jak Bóg na głębokich wodach oddzielający światło od ciemności. Jak rozłączenie podczas narodzin.

Jest nazwa dla tych z nas, którzy nie urodzili się bliźniakami, którzy w samotności przeżywają te miesiące. Jedynak. Ale prawda jest taka, że wszyscy stajemy się jedynakami, wyrzuceni z łona, wydarci z miejsca, gdzie wszystko jest jednością, wepchnięci w świat, w którym żyjemy sami, uwięzieni w ciele, pochwyceni przez słowa, a jedyne, do czego dążymy, to rozkład.

Może właśnie dlatego zapominamy, jedność ciemności zostaje wypalona w naszych umysłach przez biały ogień narodzin, może nie moglibyśmy znieść świadomości jej utraty. A jednak wyczuwamy ją, zawsze, jako utraconą wiedzę, która krąży gdzieś pod powierzchnią, gdzieś w środku. Jako nieobecność, którą muskamy jedynie w snach, czerwonej ciemności seksu. Jako tęsknotę, której nie umiemy wypowiedzieć, nie możemy pojąć.

Lecz niewidomi pamiętają. Oni nie rodzą się dla światła, przestrzeni. Ich światy skomponowane są z danych zgromadzonych przez skórę, dłonie, z dźwięków, zapachów i smaku, różnorodności wrażeń zmysłowych rozrzuconych w otaczającej ciemności, wrażeń, które wciąż się kumulują, którym kształt nadaje pamięć, niekończące się pulsowanie czasu. Dla ślepców nie ma przestrzeni, jest tylko czas: każde miejsce to aranżacja chwil, katalog zapamiętanych punktów odmierzanych przejściami od jednego do następnego, bez głębi, szerokości, koloru. Ciała innych to zbiór szczegółów, które widzącym tak łatwo przeoczyć - tembr głosu, szelest materiału, szorstkość wełny, delikatny ucisk dłoni wokół ramienia. Ciało kochanka to litania smaków, zapachów, dotyku, odtwarzanie jego schematów w pamięci jest jak schodzenie pod wodę.

Lecz jakże piękna jest ta ich ciemność, te kształty i wzory w czasie. Rytm pór roku, szeleszczący wiał deszczu. Równomierny oddech przybrzeżnych fal. To jest świat, który Annie mignął przelotnie w ciszy

magazynu z eksponatami, świat, którego nie potrafi zrozumieć, ale który, jak słońce, może zobaczyć jedynie kątem oka.

DUŻO PÓŹNIEJ, sama w mieszkaniu nad morzem, chodzi po nieoświetlonym pokoju dziennym. Światło księżyca, cętkowane i szkliste, pada na powierzchnię stołu. Jej wyciągnięta ręka przechodzi przez nie jak ciało przez fosforyzujący ocean. Cisza wypełnia cały dom.

Nie może dziś spać. Wspomnienie ręki Setha, przesuwającej się niczym prąd po wierzchu jej dłoni, jej szyja i twarz jak żywe w miejscu, gdzie musnął ją jego oddech... To pobudzenie, niemal seksualne... Nad oceanem włókna cirrusów snują się po głębokim granacie nocy, blade światło pękatego księżyca przenika je tak, że same zaczynają lśnić. Pomiędzy budynkami niesie się pomruk jakiegoś komediowego spektaklu, na granicy słyszalności wznosi się i opada śmiech. W powietrzu wisi ciężki zapach soli i oleandrów. Jak zwierzę uwięzione w klatce, Anna jeszcze raz okrąża pokój, jej ciało jest głodne, spragnione.

Na zewnątrz szum oceanu sunie po ulicach niczym deszcz. Przemykając pod barierką na końcu ulicy, wchodzi na ścieżkę poniżej, której blada linia rysuje się pośród otaczających ją skał w upiornym świetle księżyca. Krzaki po obu stronach stoją jak pochwycone w połyskującym negatywie, ich liście blade. Dróżka przed nią opada w zatoczkę, jest ciemno jak w studni, ale gdy idzie w dół, mrok ustępuje,

stopniowo odsłaniając wąski pas piasku, spękaną powierzchnię skał. Dwa otoczaki wielkości dorosłego człowieka leżą rozłupane, ukazując wnętrza jak plastry miodu, przypominając skamieliny pradawnego ula. Piaskowiec ścian zatoczki wciąż jest ciepły od słońca, nawet teraz, wiele godzin po zmroku.

Na plaży piasek przesypuje się, chrzęści pod jej stopami, gdy idzie w kierunku wody.

Wspomnienie amonitu jest tak żywe, że prawie czuje jego krzywiznę pod swoją dłonią, zamyka oczy, maca ciemność, dotyka jej. Przez długą chwilę nic się nie dzieje, potem powoli, nieustępliwie, świat wokół niej zaczyna się oddalać. Wyciąga rękę, śmieje się zachwycona sposobem, w jaki jej ciało wydaje się dzielić, rozpadać, jak krople wody albo rtęć, jego fizyczne granice zastąpione siecią wrażeń zmysłowych; staje się światem samym w sobie, ciekłym, rozproszonym jak światło.

Robiąc próbny krok do przodu, czuje, jak woda obmywa jej kostki, a wrażenie to jest tak intensywne, że zachłystuje się powietrzem. Coś ją oblizuje, wodorosty albo plastik, i cofa stopę, odchodzi od wody. A po chwili jej palce po omacku szukają guzików spodenek; zdejmuje je i odrzuca. Następna jest koszula, którą zdziera z siebie jak skórę. Czuje na sobie bryzę - drobne włoski na jej ciele unoszą się - i niepewnie robi kolejny krok naprzód, wrażliwa na to, jak piasek osuwa się i chrzęści pod jej stopami, na dźwięk załamujących się fal, zmieniające się wzory

odczuć, które rozwijają się wokół niej. Piasek jest teraz wilgotny, woda oceanu pomiędzy jej palcami ciepła, gdy stopy zapadają się głębiej, szukając oparcia. Kolejna fala dosięga jej ud, cofając się, spływa po skórze. Jej krocze, jej sutki napinają się, gdy wchodzi głębiej, a z każdym krokiem woda podnosi się wokół niej. I już w niej jest, wślizguje się pod powierzchnię długim, płytkim nurkiem, szybkie, mocne ruchy ramion pchają ją w dół, głębiej. Jej skóra jest bezmiarem odczuć, jak panoplia, powierzchnia wody granicą wszechświata, zakrzywiającą się w każdym kierunku aż do nieskończoności; czas się rozszerza, a przestrzeń kurczy. Woda otacza ją, podtrzymuje, nie ma góry ani dołu, gdy opada dalej, ssanie fali słabnie, schodzi głębiej, a woda staje się zimna. Przypomina się jej obraz Fostera i Gromeki, obracających się powoli na tle gwiazdzistej kurtyny, ich białe skafandry i lustrzane hełmy unoszą się jak światy same w sobie. Anna zastanawia się, czy tak właśnie wygląda swobodne spadanie.

Jednak w końcu zaczyna odczuwać ból w płucach i na ślepo kieruje się ku temu, co, jak ma nadzieję, jest powierzchnią. Ale jej głowa nie przecina powierzchni. Instynktowny strach otwiera jej oczy, lecz ciemność nie ustępuje, otacza ją, już nie delikatna, lecz przerażająca, woda wdziera się do ust, napiera na źrenice. Czuje, że konwulsyjnie, gorączkowo kopie nogami, lecz wciąż jeszcze stara się zdusić wzrastającą w niej panikę, lata pływania w zdradliwych wodach nauczyły ją, że ocean

nigdy nie wybacza tym, którzy się boją. Zmuszając się do spokoju, płynie do przodu, szukając choć słabego światła, starając się ustalić, z której strony jest powierzchnia, ale jest zbyt zdezorientowana, a woda w każdym kierunku wygląda tak samo, jej szczupłe ciało jest zbyt kościste, by mogło wypłynąć samo, płuca ją palą, bolą. I nagle jakieś poruszenie unosi ją w bok, wciąga głębiej, momentalnie uwalnia, potem rzuca do przodu wielkim skokiem i znowu ciągnie w dół, siłą wypychając pozostałe w płucach powietrze. Anna zachłystuje się wodą, ocean wdziera się w nią, atakuje, obezwładnia, potem prąd wciąga ją znowu, coś ostrego ociera się o jej skórę. Zimno jej.

Wszystko się rozpada, wymyka się jej, i chociaż czuje w gardle i płucach solankę, to jest tak, jakby to nie było już jej ciało, jak gdyby czas zwolnił, a jej ruchy były tańcem tak odwiecznym jak wędrówka gwiazd, krążenie planet. Z nagłą jasnością zdaje sobie sprawę, że tonie, idea tak niedorzeczna, że chce jej się śmiać.

Nie wie, jak długo trwa ta chwila, chociaż w jakiś sposób dociera do niej, że już nie walczy, że rozluźniła się i poddała falowaniu oceanu. Przenika ją spokój, a świadomość zaczyna się kurczyć do pojedynczego zanikającego punktu, strumień czasu podąża za nią ze wszystkich kierunków. Nagle czuje powietrze, jej głowa przecina powierzchnię, ciemna woda sunie dokoła. Łapczywie wciąga tlen dużymi haustami, które sprawiają, że kaszle i prawie wymiotuje, ciepła ciecz wycieka z niej,

gdy miota się na ruchomej powierzchni. Za nią załamuje się fala, piana nieziemsko biała w świetle księżyca, jej siła wciąga ją pod wodę raz jeszcze, ale tym razem walczy i wypływa na powierzchnię.

Stopniowo zaczyna się orientować, zdaje sobie sprawę, że prąd wyciągnął ją poza pierwszą boję, w kanał, a następnie wyrzucił z powrotem tutaj, w muł, gdzie dno morza wznosi się ku podstawie klifów. Długimi, nierównymi ruchami zaczyna płynąć w stronę skał, jej ciało obolałe i słabe, ściana klifu majaczy wysoko, powierzchnia skał jawi się w cofających się płachtach światła, gdy obmywa je skąpana w promieniach księżyca woda. Z przerażającą łatwością fala niesie ją na skalną półkę, wodorosty prześlizgują się pod stopami, gdy woda się cofa. Nie bacząc na to, że ostre głazy tną i rozrywają jej ciało, z mozołem wspina się w górę, na suche miejsce, które jest dla niej jak sanktuarium, kaszel i śmiech przez łzy targają jej ciałem, z nosa i ust kapie woda.

NASTĘPNEGO RANKA budzi się spocona, z rwącym się oddechem, siedząc wyprostowana w łóżku. Coś nieprzyjemnego trwa na granicy jej świadomości, sen, którego nie pamięta. W pokoju jest jak w piekarniku, długa smuga słonecznego światła przecina łóżko. Jej ciało mokre od potu. Masując skronie, staje na nogi, zaplątuje się w prześcieradło i tak osłonięta idzie do łazienki i łapczywie pije wodę z kranu.

Gdy wraca do sypialni, ciężko opada na skraj łóżka, głowę kryje w

dłoniach, palce wsuwa w splątane włosy. Zegar obok niej wskazuje 10:47. Nie pamięta, kiedy zasnęła, wie tylko, że pograżyła się w tym głębokim śnie letnich poranków, budząc się otępiała i zmęczona. Jedną ręką bada szyję, która boli ją, jakby była nadwerężona, następnie otarcia na kolanach i przedramieniu, jej palce kulą się od ich wrażliwości. W strzępach powracają wspomnienia zeszłej nocy, zawstydzają ją. Teraz, w świetle dnia, jej zachowanie wydaje się niewiele mądrzejsze niż zachowanie dziecka, nieodpowiedzialne i absurdalne. Jest dość dorosła, by zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństw czających się w tych wodach, w każdych wodach, zwłaszcza w nocy, zwłaszcza tam, gdzie istnieją takie prądy. Kiedy w końcu dowlokła się do mieszkania z krwawiącymi rękami, plecami, udami, dzwonił telefon, jego dźwięk głośno rozbrzmiewał w nocnej ciszy. Twarz Sophie wypełniła ekran.

Anna? Dlaczego szepczesz? Nie spałaś?

Nie, odparła. Jeszcze nie. Gdy to mówiła, przeniosła ciężar ciała na drugi bok i skrzywiła się.

Wszystko w porządku? Jesteś cała mokra.

Brałam prysznic, skłamała.

Nastąpiła krótka przerwa, po której Sophie zapytała, co u niej. Jak mieszkanie?

Słyszając cię reprimendy w głosie starszej siostry, Anna zawahała się, nie chcąc, żeby rozmowa skończyła się kłótnią. Jest w porządku,

rzekła. Nie, nawet lepiej, jest piękne.

A ty jak się czujesz?

Świetnie, odparła ze znużeniem.

Ponownie nastąpiła pauza, tym razem dłuższa. Anna, czując już, że rozmowa nieuchronnie zmierza ku konfliktowi i wzajemnemu obrzucaniu się winą, postanowiła ją zakończyć.

Czy jest coś szczególnego, o czym chciałaś ze mną porozmawiać?

Po prostu chciałam sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku.

Nie dzwoniłaś.

Przepraszam.

Pracowałaś? Go robiłaś?

...Jestem zmęczona, Soph, tutaj jest późno.

Po drugiej stronie świata słyszy głos córki Sophie, pytającej o coś z drugiego pokoju.

Rozmawiam przez telefon, Gwynny, poproś ojca, zawołała do niej Sophie. Głos Gwynneth zabrzmiał znowu, nadąsany.

Proszę, mamó.

Nie!, warknęła Sophie nerwowo i wróciła do rozmowy z Anną.

Słuchaj, Anno, martwię się o ciebie. Nie możesz ciągle się w tym tarzać, musisz sobie odpuścić. Wszyscy tak uważamy.

Wszyscy?

My, mama, tata. Powinnaś do nich zadzwonić. Mówią, że w ogóle

się nie odzywasz.

Anna poczuła, że sztywnieje jej szczęka, wzrasta jej gniew. Muszę
kończyć, powtórzyła.

Anna? Ty...

Jednak Anna nie usłyszała, co Sophie miała jej do powiedzenia, jej
palec nacisnął już przycisk kończący rozmowę. Chwilę później telefon
znowu zadzwonił w zaciemnionym pokoju, lecz Anna zdążyła przełączyć
go na wideosekretarkę.

Zdenerwowana, zaczyna się ubierać, by wyruszyć na poranny
jogging, wiedząc, że jest już za późno, że będzie za gorąco, ale i tak jest
zdecydowana spróbować. Jednak gdy truchta wzdłuż skarpy, jej oddech
jest urywany, ciało zmęczone od braku snu, od wyczerpującego upału. Na
klifach za Bronte nie może już dalej biec, więc łapczywie chwytając
powietrze, staje i odwraca się. Na północy widzi języki pierwszych tego
lata pożarów, płomienie przeskakują z drzewa na drzewo, poprzez
wąwozy, po stokach, podmuchy wiatru sprawiają, że ogień jest
nieprzewidywalny, kapryśny; jednak na klifach panuje spokój, słychać
tylko piski mew, plusk wody. Nad jej głową popiół dryfuje po pustym
niebie, jego drobiny opadają i pokrywają cętkami szklistą powierzchnię
morza.

W PREMEDIYTACJI, z jaką od siebie stronią, w tym, jak oczy Dany

podążają za dłońmi i ustami Dylana, Anna czyta, że kiedyś byli kochankami. W normalnym otoczeniu może nie byłoby to zauważalne, ale tutaj, w ciasnej przestrzeni baru za Muzeum, to, w jak wyszukany sposób trzymają się na dystans, jest widoczne z powodu wymuszonej bliskości.

Kiedy kilka minut temu Anna zdała sobie z tego sprawę, zastanawiała się, dlaczego Dylan przyprowadził ze sobą koleżankę. Ale gdy kończy anegdotę o koszmarnych wakacjach w Syrii dwa lata temu, Anna odkrywa, że oczy Dylana są skierowane na nią, badają ją. Wtedy zdaje sobie sprawę, że źle go zrozumiała; nie chodzi o niego i Dane, ale o nią. Wcale nie ma mu pomóc w rozładowaniu napięcia niewygodnej sytuacji; on przedstawia ją Danie jako swego rodzaju trofeum. Choć jest zaskoczona błyskiem w jego oczach, nie okazuje tego, śmieje się grzecznie z jego dowcipu, w ciszy, która potem następuje, pyta o Seta, z zadowoleniem dostrzegając cień niepokoju, który przebiega przez jego twarz.

Co w związku z nim?

Nie wiem, jaki on jest...

Ponieważ Dylan nie odpowiada, Anna spogląda na Dane, która odwraca wzrok.

Co?, pyta Anna. Nie lubicie go?

To nie o to chodzi, mówi Dylan. On jest jakiś... trudny...

Nietolerancyjny, wtrąca Dana chłodnym głosem. Gburowaty, mściwy...

Dylan kładzie swoją dłoń na ręce Dany, jego oczy ostrzegają. Złożył skargę na Dane, kiedy była stażystką.

Teraz to nie ma znaczenia, twierdzi Dana, spięta. Ale uważaj na niego, bywa kąśliwy.

Zaskoczona jadem w głosie młodszej kobiety, Anna postanawia nie roztrząsać dalej tej kwestii. Dana ze złością dopija kawę i stwierdza, że musi już iść. Wstaje nagle, żegna się z Anną lakonicznie i wychodzi.

Gdy już się oddaliła, Anna spogląda pytająco na Dylana.

Nigdy nie poznałem całej historii, ale między nimi chyba coś było. Robi wymowną przerwę. Jednak niezależnie od tego co to było, ona nie jest jego najzagorzalszą wielbicielek.

Tyle to sama widzę, odpowiada Anna. A ty?

Wzrusza ramionami. W zasadzie nie mam z nim wiele do czynienia. Czasem poprosi mnie o pomoc w identyfikacji jakiegoś dziwnego eksponatu, którego nie może rozpoznać za pomocą dłoni, albo o znalezienie jakichś starych dokumentów, których jego codex nie może mu odczytać czy też przełożyć na Braille'a. Mimo to zdumiewające jest, jak wiele może zrobić beze mnie - często szybciej potrafi poznać jakiś okaz niż ja.

Powiedziałeś, że jest trudny.

To nie całkiem odpowiednie słowo. Jest chyba... zamknięty w sobie: zawodowo i prywatnie. Czasem myślę, że to jeden z powodów, dla których ludzie się od niego odwracają - nie potrzebuje ich pomocy i chyba lubi im to okazywać. A fakt, że jest ślepy, w pewien sposób jeszcze sprawę pogarsza. Dlaczego pytasz? Czytałaś którąś z jego książek?

Anna kręci głową. Spotkałam go w magazynie z eksponatami. Wydawał się interesujący.

Dylan prycha, nie całkiem uprzejmie. Chyba można tak to określić. Dalej mówi bardziej zamyślonym tonem. Jest na swój sposób po prostu genialny, chociaż nie jestem pewien, czy to, co robi, faktycznie można uznać za naukę. To dziwna, niemal hermetyczna dziedzina traktująca o wewnętrznych strukturach natury.

I muszli?

Dylan spogląda na nią. Zgadza się.

Gdzie mogłabym zdobyć jakieś jego książki?

Mam jedną u siebie. Wpadnij do mnie po nią przed wyjściem z Muzeum. Bierze jej dłoń w swoją, bada zadrapania, jakich nabawiła się na skałach dwa dni wcześniej.

Skąd to masz?

Anna cofa dłoń. Zraniłam się, jak pływałam, mówi pozbawionym modulacji głosem bez wyrazu.

Odrzuca jego propozycję, żeby razem wrócić do Muzeum, i zostaje

przy stoliku, woląc zgiełk pory lunchu w barze od ciszy pomieszczenia z eksponatami. Lecz gdy przechyliła smukłą butelkę z wodą mineralną, czuje na sobie wzrok innych. Dobrze zna to wrażenie, podobnie jak wcześniej знаła wyraz oczu Dylana, nagość jego pożądania. Przez całe życie jej gibkie ciało, niespotykane rysy twarzy i szyi przyciągały do niej mężczyzn, a nieraz i kobiety. Gdy była nastolatką, mężczyźni owi przeważnie byli starsi i zawsze znajdowali pretekst, by przycisnąć do niej swoje włochate ciała w windach czy kolejkach; ich samochody zwalniały przy niej, gdy szła usłanymi liśćmi ulicami z domu rodziców w Woollahra do szkoły w Darlinghurst; pamięta też zbyt nachalne gapienie się ojców swoich kolegów. *I* tę nieustanną presję spojrzeń na swoim ciele, niechciane pełzanie i chwytywanie lepkich łap, obsceniczne szepty i lubieżne pokrzykiwania.

Z Danielem było tak samo: jego obojnacze piękno nawet bardziej oczywiste niż jej, oczy w kształcie migdałów głębsze, jego tajemnicze usta tym wyraźniej przyciągały uwagę do twarzy. Ale Daniel wcześniej niż ona nauczył się swą urodę wykorzystywać. Zawsze kręciły się wokół niego dziewczyny, chociaż on zdawał się ledwie je zauważać. Jednak wiedział też inne rzeczy, rzeczy, które ją w wieku piętnastu lat przerażały. Jak patrzeć na mężczyzn, żeby rodzice albo ich znajomi tego nie zauważyli, jak odwzajemniać ich spojrzenia z odpowiednią dozą dwuznaczności, tak, by wciąż patrzyli. Często przychodził do domu z drobnymi upominkami -

lodami, czekoladkami, później z płytami kompaktowymi, nawet pieniędzmi - aż jednego popołudnia, niedługo po ich piętnastych urodzinach, wrócił później ze szkoły i poszedł od razu na górę. Zaniepokojona Anna ruszyła za nim po to tylko, by zastać go siedzącego na rogu łóżka z kolanami pod brodą. Na podłodze leżał nowy discman, jeszcze nawet nie rozpakowany. Kiedy zapytała, skąd to ma, spojrzał na nią wzrokiem pociemniałym od furii, powiedział, że znalazł go w zaułku za William Street, porzuconego pewnie przez jakiegoś ćpuna. I chociaż nie odwrócił spojrzenia, nie cofnął się, Anna wiedziała, że ją okłamał.

Tego dnia coś się skończyło. Na zewnątrz niewiele się zmieniło: wciąż łączyło ich to niesamowite podobieństwo, wspólne piękno, wyjątkowość zakodowanych gestów i splecionych ze sobą bytów, ale gdzieś za tą fasadą sprawy się zmieniały. Coraz mniej czasu spędzali wspólnie, a kiedy już przebywali razem, Daniel często był skryty i posepny. Kiedyś wieczorami zawsze siedzieli razem, odrabiając lekcje; teraz Daniel sam przesiadywał w swoim pokoju, słuchając muzyki, czytając po raz kolejny te same komiksy. Przez dłuższy czas mimo wszystko jakoś sobie radził, spisując rano przed wyjściem do szkoły jej zadania domowe, polegając na swoich wrodzonych zdolnościach na sprawdzianach, jednak w końcu jego oceny zaczęły się pogarszać. Zaniepokojeni rodzice pytali ją wiele razy, czy wie, co się z nim dzieje, ale Anna, lojalna wobec brata, zbywała ich, twierdząc, że nic nie wie, albo

kłamiąc. W czasie egzaminów końcowych Daniel z ledwością zaliczył wszystkie przedmioty oprócz matematyki, z której uzyskał najlepszą ocenę w klasie, i chociaż jego stopnie nie były wystarczająco dobre, żeby dostać się na uniwersytet, to ostatecznie załatwiono mu pozwolenie na studiowanie matematyki w charakterze wolnego słuchacza trzy tygodnie po rozpoczęciu roku akademickiego.

W tym czasie Anna dostała się na Akademię Sztuk Pięknych, specjalizując się w fotografii. Zdjęcia i ich moc zafascynowały ją w przedostatniej klasie liceum; początkowo podobało jej się, że mniej uwagi może poświęcić bardziej akademickim przedmiotom, gdyż kurs fotografii pozwalał jej na opuszczanie terenu szkoły i włóczenie się po ulicach w poszukiwaniu tematów. Polubiła ją również dlatego, że dała jej możliwość poznania świata niepowiązanego z Danielem; było to coś, czego nie robił razem z nią, choć rosnący dystans między nimi przerażał ją bardziej, niż chciała przyznać. Jednak szybko fotografia stała się czymś więcej niż tylko sposobem na miganie się od szkoły, delikatna drapieżność tego procesu dotknęła pewnej głębokiej potrzeby, tak że w ostatniej klasie wiedziała już, że znalazła coś, co pozwoliło jej poczuć się dorosłą, dojrzałą. I bezpieczną. Ponieważ z aparatem w ręku uwolniła się wreszcie od spojrzeń, w końcu sama została obserwatorem, a nie przedmiotem obserwacji.

W wieku dziewiętnastu lat to by wystarczyło. Gdy dorastała,

stwierdziła, że ciągła uwaga, którą przyciąga jej uroda, jest uciążliwa. Ale poza anonimowością znalazła coś jeszcze, przyjemny chłód fotografii, jej obojętność. Znalazła w swojej pracy ukojenie, ucieczkę, a hałas i nieobliczalność świata, w którym żyła, stały się przez to bardziej odległe. Stopniowo ten chłód stawał się częścią niej samej, niewzruszoność fotografii, jej spokój, przeniknęły ją do głębi.

Przez lata doświadczyła ironii tego dystansu ochronnego; przekonała się, że ta izolacja, nieprzystępność, jest sama w sobie kusząca, stanowi wyzwanie, któremu wielu mężczyzn nie potrafi się oprzeć. Czasami jest to tylko pociąg do kobiet, które są niezależne, ale innym razem chodzi o coś bardziej prymitywnego, mniej subtelnego; pragnienie, żeby zostawić swój ślad, sprofanować. Niemniej jednak dystans pozostaje, choć jest barierą równie niepewną jak szkło. Albo woda.

KSIĄŻKA JEST cienka, jak nieco dłuższa monografia, na obwolucie widnieje zdjęcie odcisku, krzywizny zębatych łączy wznoszą się jak pręgi na tle miękkiej szarości kamienia. Na korytarzu przed biurem Dylana Anna dwoma palcami wodzi po muszli, matowa powierzchnia zdjęcia delikatnie klei się do skóry, gdy palce przesuwają się do środka spirali.

Czyta ją dwukrotnie tego dnia. Za pierwszym razem szybko, a potem, wieczorem, powoli, światło lampki przy łóżku ogrzewa jej kark i ramiona. Nie jest pewna, czego się spodziewała, ale na pewno nie tego.

Nie tej niezwyklej prozy, pięknej składni i rytmu słów. Gdy czyta ją pierwszy raz, poszczególne zdania przykuwają jej uwagę, wyobrażenia rezonują z czymś daleko wykraczającym poza komunikację werbalną, zaś za drugim razem jakby ożywają, widać wplecione w nie żywe zrozumienie. Czytając, wie, co Dylan miał na myśli; to nie całkiem nauka, przynajmniej nie w takim sensie, w jakim ona ją pojmuje. Podobnie jak pojedyncze słowa, twarde zlepki światła i ciemności albo dźwięk na tle ciszy mogą łączyć się, by stworzyć pryzmat z przestrzeni wiersza, tak ta książka zdaje się wykorzystywać naukę w celu stworzenia wzorów zrozumienia wszechświata, poezji życia, czegoś na tyle bogatego, by zawrzeć w sobie ciągle zmiany w czasie i przestrzeni - zrozumienia go jako całości, nie zbioru części składowych. I podobnie jak wiersz - i jak światło - książka ta zdaje się załamywać w stworzonym przez siebie pryzmacie, implikacje suną po słowach niczym cienie chmur, zasugerowane, niemal namacalne, ale nieuchwytnie. Skupia się wokół sybilicznego piękna muszli i podobnie jak jej spirala, tekst wydaje się wciąż krążyć wokół samego siebie, nigdy się nie zamykając, wciąż żyjąc w umyśle.

Gdy skończyła czytać po raz drugi, zamyka ją, unosi do ust, spija zapach papieru. Szorstkie brzegi kartek są jak piórko na jej ustach. Książka sama w sobie jest dziełem pięknym, fantazją projektanta na temat osiemnastowiecznego eseju: eleganckie linie antykwy, ich

wydłużone fragmenty nad i pod wierszami tekstu odcisnięte głęboko w kremowym papierze za pomocą technologii zaprojektowanej, by naśladować prawie wymarłą sztukę wkłęsłodruku. W trakcie czytania czuła wgłębienia pod palcami, jakże dotykalne, nie mogła się nadziwić, jak bardzo ozdobność formy współgra z treścią książki. Na wewnętrznej stronie obwoluty jest zdjęcie Seta, na wpół ukrytego w cieniu, w okularach. Jego porowata twarz podobna do twarzy żołnierza albo świętego z obrazów Caravaggia, gwałtowność czai się pod niemal erotycznym pięknem kościstych rysów, blizna na wardze przywodzi na myśl powściąganą okrutną zmysłowość. Patrząc na nie teraz, czuje, że to, co nie dawało jej spokoju w książce, zaczyna wślizgiwać się na właściwe miejsce. Jest coś w tych stronach, nie całkiem chłód, ale dystans, obojętność, poczucie, że jej piękno, jej oczywista pasja jest jakby niepowiązana z poszczególnymi przedmiotami rozważań. Im dłużej o tym myśli, tym bardziej ją to dręczy.

NIEPOKÓJ NIE opuszcza jej nawet dwa dni później, kiedy mija zakręt w piwnicy Muzeum, a on stoi przed zamkniętymi drzwiami windy dla personelu. Zatrzymuje się na jego widok, cofa w korytarz, jedną ręką opierając się o ścianę. On stoi odwrócony do niej tyłem, szczupłość jego wysokiej sylwetki wyraźnie zaznaczona pod dobrze skrojoną marynarką. W lewej ręce ściska laskę, trzymając ją równoległe do nogi, prawa

spoczywa na skórzanej teczce zawieszanej na ramieniu. Jak gdyby świadomy jej obecności, odwraca się nieznacznie, a ona widzi profil twarzy, długi nos, kanciaste policzki i czoło. Ciemne włosy ma założone za uszy. Anna przypomina sobie Dane, jej nagły wybuch złości w barze, sugestię Dylana, że kiedyś była kochanką Setha. Czy to możliwe?, zastanawia się Anna, próbując wyobrazić sobie tego dziwnego, powściągliwego mężczyznę i bezpośrednią Dane razem. Ta myśl wydaje jej się absurdalna, ale gniew Dany był tak nagły, tak irracjonalny. A za tą myślą czai się inna, pożądanie, które pełza po jej skórze i wzdłuż kręgosłupa. Anna chce się dowiedzieć, jak by to było, poczuć jego dłonie na swoim ciele, jego usta na swoich. Jej oddech staje się płytki, drżący.

I wtedy słyszy szum windy, otwierają się drzwi. On waha się przez chwilę, nasłuchuje, potem robi krok naprzód, drzwi ze stukotem zamykają się za nim. Jej serce głośno bije w płytkiej klatce żeber.



Gdy ponownie znajduje się w ciszy pokoju z eksponatami, nie może się skoncentrować. Chociaż zaczęła wybierać okazy, które będą przedmiotem fotografii, nie czuje w nich jedności, schemat tego przedsięwzięcia wydaje się jej niedopracowany i nieudany, wstępne zdjęcia nieme i niezgrabne. Jej frustrację pogłębia jeszcze świadomość, że coś w tym jest, coś potężnego i niewysłowionego; wspomnienie dłoni przesuwającej się po muszli, krótkie wejrzenie w inny sposób

postrzegania wymyka się poza jej zasięg. Tak więc przesuwa jedynie eksponaty to w jedną, to w drugą stronę, ustawia światło, konstruuje zdjęcia, ale jest to sztuczne i mechaniczne, i ona to wie. Podskakuje za każdym razem, gdy otworzą się drzwi, zastanawiając się, czy to Seth; i za każdym, gdy okazuje się, że to nie on, sama nie jest pewna, czy czuje ulgę, czy zawód.

O piątej pakuje swoje rzeczy, wychodzi na duchotę i upał. Niebo nad nią jest szare i płaskie, przytłaczają ją odgłosy ruchu ulicznego w godzinach szczytu. Zawsze lubiła atmosferę tych letnich piątków, atmosferę końca tygodnia, ludzi wylewających się na ulice z biur i sklepów, muzykę wznoszącą się w zmierzchającym świetle, dzieciaki biegające wszędzie z tornistrami na plecach.

Z dala od William Street jest ciszej, ryk samochodów umilkł, zastąpiony strzępami rozmów, pulsem muzyki dolatującej zza otwartych drzwi, kwieciem opadającym z drzew kałużami kolorów. Odór gnijących odpadków miesza się z zapachem dymu z pizzerii, kocie siki z wonią ciętych kwiatów ściśniętych w wiadrach stojących przy krawężniku. Na Stanley Street mijają kawiarniane ogródki, aż w końcu zauważa wolny stolik w kafejce, do której kiedyś często przychodziła; przyspiesza i zajmuje go. Jednocześnie słyszy głos, którego nagle nie może pomylić z żadnym innym. Odwracając się, widzi go tuż za sobą; trzyma pod rękę młodszą od siebie kobietę, która patrzy jej w oczy, szczerze i

bezpośrednio. Zaskoczona Anna spogląda to na nią, to na niego. W tej chwili wie, że mogłaby usiąść i udawać, że wpatrywała się w nich tylko ze względu na niespodziewane zetknięcie się z niewidomym, ale waha się zbyt długo, a chwila mija. Obok niej Seth przechyla głowę na bok.

O co chodzi?, pyta swoją towarzyszkę. Ale nim zdąży usłyszeć odpowiedź, Anna podchodzi do niego.

Seth, mówi, to ja, Anna. Kiedy on milczy, dodaje cicho: Z Muzeum.

Seth uśmiecha się. Tak, pamiętam. To moja siostra, Rachel, wskazuje na kobietę obok siebie, która wyciąga rękę.

W pełni świadoma jej baczego spojrzenia, Anna ujmuje wyciągniętą dłoń. Jestem sama, mówi, wskazując na stolik za swoimi plecami. Może usiądziecie ze mną?

Rachel dotyka ramienia Seta. Seth?

Dziękujemy, odpowiada, to znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko.

Oczywiście, że nie.

Rachel kładzie jego dłoń na oparciu krzesła i Seth zajmuje miejsce. Gdy siedzą obok siebie, ich fizyczne podobieństwo jest wyraźne, mimo iż nie całkiem jednoznaczne, nie oczywiste. Podobnie jak jej brat, Rachel jest szczupła, chociaż gdy siada na krześle, Anna zauważa tęgość wokół talii, wciskający się w tkaninę spodni zaokrąglony ciężą brzuch. Tam, gdzie rysy Seta są dziwnie kanciaste, jej są łagodniejsze: wysokie kości policzkowe nie tak sterczące, usta nie tak zaciśnięte, rozwarte w

półuśmiechu, który sugeruje sarkastyczne poczucie humoru. Ciemne włosy opadają gładko wokół ramion. Ale Annę najbardziej uderzają jej oczy, głębokie, przejrzyste, jej źrenice prawie czarne.

Pracujesz w Muzeum?, pyta Rachel, spoglądając na nich oboje.

Nie, odpowiada Anna, jestem fotografem. Wykorzystuję zbiory Muzeum do projektu, nad którym pracuję.

Czy mogłam o tobie gdzieś słyszeć?

Anna lekko pochyła głowę. Raczej nie.

A nad czym pracujesz?

Nad skamielinami, coś w stylu *memento mori*.

Brzmi fascynująco.

Jeśli się uda, to może i takie będzie, zastrzega Anna. Nigdy nie lubiła rozmawiać o swojej pracy, a szczególnie z obcymi.

Rachel już ma zapytać o coś jeszcze, ale na szczęście zjawia się kelner. Seth zastyga, gdy jego siostra zamawia *macchiato*. Gdy znów są sami, pochyła się ku niej.

Nie powinnaś pić kawy, mówi cicho.

Naprawdę, nie sędzę, żeby kawa zaszkodziła któremuś z nas. To od wody muszę się trzymać z daleka.

I papierosów.

Rachel spogląda na Annę. Widzisz, co ja muszę znosić?, pyta z szerokim uśmiechem.

Jak długo jesteś w ciąży?

Ponad pięć miesięcy.

Chłopiec czy dziewczynka?

Rachel wzrusza ramionami. Poprosiłam lekarzy, żeby mi nie mówili. Chcę, żeby to była niespodzianka. I dzięki temu Seth ma kolejny powód do narzekań.

Obok niej Seth prychnął czule.

Podczas rozmowy Anna przygląda się obojgu, ich fizyczne podobieństwo wydaje się tym wyraźniejsze, im dłużej z nimi przebywa. Ale łączy ich nie tylko wygląd; jest też pewna intensywność uwagi, tendencja do sekundy milczenia przed odpowiedzią na żart lub pytanie, dziwna bezpośredniość w ich wypowiedziach, a w przypadku Rachel, także w jej spojrzeniu. Również fizyczna zażyłość, dłoń Rachel stale wędrująca do ręki Setha, dotykająca jej, żeby coś podkreślić, zadać mu pytanie, żeby pokierować ją w stronę jakiegoś przedmiotu. Patrząc na nich, Anna nie może się pozbyć myśli o Danielu, blednym odbiciu jej samej.

Nagle Rachel wstaje, przeprosza.

Co ci jest?, pyta Seth.

Nic, odpowiada, to tylko niewielkie mdłości.

Chcesz, żebym z tobą poszła?, pyta Anna, zdając sobie sprawę, że spod opalenizny Rachel wyziera bladość, ale Rachel zbywa ją skinieniem

dłoni.

Wszystko w porządku, odpowiada. Wróć za minutkę.

Po jej wyjściu Anna w milczeniu patrzy na Seta, czuje się nieswojo, będąc z nim sam na sam.

Czy widać było, że źle się czuje?, pyta Seth.

Trochę, przyznaje Anna.

Seth milczy.

Często miewa mdłości?

Pewnie częściej, niż przyznaje. Ukrywa przede mną pewne rzeczy.

Anna nie odpowiada. Wyczuwa, że jej wcześniejsza odpowiedź nie usatysfakcjonowała go, że ją też posądza o zatajanie faktów. I rzeczywiście, jego ślepotą wydaje się prowokować w niej nadopiekuńczość, chęć ukrycia nieprzyjemnych prawd, fundowania tych samych wygładzonych kłamstw, które mówi się dziecku. Jednak on nie jest dzieckiem - to fakt, który wyraźnie podkreśla cień złości w jego ostatniej uwadze. Anna wyczuwa, że traktowanie go w taki sposób byłoby aktem głupoty. Jego ciepło uleciało, ponownie ujawnił się cień arogancji, którą wyczuła podczas ich pierwszego spotkania. Powróciła również oziębłość i Seth siedzi sztywno wyprostowany, nieruchomy na swoim krześle. Naznaczoną blizną wargą wstrząsa malutki tik, jedno, dwa drgnienia, potem ustaje.

Co się dzieje?, pyta zirytowany.

Nic, dlaczego pytasz?

Umilkłaś tak nagle.

Anna waha się, nie chcąc przyznać, że obserwowała go, zafascynowana pogodową zmiennością jego nastrojów. Owa zmienność przeraża ją. Zastanawia się, gdzie się podział mężczyzna, który ledwie kilka dni temu trzymał jej dłoń i wprowadzał w cichy świat kamienia.

Wreszcie wraca Rachel. Jest blada, jej oczy zaczerwienione, jakby kichała. Albo wymiotowała, myśli sobie Anna.

Przepraszam, mówi. Chyba będę musiała iść.

A co z recitalem?, pyta Seth ostrym tonem.

Przepraszam, Seth, powtarza Rachel. Ale chyba nie dam rady. Może Anna weźmie mój bilet, proponuje, patrząc na nią pytająco.

Anna waha się. Seth i Rachel mają bilety na koncert szesnastowiecznej muzyki religijnej w wykonaniu rosyjskiego zespołu.

Jeśli ty z niego nie skorzystasz, to się zmarnuje, namawia Rachel, wyraźnie zmęczona rozmową.

Anna patrzy to na nią, to na niego. Przynajmniej pozwól, że za niego zapłacę, odpowiada, sięgając po torebkę.

Nie bądź śmieszna, mówi Rachel. Przynajmniej wykorzystasz ten bilet.

Gdy Anna wraca po odprowadzeniu Rachel do taksówki, widzi, że Seth otworzył swój codex, jego odziana w rękawicę dłoń spoczywa lekko

na stole. Nie daje żadnego znaku, że zauważył jej powrót, ale gdy Anna sięga po krzesło, pyta: Wszystko z nią w porządku?

Anna podskakuje, zdumiona. Chyba tak, odpowiada. Powiedziała, że to tylko poranne nudności. Siadając, patrzy, jak jego obleczona w rękawicę dłoń porusza się nieznacznie, palce przesuwają się w prawo, potem w lewo.

Co to?

Łącze Braille'a, wyjaśnia, zdejmując rękawicę. Działa na tej samej zasadzie co każdy inny interfejs dotykowy, tylko że na opuszkach palców wytwarza znaki alfabetu Braille'a.

Rozumiem. A nie możesz używać oprogramowania reagującego na głos?

Używam, odpowiada, chowając urządzenie i rękawicę do pokrowca, jego palce szybkimi, wprawnymi ruchami odnajdują zapięcia. Ale mowa jest powolna; czytam dużo szybciej, niż mój codex potrafi mówić. Więc przeważnie korzystam z rękawicy. Dla takich ludzi jak ja komputery stanowią ogromne udogodnienie, chociaż może się to zmienić - już jest praktycznie niemożliwe, żebym uzyskał dostęp do wielu z tych nowych wirtualnych środowisk w ciekłosci.

Wyobrażam to sobie, mówi Anna, gdy Seth wsuwa codex do torby. Drażni ją, że wydaje się czasem taki bezradny, zależny od innych, a chwilę później ujawnia wejrzenie w świat, w którym jest zupełnie samodzielny i

doskonale nad wszystkim panuje.

Gdy Seth schował urządzenie, siedzą tylko we dwoje. Chociaż jego twarz nic nie zdradza, Anna ma wrażenie, że on także jest podenerwowany, nie bardzo wie, co powiedzieć, od czego zacząć. Tak mało o sobie wiedzą. Anna bierze do ręki saszetkę z cukrem, zaczyna ją składać, proszek w środku szoruje o papier, aż pod wpływem nacisku torebeczka pęka, cukier rozsypuje się po stole.

Co myślisz o Rachel?, pyta Seth, gdy Anna zgarnia ziarenka cukru, układa je we wzory.

Coś w jego głosie każe jej się pilnować. Dlaczego pytasz?

Zamiast od razu odpowiedzieć, Seth unosi do ust szklankę. Bierze kilka małych łyków, cała czynność przypomina wykalkulowany teatralny gest.

Czasami ludzie chyba uważają, że jest trochę nieprzyjemna, mówi w końcu, odstawiając szklankę na stolik. Jej osobowość może jest trochę... zbyt silna.

Ależ skąd. Czym ona się zajmuje?

Seth uśmiecha się słabo. Jest radcą prawnym w ośrodku pomocy niedaleko Central. Ćpuny, dzieciaki z ulicy, bezdomni. Jego wargi zwijają się, jakby spróbował czegoś niedobrego.

Nie pochwalasz tego?

Była najlepsza na roku, zrobiła doktorat w Cambridge, ale jak dotąd

pracowała tylko w kilku obozach dla uchodźców i ośrodkach pomocy społecznej. Jej najzdrowszą pracą była posada w Biurze Pomocy Prawnej, przynajmniej dopóki rząd go nie zamknął.

Nie lubisz jej pracy czy ludzi, z którymi pracuje?

Nie jestem pewien, czy widzę jakąś różnicę, odpowiada chłodno.

Anna nie odzywa się przez dłuższą chwilę, coś w niej jakby zakrzepło. Wiele razy słyszała ten ton pogardy w głosie znajomych Jareda, ale szokiem jest dla niej, że słyszy go u Setha.

Ci ludzie nie mają wpływu na to, co z nimi robi życie, mówi cicho Anna.

Ja sobie jakoś poradziłem.

Och, przestań, to nie jest takie proste: nikt nie łąduje na ulicy z wyboru.

Obrabowali ją, w zeszłym tygodniu. Przyszli we czterech, było już późno, a ona była sama. Wpuściła ich, bo powiedzieli, że potrzebują pomocy, Kiedy znaleźli się już w środku, jeden chwycił ją od tyłu, a drugi trzymał przy jej gardle strzykawkę z krwią.

O Boże. Ale nie wstrzyknęli jej tej krwi? Nic jej nie zrobili?

Miała szczęście. Lecz następnym razem, kto wie?

Na pewno była przerażona.

Ci ludzie mają gdzieś to, kogo krzywdzą.

Anna już ma się sprzeciwić, ale zmienia zdanie. Ma męża?, pyta.

Albo...

Nie. Ani męża, ani nikogo innego.

Więc kto jest ojcem dziecka?

Seth nie odpowiada, ale jego wargą znowu porusza tik, który widziała już wcześniej.

Seth?

Nie wiem, odpowiada beznamiętnym głosem. Zdecydowała, że tożsamość ojca zachowa w tajemnicy. Ja uważam, że facet zasługuje przynajmniej na to, by go poinformować.

To znaczy, że mu nie powiedziała?

Nie.

Czy to w porządku?

Ja na jego miejscu chciałbym wiedzieć. Ale Rachel mówi, że to ona nosi w sobie dziecko, a on równie dobrze mógłby być sosem do polewania indyka.

Ku swemu zaskoczeniu Anna widzi cień uśmiechu na jego twarzy.

Pewnie ma rację, mówi, chichocząc.

W rzeczy samej, odpowiada Seth, również chichocząc. Chyba tak.

W SALI koncertowej śpiewacy suną w stronę kałuży światła, które pada z góry rozszerzającym się snopem. Wszyscy, i mężczyźni, i kobiety, ubrani są na czarno, prosty krój ich strojów wyraża ascetyzm innej epoki poprzez obojnactwo, które jest całkowicie współczesne. Ich twarze są

niczym maski pod brzydko obciętymi włosami. Ustawiają się w milczeniu i na znak dyrygenta zaczynają śpiewać.

Dziesięć minut wcześniej, czytając w programie, że śpiewacy postrzegają swoją muzykę jako proces twórczy czegoś transcendentnego, doświadczenie boskości, Anna zastanawiała się, jak ktokolwiek z Rosjan może wierzyć w Boga, który na ich kraj sprowadził takie ubóstwo i chaos. Ale gdy śpiewają, a muzyka unosi się w snopie światła, Anna rozumie pokusę, jaką niesie ze sobą jej czystość, rozumie jej możliwość ofiarowania wiary nawet w obliczu śmierci, jednoczesną tęsknotę do transcendencji i świadomość niemożliwości jej osiągnięcia. Muzyka jest jak warstwowość światła, skomplikowany pryzmat, w którym załamuje się litania ludzkiego bólu i triumfu. Po jakimś czasie odwraca się, by przyjrzeć się Sethowi, jego brzydko-przystojna twarz jest spokojna, jak gdyby muzyka dostała się do jego ciała, zamieszkała w jego wnętrzu. Z ukłuciem winy wykorzystuje ślepotę, spokojnie studiując rysy jego twarzy. Podąża wzrokiem za linią blizny biegnącej przez wargę i dalej w górę, zdając sobie sprawę, że jest ona częścią dłuższej szramy, która przecina nos, po czym znika pod prawym szkłem okularów. Kolejna przepoławia lewą brew, trzecia przecina policzek. Wszystkie są tak blade, że muszą być bardzo stare. Wcześniej poprosił ją, żeby przeczytała mu program; jego brwi zmarszczyły się w skupieniu. Gdzieś w połowie położył swoją dłoń na jej ramieniu, a ona zamilkła, podniosła wzrok i w jakiś dziwny sposób

pojmując, o co mu chodzi, przeczytała raz jeszcze ostatnie zdanie.

o

Po zakończonym koncercie idą do restauracji w budynku Opery; wewnętrzna struktura sklepionego wnętrza wznosi się nad nimi, belki wyglądają jak ogromne zebra albo kości. Usadowieni przy stoliku przy oknie jedzą ostrygi, śliskie kęsy chłodzą ich usta. Na zewnątrz, po drugiej stronie Quay, widnieje Terminal Pasażerski wypełniony złotym światłem, a za nim oświetlona na zielono nitka Harbour Bridge. Podczas posiłku rozmawiają cicho o muzyce, o pracy Setha i krótko o jej. Niedługo potem do restauracji wchodzi kilkoro chórzystów: odziani w codzienne ubrania wyglądają mniej klasztornie. Anna patrzy, jak zajmują stolik, uśmiechają się i chichoczą.

Przyszło paru śpiewaków, zwraca się do Setha, pochylając się nad stolikiem, by jej głos się nie rozniósł, ale on prawie nie reaguje na tę informację. Czując się odtrącona, Anna wycofuje się. Seth popija piwo. Wydaje się jej, że jego brak zainteresowania to może coś więcej niż obsesja na własnym punkcie, że jego doświadczenie muzyki może być w jakiś sposób niezależne od wykonawców, jak nagranie. Jednakże fakt, że ją zbył, sprawia jej ból.

Po jakimś czasie, gdy skończyli, a restauracja opustoszała, wstają, żeby wyjść. Widzi, że śpiewacy siedzący kilka stolików dalej też się podnieśli i kiedy powoli zmierzają w stronę wyjścia, ich drogi się zbiegają.

Przy drzwiach jedna z kobiet, niska, z ciemnymi włosami i ptasią głową zauważa, że się zbliżają, i gestem odsuwa na bok swoich znajomych, by Anna i Seth mogli przejść. Anna zatrzymuje się przy niej.

Koncert był wspaniały, mówi. Z tak małej odległości chórzystka okazuje się starsza, niż początkowo sądziła, linie zmarszczek cisną się w kącikach ust i oczu, wystające kości policzkowe wyglądają krucho pod starzejącą się skórą.

Dziękuję, odpowiada śpiewaczka, po czym spogląda na Seta.

A pan?, pyta ciężko akcentowanym angielskim. A panu jak się podobało?

Anna czuje, że Seth sztywnieje.

Któreś z was lekko fałszuje w dolnych rejestrach, mówi.

To Anatol, odpowiada kobieta, chichocząc. Ma zapalenie gardła. Cieszę się, że pan zauważył, należy pan do najbardziej wymagającej publiczności. Unosi dłoń i macha mu przed twarzą. Nic pana nie rozprasza.

Patrząc na dłoń kobiety, Anna czuje niesmak, ma wrażenie, że ta czynność jest w pewien sposób naruszeniem jego prywatności, bez względu na intencje. Kiedy Seth nie odpowiada, Anna pociąga go za rękę, chcąc znaleźć się z dala od tej kobiety i jej spontanicznej poufałości.

Dziękuję, mówi Anna, tym razem chłodniej.

Nie, odpowiada kobieta, to ja dziękuję.

Na zewnątrz gorące powietrze jest niemal płynne, ciężkie od słonego zapachu portu. Gdzieś na wschodzie przetacza się grzmot i Anna sugeruje, żeby pojechali taksówką, ale Seth mówi, że woli się przejść; lubi brzemienne nasycenie powietrza, zapach i dźwięk nadchodzącej burzy. Oddalając się od centrum, idą promenadą przy budynku Opery. Żagle ponad nimi są fosforyzująco blade, połyskujące i delikatne na tle ciemnych chmur. Po lewej stronie w wodzie odbijają się światła miasta, neonowy blask reklam i halogenowy ogrom wieżowców rozlewają się po jej powierzchni, rozdzierając się niczym płynne włókno snu za każdym razem, gdy przepłynie prom albo wodolot. Na końcu promenady jest mniej ludzi, idą więc wolniej, ich ciała blisko. Z niedalekiego nabrzeża, niesiony wodą, dochodzi dźwięk jamajskiego bębna. Nad ich głowami galwaniczne żyły błyskawic tańczą wśród chmur, każdy błysk oświetla odległe zatoczki portu zmiennymi wzorami oślepiającej, upiornej bieli.

Wzdłuż zewnętrznej krawędzi promenady ustawiono jawajski teatr cieni. Na zalanej światłem lampy delikatnej zasłonie widać ciemne kontury wymyślnych kukiełek. Zebrał się niewielki tłumek, a Anna obserwuje, jak kukiełki, groźne i piękne, tańczą i kołyszą się, stylizowane ruchy rodzą się z nieodpartą, hipnotyczną logiką koszmaru. Wiatr od czasu do czasu porusza zasłoną, kształty kukiełek skręcają się i deformują, złowrogie postacie odbijają się w ustawionym z boku lustrze.

Czy zdarza ci się czasem czuć, jakbyś nie był prawdziwy?, pyta

Anna, obserwując, jak kukielki rzucają się na siebie i unikają ciosów. Jakbyś patrzył na swoje życie z zewnątrz?

Przez dłuższą chwilę Seth nie odpowiada, jego twarz pozostaje spokojna, niewzruszona.

Znam parę ociemniałych osób, które większość czasu spędzają w sieci, bo tam nie ma znaczenia fakt, że nie widzą, mówi. Niektórzy z nich twierdzą, że nie różni się to od prawdziwego życia, mogą rozmawiać, podróżować, a nawet uprawiać seks, jeżeli mają dostęp do kombinezonu.

A ty?

Zazdroszczę im. Ale nie chcę tego. Dla mnie to jak porażka, odwrót...

Ale?, pyta Anna, kiedy Seth przerywa.

Ale wciąż nie mam tego, co oni tam mają. Nie jestem pewien, czy potrafię to sobie choćby wyobrazić.

Gdy mówi, ciężkie krople deszczu padają na pokrytą kocimi łbami nawierzchnię. Czując je na policzkach i rękach, Anna spogląda w górę, gdzie ciemne masy chmur wiszą tak nisko, że wydaje się, iż zawadzą o żagle budynku Opery. Obok niej Seth wyciera twarz, jedna z kropel usadowiła się na szkle okularów. Deszcz zamienia się w ciepłe powietrze niemal równocześnie z uderzeniem o ziemię.

Chwytając go za ramię, Anna prowadzi go w stronę miejsca, gdzie mogą się schronić. Chociaż prawie wcale się nie odzywają, czuje jego ciało

obok siebie, jego bliskość. Ma wrażenie, że właśnie zaoferowano jej krótką chwilę wejrzenia w coś, co niewielu widzi, wejrzenia, które tak samo zaskoczyło jego, jak i ją. Znajdując taksówkę, wślizgują się na tylne siedzenie, ich ciała się rozdzielają, potem dotykają, potem znowu rozdzielają. Siedzący przed nimi kierowca trzyma za oknem papierosa, dym ulatuje w powietrze, gdy jadą. Ale kiedy Seth podaje mu adres, jego oczy pod ciężkimi powiekami bez mrugnięcia obserwują odbicie Anny we wstecznym lusterku.

Mieszkanie Setha znajduje się w bocznej uliczce odchodzącej od Surry Hills, zaledwie kilka przecznic od galerii Jadwigi. Taksówka staje, Anna wysiada, żeby pomóc Sethowi wydostać się na ulicę, ale on wyślizguje się z jej uścisku, rozkłada swoją laskę i rusza w stronę budynku, zostawiając ją, by szła za nim. Gdzieś w dole ulicy słychać muzykę i przebijające się przez nią odgłosy ruchu ulicznego. W ciemności przy drzwiach Anna patrzy, jak Seth wyciąga klucz, wkłada go do zamka. Cały czas jest świadoma, że taksówkarz ich obserwuje, ale nie odwraca się, nie chcąc dać mu satysfakcji z wiedzy, że nie daje jej spokoju.

Dziękuję, mówi Anna. To był wspaniały wieczór. I podziękuj ode mnie Rachel.

Dobrze, odpowiada. Ich ciała są teraz tak blisko, że prawie się stykają, ale jednak tego nie robią. Anna chce wyciągnąć rękę, dotknąć go, ale coś ją w nim ostrzega, mówi, żeby tego nie robiła.

Muszę iść, oznajmia. Taksówka czeka.

Stojąc w cieniu bramy, Anna patrzy, jak taksówka zawraca, jej światła przemykają po kremowym froncie bloku naprzeciwko; czuje ulgę, że wreszcie z niej wysiadła. Przez całą drogę powrotną taksówkarz gapił się na nią w milczeniu, jego oczy tkwiły w lusterku jak coś nieczystego, jego złość była niemal namacalna. Gdy zapłaciła, otworzyła bramę i weszła do środka w ciemność ogrodu, obserwując kierowcę siedzącego w oświetlonym wnętrzu pojazdu, skupionego na ekranie przy kierownicy. Z początku bała się, że nie odjedzie, ale w końcu zawrócił i ruszył swoją drogą. Wyślizgując się z powrotem na ulicę, patrzy, jak czerwona poświata tylnych świateł znika za rogiem. Przez dłuższy czas stoi tak i czeka, po czym z założonymi rękoma idzie powoli wąską uliczką w stronę klifów. Latarnie i domy są ciemne, nie wie, czy to przez burzę, czy z jakiegoś innego powodu, ale kiedy dochodzi do końca uliczki, widzi, że w Bondi i dalej na południe, jak okiem sięgnąć, też jest ciemno. Na krawędzi klifów znajduje kamienny występ i siada na nim, wiatr obejmuje ją niczym niewidoczne dłonie. Przez połowę drogi z miasta padał ulewny deszcz, ale tu jest sucho. Daleko ponad oceanem burza kroczy na szkieletowych kończynach błyskawic, niespokojne morze jawi się w wielkich płachtach niebieskobiałego światła. Gdy zamyka oczy, wciąż widzi błyskawicę, teraz czerwono-czarną, na-elektryzowane

powietrze trzaska i pełza jej po skórze. Samo przychodzi do niej wspomnienie tamtych upałów przed siedmiu czy ośmiu laty, kiedy pogoda zaczęła się zmieniać; ta dziwna, zbyt gorąca pora bezdeszczowych nocy, przetaczających się grzmotów i elektryczności w powietrzu gęstym od jonów. Pewnego wieczora w telewizji widziała, jak jakiś naukowiec wyjaśniał to zjawisko, mówiąc, że błyskawice są symetryczne, strzelają zarówno w górę, jak i w dół, ku ziemi. Przypomniała sobie wtedy lekcję w szkolnym laboratorium, bardzo dawno temu, ciężkie zasłony broniące dostępu światła, furkoczącą kulę iskrzącą na niebiesko ku uciesze dziewcząt. Włosy stające dęba w naładowanym powietrzu.

Tego lata mieszkała w kawalerce nad Darlinghurst, wysoko, tam gdzie stok wzgórza opada pionowo ku morzu na wschód od Sydney i Woolloo-mooloo, a stłoczone dachy i chylące się ściany domów ciągną się w dół, do portu. Mieszkanie było drogie, ledwo było ją na nie stać; jeden długi pokój zakręcał wokół ogrodu na dachu. Za dnia panował tam upał, palące słońce przenikało przez porysowane szkło ścian, promieniowanie ultrafioletowe było tak silne, że ledwie mogła otworzyć oczy. Ale nie płaciła za dni, płaciła za noce, kiedy to dach stawał się zaczarowanym miejscem, platformą zawieszoną w powietrzu ponad miastem, a domy i port leżały poniżej. Cytrusowy zapach kumkwatu w doniczkach, słodka woń jaśminu i oleandrów dolatująca z ogrodu... Wszystko wtedy zakwitło poza sezonem - zakłócenie spowodowane elektrycznością z powietrza.

Nocami Anna długo tam przesiadywała, słuchała dźwięków ulic, samochodów i dudniących ciężarówek, skrzypiącego ryku śmieciarek w czasie ich nielegalnych nocnych kursów w połowie drogi z restauracji do tajemniczego miejsca, gdzie wyrzucano śmieci, gdy wysypiska były pełne. Śmiech, głosy, niedbała harmonia samońskiej muzyki, dźwięki wznoszące się jakby z bardzo daleka...

Nikt nie spał tego lata - jak rośliny, wszyscy byli podekscytowani na-elektryzowaniem - i Anna spędzała długie noce, czytając Ondaatje, Allende i Marqueza, marząc o miłości, podczas gdy błyskawice ściagały się i igrały na nocnym niebie, oświetlając ciemnogrnatowe masy chmur zaścielających firmament.

Tego lata skończyła dwadzieścia pięć lat; świętowała urodziny w swoim magicznym ogrodzie, jej znajomi bez końca tańczyli w takt „Moon River”, trochę jedząc, popijając sorbet zmieszany z wódką, przesłodzony i zabójczy, aż o czwartej przyjechała policja. Anna powitała ich w drzwiach z włosami upiętymi w stylu Audrey Hepburn, z lufką od papierosów pijacko zwisającą z ust. Jej źrenice wyglądały jak spodki po połówce tabletki ecstasy. Jeden z policjantów pozwolił jej pocałować się w policzek, jej oddech był słodki od alkoholu, usta zimne od sorbetu. A kiedy wszyscy już poszli, ona i Daniel siedzieli, paląc syntetyczną trawę i śmiejąc się, podczas gdy błyskawice tańczyły po kopule nieba przedświt. Oboje czuli intuicyjnie obecność ukrytej sieci dziwnych znaczeń utkanej z

ecstasy, trawki i alkoholu, aż słońce weszło powoli w bok od masywnej bryły Heads, daleko na wschodzie, a Daniel pozwolił, by jej głowa spoczęła na jego kolanach, duszący zapach jego skórzanego ubrania panoszył się w jej nosie, pocieszając jak jakieś zaginione wspomnienie z dzieciństwa. I zapadła w płytki, rozmarzony sen w ciszy świtu. Przedtem jednak Daniel powiedział jej, że ma zamiar ubiegać się o posadę wykładowcy na Uniwersytecie w Hongkongu, a ona zaśmiała się, zapytała dlaczego. To dobra posada, odparł, mają fundusze na badania w mojej dziedzinie. A poza tym wszystko, co z tym związane, dzieje się w Azji, tan wszystko się łączy To wszystko dzieje się wszędzie, powiedziała wtedy, jakbyśmy przyspieszali w drodze ku przyszłości. Ta ostatnia uwaga wydała się jednocześnie głęboka i śmieszna. Przyjmę tę posadę, jeśli mi ją zaoferują, oznajmił cichym głosem, a ona pocałowała jego dłoń, gdy odgarniał włosy z jej oczu.

Tego lata odbyła się jej trzecia wystawa, wystawa, która została wyprzedana w kilka minut po otwarciu, a *Herald* okrzyknął ją gwiazdą, wyraźnie i niedwuznacznie. Potem dzwonili właściciele galerii z Nowego Jorku, Szanghaju, Hongkongu, Paryża, a Anna odkryła, że znalazła się? centrum uwagi, gdzie kiedyś być pragnęła, a teraz okazało się to dla niej niewygodne. Tego lata pozwoliła, by kolor ponownie nasycił jej prace, stłumiona morska paleta błękitu, zieleni i macicy perłowej. Geologiczne barwy wylaniały się spośród ciemnych wzorów zdjęć niczym woda

drażąca kamień. Była to wystawa, na której nie pojawił się Daniel, a ona, prawie rozhisteryzowana z powodu stresu i szczęścia, i ulgi, i strachu związanych z jej otwarciem, nie zauważyła jego nieobecności aż do czasu, gdy spytała o niego Jadwiga. Zabrzmiała w niej wtedy jakby dziwna pustka, napięcie kilku ostatnich tygodni zaczęło ustępować, pozostawiając ją wydrażoną i zmęczoną.



Opuszczając dłoń, kładzie ją na występie skalnym, w ramach doświadczenia zamykając oczy, usiłując jeszcze raz wyobrazić sobie, jak to jest być niewidomym: szorstkie, drażniące ciepło kamienia wciskające się w jej skórę, skrzypiący piasek, wciąż obecne w nim gorąco dawno zakończonego dnia. Coś tu jest, wie to na pewno, jakiś wzór ukryty pod powierzchnią tych przedmiotów, wzór tego, co czuje, coś tak nierealnego, a jednocześnie namacalnego jak linie mocy, które prowadzą ptaki przez ogrom oceanu, jak tajemny język magnetyzmu wpisany w materię kamienia. Me za każdym razem, gdy próbuje pochwycić to swoim aparatem, to coś jej się wymyka, podszeptany wzór ginie, kiedy obraz się krystalizuje, pozostawiając jedynie pusty kształt i kolor, nieme niczym sunące chmury, formy bez znaczenia.

Przestrzeń, powierzchnia, czas. Myśli przemykają w jej głowie, łączą się ze sobą, a w końcu wyślizgują i na powrót dzielą, jak krople wody, jak imię na końcu języka. Już je prawie ma, prawie może je wymówić, a

jednak nic z tego nie wychodzi.

Jeszcze nie.

apokryf

(4)

Od ponad stulecia kręgi naukowców mają tendencje do redukowania, twierdząc, że aby zrozumieć świat we właściwy sposób, należy rozbijać go na coraz mniejsze jednostki, a potem studiować właściwości każdej z nich z osobna. Najbardziej znaczącym sukcesem stosowania takiej metody jest niewątpliwie poznanie molekuly DNA oraz niezliczona ilość odkryć w dziedzinie genetyki, która się z tym wiązała.

Jednak ów program naukowego redukcjonizmu pośrednio zakłada, że poszczególne jednostki, badane każda z osobna, są źródłem wszystkich właściwości każdego danego zjawiska, albo mówiąc prościej, że całość to nic innego jak suma części składowych. W dziedzinie biologii wynikiem takiego założenia była szerząca się teoria, że badanie życia jest równoznaczne - nie zaś komplementarne - zbadaniem genomu, co mogłoby oznaczać, że da się zrozumieć życie, znając kod DNA, a co więcej, że DNA to życie samo w sobie.

Ale podobnie jak nie da się wyjaśnić zjawiska wiru, który pojawia się, gdy z wanny pełnej wody wyjmujemy korek, poprzez wgląd w pojedyncze cząsteczki wody, tak zjawisk, które utożsamiamy z życiem, nie można wyjaśnić wyłącznie poprzez zbadanie DNA. Te wzory

bowiem, samowystarczalne systemy zorganizowanej materii, które nazywamy organizmami, to w istocie skomplikowane i wciąż trwające procesy interakcji pomiędzy niezliczoną ilością ich części i środowiskiem, które zamieszkują. I podobnie jak wir jest widzialną właściwością wielkiej ilości cząsteczek wody wspólnie zaangażowanych w transfer materii i energii z wanny do ścieku, tak życie jest widoczną właściwością organizmu, którego DNA nie definiuje ani nawet nie stanowi jego niezbędnej części.

SETH LAMARQUE, *Język muszli*

MIŁOŚĆ

Tylko głupcy, szarlatani i kłamcy potrafią przewidzieć trzęsienie ziemi.

CHARLES RICHTER

Najpierw pomyślała, że to zatrzęsnęły się drzwi. Burza nadeszła, gdy spała, a na zewnątrz mokry wiatr hulał wśród drzew. Jakiś pies zaczął szczekać, potem następny. Potem znowu ten dźwięk, nie drzwi, ale grzmot, albo coś podobnego. Okno zaklekotało o framugę, raz, drugi. W dolinie za oknem do lotu poderwało się stado czapli, ich krzyki odbijały się rozpaczliwym echem.

W słabym świetle widziała jego twarz, na wpół odwróconą, pogrążoną głęboko w intymnym świecie snu. Jej twarz przy jego plecach, zapach jego włosów na poduszce... Była tak blisko, że czuła jego promieniujące ciepło, ale gdy uniosła dłoń, żeby dotknąć skóry wystającej spod skłębionej pościeli, poczuła, jaka jest zimna, pokryta gęsią skórą w wilgotnym powietrzu.

Poruszyła się niepewnie, czując bawełnianą pościel prześlizgującą się po piersiach, brzuchu, udach, tępe pulsowanie otarcia między nogami. Nad nią, nad siatką moskitiery, powoli poruszał się wentylator, jego cień wirował na rzeźbionym, tekowym dachu. Skórę miała naelektryzowaną,

każde doznanie wzmocnione. Czula się tak, odkąd wysiedli tamtego ranka z samolotu na lotnisku Phuket; jej ciało było rozdrażnione, jak gdyby jego rytmy nie mogły się zgrać z ruchem ziemi. Nagle okno raz jeszcze uderzyło o framugę; poczuła, jak echo huku przetacza się przez jego ciało, tworząc zmarszczkę na powierzchni snu. Wymamrotał coś niewyraźnie, ściągnięcie brwi zakłóciło spokój jego twarzy. Trzęsąc się w zimnym podmuchu powietrza, uwolniła z pościeli nogi, wstając, żeby zamknąć okno.

Podłoga pod jej stopami była mokra w miejscach, gdzie razem z wiatrem wpadł deszcz.

Z okna widać było dolinę poniżej. Plaża zatoki była półksiężycem srebra naznaczonym przez atramentowe kreski malowanych łodzi rybackich, wyciągniętych na brzeg daleko poza linię przypływu. Blask księżyca wylaniał ją z ciemności i umieszczał w świecie żywych, gdy stała przy otwartym oknie. W powietrzu unosił się żyzny zapach deszczu.

Drżąc w chłodnym wietrze, pchnęła okno i próbowała je zamknąć, ale nie przystawało do framugi. Spróbowała jeszcze raz, naciskając mocniej, ale ono wciąż nie chciało się zatrzasnąć. Palcami obmacała futrynę i stwierdziła, że nie pasuje już do kształtu skrzydła, jakby rama została wybrzuszona przez jakąś niewidzialną siłę. Nie wiedząc, co zrobić, dopchnęła je mocno, wciskając zasuwkę, żeby utrzymała je na miejscu.

On spał spokojnie na łóżku. Zakładając przed sobą ręce, oparła się o

okno, na które naciskał wiatr. Jego czoło nie było już zmarszczone, ale pozostało napięte, jakby w zdumieniu; cienie drzew igrały na jego twarzy niczym woda, zmienny wzór miękkiego światła, błękitnego cienia.

Rozbrajał ją swym dotykiem. Wystarczyło, aby położył rękę na jej plecach, przeciągnął dłonią po twarzy czy nodze, a ona nie mogła się odezwać, poruszyć, jej zmysły były jak pijane. Gdy nie przebywali razem, był jak narkotyk, jego nieobecność tak natychmiastowo odczuwalna, tak niewypowiedziana jak głód uzależnienia, zawstydzająca, okropna. Z każdą godziną czuła, jak poddaje się potrzebie jego bliskości, aż sama stawała się tą potrzebą, aż nie było już miejsca na nic innego. Ale gdy był w pobliżu, to było jak szaleństwo, obłąd ciała, pragnęła go jak opętana, głodna, pijana niczym zwierzę w czasie rui.

Miłość to potrafi, niszczy nas. Pływowy ruch w materii naszego ciała równie nieustanny jak ścieranie się kontynentów pod naszymi stopami; ciśnienie narastające do czasu, aż poddaje się chwili furii i następuje kataklizm, kamienie poruszają się jak woda, niszcząc wszystko, co było pewne, bez ostrzeżenia, bez odroczenia.

o

Pojawił się w drzwiach przed nią, idąc tyłem po schodach i krzycząc coś do osoby stojącej wyżej, potrącił ją i przewrócił.

Wciąż się śmiejąc, okręcił się, a jego uśmiech zgasł, gdy zobaczył,

jak Daniel pomaga jej się podnieść.

O kurwa, rzucił, a jego akcent sprawił, że przekleństwo zabrzmiało prawie delikatnie. Nie zauważyłem cię. Wszystko w porządku?

Nic mi nie jest, odparła; ludzie dookoła potrącali ją, ale on już wyciągnął dłoń, złapał ją za rękę. Unosząc wzrok, zobaczyła, że jest pijany, jego oddech słodki od wina, twarz półprzytomna, włosy rozczochrane. Ale nawet różowość zarumienionej skóry nie była w stanie ukryć delikatnych linii jego twarzy, brudnozłotej fali opadających włosów. Jego ust. Wciąż czuła dłoń Daniela na swoim ramieniu. Oswobodziła się, a obcy jakby po raz pierwszy go zauważył, zmrużył oczy, spoglądając to na nią, to na niego. Za jego plecami dwaj koledzy zaczęli powoli klaskać.

Chwytając za rękę, obrócił ją lekko i powiedział coś, co zostało zagłuszone przez ryk syreny.

Co?, krzyknęła do niego.

Rozdarłaś sobie sukienkę, powiedział. Zerkając w dół, stwierdziła, że to prawda: tkanina rozpruła się od podłożenia w górę i teraz powiewała jak szmata.

Pozwól, że za nią zapłacę.

Pokręciła głową. Trudno jej było się skoncentrować: adrenalina, alkohol, jego zapach przyprawiły ją o zawroty głowy, trudności z wysłowieniem się, jąkanie.

Nie, nie mogłabym...

Proszę... Gdybym patrzył, gdzie idę, nic by się nie stało, nalegał, ale nim zdążyła odpowiedzieć, obok niego pojawiła się jakaś kobieta, Chinka, czy raczej Euroazjatka, o gibkim ciele okrytym lśniącym, syntetycznym futrem; holograficzny makijaż tańczył jej na policzkach.

Chodź wreszcie!, rzuciła, ciągnąc go za rękę. Zerkając na Annę, uśmiechnęła się nieszczerze. Przykro mi, zaszczebiotała, ale on musi już iść!

Może chociaż do ciebie zadzwonię, zaproponował. Jaki masz numer?

Nie mam długopisu, odparła słabo, lecz on, siłując się ze swoją upartą koleżanką, zbył tę jej wymówkę.

Nie szkodzi, rzekł, mam dobrą pamięć do liczb.

Spojrzała bezradnie na Daniela, stojącego obok w milczeniu.

Ja też, rzucił kwaśno, po czym wytrąkotał osiem cyfr. Obcy miał jeszcze coś dodać, ale właśnie wtedy obok nich serią strzałów wybuchła taśma z petardami. Anna podskoczyła, a on już zniknął w gęstniejącym tłoku. Gapiła się za nim, nagle zdając sobie sprawę, że palą ją policzki.

Wiele miesięcy później miała rozmyślać o tym spotkaniu, o jego nieprawdopodobieństwie. Gdyby jedno z nich bardziej wtedy uważało, mogliby przejść obok siebie w tłumie i nigdy się nie poznać. Tak wiele rzeczy mogłoby się wtedy potoczyć inaczej.

Przyjechała do Hongkongu odwiedzić Daniela. Znalazła się tam na dwa dni przed chińskim Nowym Rokiem, miasto pękało już w szwach: ulice i deptaki pełne były ludzi, kwiatów i hałasu. W parkach do gałęzi kleiło się brzoskwiniowe kwiecie, okna sklepów i mieszkań ozdobione były girlandami szklarniowych narcyzów, zakupionych na straganach, które zdawały się wyrastać na każdym rogu niczym grzyby po deszczu. Niezliczone papierowe łuski po petardach zaśmiecały chodniki, czerwone jak płatki róż.

W wigilię Nowego Roku Daniel i Briar zabrali ją do restauracji na zboczu wzgórza, by obejrzeć pokaz sztucznych ogni; wraz z innymi gośćmi tłoczyli się na balkonach i patrzyli, jak niebo nad zatoką eksploduje, jak opadają płachty kolorowego ognia, a tańczące lasery odbijają się w gładkiej powierzchni wody i szklanych ścianach wieżowców.

A potem ze śmiechem przepychali się na wpół pijani przez mrowie na ulicach, krzycząc, by zostać usłyszanym w zgiełku petard i motorowerów, walenia w bębny i pulsującego techno; patrzyła jak Daniel i Briar przystają, żeby się pocałować - ich ramiona i ciała splecione, nieświadome hałasu dokoła - i wpadła na mężczyznę wychodzącego tyłem z jakichś drzwi.



Oboje wiedzieli, że to się stanie.

Już tego pierwszego dnia to wiedzieli; jedynym pytaniem było kiedy. Dwa dni po tym, jak ją przewrócił, jechali windą do jego mieszkania. Zjedli w barze w terminalu promowym, popijając z piwo butelek, a potem przeszli się wzdłuż nabrzeża, przyglądając się łodziom i pobliskim wysepkom unoszącym się na ciemnej wodzie. Aż do czterdziestego piętra stała naprzeciwko nich ponura para Chińczyków w średnim wieku, wszyscy czworo gapili się gdzieś na boki, z uporem unikając wzroku współpasażerów. Gdy minęli trzydzieste szóste, on mrugnął go kobiety, szeroki uśmiech przepołowił mu twarz, lecz niemal natychmiast znów przybrał obojętną minę. Anna przyglądała się zaskoczonyj minie kobiety, dusząc w sobie chichot, gdy zabrzmiał gong, a Chinka szybko podążyła za swoim towarzyszem na korytarz. Od jego spojrzenia poczuła zarazem bezradność i radość, gdy zamknęły się drzwi, i nagle niczym w konwulsjach oboje zaczęli objąć się o ścianki windy, jej usta na jego, jego dłonie unoszące ją do góry, gorące, natarczywe. Kiedy dojechali na właściwe piętro, wcisnął dłoń pomiędzy drzwi windy, żeby się szybciej otworzyły, gdy szukali się nawzajem pośród rozpinanych koszul, kurtek, gdy skóra pragnęła dotyku skóry.

W sypialni ściągnęli z siebie ubrania, wysupłując się z nich i kopiąc na boki w chwili wesołości, która zaraz przeszła w coś innego, coś bardziej mrocznego. Czowała smak krwi w swoich ustach, słyszała jego szybki, urywany oddech w swoim uchu. Gorączka jego wejścia...

Milczenie obojga...

Za drugim razem było spokojniej, ich wargi, dłonie, języki badały się nawzajem, poznawały swój smak. Przerazało ją to, jak zatracała się we wspólnym ruchu ich ciał. A na koniec ocierała się policzkiem, ustami o jego dłoń, chwytiała ją zębami niczym kotka, wstrząsana falą orgazmu. Potem leżąc obok niego - jego twarz tak blisko, że rozróżniała każdy jej najdrobniejszy szczegół - zaczęła drżeć, dygotała tak gwałtownie, że przyciągnął ją do siebie, tulił jej głowę do swojej szyi, ogarniał ją całym swym ciałem. W jego ramionach czuła się taka mała, taka krucha. Zapach jego skóry i wody kolońskiej przylegał do niej niczym farba, woń jej perfum pozostawała na jego palcach i twarzy.

W końcu w szarym świetle świtu oboje byli niemal całkowicie wyczerpani, jego ciężar spoczywał na jej udach, wplątany w jej wyciągnięte ramiona, unosił się nad nią, ich falujące ciała prawie się nie stykały, rwały się gorące oddechy; potrzebowała tego, potrzebowała jego, jej ostatni spazm był brutalną torturą, bólem bardziej niż przyjemnością.

○

Nie wiem, jak się nazywasz, powiedziała, kiedy zadzwonił, a on się roześmiał. Jared, rzekł. Jared Steerforth.

○

Zdjęcia wisiały nad telefonem, cztery czarno-białe ujęcia Daniela i Briar z budki fotograficznej. Zobaczyła je w wieczór swego przyjazdu,

taksując krótko niezbyt zainteresowanym spojrzeniem profesjonalisty. Na dwóch fotkach stroili głupie miny, na trzeciej Briar żartobliwie popychała Daniela, fryzurę miała potarganą, sterczącą do góry, a na czwartej się całowali. Ręka Daniela spoczywała na jej karku, przyciśnięta do włosów. Jej broda była lekko uniesiona ku górze, usta rozchylone, jak gdyby słuchała jakiegoś sekretu, który szeptał jej Daniel, wydychając go w nią, pociągając namiętnie jej dolną wargę, podczas gdy górna sterczała delikatnie wysunięta. Otwartą dłoń przycisnęła do jego ramienia, jakby opierała się rzece uczuć, które wydawały się przez nią przepływać. Jej włosy wciąż w nieładzie...

Dopiero później Anna dostrzegła, jak naturalne było to ostatnie ujęcie. Była w nim jakaś intymność, która sprawiała, że bycie świadkiem tej chwili wydawało się swego rodzaju wścibstwem, czymś na krawędzi podglądania tym gorszym, że oboje nie zwracali uwagi na baczne oko aparatu, że na zdjęciu pochwycony został moment niezwykle osobisty, moment rozdzielenia stopionych w jedno ciał. Papier fotograficzny, przypięty pinezkami na górze i u dołu, zwinął się do środka w wilgotnym powietrzu; Anna jednym palcem przeciągnęła po twarzy Daniela, wygładziła zdjęcie, czując pustkę, która nękała ją od chwili przyjazdu, większą niż kiedykolwiek przedtem.

Chciała tu przyjechać: Daniel tak wiele opowiadał jej o Briar, a Sophie, która poznała ją w drodze powrotnej do Stanów, z Gwynny,

stwierdziła że ich brat wydaje się bardzo szczęśliwy. Jednak na lotnisku Briar ucałowała ją szybko, zachowywała się grzecznie, lecz chłodno, a jedno jej spojrzenie natychmiast oznajmiło, że nigdy nie zostaną przyjaciółkami. Za to Daniel był taki sam jak zawsze i już po kilku minutach zaśmiewali się, rozmawiając swym prywatnym językiem żartów i aluzji, niezrozumiałym dla kogoś z zewnątrz. Briar przyglądała się im z nieprzystępną twarzą. Gdy byli już w ich mieszkaniu, Anna patrzyła, jak oboje szykują kolację, jak Briar otwiera się na jego dotyk, jego uwagę. Widziała również, jak oczywistą przyjemność czerpie z jej obecności Daniel: gdy dłużej przytrzymał rękę na jej ramieniu, gdy całowali się w niszy przy drzwiach, sądząc, że ona rozpakowuje swoje rzeczy.

Początkowo szukała najmniejszych oznak, że się zmienił, że bliskość, która zawsze ich łączyła, zanikła albo została w jakiś sposób ograniczona. Stopniowo zaczynała jednak dostrzegać, że jest po prostu szczęśliwy, tak szczęśliwy, jakim go jeszcze nie widziała. Lecz zamiast ulgi, poczuła niepokój. Obserwując go z Briar, zaczęła się zastanawiać, czy to coś, co z nim dzieliła, szaleństwo, które ogarniało ich, gdy byli razem, dziki, niemal histeryczny śmiech i dziecinne zabawy były tak prawdziwe, tak szczerze jak to sobie zawsze wyobrażała. Pierwszej nocy Briar poszła do łóżka zaraz po kolacji, zostawiając ich samym sobie, a on, trzymając dłoń we włosach siostry, wyznał, że kocha Briar, powiedział, że jego samego zadziwia to i pochłania. Obracając się tak, by go widzieć,

zobaczyła wtedy, jak się oddalił, gdy to mówił, wycofał się do prywatnego świata, który teraz należał do Briar, do świata, do którego ona nigdy nie będzie miała wstępu, którego nigdy nie będzie mogła z nim dzielić.



Spotkała się z nim w parku naprzeciwko Grobu Nieznanego Żołnierza. Daniel wyjaśnił jej, jak dojść, a ona gnała przed siebie całą drogę, chcąc już wreszcie tam być. Gdy błądziła wśród ulic i zaułków, jasne i blade promienie słoneczne padały między budynkami. Od jej przyjazdu wiatr wiał z północy, niskie, zwaliste chmury toczyły się od horyzontu do horyzontu, przejmująco zimny deszcz zalewał ulice całymi płachtami wilgoci. Ale w nocy ponure mgły rozproszyły się, pozostawiając po sobie jedynie Przenikliwy wiatr, który gwizdał pośród ulic, pchając przed sobą śmieci Poprzedniego wieczora.

Czekał już, gdy przysła, rozwaliwszy się na ławce przy fontannie. Nie widział, jak nadchodzi, i przez kilka sekund nie zbliżała się do niego, obserwowała. W dziennym świetle wyglądał inaczej, bardziej blado, wydawał się trochę niższy, ale jego twarz była równie piękna jak poprzedniej nocy, jego włosy zmierzwione przez wiatr. Nagle odwrócił się, uśmiech rozjaśnił jego twarz, gdy wstał jej na spotkanie. Roześmiali się oboje, stojąc niezręcznie, niepewni, jak się przywitać.

Więc jesteś, powiedziała.

Sądziłaś, że nie przyjdę?

Zaśmiała się, beztrosko i radośnie. Nie.

Całe popołudnie włóczyli się uliczkami i alejami: ich ciała stosownie od siebie oddalone, każde ich zderzenie niczym wstrząs chwytający za serce. W końcu, gdy słońce zaczęło zachodzić, usiedli na jednej z brudnych ławek pośród listowia na Peak. Pod nimi rozciągało się miasto, jastrzębie krążyły ponad dachami, cienie chmur pędziły po powierzchni wody i wspinały się po ścianach wieżowców. Oboje kulili się przed wiatrem, Anna zadowolona, że wzięła skórzaną kurtkę.

Sądziłam, że w Hongkongu panuje tropik, narzekala.

Nie zimą, sprostował. A poza tym pory roku się popieprzyły. W zeszłym roku w styczniu padał śnieg i na Nowy Rok nie zakwitły drzewa. Ludzie mówili, że to zły znak. Za to ostatnie lato było rekordowo upalne. Zamilkł i spojrzał na nią, a Annę ogarnęła tak ogromna czułość, że z trudem zapanowała nad drżeniem. Dopiero co się poznaliśmy, powiedział w końcu, a jednak czuję się tak, jak gdybym znał cię od zawsze. To głupie, nawet nie wiem, czym się zajmujesz.

Jestem fotografem, odpowiedziała. A ty?

Pracuję na giełdzie.

Handlujesz akcjami? Więc nosisz jedną z tych okropnych marynarek?

Uśmiechnął się szeroko. Dzięki Bogu, nie, zajmuje się głównie walutami. Większość roboty odwalają komputery, ja jestem dla nich

czymś w rodzaju mózgu.

Podoba ci się to?

Tak, odparł, chyba tak. Gospodarka światowa jest obecnie skomplikowana jak jakiś potężny organizm, ekosystem, w którym istnieją pływy, klęski głodu, pożary. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek nad tym panowaliśmy, ale obecnie jest tak, jakby chciało się przejąć kontrolę nad pogodą.

A ty mimo wszystko próbujesz?

Nie kontrolować, raczej ujarzmić. Jeśli jesteś szyprem, nie zdołasz uciszyć burzy, ale możesz spróbować przed nią uciec, przetrwać ją. W mojej pracy nie chodzi tylko o dolary i jeny, i nic nieznaczące ciągi cen towarów to jest ogromny, wciąż zmieniający się świat. Jest niebezpieczny i skomplikowany, ale jest również piękny, jeśli wiesz, jak na niego patrzeć. Czy to nie brzmi dziwnie?

Anna kręci głową. Chyba jeszcze nigdy nie słyszałam, by ktoś mówił o ekonomii tak pięknie; ale nie, gdy tak to ujmiesz, to wcale nie brzmi dziwnie. Prawdę mówiąc, bardzo przypomina mi to pracę mojego brata.

To ze swoim bratem byłaś wczoraj wieczorem?

Tak, z Danielem. Jesteśmy bliźniętami.

Mieszka tu?

Jest matematykiem na Uniwersytecie. To praca kontraktowa, w grupie badawczej, która pracuje nad jakimiś złożonymi ciągami.

Długo już tu jest?

Od maja.

Jared pokiwał głową, jak gdyby trawił tę informację. I jak mu się podoba?

Hongkong?

Nie, Uniwersytet.

Chyba go lubi. Dlaczego pytasz?

To dość niepewne miejsce. Sporo demonstracji, strajków i takich tam. Władze przymykają na to oko, ale ja często się martwię, widząc, co wyprawiają niektóre grupy studentów, żeby sprowokować rząd.

Nie jesteś za demokracją?

Jared pokręcił głową. Oczywiście, że jestem. Za secesją też, przynajmniej z zasady. Ale jestem realistą i mieszkam tu już od dłuższego czasu. Zmiany, jakich oczekują ludzie, będą powolne i bolesne, a ostatnie, czego tu potrzeba, to taka tragedia, jaka zdarzyła się na Tiananmen.

Chyba nie sądzisz, że do czegoś podobnego może dojść w Hongkongu, co?

Znów pokręcił głową. Teraz raczej nie.

Odchyliła się, mierząc go wzrokiem. Po chwili Jared podniósł głowę, napotkał jej spojrzenie, uśmiechnął się.

Twój brat na pewno jest zbyt rozważny, by mieszać się w takie rzeczy, rzekł, ale jakoś nie wyczuła szczerości w jego głosie.

Patrzyła na niego przez dłuższy czas. Dwa wieczory wcześniej Daniel i Briar zabrali ją na miasto z grupą znajomych. Jeden z nich, Chiu, również matematyk, rozwodził się o ruchu demokratycznym, o ich codziennych problemach z organizacją, o aresztowaniach i pogłoskach o inwigilacji. Briar wtórowała mu, jak gdyby był to temat, który dobrze rozumiała. Daniel tylko siedział i słuchał, na jego ustach gościł niedbały uśmiech, wyraz, który łączył w sobie rozbawienie i niejasną obojętność. Jednak później, gdy wychodzili, zobaczyła, jak jej brat i Chiu spierają się przyciszonymi głosami, a palec Daniela dźga pierś drugiego mężczyzny.

Daniel nigdy nie angażował się w politykę, powiedziała. Nagle zerknęła na zegarek. O, cholera!, wykrzyknęła, Daniel!

Jared wstał. O co chodzi?

Miałam z nim iść na kolację. Zapomniałam.

o

To jego zawodne serce...

Po raz pierwszy dowiedziała się o nim trzy miesiące po tym, jak się poznali, na przyjęciu, na które zaprosili ich Daniel i Briar. Hałaśliwa, beztroska impreza, której dźwięki rozbrzmiewały na całym piętrze bloku, a na której spotkali się studenci, wydawcy, producenci telewizyjni i wykładowcy, znajomi czwórki, która ją zorganizowała: dwójki naukowców, pisarza i dziennikarza. W jednym ze spokojnych pokoi Daniel wyjął torebkę koki, uformował działkę dla siebie, Briar i Anny,

która wciąż się rozglądała, niepewna, gdzie jest Jared, za to świadoma, że nie czuje się tu najlepiej; martwiła się o niego. Nagle otworzył drzwi i zajrzał do środka w chwili, gdy Briar wycierała nos.

Jared, stary, odezwał się Daniel, małpując jego akcent, masz ochotę na działkę?

Jared pokręcił głową.

Nie, odparł. Dzięki. Jego głos brzmiał chłodno.

Na pewno?, zapytała Briar. To dobry towar.

Jared patrzył to na jedno, to na drugie, tylko nie na Annę, która stanęła obok niego.

No dalej, zachęcała, lekko szturchając go łokciem. Popatrzył na nią z nieodgadnioną miną.

No dobra, przystał w końcu po długiej chwili wahania, po czym wziął od Daniela tysiąc dolarowy banknot, zwinął go ciasno i pochylił się w stronę stołu.

Anna nie widziała, jak Daniel na niego patrzył, nie widziała wyzwania w jego oczach.

Dziesięć minut później na balkonie sypialni pomagała mu wstać na nogi; był blady i kręciło mu się w głowie.

Co się dzieje?, spytała, a on spojrzał na nią oczami ciemnymi od gniewu.

To przez kokę, mam chore serce.

Co? Dlaczego nie powiedziałaś? Poczula, jak w jej ramionach obraca się w kamień, jego ciało sztywnieje, nie reaguje, nawet gdy jej własne serce zaczyna walić jak młotem.

Nie sądziłem, że to ma jakieś znaczenie.

Oczywiście, że ma. Chcesz, żebym kogoś wezwała?

Nie, nic mi nie będzie, powiedział głosem bez wyrazu. Pogłaskała jego włosy, ale on nie spojrzał na nią, tylko wpatrywał się w rozsypane w dole światła, w łodzie stojące w porcie. Z mieszkania dobiegł ich dźwięk tłuczonego szkła, gwizdy i okrzyki radości.

Później ich ciała negocjowały przebaczenie w ciszy łóżka, aż oboje poczuli się nadwrażliwi i smutni.

Przepraszam za dzisiejszy wieczór, powiedziała, gdy leżeli w ciemności. Pocałował ją w koniuszki palców.

To nie była twoja wina.

Właśnie że tak, odparła. Powinna była wiedzieć, że to impreza nie dla ciebie... nie dla nas.

A ja nie powinienem był dać się namówić.

I wtedy, nieświadoma jeszcze zdrady, wypowiedziała to. Źle zrobił, że cię sprowokował. Nie wiem, dlaczego jest taki zazdrosny.

To nie twój problem, tylko jego.

Masz rację, rzekła, wiem.

Mieli jeszcze cztery dni przed jej wyjazdem. Sesja fotograficzna w Australii, której nie mogła przełożyć, zaczynała się piątego rano. Przełożyła jednak lot i przyleciała dopiero godzinę przed rozpoczęciem zdjęć, wychodząc z samolotu w cuchnącą benzyną wilgoć lata w Sydney. Wszystko wydawało się jej odległe jak podczas halucynacji z powodu braku snu. Jego nieobecność była jak zaburzenie w jej istnieniu, jak coś nie całkiem realnego.

Ostatniego ranka zbudziła się wcześnie. Odkryła, że łóżko obok niej jest puste. Jared wstał przed świtem, ubierając się w świetle sączącym się przez drzwi łazienki. Gdy pochylił się nad nią ze skórą świeżą od kremu do golenia i mydła, pocałowała go i opadła z sił, smakując jego usta, figlarnie próbując wciągnąć go z powrotem do łóżka. Jednak on zaśmiał się tylko i wyswobodził z jej uścisku.

Muszę iść, oznajmił. Mam spotkanie.

Po raz drugi obudziło ją bębnienie deszczu o szyby; w pokoju było ciemno jak w zimie. Wstała i podeszła do przeszklonej ściany, wyjrzała na kłębiące się pasma napływających z północy chmur, które rozbijały się o budynek. Pośród szarugi wznosiły się milczące kształty wieżowców, ich oświetlone okna wydawały się unosić w półmroku. Powoli przeszła przez mieszkanie, tak ciche bez niego. Spojrzenie na zegar przy łóżku uświadomiło jej, że zasnęła, ale gdy zadzwoniła do Daniela, z którym miała spędzić ten dzień, on nie odebrał telefonu, a na wideosekretarce nie

zostawił żadnej wskazówki, gdzie go można znaleźć.

Nim skończyła się ubierać, deszcz przeszedł w mżawkę, w której ulice na zewnątrz wyglądały na brudnoszare, przejeżdżające taksówki i inne samochody szumiały na mokrym asfalcie. Pokonanie drogi do mieszkania Daniela zajęło jej pół godziny. Idąc tam, przez cały czas miała nadzieję, że już wrócił, ale gdy otworzyła drzwi, od razu wyczuła, że go nie ma. Notka przy telefonie poinformowała ją, że jest na lunchu z Briar. Nie sugerował, żeby zadzwoniła.

Zgniotła karteczkę jedną ręką, jak gdyby zniszczenie jej mogło usprawiedliwić jej spóźnienie. Od Nowego Roku, kiedy zadzwonił Jared, prawie nie widywała brata. Dwa dni temu we czwórkę - Anna, Daniel, Jared i Briar - jedli razem w restauracji nad wodą. Jak tylko tam dotarli, Anna przekonała się, że był to błąd, cicha niechęć Briar sprawiła, że wszyscy czuli się podenerwowani. Usiłowała nawiązać kontakt z Danielem, ale nie mogła, jakby się przed nią cofał; i gdy z każdą chwilą coraz bardziej ją to przerażało, czuła, że Jared obok niej staje się z kolei coraz bardziej spięty. Pragnęła jedynie, żeby Daniel podzielał jej radość, żeby dojrzał, iż może, tylko może, jest to miłość, która jej nie przychodziła tak łatwo jak innym, jednak im bardziej się starała, tym gorzej wszystko zdawało się iść. A potem to posępne milczenie Jareda, gdy szli ciemnymi ulicami, jego ciało zimne pod jej dotykiem...

Po tamtym obiedzie kontakty jej i Daniela ograniczyły się do kilku

rozmów telefonicznych; każdą chwilę spędzała z Jaredem, oboje zamieszkiwali dziwny, beczasowy świat nowej miłości, jedząc mięso z grilla w jasno oświetlonych restauracjach o czwartej nad ranem, chodząc o świcie po bazarach, śpiąc od czasu do czasu po dwie, trzy godziny. I gdy był z nią Jared, to jej wystarczało, beztrąsko lekceważyła wszystko inne. Lecz gdy znalazła się sama w mieszkaniu Daniela, dotarła do niej wyraźnie jak nigdy przedtem świadomość rychłego wyjazdu, a realny świat wdarł się w fantazję ostatniego tygodnia.

Stała tak przez dłuższą chwilę, zagubiona; wzbierał w niej smutek, pustka, jaka ogarniała ją zawsze w czasach dzieciństwa, gdy Daniel wyruszył gdzieś bez niej. Czując potrzebę ruchu, z notką brata wciąż zmiętą w dłoni, założyła torbę na ramię i wyszła z powrotem na ulicę. Nie miała żadnego planu, pragnęła jedynie trochę przestrzeni. Kiedy czuła się tak w domu, pływała albo kręciła się po promach, jeżdżąc w tę i z powrotem, do Manly, Cremorne, Balmain, pozwalając, by ruch wody, powolne kołysanie fal portu uspokoiły ją. Lubiła wtedy znaleźć się z dala od lądu, oczekiwań rodziny i przyjaciół. Tak więc z braku lepszych pomysłów odszukała drogę do terminalu Star Ferry i wsiadła na prom płynący na wyspę. Strugi zimnego deszczu sunęły po bezmiarze morza, czyniąc wyspę niewyraźną, spowijając ją w nisko ścielącą się mgłę i chmury słonych drobin. Poprzez stłumiony ryk silników słyszała, jak prom pruje powierzchnię wody, białogrzywe fale uderzają o kadłub

niczym w bęben. Łzy na jej policzkach wydały się nadspodziewanie ciepłe.

o

Przez cały dzień zdjęć była rozproszona, drażliwa, chciała do niego zadzwonić, przerażona niemożnością zapanowania nad nawalem uczuć. Tej nocy, gdy jego twarz wypełniła płaski ekran, a cyfrowo przetworzony głos dotarł z opóźnieniem spowodowanym tak wielką odległością, myślała, że zwariuje z powodu jego nieobecności. Powiedziała, że nie może tego znieść, że musi być blisko niego, czuć jego zapach, musi go dotykać. Noc na zewnątrz wydała się tak wstrętna od upału, nietoperzy i smrodu śmieciarek.

Już wtedy wiedziała, że wróci, żeby z nim być, ale gdy tydzień później zadzwoniła do Daniela, żeby mu to powiedzieć, wydawał się agresywny i odległy.

Jesteś tego pewna?, zapytał. Prawie go nie znasz.

Myślałam, że ucieszysz się moim szczęściem.

Daj spokój, Anno, rzekł, posłuchaj tylko siebie, i może powiedziałby coś jeszcze, ale rozłączyła się, nie chcąc go słuchać.

Do prawdy dochodzimy w najczarniejszych godzinach nocy; w tym bezsennym czasie wątpliwości i niepewności tuż przed świtem. Właśnie wtedy widzimy, że miłość odeszła, a może nigdy jej nie było; widzimy powolne umieranie wszystkiego, co uznawaliśmy za prawdę. I wtedy właśnie czujemy się najbardziej samotni.

Nie wiedziała, jak długo tam była, unosiła się w nicości pokoju hotelowego z ciemnością doliny za jej plecami. Szum jego powolnego oddechu niszczył ją, przestrzeń między nimi stała się nie do pokonania. Jak to się dzieje, że tak się zatracamy, że zauważamy to dopiero, gdy jest już za późno? Grunt zmienia się pod naszymi stopami w spazmach, aż nic nie jest już takie, jak było.

Pięć godzin wcześniej wpijała w niego paznokcie i gryzła go, jej ciało szalało od pożądania; fakt, że nie może nad sobą zapanować, przerażał ją i budził wstręt do samej siebie. A potem, gdy jego skóra była śliska od potu, wyciągnęła ku niemu rękę, pragnąc jego dotyku, jego zrozumienia. Lecz on jedynie odwrócił się, milcząc w osłoniętej moskitierą klatce łóżka. Wspomnienie tego odtrącenia wdzierało się w nią niczym blizna, szpecąc ją, zadając ból, który nie przeminie.

Może było to jakieś szaleństwo, próbowała sobie wmówić, może jej ciało czuło nadchodzące wstrząsy ziemi, jak szczury, które gromadnie wychodzą ze swoich gniazd i nor przed kataklizmem, jak pragnąca śmierci ryba albo kwiczące świnie, doprowadzone do szału przez coś niewidzialnego, ich wrzaski nieludzkie i okropne. Ale choć bardzo starała się znaleźć inną przyczynę, wiedziała, że jest to o wiele prostsze.

Miłość nie jest pełnią, jest wiecznym niespełnieniem, ruchem ku granicy, która znajduje się w zasięgu wzroku, a pozostaje nieosiągalna. Jest pragnieniem pogrążenia się, pragnieniem jedności, której nigdy nie

zobędziemy, reakcją przeciw naszej naturze, przeciw naszej samotności.

apokryf

(5)

Dopiero w zawieszeniu pomiędzy przeciwieństwami tak naprawdę odkrywamy sedno tych zdjęć: wewnątrz i to co na zewnątrz; życie i nieżycie; geometryczne i organiczne; zagubione i odnalezione; zawarte i zawierające, same paradoksy.

MICHAELA RUTHVEN, Anna Frasier: Retrospektywa

ŚLEPOWIDZENIE

Kryształ, kwiat i muszla wybijają się ze zwykłego nieporządku, który charakteryzuje większość odbieranych za pomocą zmysłów rzeczy. Są to formy uprzywilejowane, bardziej zrozumiałe dla oka, mimo iż bardziej tajemnicze dla umysłu, niż wszystkie inne, widziane mniej wyraźnie.

PAUL VALERY, *Les merveilles de la mer: Les coquillages*

Jestem dziś zdezorientowana. Chwieję się na niestałych płycznach przeszłości jak zagubione zwierzę na dryfującym lodzie. Z każdym krokiem zamarznęta woda rozłupuje się, szczeliny rozchodzą się promieniście z dźwiękiem przypominającym trzaskanie ognia, aż w końcu zaczynają wyglądać jak filigranowe wzorki na liściu. Albo żyły. Ciemna woda podnosi się wokół moich stóp, zimna jak śmierć. Żadnych gwiazd, żadnego słońca, żadnej perspektywy, tylko lód rozciągający się w każdym kierunku aż po horyzont, bez żadnego punktu odniesienia czy skali. Ale wiem, że gdzieś tam jest jakiś środek, coś ukrytego i przerażającego, ponieważ przez cały czas czuję pod stopami wędrujący lód skręcający się spiralnie do wewnątrz, jego zdradliwa samotność orbituje wokół nieznanego bieguna. Czy tak właśnie wygląda koniec świata? Miejsce, w którym jedyne dźwięki to trzask lodu i osamotnione piski ptaków? To

okropne, opuszczone miejsce.

Na zewnątrz też jest zimno. Słyszę wiatr, widzę szary ocean. Wiem, że to jedynie zachwianie równowagi w mnemonice, ale potrzebuję mojej lekarki, a bez Adeleine nie pamiętam, jak ją znaleźć. Nie, nie Adeleine, ona była przedtem, potrzebuję chłopaka, tego ładniutkiego.

Widzę jego dłonie, ale nie pamiętam jego imienia.

Ile ja mam lat? Dwieście? Trzysta? Nie wiem nawet tego. To nie jest życie, to pełzająca śmierć, moje ciało jest ulepszone, przefiltrowane i oczyszczone, moje organy wycięte, zastąpione sztucznie wyhodowanym mięsem, maleńkie maszynki wpuszczone do krwiobiegu drążą drogę przez moje naczynia włosowate. Syntetyczna skóra, krew, włosy. Nukleotydy mojego ciała zmieniono tak, że komórki mogą reprodukować się w nieskończoność. Raka poskromiono dla dobra gatunku, a teraz sami mamy dość swej upiornej żywotności.

Najgorsze są noce, groza wynurzająca się z ciemności jak pokryta spiralami muszli ściana monstrowej góry lodowej. Ciemny ocean poniżej... Dzwonienie w mroźnym powietrzu niczym śpiew chóru...

Kiedy ja to zaczęłam? Jak trudno to sobie przypomnieć, pory roku mijają tak szybko, że ledwie je zauważam.

Jeden rok łączy się z kolejnym, czasu nie sposób pochwycić.

Tej nocy Anna ma niespokojne sny. Budzi się dwa razy, niepewna

tego, gdzie się znajduje. Za pierwszym razem ocknęła się, bo znad oceanu nadciągnął front i hulający wiatr posłał spiralnym ruchem na podłogę wazon w sąsiednim pokoju, a dźwięk tłuczonego szkła odbił się echem w pustym domu i przedarł się przez powłokę jej snu. W słabym świetle burzy potykając się, idzie do okna, w którym klekocze żaluzja, i zamyka je na zasuwę. W pokoju śpiewają duchy.

Za drugim razem jest ciszej, deszcz pada miarowo za oknem; potężne, rytmiczne fale dźwięków przetaczają się przez spadzisty dach. Tym razem jej sen pozostaje z nią, jeszcze pomrukuje w jej ciele; Jared, jego skryta twarz, chłód jego ocierającej się o nią naelektryzowanej skóry, niepewne bicie serca w kołysce jego piersi. W ciemności na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu budzika widnieje godzina 3:57, środek nocy. Zapomniała o jego chorym sercu, jego dziwnej arytmii. Pamięta noc spędzoną z Danielem niedługo po imprezie, na której Jared osunął się i upadł z walącym dziko sercem, a Daniel, w przebłysku nerwowego kokainowego geniuszu, próbował mu wyjaśnić matematykę rządzącą nierównym rytmem jego serca, sekwencję nieregularności jego uderzeń, 2, 5, 8, 11. Jared szklanym wzrokiem, ze ściągniętymi ustami patrzył, jak Daniel mówi, za szybko, niemal jednym tchem przeskakując z tematu na temat, z pętli równań na geometrię fraktali, a ona z całego serca pragnęła, żeby przestał, żeby zamilkł. Żeby się uspokoił.

Deszcz pełza po niskich dachach, a ją znów ogarnia sen.

Kiedy ponownie się budzi, jest ponury, parszywy dzień. Zimny wiatr rozprasza wilgotne i lepkie powietrze, które w palącym słońcu klei się do jej skóry jak pot z obcego ciała. Piasek na plaży zarzucony jest szczątkami naniesionymi przez sztorm, papierami, gumą, torebkami, wodorostami. Jest też dziecięca lalka z jedną ręką uniesioną ponad głowę, splątanymi włosami, patrzącym ślepo jednym niebieskim okiem. Cuchnące ciało pelikana z szyją wykręconą pod dziwnym kątem, upierzeniem zbitym i brudnym. Woda jest szara i lekko wzburzona, porusza się zdradliwie, nieobliczalnie. W brudnym świetle spowija ją jakaś złowroga, żółtobrązowa poświata. Anna rozbiera się do stroju kąpielowego, brnie przez zanieczyszczoną wodę, która napiera na nią, sapie jakby ze złością. Zanurzwszy się do ud, zatrzymuje się, kałowy odór oceanu wystarczy, żeby ją odstraszyć. Wycofuje się pośpiesznie, wchodzi po schodach z ręcznikiem w poszukiwaniu jakiegoś kranu, żeby spłukać ten smród ze swego ciała.

Zła, że nie mogła popływać, wspina się powoli po ścieżce na szczyt klifu. Bolą ją oczy, w czaszce odzywa się wysoki szum wywołanego brakiem snu bólu głowy. Po powrocie do mieszkania czuje spokój. Wchodzi pod prysznic i starannie obmywa się pod strumieniem ciepłej wody.

W pokoju znajduje roztrzaskane szczątki wazonu, kuca przy nich, zaczyna wybierać większe kawałki z zamiarem uprzątnięcia reszty

odkurzaczem. Jeden z odłamków, zakrzywiony pazur zielonego szkła, pozostawia na jej dłoni długie nacięcie. Anna spogląda na nie i klnie, zaskoczona, że nie czuje bólu. I wtedy, niemal natychmiast, krew zaczyna kapać na podłogę, więc szybko idzie do łazienki, szukając czegoś, żeby ją zatamować. Owijając ranę papierem toaletowym, czuje nadchodzący ból, nagły, silny, przyciska więc mocniej papier, próbując zwilżyć jego brzeg.

Mija sporo czasu, zanim krew przestaje płynąć, a Anna zmuszona jest stać spokojnie ze złożonymi dłońmi. Kiedy w końcu krwawienie ustaje, odwija przesiąknięty papier, pod którym widnieje obrzmiała, biała linia przecięcia, trzycentymetrowa rana ciągnąca się od drugiego stawu palca wskazującego w dół lewej dłoni. Czuje tępe pulsowanie. Ostrożnie odchyła brzeg rany, krzywi się, gdy znów przetacza się przez nią fala bólu; rozcięcie ponownie zaczyna krwawić. Patrząc na nie, przypomina sobie szramę na twarzy Setha, zastanawia się, czy po tej ranie też pozostanie blizna, unosi prawą dłoń, wodzi palcami po uszkodzeniu. Włoski jeżą się jej na karku, gdy dotyka ust w miejscu, gdzie zrost przecina jego wargę.

Minął tydzień, odkąd znalazł mnie Denzel. Siedem dni i siedem nocy, które minęły jak mgnienie oka; siedem obrotów ziemi pod moimi stopami, których nawet nie byłabym świadoma, gdyby nie śledziły ich systemy w domu.

Znalazł mnie naga, przemarzniętą do szpiku kości. Znów nastąpiła

zima, a ja jakoś zdołałam otworzyć okno, chcąc zaczerpnąć morskiego powietrza. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wyglądałam w jego oczach, żałosna starowina, tarzająca się w kałuży własnego moczu przy otwartym oknie, bo zapomniała, jak się je zamyka. Na wpół zagłodzona i mamrocząca coś o ludziach, którzy od wieków nie żyją.

Jeszcze przez tydzień po tym wydarzeniu prawie nie pisałam, moje ciało i umysł tak były zaszokowane nagłym brakiem równowagi w mnemonice, że prawie odebrało mi mowę. Ale stopniowo odrętwienie zaczęło ustępować, zaczęło powracać rozeznanie.

Dwanaście godzin temu surfowałam w ciekłosieci, podłączyłam się do szybującej dziewczyny, kiedy akurat wznosiła się na granicy kosmosu. Była piękna, dzięki genetycznie zmienionej strukturze kości czuła się, jakby jej ciało prawie nic nie ważyło, inteligentne układy w przylegających do ciała nanowłóknach kombinezonu pozwalały, żeby wiatr igrał po jej skórze, jakby była to letnia bryza, a niemrożąca wichura stratosfery. Systemy reakcji zwrotnej w skrzydłach kombinezonu spletały się z jej układem nerwowym, a dzięki teleobecności ja również czułam się w ich posiadaniu, ich ogrom był niczym drżąca woda, wiatr pod nimi jak niewidzialna dłoń unosząca nas, gdy zakręcałyśmy i szybowaliśmy.

Nie wiem, jak długo z nią latałam ani ile osób było jeszcze z nami. Gdy zmierzaliśmy na północ, zorza tańczyła dokoła w zmieniających się zasłonach światła, podczas gdy daleko w dole, pod pasmami niebiesko-

różowych chmur świt pełził na zachód przez północną Kanadę.

Z takiej wysokości Ziemia już nie wydawała się płaska, krzywizna planety była wyraźnie widoczna na horyzoncie. Delikatny błękit atmosfery zanikał, aż stał się bladą linią i znikł zupełnie, gdy wznosiłyśmy się w górę w przestrzeni. Przez jakiś czas surfowałyśmy na granicy świtu, zygzakiem, na północ i zachód, ziemia pod nami zaczynała się zmieniać, zieleń lasów i farm ustępowała tundrze, potem nagim zboczom gór przykrytych śnieżnymi czapami, białym jeziorom lodowców.

Gdy leciałyśmy, przypominałam sobie, jak Seth dawno, dawno temu mówił o lodzie. O tym, jak jest w nim zapisany delikatny proces zmian pór roku, nie tylko w pyle i kurzu, ale i w zamierzchłym zimnie samych lodowców, a uwięzione w nim dowody owych przemian są równie namacalne jak lód. Opowiadał, jak te dowody świadczą o nieustającym cyklu przyływów i odpływów pór roku, o nagłych konwulsjach, które wstrząsają na pozór łagodną Ziemią.

Powiedział mi, że to właśnie lód i kamień posiadają największą moc napomnienia, gdyż to one przechowują w swej pamięci wiek bardziej odległy, niż możemy to sobie wyobrazić. Już samo ich istnienie przypomina nam, że nasz czas tutaj jest ograniczony i że my także przeminiemy.

Może to sposób, w jaki Jadwiga rozgląda się na boki, nim wyjdzie z

zaułka, sprawia, że Anna zatrzymuje się na rogu. Nie jest pewna, dlaczego Jadwiga jej nie dostrzegła, bo ona rozpoznaje ją natychmiast, z nikim nie sposób pomylić hamowanej fizycznej energii, która cicho szumi w jej ciele. Lekko zaniepokojona zachowaniem starszej kobiety, nie woła przyglądając się, jak tamta śpieszy na drugą stronę ulicy i znika za rogiem.

Anna przypadkiem znalazła się na tym rogu właśnie o tej porze. Kilka dni wcześniej podziwiała czaszkę morsa w biurze Dylana, zakupioną w sklepiku z różnymi osobliwościami na Glebę Point Road. Ponieważ dłoń za bardzo ją jeszcze bolała, by móc pracować, Anna postanowiła odwiedzić ten sklepik, i tak oto wczesne popołudnie spędziła włócząc się pomiędzy straganami, galeriami i antykwariatami w Glebę. Woń paczuli mieszała się tu z mokrym zapachem ciepłego asfaltu i ostrym, zwierzęcym odorem niemytych ciał; pulsowanie muzyki i trzaski zjechanej winylowej płyty zlewały się z odgłosami dzwoneczków na kostkach i bębnów; makatki i używane ubrania walczyły o miejsce przy straganach z kryształami, kombinezonami po obniżonych cenach i pirackimi krążkami CD. Sklepik z osobliwościami wciśnięty był pomiędzy księgarnię i gabinet terapii alternatywnej, a jego wysokie okna zdobił eklektyczny zbiór przedmiotów, od czaszek zwierząt do pokrytych patyną miedzianych przyrządów, książek i plansz medycznych. W środku półki zawałone były leżącymi jedna na drugiej rzeczami, rozmieszczonymi bez

żadnego wyraźnego schematu: naukowe plansze na stojakach, pokurczone głowy, dziewiętnastowieczne zbiory muszli i skamielin oraz motyli w drewnianych gablotach, cyrkle, skalpele i inne przyrządy służące ludziom do drobiazgowej analizy świata naturalnego. Właściciel sklepu, wysoki mężczyzna o długich do ramion siwych włosach, oprowadzał ją wśród przedmiotów przez jakieś pół godziny, a Anna, głównie z grzeczności, kupiła w końcu przedzieloną na pół muszlę łodzika w drewnianej gablotce. Na jednej połowie na tle bladej muszli widać było delikatne brązowe paski; drugą część odwrócono tak, że widać było błyszczącą macię perłową wnętrza, nakładające się na siebie komory.

Z muszlą w torbie szła z powrotem w stronę Parramatta Road, zamierzając przejść przez Chippendale do Central i odwiedzić Jadwigę w galerii. Rozkoszując się ciszą, kluczyła powoli po zaciemionych uliczkach, podziwiała ogromne blade pnie kauczukowców, liście i orzeszki, które zaścielały spękany asfalt. Gdzieniegdzie ściany pokrywały blaknące malowidła z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dwudziestego wieku, wyidealizowane wizje dawno utraconego marzenia o społecznej jedności i przemianie. Ale gdy zbliżała się do Central, okolica zaczęła się zmieniać, magazyny, które miały zostać przekształcone w mieszkania, stały puste i niewykończone, obdarte plastik tablic reklamowych i kompletnie nieczytelnych znaków drogowych sterczał tu i ówdzie wśród starannie utrzymywanych i odnowionych domów szeregowych i starszych

budynków.

Zbita z tropu tym, jak Jadwiga wyszła z zaułka, Anna idzie w jego kierunku. Jest to niewielka, szeroka może na dwa metry uliczka, ograniczona z obu stron ślepyimi ścianami dwóch rzędów domków szeregowych, pokrytych łuszczącym się patchworkiem wilgoci i graffiti. Oglądając się przez ramię, patrzy na Jadwigę, zaniepokojona, po czym powoli rusza zaułkiem. Po trzydziestu metrach uliczka skręca w prawo i biegnie wzdłuż ogrodzeń na tyłach budynków stojących frontem do ulicy. Powierzchnia pod jej stopami jest spękana i pełna dziur, przez które widać spodnie warstwy: żwir, beton, a w końcu czerwonawą glinę. Bambusy i zielsko rosną wzdłuż rozchwianych ogrodzeń. Waha się po raz kolejny, wiedząc, że idzie tam nieproszona, ale trwa to tylko chwilę, po której rusza dalej uliczką kończącą się przy spękanym drewnianym płocie, zakręcającym wokół ogromnego figowca. W powietrzu unosi się silny, stęchły zapach gnijących liści i brudnego drewna. Przy drzewie płot się przewrócił, a dziurę załatano przymocowanym do sztachet drutem, który ktoś jednak rozsunał, tworząc w ten sposób rodzaj prowizorycznego przejścia.

Zatrzymując się pod drzewem, Anna znowu zastanawia się, co tu robiła Jadwiga. Mogła znaleźć się w uliczce tylko wychodząc tym przejściem, ale zaglądając za płot, Anna widzi jedynie tylną ścianę jakiejś fabryki czy składu. Budynek jest od dawna opuszczony, jego wyblakły

beton prawie zasłonięty przez jakąś pnącą roślinę, która wpełzła pod okap i na spadzisty dach, a gęsta plątanina liści pokryła się mnóstwem grubych kwiatowych pąków. Gdzieniedzie wielkie, kwadratowe okna osadzone w ścianie zostały wybite, a z zardzewiałych ram sterczą ostre zęby stłuczonych szyb. Pomiędzy ogrodzeniem a murem widać wąskie podwórze zarośnięte zielskiem i pokrzywami prawie tak wysokimi jak małe drzewa. Niedaleko słychać krakanie jakiegoś ptaka, jego skrzek przydaje tej scenie rozkładu jakiejś samotności, która tak dobitnie charakteryzuje to miejsce: trzy ulice dalej terkocze pociąg mijający akurat Kostnicę Miejską.

Anna naciska na drut. Poddaje się z łatwością, więc nerwowo, ukradkiem oglądając się za siebie, przechodzi pod nim. W środku trawa i zielsko poruszają się w rytm bryzy. Cisza i pustka przyprawiają ją o szybsze bicie serca. Ciemna ziemia pod figowcem jest śliska od gnijących owoców, ich jasny miąższ i nasiona sine. Gdzieniedzie leżą inne, pozostawione przez ludzi odpadki; rdzewiejąca puszka po farbie, porzucane części jakichś urządzeń, plastikowe łyżeczki, papiery po hamburgerach i foliowe torebki.

Już poza zasięgiem cienia rzucanego przez drzewo stoją otworem stare drzwi towarowe i Anna rusza w ich stronę, uważnie stawiając stopy, by nie nastąpić na gwoździe, które wystają z ziemi jak ciernie.

Jednak na drugim końcu podwórza zauważa prawie zasłonięty

przez chwasty i bluszcz rdzewiejący dach z blachy falistej, a pod nim jakiś budynek. Unikając kłujących rzepów chwastów, kieruje się tam wzdłuż ściany magazynu i dociera w mniej zarośnięte miejsce przed prowizorycznym barakiem. Jego ustawione na ceglach ściany z dykty są wypaczone i spękane. Na zewnątrz stoi stara sofa, przez rozdarte obicie sypią się trociny; wszędzie dookoła walają się śmieci i gwoździe. Anna nerwowo podchodzi do drzwi, zaskakuje ją jednak widok solidnej kłódki. Szarpie drzwi jedną ręką, ale kłódka nie ustępuje, puszcza je więc, kopiąc leniwie puste puszki po farbie, które zaśmiecają ziemię przed barakiem. Zastanawiając się, czy nie jest to jakieś dzikie obozowisko zamieszkane przez artystów, wraca wzdłuż ściany magazynu do drzwi towarowych, które widziała z alejki.

Drzwi znajdują się jakiś metr nad ziemią, ale Anna podciąga się do nich z łatwością, uważając tylko na zranioną rękę. Wewnątrz panuje półmrok, światło pada z góry długimi smugami. W jednym miejscu zawaliła się część piętra i wszędzie leży gruz, gips, deski i belki. Podłoga skrzypi złowieszczo pod jej stopami. Chociaż w słabym świetle trudno to stwierdzić na pewno, miejsce wydaje się puste, pozostawione szczurom, oposom i gołębiom, w powietrzu unosi się ciężki zapach pleśni. Nerwowa i nieswoja, już ma wrócić drogą, którą tu przyszła, gdy nagle słyszy ruch. Odwracając się, stwierdza zaskoczona, że tuż za nią stoi jakaś postać. Jej ciało napina się, odruchowo robi krok do tyłu.

Kim jesteś?, pyta postać.

Nikim, odpowiada. Tylko się rozglądałam.

Jesteś gliną?

Nie, ja... Anna urywa w obawie, że spowoduje jakiś wybuch nieznajomej osoby, nie jest pewna, co powiedzieć.

Gówno prawda!, stwierdza postać, robiąc krok do przodu. Teraz jest bliżej i Anna widzi, że to jeszcze dzieciak, ma może piętnaście, szesnaście lat. Jest szczupły, ale pewny siebie, balansuje na piętach jak tancerz. Jego brudna twarz, która gdzie indziej mogłaby być nawet przystojna, jest ziemista, ciemne włosy ogolone prawie przy samej skórze.

Nie jestem gliną, zapewnia Anna, starając się, by jej głos zabrzmiał spokojnie. Przysięgam. Mówiąc, spogląda to na chłopaka, to na otwarte drzwi.

Więc czemu tu wężysz?, pyta szyderczo dzieciak i rusza naprzód, próbując ją wystraszyć; jego prawe oko skacze jak opętane.

Nie wężę, to znaczy...

Gdy mówi, ktoś na zewnątrz wykrzykuje czyjeś imię, a chłopak odwraca się w stronę głosu. Widząc swoją szansę, Anna przemyka obok niego z nadzieją, że dobiegnie do drzwi, zanim chłopak ją złapie, ale jest dla niej za szybki - rzuca się do przodu i chwyta ją. Obracając się gwałtownie, skaleczoną ręką uderza go w bok głowy, stękając, gdy ból przeszywa jej całe ramię, ale cios wystarcza, by chłopak poluźnił chwyt.

Potykaçąc się, Anna zmierza w stronę drzwi, na próżno próbując odzyskać równowagę. Gdy do nich dociera, jednym skokiem mija ją jakiś mężczyzna, jego mięśnie tańczą pod wytatuowaną skórą, i z głuchym tąpnięciem zderza się z chłopakiem, przewracając go na plecy. Oglądając się za siebie, widzi ich obu rozciągniętych na podłodze, ale w tym samym czasie wpada na jakąś inną postać. Zaskoczona odwraca głowę i staje jak wryta.

Rachel?, bełkocze, ale Rachel nie odpowiada, przeciska się obok niej, podniesioną ręką dając znak, żeby milczała, i szybko zmierza w stronę mężczyzny, który zdołał powstrzymać młodego napastnika. Chłopak ma jedno ramię skręcone gdzieś nad sobą, ale walczy nawet wtedy, gdy mężczyzna zacieśnia na nim swój chwyt, górując nad dzieciakiem niczym wieża.

Jezu, Blaze, puść go!, krzyczy Rachel, a mężczyzna na krótki moment odwraca swą uwagę od chłopaka, który jednym płynnym ruchem uwalnia się, wyrzuca w górę stopę i z głośnym dźwiękiem umieszcza ją w kroczu przeciwnika. Tłumiąc jęk, mężczyzna przechyla się do przodu, krew odpływa mu z twarzy, w tym samym czasie młodziak kopie go raz jeszcze, a mężczyzna upada na kolana. Po następnym kopniaku przeskakuje z nogi na nogę, gotów uderzyć. Anton!, krzyczy Rachel, zbliżając się do niego, a chłopak, dopiero teraz ją zauważając, nieruchomieje.

Anton, powtarza Rachel, unosząc rękę w jego stronę, jej głos jest stanowczy, ostrzegawczy, ale chłopak ucieka. Tuląc do siebie zranioną dłoń, Anna kuli się przed jego ciosem, gdy przemyka obok i wyskakuje przez otwarte drzwi. Anton!, krzyczy za nim Rachel. Anton! Ale już go nie ma; nim dotarła do drzwi, przebiegł przez podwórze, wyszedł przez dziurę w siatce i zniknął za zakrętem ścieżki.

Odwracając się do Anny, Rachel posyła jej spojrzenie, w którym znać jednocześnie troskę i podejrzliwość.

Wszystko w porządku?, pyta, a Anna wyjąkuje potwierdzenie. Ustaliwszy to, Rachel śpieszy do miejsca, gdzie jej towarzysz zdołał podnieść się na kolana. Jest wysoki i silny, jego krótko przystrzyżone ryże włosy i zniszczona przez słońce skóra sprawiają, że wygląda na ponad czterdzieści lat, choć w rzeczywistości pewnie nie jest starszy od niej. Jego nogi ciasno opinają zawiązywane na rzemienie skórzane spodnie, na stopach ma ciężkie robocze buty, jest w samym podkoszulku na ramiączkach, dzięki czemu wyraźnie widać pętle samońskich tatuaży, które wiją się wokół prawego barku aż do muskularnego bicepsa. Pobrużdżoną twarz zdobią kolczyki sterczące z uszu i jednej brwi.

Wszystko w porządku?, pyta Rachel, kucając przy nim i kładąc dłoń na jego ramieniu. Mężczyzna patrzy na nią ze złością.

No pewnie, jęczy, po prostu wspaniale.

Rachel ściska jego ramię, potem odwraca się do Anny. Pozwól, że

zapytam, co tu się, do cholery, działo?

Zaskoczona ostrym tonem jej głosu, Anna wzrusza ramionami.

Nie wiem, pojawił się dosłownie znikąd.

Nie zrobiłaś nic, żeby go sprowokować, nic nie powiedziałaś?

Myślał, że jestem gliną.

A tak w ogóle, to co tu, u diabła, robisz?

Widziałam, jak ktoś z moich znajomych stąd wychodzi, byłam ciekawa, mówi świadoma, że to kiepskie wytłumaczenie.

Rachel wciąż patrzy na nią podejrzliwie. Krwawisz, mówi, a Anna, spoglądając w dół, widzi, jak krew z jej skaleczonej dłoni kapie na brudną podłogę.

To nie on, wyjaśnia, skaleczyłam się wcześniej.

Mimo wszystko trzeba będzie to opatrzyć.

A ja mam tu leżeć i umierać, co?, odzywa się jej towarzysz.

Myślę, że ten kurek miłości będzie twoim najmniejszym zmartwieniem, kiedy się rozniesie, że Anton skopa) ci dupsko, mówi Rachel, pomagając mu wstać, a mężczyzna parska sardonycznym śmiechem, który prawie natychmiast przechodzi w jęk bólu.

Nie, jeśli najpierw dorwę tego małego zezowatego skurwielca. Gdy to mówi, Rachel spogląda na niego z zamyśleniem na twarzy.

Kto to był?, pyta Anna.

Ma na imię Anton, odpowiada Rachel. Jest moim klientem.

Przeważnie sypia w Browarach, ale ostatnio szwenda się tu czasem z Lewinem.

Z Lewinem?

To facet, który mieszka tu na tyłach. Jest podobno jakimś malarzem. Nie widziałaś, gdy stąd wychodził?

Anna powoli kręci głową. Nie. Ale nazwisko wydaje mi się znajome. Powiedziałaś, że nazywa się Lewin?, pyta.

Michael Lewin. Znasz go?

Słyszałam o niejakim Michaelu Lewinie, który był malarzem, ale on ponoć nie żyje.

Cóż, ten tutaj na pewno nieboszczykiem nie jest, mówi Rachel, biorąc swojego towarzysza pod rękę, żeby mógł się na niej wesprzeć. Vinh powinien być już z powrotem w Centrum, mówi do Anny. Zajmie się twoją ręką.

Centrum jest położone pół kilometra dalej w stronę miasta: kilka obskurnych pokoi, na trzecim piętrze biurowca, którego parter zajmują chińskie piekarnie i sklepy spożywcze. Puszczając Annę przed sobą, Rachel przechodzi przez hol recepcji, gdzie stoi rząd zniszczonych krzeseł i kanap. W jednym z pokoi grupka dzieciaków gapi się w ekran telewizora, zaś w następnym inna grupka siedzi w goglach przed przestarzałymi konsolami. W kolejnym pomieszczeniu pleksiglasowa przesłona ochrania kontuar, a obok niego widać drzwi, które Rachel

otwiera, napierając na nie dłonią.

Za drzwiami znajduje się długi pokój podzielony na boksy, a na jego drugim końcu widać dwa biura za przeszklonymi ścianami.

Możesz zaprowadzić ją do Vinha, żeby obejrzał jej rękę?, pyta Rachel wytatuowaną mężczyznę, a on potakuje.

Potem z tobą porozmawiam, zwraca się do Anny.

Prowadząc ją przez pokój, mężczyzna patrzy z góry.

Tak przy okazji, jestem Blaze, mówi. Chyba nie byliśmy sobie przedstawieni.

Ona uśmiecha się. Anna.

Na końcu pokoju Blaze puka dwukrotnie w jedno z drzwi i zagląda do środka przez szybę, zanim je otworzy. Pomieszczenie jest dobrze oświetlone, choć wielkością bardziej przypomina komórkę niż gabinet. W środku stoi biurko, trzy krzesła i łóżko. Instrumenty lekarskie rozłożone są na półce, a przy ścianie stoi metalowa szafka, zamknięta na kłódkę. Za biurkiem siedzi mężczyzna; gdy wchodzi, unosi wzrok znad konsoli. Jego głowa i szyja są szczupłe, ptasie oczy za okularami w stalowych oprawkach ogromne.

Vinh, mówi Blaze, to jest Anna. Anton próbował się do niej dostać.

Vinh obraca się, żeby znaleźć się do nich przodem. Prosząc, by Anna usiadła, wyciąga z apteczki lateksowe rękawiczki, wkłada je, ruchy ma skrupulatne i precyzyjne.

Tylko dłoń?, pyta.

Anna kiwa głową. Otarłam też kolano, ale poza tym wszystko dobrze.

Mogę?, pyta, a ona przytakuje, zaciskając zęby, gdy mężczyzna odrywa zakrwawiony opatrunek. Rana pod nim pokryta jest skrzepami i opuchnięta, jej brzegi zmarszczone i mokre. Anna odwraca wzrok, gdy Vinh ją ogląda.

Auć. Jak to się stało?

To przez stłuczony wazon.

No cóż, pewnie ucieszy panią, że prawdopodobnie wygląda to gorzej niż jest w rzeczywistości, ale i tak trzeba będzie zszyć.

Anna wzrusza ramionami, a on patrzy na nią bez emocji.

Jednak niestety będę musiał przedtem skończyć to, co zaczął Anton, i otworzyć ranę, usunąć z niej skrzepy tak, by mogła się ładnie zagoić.

Co niewątpliwie będzie bolało, mówi obojętnie Anna.

I to dość mocno, odpowiada. Jest pani gotowa?

•

Gdy dłoń jest już zszyta, Anna wraca do części biurowej. Nigdzie nie widać Rachel, za to Blaze siedzi na jednym z biurek” rozmawiając przez zestaw słuchawkowy. Widząc ją, kończy rozmowę.

Jak ręka?

Sześć szwów, mówi, patrząc ponuro na swoją dłoń.

Mogło być gorzej.

Gdybyś się nie pojawił, to pewnie tak. Dziękuję.

Blaze uśmiecha się szeroko. Przypuszczam, że Anton chciał cię tylko wystraszyć. Ale w przyszłości lepiej nie włócz się po opuszczonych budynkach, szczególnie w tej okolicy.

Gdy to mówi, w drzwiach obok gabinetu Vinha pojawia się Rachel.

Masz coś?, pyta Blaze'a.

Kręci głową. Jeszcze nie.

Kurwa, rzuca Rachel na tyle głośno, by zwrócić uwagę dziewczyny z recepcji.

Co się stało?, pyta Anna.

Chodzi o Antona, musimy go znaleźć. Przerywa na chwilę. Mówiłaś, że widziałaś, jak wychodził stamtąd ktoś z twoich znajomych. Kto to był?

Anna waha się, nie mając pewności, czy powinna mieszać w to wszystko Jadwigę.

Kobieta zajmująca się handlem dziełami sztuki.

Rachel i Blaze wymieniają spojrzenia.

Czy możliwe, że była spotkać się z Lewinem?

Nawet jeżeli to ten sam Michael Lewin, o którym myślę, to i tak nie wiem, co mogłaby tam robić. Jak ci mówiłam, wszyscy sądzą, że on nie żyje.

Rachel stuka paznokciem kciuka w zęby. Ma bogatą przeszłość, to jedno, co wiem.

Michael Lewin, o którym mówię, był znany, kiedy ja dopiero zaczynałam, jakieś dziesięć lat temu. Coś się potem wydarzyło, nie znam szczegółów, ale był jakiś skandal, seks z dziećmi, czy coś podobnego, a potem on po prostu zniknął. Nikt nie wiedział, co się z nim stało, chociaż niektórzy sądzili, że olał kaucję i wyjechał z kraju. Inni uważali, że został zamordowany albo popełnił samobójstwo. Myślę, że w miarę upływu czasu, gdy jego prac było coraz mniej, ludzie po prostu założyli, że umarł.

To wszystko, co wiesz?

Był ćpunem, i to najwyższej klasy. Sądzisz, że mówimy o tej samej osobie?

Trochę za dużo zbiegów okoliczności, by mogło być inaczej, twierdzi Blaze, ale w tej samej chwili recepcjonistka woła go do telefonu.

Wiem, że moja obecność w tym miejscu podejrzenie wygląda, mówi Anna, gdy zostały same.

Rachel przygląda się jej uważnie. Wychodzi na to, że to rzeczywiście dzień wielkich zbiegów okoliczności.

Ja się tylko cieszę, że pojawiłaś się w odpowiednim momencie. Śledziłaś tego... jak mu tam? Antona? Czy był to jedynie szczęśliwy przypadek, że tam przysłałaś?

Pewnie po trochu jednego i drugiego. Anton nie jest złym

dzieciakiem, ale od kilku miesięcy przechodzi terapię pod nadzorem kuratora sądowego. Terapia jest częścią wyroku w zawieszeniu, który dostał za rozróbę, w którą wpakował się jakiś czas temu. Jednak nie pojawił się w tym tygodniu, więc sprawa została skierowana do ponownego rozpatrzenia w poniedziałek. Jeżeli nie stawi się w sądzie, to istnieje pewne prawdopodobieństwo, że zostanie wydany nakaz jego aresztowania, a wtedy gliny go wsadzą. Próbowaliśmy odnaleźć go, zanim to nastąpi.

I co teraz?

Nie wiem, wyznaje Rachel. Myśli pewnie, że wdepnął w wielkie gówno, atakując Blaze'a. Najgłupsze w tym wszystkim jest to, że Blaze ma do niego słabość; sądziłam, że Anton mu ufa, a teraz wszystko jest spieprzone.

Przepraszam. Nie miałam zamiaru...

To nie twoja wina.

Czy Blaze też jest prawnikiem?

Rachel kręci głową. Nie, jest pracownikiem socjalnym.

Anna unosi brwi, spoglądając na jego umięśnione ramiona i bicepsy. Robi wrażenie, jak na pracownika socjalnego.

To nasz prawdziwy atut, uwierz mi, mówi Rachel i uśmiecha się ponuro.

Więc to tym się zajmujesz?

Głównie.

Seth mówił, że byłeś w Cambridge.

Rachel wybucha śmiechem, krótkim, ostrym i wcale nie miłym, który Annie nieodparcie kojarzy się z Sethem. On nienawidzi tej pracy.

Co teraz zrobicie?

Nie jestem pewna. Prawdopodobnie wrócimy tam i poczekamy na Lewina - Anton spędza z nim dużo czasu.

Mogę iść z wami?, pyta Anna pod wpływem impulsu.

Rachel patrzy na nią ostro. Jeśli chcesz, to nie mogę cię powstrzymać, ale to nie jest zabawa.

Wiem. Chcę zobaczyć, czy to naprawdę jest Michael Lewin.

Nie jestem pewna, czy mu się to spodoba.

Nie zna mnie.

Rachel zerka na Blaze'a, który wciąż zajęty jest rozmową przez telefon.

W porządku, zgadza się w końcu. Poczekamy, aż Blaze skończy.

Gdy przemierzają ostatnie sto metrów uliczki, Anna czuje, jak narasta w niej zdenerwowanie, jej serce zaczyna bić szybciej. Żeby się uspokoić i nie pokazać po sobie, iż nie czuje się najlepiej, wracając na scenę popołudniowych wydarzeń, stara się powoli oddychać; niemniej jednak wzdryga się, gdy czuje na ramieniu czyjąś dłoń.

Dobrze się czujesz?, pyta Rachel. Wyglądasz na podenerwowaną.

Dobrze, odpowiada Anna, chociaż wcale nie jest tego taka pewna.

Na podwórzu nie ma śladu Antona, więc Blaze, mówiąc im, żeby zostały tam, gdzie są, podbiega do drzwi towarowych i rozgląda się po wnętrzu magazynu. Ponieważ pokazuje im, że nic nie zobaczył, Rachel prowadzi Annę ścieżką wśród zielska, a Blaze pojawia się za nimi, gdy wychodzą na mały placzyk przed barakiem.

On gdzieś tu jest, stwierdza Rachel, wskazując na otworzoną kłódkę. Puka krótko do drzwi, a gdy nie nadchodzi żadna odpowiedź, puka raz jeszcze, mocniej. Skoro po drugiej próbie również nie ma odpowiedzi, Blaze kładzie rękę na drzwiach i otwiera je jednym pchnięciem.

Lewin, woła do środka, tu Rachel i Blaze z Centrum Belmore. Rachel przeciska się do przodu, Blaze i Anna trzymają się tuż za nią.

Najpierw uderza ją smród, odór potu i nie mytego ciała zmieszany z oparami farb olejnych i terpentyny. Kombinacja zapachów jest tak porażająca, że Anna zasłania usta i powstrzymuje żółć, która napływa jej do gardła. Duszący upał czyni fetor tym bardziej intensywnym. Wnętrze tonie w półmroku, światło pochodzi jedynie z brudnego okna i naftowego grzejnika, który płonie w rogu. Dopiero po dłuższej chwili oczy Anny przyzwyczajają się do ciemności i zapiera jej dech w piersiach, kiedy bezład baraku przeistacza się w morze kolorów i kształtów. Ze wszystkich

stron otaczają ją złożone na stosy obrazy, od miniatur do dwumetrowych płócien, walczą ze sobą o jej uwagę. Ciała wyrzeźbione z farby w bogactwie bursztynowych odcieni, wydłużone, niemal naiwne kontury i kanciaste twarze przypominające kobiety Modiglianiego. Nie znać w nich jednak braku wykończenia, żadnych urwanych linii świadczących o zawahaniu; jedynie łagodne łuki, kolory tak głębokie, że można w nich utonąć. Pośladki, biodra, piersi, pachy, nogi, wszystkie części ciała rozciągnięte unoszą się, jakby płynęły, ręce i stopy szeroko rozstawione. Na tych obrazach kobiety wydają się patrzeć gdzieś za siebie, uważne i skupione, spojrzenie ich migdałowych oczu nie jest ani miłe, ani okrutne, po prostu tajemnicze, jak spojrzenie kota. Efekt ten potęgują jeszcze spowijające je cienie, bogactwo tkanin i niespodziewane, przyciągające wzrok kałuże koloru, które je otaczają: smugi błękitu na opadającej zasłonie; niezwykła zieleń sącząca się przez uchylone okno; ciemna purpura rzeźbionego szezlongu, ich celowość, ich czyste nasycenie pogłębiające tło, wciągające obserwatora do prywatnego świata malowanych postaci. A za obrazami, gdzie widać ściany baraku, collage postrzępionych zdjęć samych kobiet, nie tylko ich ciał, ale i twarzy, części twarzy, wydartych z książek o sztuce, magazynów porno, katalogów mody, zółknących i zwijających się pod bezbarwną taśmą klejącą.

Czy to on?, szepce Rachel.

Obrazy z całą pewnością wyglądają na jego prace. Widziałaś je

wcześniej?

Nie. Są niesamowite.

Gdy rozmawiają, z drugiego pokoju wychodzi Blaze, ręką zasłaniając twarz przed smrodem. Tam też go nie ma.

Rachel rozgląda się po pomieszczeniu, kręcąc głową ze zdumienia.

Lepiej się stąd wynośmy; tylko tego nam trzeba, żeby pomyślał, że myszkujemy w obrazach podczas jego nieobecności.

Anna jednak wciąż powoli przechodzi od jednego malowidła do następnego, przytłoczona ich bogactwem.

Te są niezwykle, mówi, ale Rachel jest już przy niej i ponagla ją do wyjścia.

Na podwórku, w miejscu, gdzie ścieżka wyłania się z zielska, stoi jakaś postać.

Lewin?, pyta Rachel, osłaniając oczy przed promieniami popołudniowego słońca, oślepiającego po wyjściu z ciemnego baraku.

Może, odpowiada postać, robiąc krok do tyłu. A kto pyta?

Rachel LaMarque z Centrum Belmore, jestem prawniczką Antona.

Jakiego Antona?, rzuca człowiek, ale zanim Rachel odpowie, pojawia się za nią Blaze.

Co on tu, kurwa, robi?, klnie mężczyzna, cofając się o krok.

Lewin, zaczyna cicho Blaze. Długo się nie widzieliśmy. Zaskoczona animozją w jego głosie, Anna odwraca się, ale twarz Blaze'a jest

niewzruszona.

Spokojnie, mówi Rachel, nie chcemy żadnych kłopotów. Staramy się jedynie znaleźć Antona. Wiemy, że często tu przychodzi.

Lewin nie odpowiada od razu. Teraz, gdy jej wzrok przyzwyczał się już do światła, Rachel widzi, że jest wysoki, jego wyniszczone ciało odziane w bluzy i dzinsy, pomimo upału.

Mówisz, że jesteś prawniczką Antona?

Zgadza się. Poznaliśmy się zimą dwa lata temu przy ciężarówce misyjnej koło wiaduktu. Wtedy, gdy zachorowałeś.

Lewin wpatruje się w nią. Pamiętam, mówi. Byłaś z tym lekarzem.

Z Vinhem.

Tak, z Vinhem.

No więc widziałaś Antona?, dopytuje się Rachel.

Lewin spogląda to na nią, to na Blaze'a. Nie, odpowiada szyderczym tonem.

Gówno prawda, stwierdza Blaze, robiąc krok do przodu. Był tu wcześniej.

Rachel kładzie mu rękę na ramieniu, chcąc go pohamować.

Nie było mnie, twierdzi Lewin. A tak w ogóle to po co go szukacie?

Nie pojawił się na terapii, wyjaśnia Rachel.

No i co? Z tego wniosek, że ten jego terapeuta to pojeb.

Może i tak. Ale chodzi o to, że jeżeli nie stawi się w poniedziałek na

rozprawie, zostanie wydany nakaz jego aresztowania i pójdzie siedzieć.

Lewin kręci głową raz czy dwa, potem idzie spokojnie w ich stronę, utykając mocno na prawą nogę. Wydaje się, że jego agresja sprzed chwili uleciała.

A kim jest twoja koleżanka?, pyta, podchodząc tak blisko, że Anna widzi spróchniałe pieńki jego zębów, czuje nieświeży oddech. Ma ochotę się cofnąć, ale pozostaje na swoim miejscu.

Mam na imię Anna, mówi.

Anton ją zaatakował, tłumaczy Rachel.

Lewin spogląda na nią ze świeżym zainteresowaniem. Naprawdę? To do niego niepodobne.

Patrząc na niego, Anna widzi zgliszczą przystojnej niegdyś twarzy, wyłaniające się spod wyraźnych oznak białaczki, takich jak zapadnięte kraterki policzków, czarne guzy mięsaków ścielące się na szyi pod rzednącymi włosami. Nagle unosi dłoń, dotyka jej buzi, przesuwa po niej palcami.

Znam cię, prawda?

Anna kręci głową, zaciskając zęby, żeby się nie wzdrygnąć.

Nie. Ale pamiętam cię z czasów, zanim zniknąłeś, mówi. Lewin powoli kiwa głową, po czym bierze jej ranną dłoń, odwraca i spogląda na opatrunek.

Czy Anton ci to zrobił?

Nie, sama to sobie zrobiłam.

Odrzucając głowę do tyłu, Lewin wybucha śmiechem.

No to nie jest aż tak źle, no nie?

Pomiędzy nich wkracza Rachel, uwalniając Annę od Lewina.

Więc jak, widziałeś Antona?

Malarz wzrusza ramionami.

Pewnie wrócił do metra.

Jak się pokaże, to powiedz mu, że go szukamy, dobrze? Powiedz też, żeby się nie martwił, z Blazem wszystko w porządku.

Na te słowa załzawione oczy Lewina płoną nowym zainteresowaniem.

Znowu napastowałaś dzieciaki, co?

Pierdol się, odpowiada spokojnie Blaze. Potem zwraca się do Rachel. Już dłużej nie zniosę tego pojeba. Poczekam na was na zewnątrz.

Dobrze, mówi Rachel, a Blaze odchodzi. Starszy mężczyzna patrzy za nim z pogardą w oczach.

Jak się czujesz?, pyta Rachel, gdy jej współpracownik znikł im z pola widzenia.

Źle, odpowiada artysta.

Ale wciąż malujesz?

Na razie.

Mógłbyś przyjść i zobaczyć się z Vinhem. Albo iść do St. Vincenta.

Lewin patrzy na nią lekceważąco. Żeby mi dali witaminki. Gdy to mówi, dostaje ataku kaszlu, okropnego, mokrego kaszlu, który wydaje się władać całym jego ciałem, skręcając je, aż ze spękanych ust ciekną zabarwione krwią drobiny śluzu. W końcu gdy nachyla się z rękami na kolanach, kaszel ustępuje, a Lewin wyciera twarz rękawem.

Rachel klęka przy nim. Dlaczego nie przyjdiesz do ośrodka? To przecież niczego nie pogorszy.

Taaa, taaa, odpowiada słabo. Może kiedyś.

Lewin nie usuwa im się z drogi, żeby mogły przejść, więc przeciskają się obok niego, najpierw Rachel, potem Anna. Gdy go mijają, Lewin łapie ją za rękę.

Znam cię, mówi, dysząc gorąco do jej ucha.

Kuląc się, Anna kręci głową. Nie.

Tak. Byłaś w galerii na Cross Street trzy tygodnie temu. Widziałem, jak tam wchodzisz.

Anna wykręca się z jego uścisku, wpatruje się w niego ze złością. Nie pamiętam cię.

Lewin śmieje się gorzko. A niby dlaczego miałabyś pamiętać? Jego słowa bolą ją i prowokują do odpowiedzi, ale nie odzywa się, tylko spieszy za Rachel.



Gdy wychodzą z zaułka, widzą, że Blaze siedzi na masce samochodu

i ciska kamieniami w latarnię. Rachel obserwuje, jak podrzuca jeden w górę tak, że z głośnym brzękiem uderza w plastikową osłonę żarówki.

Jezu, Blaze, jesteś równie nieznośny jak oni.

Blaze kręci głową. On jest złośliwym skurwielcem. Żebyśmy tak już dorwali Antona i trzymali się od niego z daleka.

Rozumiem, co czujesz, mówi Rachel, ale on opiekuje się Antonem. Lepiej, że on niż jakiś alfons.

Blaze ciska kolejny kamień, który również trafia w lampę. Rozpoznałaś obrazy?, pyta Annę.

To ten sam Lewin, odpowiada.

Więc twoja znajoma przyszła tu się z nim zobaczyć?

Tak sędzę. Oglądając się na uliczkę, Anna waha się. On umiera, tak?

Rachel przytakuje. Białaczka.

Ilu z waszych podopiecznych ją ma?

Rachel wzdycha. Pewnie jedna trzecia. Dla większości z nich nic nie możemy zrobić.

Anna kiwa głową, trawiąc informację. A co zrobicie w sprawie Antona?

Sam się znajdzie. Jak powiedział Lewin, pewnie wrócił do metra.

Dokąd jedzie?

Donikąd, po prostu sobie jeździ. Czasem przez cały dzień.

Jest coś dziwnego w głosie Rachel, gdy to mówi, jakiś smutek, który

przyciąga do niej wzrok Anny.

Nie patrz tak na mnie. To tylko dzieciak, nie możemy się angażować.

Słuchając jej, Anna zastanawia się, czy kłamie ze względu na nią, czy na samą siebie.

Później tego wieczora w barze sushi w Chinatown Anna patrzy, jak Rachel je, a sama ledwie próbuje swojego dania. Widząc to, Rachel uśmiecha się szeroko i zręcznie wrzuca część jej sashimi na swój talerz.

Nie smakuje ci?, pyta.

Przed nimi tace z jedzeniem przesuwają się na cichym taśmociągu, wychodząc z kuchni, przesuwając się wzdłuż lady, by ponownie zniknąć w kuchni. Na projektorze holograficznym pośrodku baru ubrana w skórzany strój tancerka go-go wije się w wirtualnej klatce w rytm japońskiego popu.

Anna uśmiecha się. Nie w tym rzecz. W Hongkongu jest mnóstwo takich miejsc. Miałam przyjaciela, który je lubił. Wspomnienie o Rolandzie wywołało na jej twarzy uśmiech.

Tak?, rzuca Rachel dwuznacznie z ustami pełnymi ryżu i ryby.

Anna śmieje się. Nic z tych rzeczy, był tylko moim znajomym. Ale gdy to mówi, przypomina jej się Jared, i odwraca wzrok. Przez okienko w drzwiach do kuchni widać kucharzy: jeden pracuje ze skupionym

wzrokiem utkwionym w dół, dwóch innych śmieje się z jakiegoś żartu. Czując, że ktoś ich obserwuje, jeden ze śmiechem podnosi oczy, napotyka wzrok Anny i natychmiast odwraca spojrzenie.

Całkiem zapomniałam, mówi Rachel. Jak tam koncert?

Było cudownie, odpowiada Anna, odwracając się i widząc, że Rachel przygląda się jej z rozbawionym zainteresowaniem znad swojej szklanki.

Dlaczego pytasz? Czy Seth coś mówił?

Rachel popija. A powinien?

Anna śmieje się, pokrywając się rumieńcem. Nie. Przez chwilę wodzi koniuszkiem palca po szklance.

Opowiedz mi o nim, prosi, czując w tym pewne niebezpieczeństwo, wiedząc, że taka prośba zdefiniuje w jakiś sposób tę niecodzienną przyjaźń, która chyba się między nimi nawiązała. Rachel obserwuje ją, nieodgadniona, a jej wyraz twarzy nagle tak bezsprzecznie przypomina jej Seta.

A co chcesz wiedzieć?, pyta w końcu, chociaż jej głos nie jest już tak Przyjazny jak wcześniej, brzmi bardziej ostrożnie.

Wydaje się taki odizolowany, taki...

Zimny? Skryty?

Chyba tak.

Na pewno to drugie.

A pierwsze?

Nie sędę. Chociaż nie znosi głupców. A przy tym jest samotnikiem, człowiekiem bardzo obowiązkowym, nie ma więc zbyt wielu przyjaciół. Jednak jestem pewna, że bardzo chciałby ich mieć.

Anna zastanawia się nad tą ostatnią uwagą, próbując odgadnąć, ile z tego jest prawdą, a ile przypuszczeniem.

Jest starszy od ciebie, tak?

W przyszłym roku stuknie mu czterdziestka, więc pomiędzy nami jest prawie osiem lat różnicy.

Całkiem sporo.

Rachel uśmiecha się lekko. Wydaje mi się, że byłam... nieplanowana.

Bez urazy, mówi Anna, spoglądając na jej brzuch.

Moja ciąża nie jest wpadką.

Zawstydzona Anna czuje, jak się czerwieni.

Seth powiedział mi o ojcu dziecka.

Albo jego braku. Odchylając się do tyłu, Rachel przygląda się Annie.

On naprawdę strasznie się o to wkurza.

Dlaczego?

Nie wiem. Czasem jest zaskakująco konserwatywny.

Jesteście sobie bardzo bliscy, prawda?

Rachel przytakuje. Nasi rodzice umarli, kiedy byłam jeszcze dość mała.

Przykro mi.

Prawdę mówiąc, ledwie ich pamiętam. A twoi?

Mieszkają w Londynie. Ojciec pracuje w teatrze. Matka w latach osiemdziesiątych była aktorką, ale teraz uczy.

Czy możliwe, że ją znam?

Anna kręci głową.

Masz jakieś rodzeństwo?

Mam siostrę w Nowym Jorku. Jest muzykiem. I miałam... mam... brata bliźniaka. On... zaginął.

Rachel patrzy na nią z zaciekawieniem.

To długa historia, mówi Anna. Na szczęście Rachel jest na tyle taktowna, by nie drażnić dalej tej kwestii, ale przez jakiś czas żadna z nich się nie odzywa.

Seth wyznał mi, że jest niewidomy od urodzenia, mówi w końcu Anna, a Rachel kiwa głową, przełykając jedzenie, zanim się odezwie.

Naszej matce przepisano jakieś leki przeciwwymiotne, które podziałały na jego nerwy wzrokowe. I tak miał szczęście - wiele dzieci urodziło się także głuchych, a niektóre z uszkodzeniem mózgu.

Gdy Rachel mówi, Annie przychodzą do głowy te trzy miesiące, kiedy i w niej rozwijało się życie, przypomina sobie ból jego utraty. Nie tylko ból samego zabiegu, ale pustkę, która potem pozostała, głuchą i ogłupiającą. Jej wspomnienia o tych trzech miesiącach są filtrowane

przez to, co było później: samotny pokój w Western, noce spędzane na oglądaniu telewizji, otepienie i przygnębienie, jakby umarła część jej samej. Ta strata była czymś więcej niż wspomnieniem, była czymś głębszym, czymś bardziej bolesnym, czymś wydartym z materii jej komórek. Obok niej Rachel puka w blat z nierdzewnej stali, jej odbicie zniekształcone w wypolerowanej powierzchni. Obserwując ją, Anna zastanawia się, czy mogłaby urodzić tamto dziecko. Miałoby już sześć miesięcy. Może już spałoby spokojnie w nocy. No i byłoby jej.

Kiedy Rachel odzywa się znowu, jej głos jest łagodniejszy, mniej pewny. Przeraza mnie to, wiesz. Jesteśmy tacy nietrwali, a dziecko... Rozkłada ręce w geście bezradności.

Robiłaś sobie chyba badania genetyczne, prawda?, pyta Anna, a jej głos brzmi ostrzej, niżby chciała.

Oczywiście. Ale chodzi o coś więcej. Patrzy na Annę przez dłuższą chwilę. Zrobiłabyś to?

Co?

Sprowadziłabyś je na ten świat?

Sądziłam, że zrobiłaś to celowo.

Tak, mówi Rachel z przestraszonym wzrokiem, ale czasami rozglądam się dokoła i zastanawiam się, czy mam do tego prawo.

Nie możesz tak myśleć.

Wiem.

Przez kilkanaście sekund siedzą w ciszy. Czy myślisz, że był kiedykolwiek taki czas, gdy było inaczej, gdy zanosilo się na to, że sprawy zaczną iść lepiej zamiast gorzej?

Anna wzrusza ramionami. Może.

Chodzi o to, że mamy te wszystkie rzeczy, tę całą technologię, która miała polepszyć nasze życie, uwolnić nas, a jednak wciąż toczymy te same bitwy. Bogaci przeciw biednym, ci, co mają, przeciwko tym, co nie mają. A osiągamy tylko tyle, że dzieje się coraz gorzej.

Naprawdę tak uważasz?

Rachel kiwa głową. To stopniowy proces, ale wydaje się, iż z każdym rokiem staczamy się coraz niżej, nikną kolejne prawa, na ulicach ląduje coraz więcej ludzi. To są niewielkie kroczki, więc ludzie ich nie zauważają, tak jak nie zauważyli, że policja zaczęła nosić półautomatyczną broń i kamizelki kuloodporne. Na początku tylko niektórzy z nich i tylko przez jakiś czas. A teraz już wszyscy i przez cały czas. Po prostu przyzwyczajamy się do zmian, zapominamy, jak było kiedyś. Jak mogłoby być.

Na ulicy Rachel zatrzymuje taksówkę i ściskając dłoń Anny, stoi przy otwartych drzwiach.

Po naszym wczorajszym spotkaniu przyszło mi do głowy, że powinnam zrobić kilka zdjęć, mówi, wolną ręką wskazując na swój zaokrąglony brzuch. Gdybym cię poprosiła, zgodziłabyś się?

Anna uśmiecha się. Kiedy tylko zechcesz. Musiałabym wynająć studio, trzeba by też porozmawiać o tym, czego naprawdę oczekujesz po tych zdjęciach, ale to nie powinno być zbyt skomplikowane.

W takim razie zadzwonię do ciebie, mówi Rachel, a drzwi taksówki zamykają się za nią.

Śnię tylko jeden sen. Może są i inne, które śniłam, nie wiedząc o nich, które zapomniałam po przebudzeniu, ale ten jest jedynym, który pamiętam. Nie zastąpił go w czasie mojego długiego życia żaden inny, nigdy nie zaszła w nim żadna zmiana, nic się nie zamazało.

Jest to sen o czasie sprzed słów, moje myśli są jedynie nieukształtowaną masą wrażeń zmysłowych. Unoszę się zawieszona, pulsująca pępowina wije się spiralą wokół mego ciała. Otacza mnie bliskość łona, zawiera mnie w sobie. Moje oczy są otwarte i, co dziwne, jest tu światło, stłumiona, czerwona poświata. Widzę/słyszę/czuję swą dłoń - wspaniałą, dziwną - widzę/słyszę/czuję ruch krwi mojej matki poprzez ścianki łożyska, widzę/słyszę/czuję bicie mego serca. Płyn owodniowy w moich płucach jest jak ciepłe kryształki. I to wszystko, poza tym nic się nie dzieje, jest jedynie ta chwila, moja dłoń, tępe paznokcie, niewyraźna plątanina linii papilarnych, ta chwila bez początku, bez końca i bez kierunku.

Śnimy o sobie samych, wiemy to. Każdej nocy dajemy się ponieść

do zarania naszych dziejów, wślizgujemy się tam poprzez ciepłą zawieszinę snów, nasze zmysły łączą się w jeden, aż w końcu nie umiemy rozróżnić tego, co widzimy, słyszymy, czujemy. Żadnego zewnątrz ani wewnątrz, tylko puls istnienia, równie pierwotny i niewysłowiony jak ból albo orgazm. Tam właśnie, w głębiach tej synestezji tworzą się szmery, zawirowania w strukturze bytu. I jak zapomniane słowo czy imię, które przypominamy sobie po kilku godzinach albo dniach, nagle poznajemy tę strukturę z niewypowiedzianą jasnością, odkrywa się przed nami jej geometria, oddzielona od tego, co nagle staje się obce.

Dawniej sądzono, że skamieniałe szczątki muszli żyły kiedyś, i jeśli nawet nie było to szybkie, gorące życie krwi i kości, to przynajmniej powolne, ciche istnienie, nieśmiałe bytowanie równie stare i niepoznawalne jak pełzanie lodowców i kontynentów. Podobnie jak embrion w łonie rozwija się z materii matki, przyjmując własną postać i życie, uważano, że skała rodzi rzeźbione linie kamiennych muszli i skamieniałe zęby. Pliniusz nazwał je kamiennymi językami i rogami Amona, materialnymi snami ssącymi substancję z macierzystej tkanki ziemi, ich pojawienie się uznał za nie bardziej tajemnicze niż pojawienie się obfitości innych form świata zewnętrznego, a geometryczny język muszli za równie oczywisty jak ciąg Fibonacciego w szyszkach sosny i słonecznikach, ławicach ryb albo stadach ptaków, które zmieniają kierunek i obracają się jak jedna istota. Jednak nie oznacza to także, że

muszle są od tych zjawisk mniej tajemnicze.

Może my też tego doświadczamy, nasze wewnętrzne światy wyłaniają się z surowej tkanki naszych snów i odczuć jak sygnał, który wybija się z szumu zakłóceń, albo skamieniała muszla wyrastająca ze skały, jak wzory na skrzydłach motyla albo przerażająca symetria pasków tygrysa. Jak doskonały logarytm amonitu, niekończąca się spirala jego zwojów.

Pewnego piątkowego wieczoru dwa tygodnie po tym, jak zniknął Daniel, usłyszała pukanie do drzwi. Gdy je otworzyła, ujrzała młodego mężczyznę ubranego w jeansy i koszulkę. Jego długie włosy były tak czarne, że prawie granatowe.

Chiu?, spytała z niedowierzaniem. Sądziłam... to znaczy słyszałam, że cię aresztowano.

Chiu uśmiechnął się słabo. Jeszcze nie. Mówiąc to, oglądał się nerwowo za siebie na wąski korytarz. Dwa piętra wyżej rozległ się krzyk mężczyzny, potem przytłumione walenie, które wydawało się trwać i trwać, aż nagle złowieszczo umilkło.

Co tu robisz?

Słyszałem, że szukasz Daniela.

Poczuła, że zaczyna się trząść, że nagle ogarnął ją strach przed tym, co przyszedł jej powiedzieć Chiu, i przed nim samym.

Tak, odparła, pragnąc, by jej głos brzmiał spokojnie. Czy... czy wiesz coś?

Pokręcił głową. Tylko to, że powiedziałem mu, by się wynosił, póki może.

Kupił bilet do Ho Szi Min.

Więc pewnie gdzieś tam jest.

Teraz ona pokręciła głową. W ogóle nie wszedł do samolotu.

Coś zabłysło w oczach Chiu. Rozmawiałaś z Briar?

Briar też przepadła bez śladu, mieszkanie, które razem wynajmowali, zostało zamknięte przez policję, zabite gwoździami. Którejś nocy Annie udało się skontaktować z jej rodzicami w Surrey, ale gdy tylko wymieniła jej imię, ojciec bez słowa odłożył słuchawkę.

Briar znikła, odparła w końcu. Szukałam jej.

Nie, zaprzeczył Chiu, ona wciąż tu jest. U swojego brata.

Ma brata? Gdzie?

Kilka pięter niżej usłyszeli odgłos otwieranych drzwi wejściowych; dźwięk sprawił, że Chiu podskoczył.

Nie wiem dokładnie, gdzieś na Peak. Z dołu dobiegł ich ciężki tupot, szum windy. Chiu cofnął się, zniżył głos. Muszę iść, rzekł, wykręcając się, gdy chciała go zatrzymać.

Dlaczego to robisz?, zapytała, a on zwrócił ku niej swą nieprzeniknioną twarz.

Daniel jest moim przyjacielem, odparł.

Stojąc w holu, Anna patrzyła, jak przemyka na dół schodami i znika w chaosie miasta.

Godzinę później stała przy białej bramie i wciskała guzik domofonu. Gdy nie otrzymała żadnej odpowiedzi, nacisnęła go ponownie. Chwilę potem usłyszała burkliwy głos.

Szukam Edwarda Hallarda, oznajmiła Anna, sądząc, że jeśli Briar rzeczywiście się tu ukrywała, to łatwiej będzie przekonać brata niż lokaja czy strażnika, by pozwolił jej z nią porozmawiać.

Czy wie pani, która jest godzina?

Spoglądając na zegarek, zobaczyła, że jest prawie północ.

Muszę się z nim zobaczyć.

Nastąpiła dłuższa przerwa.

Jak się pani nazywa?

Anna, odparła. Anna Frasier.

Usłyszała kliknięcie rozłączenia domofonu. Przez kilka minut czekała w ciemności przy bramie. Od strony portu wiała lekka bryza, nie była zimna, ale dość chłodna, by przewiać jej cienką koszulę. Od czasu do czasu mijały ją eleganckie samochody o kosztownych, prawie niesłyszalnych silnikach; światła ich reflektorów prześlizgiwały się po niej, oślepiając blaskiem halogenów. W końcu ujrzała osobnika w mundurze prowadzącego na smyczach dwa szarpiące się psy. Gdy doszedł

do bramy, popatrzył na nią, otaksował ją wzrokiem, po czym cicho i szybko powiedział coś do mikrofonu przytwierdzonego za uchem. Niemal natychmiast brama zaczęła się otwierać.

Briar czekała na werandzie na końcu podjazdu z jedną ręką założoną na piersi, w drugiej trzymała zapalonego papierosa.

Anna, rzekła. Co za niespodzianka.

Mimo że jej głos brzmiał monotannie, Anna usłyszała w nim coś, co wzięła za gniew skrywany pod modulowaną brytyjską intonacją.

Szukam Daniela.

Obawiam się, że nie mogę ci pomóc. Pewnie ukrywa się gdzieś z resztą, tak jak ty?

Być może.

Anna spojrzała na rezydencje przed sobą. Trochę rzuca się w oczy ta twoja kryjówka.

Briar nie odpowiedziała. Chociaż w tym świetle trudno to było stwierdzić na pewno, Annie wydało się, że zeszczuplała. Zaciągnęła się papierosem i wydmuchnęła dym w nocne powietrze.

Masz jeszcze jakąś inną sprawę?

Nieważne, czy to pytanie miało ją wkurzyć, czy nie; wyraźne angielskie samogłoski Briar w połączeniu z arystokratyczną pogardą odniosły taki właśnie skutek. Jednak pamiętając o swojej potrzebie, Anna zachowała spokój.

Miał zarezerwowany bilet do Ho Szi Min.

Lotnisko było zamknięte.

Anna pokręciła głową. Nie, ten samolot odleciał, zanim zamknięto Chep Lak Kok.

Może nie mógł tam dojechać. Zablokowali przecież drogi i zatrzymali pociągi. A może było zbyt wielu chętnych na ten lot i nie mógł wsiąść. Albo wpadł w ogień walki i to go uziemiło. Nie mam pojęcia, dlaczego sądzisz, że ja coś wiem.

Anna z niedowierzaniem wpatrywała się w nią tak długo, że Briar skuliła się pod jej spojrzeniem.

Dobrze wiesz dlaczego, odparła chłodno.

Jak gdyby ten ostatni przytyk przebił jej zbroję, Briar skinęła na strażnika, który stał za Anną ze zziąjanymi psami.

Sądzę, że już czas, by panna Frasier nas opuściła, powiedziała drżącym głosem. Gdy ręka strażnika zacisnęła się wokół jej ramienia, Anna spojrzała na Briar, przesywając ją na wylot pełnym gniewu spojrzeniem.

Co z ciebie za człowiek?, rzuciła cicho, ale Briar nie odpowiedziała. Przy bramie Anna obejrzała się i zobaczyła, że wciąż tam stoi, nieruchoma, a dym z papierosa wije się wokół niej w świetle werandy.

Dopiero później zdała sobie sprawę, iż wcale nie potrzebowała jej mówić, że Daniel nie zdążył na samolot.

0

Nigdy już nie zobaczyła Chiu, za to natknęła się na Briar, tylko raz, kilka tygodni później. Anna stała na ruchomych schodach wznoszących się na kolejne piętra centrum handlowego Wan Chai. Niecałe trzy metry od niej znalazła się półkolista szklana ściana baru wysuniętego do atrium, a w nim, przy stoliku przy oknie siedziała Briar. Znowu paliła, ręka jej się trzęsła, gdy szybkimi, drżącymi ruchami unosiła papierosa do ust. Miała dłuższe włosy, niż Anna zapamiętała, niedbale odgarnięte z twarzy, która wyglądała na zmizerowaną i zmęczoną, jej ciemna skóra utraciła swój blask. Ogarnęła ją lodowata furia, gdy się w nią wpatrywała, pragnęła, żeby Briar się odwróciła, zauważyła ją, poczuła jej nienawiść, którą nosiła w sobie z powodu tego, że wyparła się Daniela, który kochał ją tak pięknie, tak bezpretensjonalnie. Gdy były na mniej więcej równym poziomie, Briar uniosła wzrok znad kieliszka trzymanego w jednej dłoni, być może wyczuwając jakoś na sobie spojrzenie Anny. Anna nie była pewna, czego się spodziewać, ale na pewno nie tego, jak Briar na nią popatrzyła: w jej oczach nie było złości, był jedynie strach i wstyd. Nagle jednym konwulsyjnym ruchem wstała, niedbale zgasiła papierosa w popielniczce, odwróciła się i przepchała się do wyjścia z zatłoczonego baru.

5:13 RANO. Anna budzi się nagle, strzępy snu wirują jej w głowie.

Drapie się niczym zwierzę, jak w spazmach wbija w ciało paznokcie, nocne strachy pełzają po jej skórze jak owady, obce, denerwujące. Jej serce wali jak młotem. Ignorując tępe pulsowanie w dłoni, wstaje, pośpiesznie wciąga kostium kąpielowy, nakłada strój do biegania i buty, desperacko pragnąc wyjść z zamkniętej przestrzeni mieszkania. Ale gdy jest już na zewnątrz, ból powraca i okazuje się, że musi biec nierównym krokiem z ręką przyciśniętą do piersi. Po jej lewej stronie słońce zaczyna wynurzać się z bezbarwnych wód oceanu, białe ślady po odrzutowcach znaczą kopułę nieba. Czując potrzebę wydalenia trucizny swych snów, Anna zaczyna biec szybciej, zmuszając się do zignorowania bólu w dłoni. Gdy dociera do basenu, dozorca mruga zaspany, wciąż nastawiając systemy regulujące pracę obiektu na nadchodzący dzień, ale Anna bez słowa kładzie pieniądze na ladzie, przepycha się, żeby zrzucić z siebie ubrania i znaleźć się w wodzie.

W świetle świtu jej powierzchnia pełza niczym plama oleju, odbija się w niej klif górujący nad pływalnią. Anna skacze ze słupka, zimno wody zapiera jej dech, sprawia, że pierwsze dwie długości przepływa za szybko, bijąc gorączkowo kończynami, żeby je rozgrzać. Lecz po chwili krew zaczyna w niej krążyć i Anna rozluźnia się, unosząc się na wodzie, z solą na skórze i w ustach. Jej zraniona dłoń uderza wodę niczym klaps, trzydzieści razy w czasie jednej długości.

Wychodzi z basenu po przepłynięciu dwóch kilometrów, mięśnie

ma napompowane krwią, napięte, skórę chłodną. Siada przy ścianie od zewnątrz, z dala od wiejącej bryzy. Ostrożnie unosi opatrunek, żeby zbadać dłoń, widzi, że rana pomarszczyła się, tkanka wokół napuchła tak, że skóra zaczęła już pękać.

Zjawili się inni ludzie, ale nie ma ich zbyt wielu, poruszają się cicho wokół krawędzi basenu, wkładają okulary i czepki, przyglądają się torom. Anna ukradkiem obserwuje, jak starsza kobieta o bladym ciele, zwiotczonym i pokrytym wokół masywnych barków plamkami, odpina protezę nogi, a kikut zgina się w kolanie, gdy ostrożnie owija sztuczną kończynę w ręcznik i opuszcza się do wody. Kiedy zaczyna płynąć równymi, niespiesznymi ruchami, pojawia się młodsza, wysoka kobieta. Anna przygląda się, jak obciąga kąpielówki na okrągłych pośladkach. Oglądając się przez ramię, zauważa, że jest obserwowana, i uśmiecha się w śmiały, szelmowski sposób. Cześć, mówi, a Anna, zazdroszcząc jej nagle takiej swobody, ledwie może wyjąkać odpowiedź. Tamta patrzy wystarczająco długo, by do Anny dotarło, że została poddana testowi i zdała. Wreszcie kobieta robi dwa szybkie kroki, a jej szczupła sylwetka przecina gładką powierzchnię wody, ledwie ją marszcząc.

Przez pięć minut, a może dłużej, Anna patrzy, jak młodsza babka pływa po wewnętrznym torze, ale w końcu wkłada szorty i koszulkę, zawiązuje buty i szykuje się do drogi powrotnej. Na klifach jej oddech jest gorący, urywany, krok gubi rytm z powodu przyciskania do piersi

zranionej dłoni. Bryza ustała, powietrze robi się coraz cieplejsze, w górze mewy krążą nad lekko wzburzoną wodą, białe na tle brudnoniebieskiej toni. Przypomina sobie Daniela, jego niby to żartobliwą odmowę kupienia sobie komórki, ponieważ, jak twierdził, czułby mikrofałę przenikającą jego czaszkę i smażące mu mózg. Tu, nad ogromnym oceanem prawie mu wierzy, cichy poszum niewidzialnego promieniowania, nieustanny przeciek z łączy jest tu niemal słyszalny.

Później, pod prysznicem, pozwala ciepłej wodzie biec po swej głowie i ciele, zatracą się w jej przepływie. Otwierając oczy, widzi swoje odbicie w zasnutej parą tafli lustra, włosy przyklepione do głowy, swą szczupłą sylwetkę dziwnie sztywną w zamglonym zwierciadle. Twarz w lustrze należy do kogoś obcego.

W czwartek przed południem widzi się z Jadwigą. Siedzą razem w kafejce dwie przecznice od galerii, popijając mocną, sypaną kawę bez cukru. Gdy rozmawiają, piskliwa turecka muzyka odbija się echem od ścian pomieszczenia. Anna zgodziła się na to spotkanie tydzień wcześniej, wiedząc, że Jadwiga organizuje takie nieformalne sesje, spodziewając się dostaw od swoich artystów, chociaż nigdy nie byłaby tak nietaktowna, by wprost zapytać o postępy ich prac. Mimo to Anna niechętnie przystała na to zaproszenie, gdyż przypomniało jej ono, jak niewiele zrobiła, odkąd rozmawiały ze sobą prawie miesiąc temu. Na dodatek, choć Dylan

pozostaje jej życzliwy, Anna nie może otrząsnąć się z podejrzenia, że zaczyna mu się wydawać, iż ona za bardzo wykorzystuje jego ofertę nieograniczonego dostępu do zbiorów. Do tego wszystkiego wydarzenia weekendu dały nowy powód do zdenerwowania i Anna nie jest pewna, jak powinna podejść do kwestii Lewina i tego, co łączy z nim Jadwigę. Milczenie wydaje się nie tylko nieuczciwe, ale i pełne niebezpieczeństw. To, że Lewin twierdził, iż rozpoznał ją, jak wchodziła do galerii, sugerowało możliwość, że wspomni Jadwidze o tym, że ją spotkał, a w takim przypadku jej milczenie bez wątpienia nie zostanie uznane za nic dobrego. Niemniej jednak, nie mogąc zapomnieć, w jaki sposób Jadwiga przechodziła przez ulicę, gdy zeszła ze ścieżki, Anna jest przekonana, że starsza kobieta nie będzie zachwycona poruszeniem tego tematu, a przy tym nie ma pewności, czy ich przyjaźń odnowiła się już na tyle, by przetrwać takie wścibstwo.

Na szczęście Jadwiga nie wzdraga się, gdy Anna w końcu porusza tę kwestię, mówiąc po prostu, że spotkała Michaela Lewina. Jadwiga trzyma filiżankę z kawą tuż przy ustach, jej niebieskie oczy są tak blade, że prawie przezroczyste, ale błyszczą.

Gdzie?, pyta.

Na tym dzikim koczowisku niedaleko kostnicy.

Co tam robiłaś?

Anna nie odpowiada od razu, ponieważ jest to pytanie, którego

chciała uniknąć, chociaż wiedziała, że to się nie może udać.

Byłam w Glebę, mówi w końcu, spuszczać wzrok, ale świadoma na sobie spojrzenia Jadwigi. Wracalam i zobaczyłam cię. To był czysty zbieg okoliczności.

Jadwiga nic nie mówi.

Wydawałaś się taka... pewna swego celu. Zastanawiałam się, gdzie byłaś, i poszłam sprawdzić.

Śledziłaś mnie?

Nie, odpowiada Anna, byłam jedynie ciekawa. Wiem, jak to musi wyglądać.

Jadwiga znowu nic nie odpowiada.

Sądziłam, że nie żyje.

Czasami myślę, że tak byłoby lepiej.

Ale co się stało, dlaczego tam byłaś?

Jadwiga podnosi badawczy wzrok. Nie znasz tej historii? Wydymając usta, zastanawia się przez chwilę. Nie, chyba byłaś wtedy jeszcze na studiach, nie mogłaś wiedzieć.



Poznałam go, gdy był jeszcze w akademii sztuk pięknych, to już prawie dwadzieścia lat temu. Był prawdziwym *enfant terrible*: niesamowicie utalentowany, arogancki, nieziemsko przystojny, w byronowskim typie, aż do chwili, gdy zaczął kuleć po wypadku na

motorze. Tak naprawdę to nie rozumiem, co robił w tej szkole, ta zgraja palantów nie mogła go już niczego nauczyć, a on chyba zdawał sobie z tego sprawę. Oczywiście traktował ich z pogardą. Pracowałam wtedy dla Rosanny, więc przychodził nie do mnie, tylko do niej, ale byłam tam, gdy zjawiał się po raz pierwszy, i wciąż pamiętam, jak zaparkował swój motor na chodniku przed samym wejściem i wkroczył do środka, jakby był właścicielem tego miejsca. Przedstawił się, a Rosanna prawie kazała mu się wynieść - miał wyznaczone spotkanie tydzień wcześniej, ale nie przyszedł. Była wściekła, ale - chyba na szczęście - dała się ubłagać, a on rzucił na stół stos rysunków i slajdów. Sądziś, że uda ci się je sprzedać?, zapytał.

Nawet wtedy, za pierwszym razem, nie był zdenerwowany, nawet przy tak ważnej i despotycznej osobie jak Rosanna. Był na to zbyt arogancki, ale jego arogancja nie brała się z zarozumiałstwa, tylko z wiary we własny talent. Nie obchodziło go, co myśleli i mówili o nim inni, i wcale się z tym nie krył. A gdy tylko zaczynało ci się wydawać, że jest nie do zniesienia, robił to, co zrobił właśnie tamtego dnia: odwracał się i raczył cię tym charakterystycznym uśmiechem, jak gdyby wtajemniczał cię w niekończący się żart swego życia.

Pomyślałam wtedy, że jest najseksowniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam.

Tak czy owak Rosanna wzięła to, co jej przyniósł, i wyznaczyła

termin wystawy w swojej mniejszej galerii. Były to jego wczesne prace, jeszcze nie całkiem jego, ponieważ wpływy były zbyt oczywiste, ale widać już było w nich energię, wycucie głębi i koloru, moc kompozycji, zrozumienie kobiecego ciała. Wszystko zostało wyprzedane w ciągu pół godziny, co samo w sobie było niemałą sensacją.

Do tego czasu poznałam go nieco lepiej, trochę przez przyjaciół, trochę z jego własnych opowiadań, a byłam na tyle młoda i głupia, żeby to, czego się dowiedziałam, wydało mi się niezwykle ekscytujące. Imprezy, narkotyki, alkohol, niezliczone kobiety, wszystko, o czym pewnie słyszałaś. No i hera. Nie wiem, czy wszyscy byli tego świadomi, ale już wtedy był uzależniony od dobrych paru lat. Jednak potrafił nad tym panować i chociaż czasami nałóg wymykał się spod kontroli, to on traktował go ze swobodą, która przekonała innych, że tak ma być. Narkotyki były po prostu częścią jego.

Po wernisażu poszliśmy wszyscy do restauracji za rogiem. Michael był naładowany jak błyskawica, a ja nie mogłam oderwać od niego oczu. Wypełniał pomieszczenie swoją obecnością. Gdy wszyscy już poszli i zostaliśmy tylko we dwoje, cóż, ja...

Wtedy wciąż byłam jeszcze związana z Pyotrem, chociaż i tak wszystko zmierzało ku końcowi. To właśnie Michael dodał mi odwagi, żebym w końcu od niego odeszła. Byliśmy ze sobą dwa lata, raz było lepiej, raz gorzej, aż nie mogłam już tego znieść i wszystko zakończyłam.

Pozostaliśmy jednak przyjaciółmi i ostatecznie to ja go reprezentowałam po tym, jak Rosanna przeszła na emeryturę. Jean-Paul nigdy nie wiedział, co nas kiedyś... zawsze łączyło... nigdy nie chciałam, żeby się dowiedział.

Im robił się sławniejszy, tym bardziej przestawał nad sobą panować. Spędził rok w Paryżu jako wykładowca, wielu z nas sądziło, że się dzięki temu uspokoi, ale wrócił jeszcze gorszy. Nie chodziło jedynie o heroinę, ale też o alkohol, o styl życia. To było przerażające. Po powrocie z Francji poznał Susan. Miała pieniądze i go przygarnęła, spłaciła jego długi, doprowadziła do jako takiego porządku. Ale on już wtedy był w takim stadium, że nie dało mu się pomóc, kradł jej pieniądze, wynosił z domu rzeczy, takie tam typowo ćpuńskie numery. I chociaż sądzę, że wtedy nikt o tym nie wiedział, bił ją. To było naprawdę okropne, tak jakby narkotyki i alkohol wydrążyły go w środku. Wszystko, co z niego pozostało, to potworne napady szaleństwa i prowadzące do samobójczych prób depresje. No i kłamstwa.

W końcu pewnego wieczora jak się do niej dobrał, to złamał jej nos i rozwalił czaszkę, miała też przebite jedno płuco. Ten koszmar mógł przyczynić się do tego, co stało się potem. Susan miała córkę o imieniu Naomi. Miała wtedy około dwunastu lat, była ładniutka i bystra. Nadal taka jest. Teraz mieszka chyba gdzieś niedaleko galerii; widuję ją od czasu do czasu, chociaż nie sądzę, żeby mnie pamiętała. Susan spędziła w szpitalu kilka tygodni, a Michaela formalnie oskarżono o napaść. Jean-

Paul i ja przygarnęliśmy go, bo choć sędzia zwolnił go za kaucję, to i tak musiał dostarczyć poręczenie i podpisane oświadczenie, że nie wróci do domu Susan. Wpłaciłam kaucję, bo nie zrobiłby tego nikt inny, i wzięłam go do siebie, ponieważ tylko dzięki temu miałam pewność, że nie ucieknie i się nie zabije. Ale kiedy Susan wyszła ze szpitala, Naomi widocznie opowiedziała jej jakąś historyjkę o tym, jak Michael jej dotykał. Nie znam szczegółów i wcale nie chcę ich znać. Może i była to prawda; w końcu Michael był już wtedy w takim stanie, że zdolny był chyba do wszystkiego. Ale znałam go, czy też sądziłam, że znam, a to wydawało się tak do niego niepodobne... Więc może jednak tego nie zrobił, może Susan namówiła Naomi, żeby tak powiedziała, może Naomi zrobiła to, żeby zemścić się na nim za pokiereszowanie matki, czemu niezaprzeczalnie był winny. Nie wiem, czy teraz ma to jakieś znaczenie.

Za drugim razem też wyłożyłam za niego pieniądze na kaucję, potem znowu, kiedy zaczęły pojawiać się kolejne oskarżenia: przywłaszczenie, kradzież. Czy mówiłam ci, że ją okradał? Nie było chyba takiej rzeczy, której by nie zrobił. To było okropne i kosztowało mnie utratę wielu przyjaciół, bo nie chciałam go od siebie odrzucić; ale jak mogłam to zrobić? Nie miał przecież nikogo innego. Zorganizowałam wystawę jego prac, żeby zarobić trochę pieniędzy na rachunki dla jego prawników. Sprzedałam jeden obraz. Tak więc Jean-Paul i ja pokryliśmy również te koszty. Przez cały czas Michael zachowywał się tak, jakby to

był jeden wielki żart, zwalniał kolejnych prawników, nie stawiał się na rozprawy w sądzie, działał jak szaleniec, którym wtedy chyba już był. Potem zaczęła się rozprawa i wszystko się zmieniło. Nie słyszałam zeznań Naomi - to było posiedzenie zamknięte - ale jego prawnicy stwierdzili, że była bardzo przekonująca. Wtedy chyba też już wierzyłam, że to zrobił, ale przecież potrzebował przyjaciela. Rozprawa miała trwać trzy dni, jednak w czasie przerwy na lunch drugiego dnia Michael zniknął. Niczego nie zabrał, nie zostawił żadnej wiadomości. Większość z nas myślała, że się utopił albo został zamordowany - był winny sporo pieniędzy różnym podejrzanym typkom - ale nigdy nie znaleziono ciała. Oczywiście policja uważała, że ja i Jean-Paul jesteśmy w to wmieszani, więc wielokrotnie nas przesłuchiowano. Musieliśmy też zostawić kaucję, byliśmy więc spłukani. Jean-Paul prawie ode mnie wtedy odszedł. Nie winiłabym go, gdyby to zrobił.

Potem, jakieś półtora roku później, pojawił się w galerii, chciał pieniędzy. U Jean-Paula dopiero co rozpoznano chorobę, a ja, chociaż byłam zła na Michaela, zabrałam go do jakiegoś baru, żeby coś zjadł i żebym sama mogła się wygadać. Powiedział mi wtedy, że mieszkał na ulicach, przenosił się z miasta do miasta, unikał kłopotów. Zmienił się, ale wciąż było w nim coś, co znałam, i wbrew sobie nie pozostałam obojętna. Zapytałam go o prace, a on powiedział, że nic nie namalował, ale chciał zacząć od nowa. Na to właśnie potrzebował pieniędzy.

Powiedziałam mu, że nie dam mu gotówki, ale będzie mógł kupować materiały malarskie na mój rachunek. Myślałam o tym, żeby powiadomić policję, ale był taki chory, wyniszczony, że w końcu tego nie zrobiłam. Nie wiem, czy ktoś jeszcze wie, że wrócił, ja nikomu nie mówiłam, ale może widział się z innymi ludźmi. Jednak liczy się fakt, że pracuje, a rzeczy, które maluje, są nadzwyczajne. Myślę, że to czyni całą tę sprawę tym bardziej przykrą; mógł być kimś tak wielkim...



Opowieść Jadwigi wraca do niej dwa dni później, gdy jej taksówka sunie po autostradzie w stronę miasta. Lewin umknął policji, wszystkim znajomym, potem zjawiał się znowu, kiedy wszyscy już postawili na nim krzyżyk. Ale Lewin miał powody, by zniknąć, bo nie miał dokąd iść. Daniel zawsze mógł uciec do niej, do Sophie albo do rodziców, jeśli miał jakieś kłopoty. Jednak coś w opowieści Jadwigi podniosło ją na duchu, sprawiło, że pomyślała, choć przez krótką chwilę, iż wciąż może być jeszcze jakaś nadzieja.

Mieszkanie znajduje się na dwóch najwyższych piętrach wielkiego domu szeregowego. Przez przestarzały domofon głos Rachel brzmi srogo, gdy odpowiada na jej dzwonek. Anna powoli wchodzi po schodach, jej dłoń ziębi butelka wina, które kupiła w piwnicach w Bondi. Rachel czeka na nią w otwartych drzwiach. Kiedy rozmawiały ze sobą we wtorek, Annie zdawało się, że jest zirytowana, jak gdyby ich bliskość w barze sushi

została zatruta przez pocucie, że obie ujawniły zbyt wiele. Teraz jednak Rachel uśmiecha się, gdy ją widzi i całuje w policzek jak starą przyjaciółkę. Dzisiejsze zaproszenie nadeszło niespodziewanie we wtorek rano. Krew Anny zaczyna krążyć szybciej, gdy dowiaduje się, że będzie też Seth.

Kiedy są już w środku, Rachel odkorkowuje butelkę i obie wolno idą na taras, gdzie stoi nakryty stolik. Na dworze zmierzcha, ale na balustradzie płonie rząd płonących oliwnych lampek dających ciepłe, łagodne światło.

Inni się spóźnią, mówi Rachel. Blaze dzwonił, że on i Paul zaspali po siłowni, ale już jadą.

A Seth?

Będzie niedługo.

Znaleźliście Antona?

Rachel popija ze szklanki, do której naląła sobie wody. W końcu tak, odpowiada.

I jak wypadło przesłuchanie?

W porządku.

A Lewin?

Nie widziałam się z nim.

Przez jakiś czas żadna się nie odzywa. Popijając wino, Anna przez otwarte drzwi zauważa jakiś przedmiot na podwyższeniu.

Rachel podąża za jej spojrzeniem. To rzeźba, którą dał mi Seth, wyjaśnia, ruszając w stronę postumentu. Anna podąża za nią.

Jest to kamienny przedmiot około metrowej długości o nieregularnych kształtach, przypominający kilka nałożonych na siebie miednic jakichś starożytnych stworów. Rzeźba jest gładka jak otoczek wypolerowany ruchem wody, a pod jej powierzchnią wiją się zielone cienie. Nie jest aerodynamiczna, a jednak sprawia wrażenie ruchu, jak sylwetka pływającej kobiety o długich włosach lepiących się do ciała, oplatających je, gdy przecina wodę. Rachel obserwuje, jak Anna przygląda się rzeźbie, próbując doszukać się w niej jakiegoś sensu, aż w końcu rozdrażniona podnosi wzrok.

Nie jestem pewna, czy to rozumiem, mówi.

To rzeźba niewidomego artysty, tłumaczy Rachel. Dotknij jej.

Odstawiając kieliszek, Anna zamyka oczy, podobnie jak robiła to z Sethem w magazynie z eksponatami, wodzi rękami po załamujących się krzywiznach, jej dłonie rozstają się przy fałdach zagłębień, powierzchnia figury jest chłodna i śliska. Gdy ją bada, czuje, że drobne włoski na jej karku zaczynają się unosić, oddech grzęźnie w piersi, jakby został jej przekazany erotyczny ładunek przedmiotu.

I nagle rozbrzmiewa ostry dźwięk domofonu. Anna otwiera oczy, odchodzi od rzeźby, czując się nagle dziwnie naga.

Siedząc naprzeciw nich, Anna zauważa, jak Rachel przewiduje jego potrzeby, dostrzega jej ciągle skierowaną na niego, prawie podświadomą uwagę. Nawet gdy jest pogrążona w rozmowie z kimś innym, przez cały czas ma na niego oko, jak matka na chodzące samodzielnie dziecko, wyczulona na każde niebezpieczeństwo. Nie jest to nadopiekuńczość, nic tak przesadnego, tak przytłaczającego; przypomina to raczej zażyłość starych kochanków, rytm ich ciał ich drugą naturą. Komuś z zewnątrz mogłoby się wydawać, że to bliskość, coś, co należy podziwiać, ale gdy godziny wieczoru mijają, Anna uświadamia sobie, że Seth buntuje się przeciw jej opiece, upiera się, że sam odnajdzie naczynia, sztywnieje pod jej dotykiem, kiedy próbuje wciągnąć go w rozmowę, po jego twarzy przemyka błysk oburzenia, gdy mu usługuje. Ale jeśli naprawdę jest rozeźlony, to dobrze to kryje, prowadząc uprzejmą wymianę zdań z Blaze'em, Paulem, Anną tym swoim dziwnym, trochę zbyt formalnym tonem. W połowie głównego dania Anna zdaje sobie sprawę, że przypomina jej wykładowcę, a rytualna wymiana informacji ma jedynie powiększyć dystans dzielący nauczyciela i ucznia. Natomiast jeśli wydaje się mało pochłonięty rozmową, to raczej trudno mu się dziwić, skoro przez większość czasu konwersacja obraca się wokół pracy Rachel i Blaze'a, wokół Centrum. Paul, partner Blaze'a, jest prawnikiem i podziela wiele trosk tamtej dwójki. Przez jakiś czas dyskutują wspólnie nad raportem, który przygotowuje Rachel. W czasie ich rozmowy Anna

przygląda się Sethowi, lecz na jego twarzy nie znajduje nic, co zdradziłoby, o czym myśli. W końcu uświadamia sobie, że tamci mówią o projekcie ustawy dotyczącej zatrzymywania domniemyanych sprawców, o której wspomiano w porannych wiadomościach w dzień po wybuchu bomby. Czekaając na przerwę w rozmowie, pochyła się w ich stronę i pyta o cel takiej ustawy. Paul spogląda na Rachel z niedowierzaniem, jak gdyby chciał wyrazić swe zdumienie, że ktoś może być aż tak naiwny.

Anny nie było kilka lat w kraju, wyjaśnia mu Rachel, a Paul kiwa głową, przyjmując do wiadomości takie usprawiedliwienie, co wywołuje w niej nagły przyływ niechęci.

W zeszłym roku wiele nad tym debatowano, tłumaczy Rachel, ale w gruncie rzeczy to drastyczny zamach na wolności obywatelskie.

Daje to glinom *carte blanche* w sprawie aresztowania i zatrzymywania ludzi bez konieczności podawania konkretnych powodów, wtrąca Blaze. Potrzeba jedynie domniemanego zagrożenia dla bezpieczeństwa lub porządku publicznego.

Zdawało mi się, że policja i tak miała już dość nieograniczoną władzę, mówi Anna, spoglądając to na Rachel, to na Blaze'a.

Rachel przytakuje. Tak, ale celem tej ustawy jest zniesienie wszelkich elementów kontroli, jakie jeszcze istnieją.

Ma także stworzyć szereg technicznych przeszkód dla osób składających doniesienia o brutalności funkcjonariuszy, co de facto

zalegalizuje wymuszanie zeznań, stwierdza ponuro Paul, ale zanim na nowo podejmie wątek, zaczyna mówić Blaze, głosem napiętym od ledwo kontrolowanej złości.

Kiedy ustawa wejdzie w życie, powstanie sytuacja, w której policja będzie mogła cię aresztować bez podania konkretnej przyczyny albo zatrzymać cię bez stawiania jakichkolwiek zarzutów, w dodatku odmawiając możliwości kontaktu z prawnikiem przez okres do trzech miesięcy, aż w końcu nic nie będziesz mogła zrobić.

Rząd na pewno się nie odważy...

Ma teraz w sondażach do dwudziestu siedmiu procent poparcia. Ludzie uważają, że przestępczość wymknęła się spod kontroli.

A to prawda?

To zależy, jak na to spojrzeć, mówi Rachel. Jednak najważniejszy jest fakt, że ustawa ta wcale nie dotyczy przestępczości, tylko bezdomności. Rząd i gliny chcą mieć prawo podejmować działania bez przeszkód ze strony takich ludzi jak my.



Rury syczą, gdy woda zalewa szkło. Anna słyszy, jak na zewnątrz Paul wyklada coś pozostałym; z każdym kieliszkiem wina stawał się coraz bardziej bojowy. Za sobą wyczuwa jakiś ruch. Odwraca się i widzi stojącego w drzwiach Seta.

Anna, mówi, podchodząc bliżej. Ona nie odpowiada. Dzisiaj wydaje

się jeszcze wyższy, bardziej kanciasty.

Chciałem porozmawiać z tobą na osobności.

Dlaczego?

Pytałaś, czy czuję się czasem nieprawdziwy, jakbym oglądał swoje życie z zewnątrz.

Pragnie go dotknąć, położyć na nim swoje dłonie.

Wiem, o co ci chodzi. Wiem, co oznacza odizolowanie, wyznaje, zbliżając się do niej z ręką uniesioną ku jej twarzy.

Nie, nie rób tego, mówi Anna, nagle przestraszona.

Proszę.

Od czterech dni pada deszcz, nadciąga nierównymi ulewami odrywającymi się od cyklonu, który wiruje gdzieś w okolicach Brisbane. Powietrze jest tak wilgotne, że skrapla się na skórze, mokre, zimne i lepkie. W ciszy pomieszczenia z eksponatami Anna pracuje metodycznie, stwierdzając nie po raz pierwszy, że cisza szarugi pozwala jej się skoncentrować, obdarowując jasnością umysłu, której brakuje jej w inne, pogodne dni. W jej głowie formują się obrazy, które po chwili pojawiają się w obiektywie aparatu. W poniedziałek i wtorek obmyśla i wykonuje pierwsze zdjęcie, z którego wreszcie jest zadowolona. Jest to ujęcie odcisku w skale, eleganckie krzywizny zagłębienia tak doskonałe, tak nieprawdopodobne, że niemożliwym wydaje się, iż są tworem ślepej

natury. Zdjęcie skomponowane jest w taki sposób, że oko widza nieodparcie podąża wzdłuż spirali do wewnątrz, do samego centrum, gdzie zwoje giną w nicości. Efekt jest niesamowity, gwałtowne kurczenie się wizji, szalejący wir z coraz większą prędkością zmierzający ku unicestwieniu, niczym zasysana woda odpływająca ze zlewu albo padający do wnętrza promień światła zwążający się do jednego punktu, coraz szybciej i szybciej, aż w końcu... Nic? A może nagły spokój, cisza innego świata za szkiełkiem lupy: wspomnienie jego dłoni na jej policzku, nagły wstręt pełzający jej po skórze... niespodziewane parcie ciała jakiegoś obcego faceta w pociągu metra... albo deszcz padający na jej szyję, równie obezwładniający jak jego ciepły oddech w jej uchu, koniuszki palców na ustach...

W środę po południu przy stoliku, przy którym pracuje, pojawia się Dylan, puka lekko w stojącą obok szafę, podchodząc bliżej. Anna odwraca się, zaskoczona.

Otwieramy dzisiaj nową wystawę, mówi. Gdybyś chciała przyjść, to zostawię twoje nazwisko strażnikom przy drzwiach.

Tak więc trzy godziny później Anna snuje się powoli wśród eksponatów. Gdzieś za cienką ścianą to wznosi się, to opada gwar rozmów, ale w galeriach panuje cisza, światło jest miękkie i przyciemnione. W czasie przygotowań Anna przechodziła obok sali kilka razy dziennie, ale nigdy nie pomyślała, żeby tu zajrzeć. Jednak teraz tu

jest, długo zatrzymuje się przy eksponatach, które mają przedstawiać bogactwo rytuałów pogrzebowych, od szkieletów płodów ludzkich z neolitycznej Hiszpanii - o wrzecionowatych żebrach i spłaszczonych czaszkach, otoczonych okrągłymi kamieniami i muszlami, pokrytych płatkami kwiatów - do pozawijanych mumii z Egiptu i Peru oraz grzebanych na siedząco członków plemion Aborygenów. W innych gablotach rozłożono narzędzia pracy balsamistów, w kolejnych reprodukcje stuletnich zdjęć przedstawiających pochówki Indian amerykańskich. Wiele eksponatów wypożyczono z muzeów europejskich; fragmenty czaszek i zębów, celtyckie kamienie nagrobne z rzeźbionymi zawijasami i kanciastymi runami; z Pekinu sprowadzono nefrytowych żołnierzy z jakiejś imperialnej nekropolii. Do mrocznego schematu gablot i postumentów subtelnie podłączono węzły sieciowe z dostępem do obrazów, tekstu i symulacji. Jednak uwagę Anny przykuło wyciągnięte z irlandzkiego bagna ciało wieśniaka, uduszonego i wrzuconego, by utonął w torfie. Zasuszone usta zaciśnięte na sterczących zębach, lina pozostawiona na barkach jak naszyjnik, jej włókna odbite na zabarwionej od torfu skórze, jedna ręka uniesiona, kurczowo chwytająca powietrze w górze. Jest w tym coś nad wyraz makabrycznego, nie tylko sposób, w jaki umarł, i charakter tej śmierci, jej brutalność, ale też pytania, które ona za sobą pociąga. Co ten człowiek zrobił, że zasłużył sobie na taki los? Był ofiarą czy przestępcą? Czy jego śmierć nadeszła szybko, niespodziewanie,

czy też oczekiwał jej przez wiele wypełnionych strachem nocy i dni? I dlaczego odmówiono mu obrządku, który mógłby poprowadzić go na tamten świat? Gdy Anna stoi tak i patrzy przez pleksiglasowe wieko jego nowej trumny, czuje kogoś za sobą, wie, że to on.

Vanitas, mówi Anna po cichu.

Słucham?

Vanitas, tytuł wystawy. Wiesz, co to znaczy?

To po łacinie „marność”, mówi. *Vanitas vanitatum*: „Marność nad marnościami, rzekł kaznodzieja, marność nad marnościami, wszystko marność. ”*[* Fragmenty Księgi Koheleta w przekładzie Czesława Miłosza.] To chyba z Koheleta.

Odwraca się do niego twarzą. To *motyw* często wykorzystywany w malarstwie, ma nam przypominać o nieuchronności śmierci, przemijaniu życia, o daremności i marności ambicji.

Obawiam się, że moja znajomość teorii sztuki wymaga uzupełnienia, mówi, a na jego ustach igra uśmiech.

Istniała kiedyś cała szkoła malarstwa flamandzkiego poświęcona temu tematowi. Ociekające woskiem świece, zegary, czaszki i zwiędłe kwiaty. Siedemnasty wiek.

A twoja praca? Amonity? Powiedziałaś Rachel, że to *memento mori*.

Rzeczywiście, ale chyba nie do końca takie same. W malarstwie

flamandzkim jest jakaś pustka, jakaś zimna północna posepność. Nic, co na ziemi, się nie liczy, gdyż pewnego dnia powróci zbawca. To zbyt klasztorne, zbyt mnie przerasta. A przecież samo istnienie skamieliny jest świadectwem swego rodzaju ciągłości, czyż nie?

Przemija pokolenie i rodzi się pokolenie, a ziemia trwa na wieki.

Anna uśmiecha się. Chyba tak. Znowu Kohelet?

Tak.

Czy wierzysz w życie po śmierci?, pyta go.

Nie. A ty?

Anna odwraca się, by spojrzeć na zasuszonego człowieka w gablocie kilka centymetrów od niej. Na jego oczy, ukryte pod kapturem, na wpał przymknięte.

Nie, odpowiada po chwili. Czasami chciałabym wierzyć, móc wierzyć, ale nie mogę. Sami tworzymy swój los.

Z zewnątrz dochodzi ich odgłos braw, rozwiewając magię chwili.

A tak w ogóle to co tu robisz? Chyba nie przyszedłeś tu og... Anna zacina się.

Oglądać? Nie, jestem tu oficjalnie.

Niedaleko wejścia goście zaczynają krążyć wśród gablot, rozmawiając i śmiejąc się. Niektórzy trzymają w dłoniach kieliszki z winem, a kelnerzy lawirują między nimi z tacami przekąsek. Anna rozgląda się dookoła, odbierając ich obecność jak inwazję. Wyczuwając jej

niepokój, Seth wyciąga rękę.

Może pójdziemy gdzie indziej, w jakieś spokojniejsze miejsce?

Gdy idą przez salę do wyjścia, Anna zauważa, że przygląda im się Dylan, kłania im się, posyłając takie spojrzenie, że Anna odwraca się, jakby zawstydzona. Ich ciała są blisko, trzymają się pod rękę, przemierzając inne sale wystawowe; światła są teraz przyciemnione, ich kroki i głosy odbijają się echem w pustej przestrzeni. Nie obierając żadnej konkretnej drogi, przechodzą od jednej galerii do drugiej, rozmawiają. W niektórych stoją zgaszone ekrany i projektory holograficzne, w innych sterczą w górę albo unoszą się zawieszony nad ich głowami kości wymarłych gigantów. Na pewien czas zatrzymują się przy odlewie czaszki mięsożernego dinozaura, Seth bada jego zakrzywione zęby, z których każdy jest dłuższy od szerokości jego dłoni. Anna obserwuje osobliwe skupienie towarzyszące tej czynności, koncentrację na jego twarzy. W końcu biorąc ją za rękę, prowadzi do małego bocznego wyjścia.

Dokąd idziemy?, pyta, ale on nie odpowiada, instruuje ją tylko, żeby wspięła się po wąskich schodach, które widać za niskim łukiem. Przy pomocy swojej karty magnetycznej otwiera drzwi na górze. Na zewnątrz deszcz równomiernie bębni o dach, sprawiając, że światła miasta i Woolloomooloo są zamazane i rozproszone.

Leje jak z cebra, mówi Anna, opierając mu się. Przemokniemy do suchej nitki.

Idziemy tylko do cieplarni, odpowiada. Powinnaś je widzieć, są niedaleko.

I rzeczywiście, na przeciwległym końcu dachu Anna dostrzega trzy szklarnie. Po chwili wahania daje się wyciągnąć na deszcz, truchtają oboje blisko siebie, na wół prowadząc się nawzajem, na wół podążając za sobą w kierunku ciemnych kształtów. Przy drzwiach pierwszej cieplarni Anna chwyta klamkę, wpycha go do środka, zamyka za sobą drzwi, ciężko łapiąc oddech w kropelkach deszczu spływających jej po szyi.

W środku jest gorąco, w powietrzu ciąży zapach ziemi i kwiatów. Światła miasta ledwie przechodzą przez szyby, wszędzie wokół widać zieleni, jasne pyłki kwiatów tańczą w ciemności. Deszcz dudni o otaczające ich szkło.

Co to za miejsce?, pyta Anna, przeciskając się powoli pomiędzy liśćmi i kwiatami.

Opiekują się nim botanicy. Hodują tu orchidee. Podejrzewam, że także marychę.

Często tu przychodzisz?

Okazjonalnie. Uwielbiam ten zapach, jego bogactwo.

Zastanawiam się, czy kwiaty wydają mi się teraz pachnieć mocniej dlatego, że ich nie widzę?

Może. Istnieją ślepe kałamarnice, które widzą zapachem, ich macki prowadzą je przez wodę, wychwytyjąc cząsteczki zapachu.

Przypuszczamy, że podobnie było z amonitami, zwłaszcza tymi drapieżnymi.

Gdy mówi, zbliża się do niej z tyłu, jego oddech słyszalny mimo szumu deszczu.

Co takiego ukrywasz?, pyta ją cichym głosem.

Ukrywam?, mówi Anna, nie odwracając się. Nic nie ukrywam. Wręcz przeciwnie: gdy jestem z tobą, czuję się tak, jakby wszystko samo ze mnie wypływało.

Może ukrywanie to nie jest najlepsze słowo. Ale jest w tobie coś takiego, jakieś odseparowanie, skrytość...

Wyizolowanie? Jej głos drży, gdy to mówi.

Nie, nie to. Wszyscy to czujemy.

W takim razie co?

Bronisz swej prywatności tak zaciekle, prawie jakbyś się czegoś obawiała. Może mnie?

Przez dłuższą chwilę Anna nie odpowiada, wreszcie odwraca się do niego, bierze jego dłoń i unosi ku swojej twarzy. Ciebie nigdy, szepce, ciebie nigdy. Jej głos jest zachrypnięty.

Rozwierając jego kościste palce, pozwala im sunąć w dół. Gorąca krew szumi jej w uszach, filigranowe wzory naczyń włosowatych rozszerzają się pod skórą, gdy jego palce muskają jej czoło, wędrują po oczach, zamykają powieki, dotykają kości policzkowych, osuwają się

wzdłuż linii szczęki ku szyi. Jego kciuk na jej ustach jest jak pęcherzyk febry.



Sami w jego sypialni zrzucają z siebie przemoczone ubrania, jasne plamki pyłku znaczą ich skórę w miejscach, gdzie dotknęły jej kwiaty. Jej usta wykrzywiają się w grymasie, gdy on bierze jej dłoń, pieści każdy palec w swych rozpalonych ustach, przygryza aż do bólu, po czym schodzi niżej, jego język porusza się po jej dłoni, po wewnętrznej stronie nadgarstka. Krew gęstnieje, oddech jej się rwie, kiedy bierze jego wolną rękę i kładzie na swojej piersi. Seth zamyka jej jędrny ciężar w swojej dłoni, przyciąga Annę do siebie tak blisko, że ustami muska jej skórę. Jego klatka piersiowa jest taka delikatna, bezwłosa jak u dziecka.

Czy jest ciemno? pyta ją, a ona czuje, jak ślania się na nogach.

Tak, odpowiada. Świeci nam tylko niebo.

Tuli jego głowę w kołysce swego ciała, jego pogrążona we śnie twarz jest spokojna, chropowata w ciemności. Jego powieki poruszają się, sny przemykają pod nimi niczym chmury.

Jednym palcem wodzi po linii jego blizny, przez nos i dalej w dół, aż dociera do punktu, w którym szrama przecina usta. Jego głowa podskakuje, ale zaraz opada na poduszkę. Śpi dalej.

Na granicy snu wymamrotał: Czy słyszysz deszcz?

Kiedy byłem dzieckiem, miałem pokój na poddaszu. Siadywałem sobie przy oknie i słuchałem szumu deszczu, odgłosów kapania o parapet, rechotu żab w ogrodzie. Nic innego nie miało znaczenia, gdy padało. Mogłem sobie wtedy wyobrazić, że unoszę się w jakimś miejscu, gdzie rodzice, szkoła i cała reszta nie istnieją.

Ona też to czuje, to kurczenie się świata. Przez całą noc wszystko się zwija, aż w końcu jest tylko ten jeden moment, ten pokój, bliskość ich ciał. Na tym właśnie polega grawitacja, na ściąganiu się świata; na ciężarze ciemnych dziur wydrążonych w naszych ciałach, na tykaniu zegara naszych serc prowadzącym ku śmierci. Pamięta ruch jego dłoni na swoim ciele, to, jak rzeźbiły jej sylwetkę niczym wiatr budujący fale na wydmach i wodzie; to, jak formowały łuk jej biodra, jej piersi, wcięcie w talii, szyję, pachę.

Jakby stwarzał ją na nowo, wydobywając z powietrza jej kształty, powołując je z ciemności do istnienia.

Gdy Anna się budzi, słońce zalewa pokój, drobiny kurzu tańczą w długich snopach światła. Jego nadmiar sprawia, że wydarzenia poprzedniej nocy wydają się odległe. Łóżko obok niej jest puste. Jej ubrania znikły, przez otwarte drzwi widzi, że wiszą w łazience.

Owinięta w ręcznik, idzie powoli po schodach z poddasza do części dziennej. Kiedy przyszli tu wieczorem, lampy były zgaszone, mrok

rozjaśniało jedynie światło odbite od nisko wiszących chmur. W świetle dnia widzi, że mieszkanie jest większe, niż się spodziewała, jest długie i wąskie, i zajmuje dwie kondygnacje aż po dach z widocznymi krokwiemi i świetlikami. Woła go, ale on nie odpowiada. Na dole izby są równie skromne i schludne jak sypialnia - stół w pobliżu kuchni, dwie sofy, prosty dywan, fortepian niedaleko drzwi. Po jednej stronie zobaczyła płaski ekran odsuniętego na bok telewizora, a obok niego sprzęt muzyczny. Poza tym było pusto: żadnych książek, żadnego bałaganu czy ostrych krawędzi. Jedynie odbijająca echo przestrzeń.

Idzie powoli do przeciwległej ściany, staje przy fortepianie, jego kłapa jest opuszczona, klawiatura zamknięta. Anna przeciąga dłonią po lakierowanym drewnie, po czym ostrożnie, cicho unosi wieko przykrywające klawisze. Opuszczając palce, przesuwa je delikatnie najpierw w jedną stronę, potem w drugą, nie naciskając jednak, aż w końcu je zatrzymuje. Wdusza jeden z klawiszy i słyszy dźwięk, przytłumiony przez opuszczoną kłapę, niemniej jednak silny i donośny, odbijający się echem w pustej przestrzeni mieszkania.

Za fortepianem zauważa schody na antresolę i rusza nimi na górę. Znowu go woła, tym razem cicho, prawie pewna, że i tak go tam nie ma, i tym razem również nie nadchodzi żadna odpowiedź. Po jednej stronie u szczytu schodów na długim biurku widzi konsolę, a na całej długości przeciwległej ściany od podłogi do sufitu ciągną się półki zastawione

opasłymi tomami. Na niskim stoliku w jednym rogu znajduje się urządzenie, którego Anna nie może zidentyfikować, coś jakby drukarka, ale bardziej nieporęczne, starzej wyglądające. Są też dwie niskie gablotki z oszklonymi drzwiczkami.

Przechodząc obok biurka, zatrzymuje się na chwilę, spogląda na równo ułożone książki, obok nich skaner. Na tacce leżą kartki papieru zapisane alfabetem Braille'a i gdy wodzi po nich palcami, dziwiąc się, jak ten ciąg kropek można w ogóle rozróżnić, zdaje sobie sprawę, że przedmiot w kącie to drukarka Braille'a. Pośrodku ściany obok niej widnieją drzwi towarowe, zachowane w oryginalnym stanie - pociągnięte pokostem stare drewno - zamknięte na ciężką zasuwę. Anna odciąga ją, otwiera drzwi i widzi przed sobą drzewa i niebo, i ścianę z piaskowca sąsiedniego domu. Deszcz ustał w ciągu nocy i upał już zaczynał dawać się we znaki.

Zamyka drzwi na zasuwę i podchodzi do półek, zauważając na grzbietach niewielkie wypukłości alfabetu Braille'a. W dalszym kącie pokoju na niewielkim podwyższeniu stoi kamienny blok, wystaje z niego skamieniały amonit. Ma może siedemdziesiąt centymetrów średnicy, powierzchnia muszli poznaczona jest skomplikowaną siatką guzów i grzbietów zachowanych z niewiarygodną dokładnością. Wyciągając rękę, głaszcze go, ostrożnie wodzi po jego konturach, czarny kamień jest zimny i śliski pod jej dotykiem.

I wtedy słyszy kroki na schodach. Odwraca się gwałtownie i widzi Setna.

Szukałam cię, udaje się jej wyjąkać.

Słyszając to, rusza w jej stronę. Wyszedłem po mleko, mówi, podchodząc. Nie chciałem cię obudzić.

Anna kiwa głową, lecz nagle zdaje sobie sprawę z daremności tego gestu i dwukrotnie z trudem przełyka ślinę.

Seth mija ją, unosi dłoń ku amonitowi na piedestale. Widziałaś go?, pyta, jego dłoń ślizga się po skamielinie. Zdając sobie sprawę, że Seth próbuje znaleźć jakiś neutralny temat do rozmowy, Anna odwraca się wraz z nim.

Jest piękny, mówi.

Seth uśmiecha się w zamyśleniu, nie jest to jednak miły uśmiech.

Nie daj się zwieść temu pięknu, mówi. To zwierzę było łowcą, równie szybkim i nieczułym jak rekin. Polowało również na mniejszych przedstawicieli własnego gatunku.

Po co mi to mówisz?, pyta ostro Anna.

Uważam, że nie sposób docenić jego piękna, nie będąc świadomym paradoksalnej nikczemności tego stworzenia. Widzisz to?, pyta, wskazując na wystające z muszli wypustki. Służyły do zmniejszenia tarcia w wodzie, gdy płynęło, tworząc swego rodzaju powłokę na granicy turbulencji, która pozwalała mu poruszać się szybciej. Tak więc to, co

uznajemy za piękno, pomogło uczynić z niego zabójcę. I nie da się oddzielić jednego od drugiego.

Czy uważasz, że wszystko, co piękne, jest okrutne?

Nie, odpowiada. Okrucieństwo to pojęcie ludzkie, podobnie jak piękno jednego konkretnego przedmiotu. Żadne z nich jednak nie ma znaczenia na większą skalę. Ostatecznie liczy się przecież całość, jej trwanie i różnorodność; znaczenie każdej pojedynczej części jest nieskończenie małe.

Anna głaszcze skamielinę, rozmyślając. Widziałam, w jaki sposób dotykasz muszli. Jest w tym coś niemal erotycznego.

Seth uśmiecha się szeroko, najwyraźniej szczerze rozbawiony jej uwagą. Chyba dobrze to ujęłaś. Ale mylisz się co do jednego: ja nie reaguję na estetyczne wartości pojedynczego przedmiotu, reaguję na sposób, w jaki pozwalają mi one przelotnie ujrzeć wzory całości, na porządek wpisany w strukturę świata. Seks jest do tego podobny, przynajmniej czasami: dotykasz czegoś, czego nie ogarnie ludzki język, hałas całego świata i hałas wewnątrz samego człowieka. Jest to coś tak głębokiego i czystego, że przez krótką chwilę czujesz się tak, jakbyś była częścią całości, jakby jakaś siła pochwyciła cię i wyniosła w górę niby cząstkę oceanu.

Czasami wydaje mi się, że właśnie podczas seksu jestem najbardziej samotna, mówi Anna. Ta chwila tylko niezmiennie mi przypomina, jak

bardzo w gruncie rzeczy jesteśmy od siebie oddaleni.

Seth wyciąga rękę, przyciąga jej twarz do swojej, jego usta delikatne i ciepłe. Anno, szepcze. A ona czuje zapach ich ciał, iluzję stapiania się w jedno, a potem ciepło łez w swoich oczach; odpycha go i wyrywa się, rozdziela ich, jego ciało poddaje się jej pragnieniu uwolnienia.

Muszę już iść, szepce Anna chrapliwie, ale Seth nie odpowiada, prostuje się tylko i zamyka w sobie, znowu zimny i odległy.

Mija tydzień, siedem dni upału, siedem beznadziejnych nocy wypełnionych wilgocią i jękiem moskitów. Zbyt gorących, by czytać. Anna spędza wlokące się godziny od północy do świtu, surfując w ciekłosieci albo gapiąc się w telewizor w oczekiwaniu na wiadomości, coraz bardziej podenerwowana hipnotycznym drzeniem ekranu i koszmarem przedstawianych obrazów. W czwartek w nocy jakiś bezrobotny naukowiec podkłada pluton w metrze w Jokohamie, skazując setki pasażerów na podstępłą, cichą śmierć; wewnętrzne sensory pociągu zatrzymują go w tunelu, żeby zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się trujących oparów. Dwanaście godzin później odrzutowiec traci moc tuż po starciu z rosyjskiego miasta przemysłowego, o którym Anna nigdy nie słyszała, i rozbija się na jakimś osiedlu, siła uderzenia wysadza sieć gazową, a przez całe przedmieście przetacza się fala eksplozji i pożarów, które szaleją prawie przez dwa dni, a gdy w końcu udaje się je ugasić,

ciała ofiar leżą w bezładzie w dymiących szkieletach budynków, ich czarne twarze nadpalone i wykrzywione pod zmrożoną wodą, lód na dłoniach pochwyconych przez ogień. W Sydney pożary wciąż szaleją w Parku Narodowym i w buszu na północy i zachodzie, dym i popiół unoszą się, zanieczyszczając obraz nieba, w nocy lunę widać nawet z balkonu Anny.

W niedzielę są urodziny Gromeki i na cześć tego wydarzenia astronauta spontanicznie organizują imprezę, leją szampana w stanie nieważkości, tak że syczy i wije się jak żywa istota. Ich twarze są blade z braku naturalnego światła, brudne ze względu na oszczędność wody, ale śmieją się i bawią, prawie jakby celowo chcieli zaprzeczyć plotkom o tarcjach i braku zgody, które zaczęły pojawiać się w niektórych gazetach. Murakami też jest z nimi, wbrew pogłoskom, że po śmierci rodziny przechodził kilkutygodniowe załamanie. Trzyma się jednak na uboczu, jego twarz nie jest widoczna w obiektywie kamery dzierżonej przez Fosterę aż do czasu, gdy pod koniec odwraca się do niej i przez moment widać sine podkowy zmęczenia pod ciemnymi oczami, bladość skóry, mechaniczny gest, jakim unosi do ust plastikowy kubek, udreżone spojrzenie.

Raz, pomiędzy widowiskami sportowymi, reklamami różnych produktów i powtórkami programów, które ledwie dało się oglądać za pierwszym, drugim czy trzecim razem, nadają reportaż o uprzątnięciu

Islamabadu, oddziały ONZ w białych kombinezonach przeciwchemicznych demolują meczet, a tłumy umierających obserwują ich i szydzą.

W poniedziałek Anna ma sesję w Muzeum. Seta nigdzie nie widać, więc przyjmuje zaproszenie Dylana na lunch.

Gdzie znikłaś tamtego wieczora?, pyta Dylan, a Anna z widelcem przy ustach wpatruje się w niego bez mrugnięcia.

Właściwie to nigdzie, odpowiada, jednostajnie przeżuwiąc jedzenie. Ciężki uśmiech w kącikach jego ust denerwuje ją trochę, chociaż Dylan jest zbyt bystry, żeby dalej drążyć ten temat.

Rachel dzwoni do niej dwa razy, zostawia wiadomości, ale Anna nie oddzwania, bo sama nie wie, jak potraktować to, co zaszło między nią a Sethem. W czwartek Rachel dzwoni znowu, gdy Anna jest w domu. Kiedy dociera do niej, że chce porozmawiać o zdjęciach, o które ją prosiła, czuje swego rodzaju ulgę, ale i połączone z nią rozczarowanie. Rachel jest nienaturalnie energiczna, jakby była zakłopotana własną decyzją o tym, żeby dać się sfotografować w takim stanie, ale Anna godzi się zadzwonić do Jadwigi i sprawdzić, na kiedy mogłaby załatwić im studio.

Gdy do niej telefonuje, Jadwiga jest przyjazna, ale jakoś odległa. Oddzwania do Anny za kilka minut, mówiąc, że znalazła kogoś, kto może udostępnić im swoje studio już jutro.

Powietrze w Centrum jest nieprzyjemnie gorące, kiedy zjawia się tam tuż przed piątą. Dwójka dzieciaków, czternasto-, może piętnastoletnich, kłóci się bezustannie w związku z jakimś wydarzeniem z początku tygodnia, a starsza kobieta obok nich mruży coś do siebie. Anna wierci się na swoim miejscu, nie czując się najlepiej w takim towarzystwie, obawiając się, że ich uwaga może się nagle skupić na niej. Recepcjonistka dwukrotnie spogląda na nią, ale nim zdąży przerwać telefoniczną rozmowę, zza ciężkich drzwi wyłania się Blaze, przytrzymując je, żeby przepuścić jakąś młodą kobietę. Ta tuli do siebie dziecko, które spoczywa spokojnie w jej ramionach, nie śpi, lecz wpatruje się w próżnię. Jego milczenie wydaje się bardziej niepokojące, niż byłyby jego wrzaski. Zauważając Annę, Blaze unosi brwi i natychmiast zegna kobietę i jej malca. Gdy wychodzą, w wejściu pojawia się Rachel. Na widok Anny uśmiecha się lekko.

Dostałam wiadomość, że Anton znowu zniknął.

Kurwa mać, klnie Blaze, spoglądając na zegarek.

To znaczy, że o niczym nie słyszałeś?

Co się stało?, wtrąca się Anna.

Anton znowu nie stawiał się na sesji z terapeutą, mówi Rachel.

Blaze rozgląda się i widzi ciekawskie spojrzenia zgromadzonych w poczekalni. Porozmawiajmy o tym w środku, sugeruje.

We wpadającym przez okna świetle Anna widzi wyczerpanie na

twarzy Rachel, jej podkrążone oczy.

Nie możemy ciągle się za nim tak uganiać. On musi nauczyć się brać odpowiedzialność za własne czyny, zaczyna Blaze, gdy zamknęły się za nimi drzwi.

Jezu, Blaze, posłuchaj tylko siebie.

Nie, to ty posłuchaj siebie. Tracisz w tym przypadku obiektywizm. Jesteś przemęczona i pozwalasz, żeby emocje zniekształciły twój osąd.

Zawsze jestem przemęczona, rzuca Rachel. Obok niej Anna wierci się niespokojnie, czując się jak intruz.

Blaze znowu patrzy na zegarek.

Już po piątej, mówi. Muszę odebrać rodziców Paula, o szóstej przyjeżdżają na weekend. Już jestem spóźniony, a ostatnia rzecz, jakiej mi teraz trzeba, to uganianie się za Antonem. Najprawdopodobniej i tak go zapuszczają w poniedziałek, obojętnie co się stanie. Zrobił to już trzeci raz.

Rachel patrzy na niego rozeźlona. W takim razie, dobrze. Sama się tym zajmę. Gdy rusza do swojego biura, Anna spogląda na Blaze'a, który w rozdrażnieniu macha ręką.

Czasami zapomina, że nie możemy uratować ich wszystkich.

Mam zaczekać?

Blaze patrzy w stronę biura. Przez szklane przepierzenie widać, jak Rachel stoi za biurkiem, jedną ręką dźgając konsolę.

Znam ten jej nastrój. Jeśli będzie musiała, to przez całą noc będzie szukała tego gówniarza.

Rachel wyłoniła się ze swojego kantorka na drugim końcu pomieszczenia i zmierza w ich kierunku.

Klimatyzacja znowu wysiadła?, pyta Blaze'a.

Maria poszła ją sprawdzić kilka godzin temu. Powinna już wrócić.

Trzeba dopilnować, żeby ją włączyli, zanim stąd wyjdziemy, inaczej w poniedziałek będziemy tu mieli saunę. Prognozy pogody podają, że w niedzielę ma być ponad czterdzieści stopni.

Odwracając się do Anny, dłonią przeczesuje jej włosy, odgarniając je z jej twarzy.

Nie wiem, ile nam to zajmie.

Mogę zadzwonić do faceta, od którego wynajmujemy studio. Myślę, że da się to przełożyć na później.

Mogłabyś to zrobić?

Jasne.

Może pójdziesz gdzieś na drinka? Tu jest tak paskudnie.

Mogłabym pójść z tobą, proponuje nieśmiało Anna.

Rachel spogląda na Blaze'a, który bez słowa odwzajemnia jej spojrzenie, usta zacisnąwszy w irytacji. Po chwili znowu odwraca się do Anny.

Pewnie. Czemu nie?

Wracamy do Lewina?, pyta Anna, gdy przepychają się przez tłumy kłębiące się przy chińskim sklepie spożywczym, nad którym znajduje się Centrum.

Może uda nam się załatwić to bez niego. Spróbujemy najpierw w Browarach.

Ta wzmianka sprawia, że Anna się waha.

Chodzi ci o to miejsce niedaleko Central? Miasto namiotów?

Rachel spogląda na nią spokojnie. Tak. Dlaczego pytasz?

Czy tam jest bezpiecznie? Sądziłam, że nawet gliniarze tam nie chodzą.

Wiedzą, co robią, prycha ironicznie Ja też nie poszłabym tam sama ani w nocy. Ale oni są ludźmi, Anno, ci, co tam mieszkają. To nie są żadne potwory ani dzikie zwierzęta.

Anna kiwa głową, zawstydzona, lecz nie do końca przekonana.

Gdy tam dochodzą, jest prawie szósta. Niedaleko głównej bramy grupa starszych mężczyzn i kobiet, w tym paru Aborygenów, kolejno przekazuje sobie flaszkę owiniętą w brązową papierową torbę. W środku utworzonego przez nich kręgu, na potłuczonej butelce po winie zasnął siwy mężczyzna, jego żółte siki rozlały się ciemną plamą na spękany asfalcie. Jedna czy dwie osoby rozpoznają Rachel, bełkocą jakieś powitanie, kiedy się do nich zbliża, ich wzrok zamglony od alkoholu. Rachel odpowiada im, klęka obok jednego z maltretowanego Wyspiarza;

jego czarne włosy przetykają pasma siwizny, twarz zniszczyło słońce i alkohol. Wznosi ku niej butelkę w przyjacielskim toaście.

Cześć, śliczniutka, mówi, jego dobrotliwa twarz wykrzywia się w uśmiechu.

Cześć, Vinnie, odpowiada Rachel, strzepując wierzchem dłoni coś z jego koszuli. Jak leci?

Vinnie śmieje się, ukazując dziurawe uzębienie. Całkiem nieźle, całkiem nieźle. Kiedy zobaczysz swojego maluszka?

Już niedługo, mówi Rachel.

Wciąż zamierzasz dać mu na imię Vinnie?

Może się okazać, że to nie będzie on.

Vinnie to dobre imię. Takie mocne. Mówiąc to, wypina do przodu swą potężną pierś.

Tak, Vinnie, to dobre imię. Ale słuchaj, próbuję znaleźć Antona. Widziałeś go może?

Vinnie drapie się po głowie opuchniętymi palcami.

Był tu wcześniej.

Więc kręci się gdzieś tutaj?

No, tak mi się zdaje.

Rachel odwraca się do przycupniętej obok kobiety.

To prawda, Susie?

Pewnie tak.

Gdy Rachel przepytuje Vinnie'ego i jego znajomych, Anna podziwia jej otwartość, to, jak z nimi rozmawia, szczerze i bezpośrednio. Jest współczująca i życzliwa, ale się nad nimi nie użala, mówi stanowczo, lecz się nie wywyższa. Pamiętając, jaka zakłopotana i spięta była w poczekalni niecałe pół godziny temu, Anna odkrywa, że zazdrości jej tej swobody. Gdy Rachel sprawdza, czy z mężczyzną leżącym na asfalcie wszystko w porządku, dobiega do nich głos odbijający się echem od spękanych murów Browarów, czysty i słodki, wznoszący się ponad szum przejeżdżających samochodów, przechodzących ludzi. Anna rozgląda się, zbита z tropu.

To pewnie on, mówi Vinnie, a Anna zaskoczona spogląda na Rachel.

Nie mówiłam ci, że umie śpiewać?, pyta Rachel z uśmiechem.

Anna kręci głową. Dobrze wiesz, że nie.

Podążają za głosem przez bramy, spękana skorupa budynku wznosi się nad nimi z trzech stron. Nagle przestraszona, Anna rozgląda się, świadoma obserwujących ją oczu skulonych postaci przycupniętych na kartonowych posłaniach i w prowizorycznych namiotach, a wyżej czujnych spojrzeń grupki ludzi siedzących na odsłoniętych kondygnacjach zrujnowanej budowli. Z pewnością osoby znającej teren Rachel prowadzi ją w stronę zwałów gruzu, gdzie przerdzewiały szyny wystają poskręcane z płytów betonu, potem gramoli się na pierwsze

piętro.

Gdy są już na górze, Rachel rozgląda się na boki, próbując ustalić, skąd dochodzi głos. Piosenka jest stara, starsza od Anny, płaczliwa i smutna, o kochanku, który marzy o zarzuceniu swych rąk na szyję ukochanej, śpiewana powoli i bez akompaniamentu.

Rachel wskazuje na klatkę schodową. Tędy, mówi.

Wchodzą powoli, uważnie obierając drogę wśród stert śmieci.

Uważaj, gdzie stawiasz stopy, ostrzega Rachel, oglądając się na Annę, która ręką zasłania nos przed smrodem odchodów.

Uważam, odpowiada ponuro.

Na szczycie schodów wciąż słyszą śpiew, ale Rachel, przyciągając Annę bliżej do siebie, mówi: Bądź ostrożna, dobrze?

Anna kiwa głową, rozglądając się dookoła, gdy Rachel prowadzi ją do ogromnego pomieszczenia, w którym zwalono na kupę stare maszyny, beczki i rdzewiejące kadzie. Okna przeciwległej ściany wychodzą na inny budynek, a w jednym z nich, oparty o framugę, z kolanami podciągniętymi pod brodę siedzi Anton, obserwując zaułek poniżej i przeciągle wyśpiewując ostatnie słowa piosenki. Słyszając, że ktoś nadchodzi, odwraca się, sprzeczne uczucia malują się na jego twarzy.

Rachel rusza do przodu, gestem nakazując Annie zostać tam, gdzie stoi. Anton wydaje się spięty, jakby gotów do lotu.

Musimy porozmawiać, odzywa się Rachel, ale on nie odpowiada.

Podchodząc bliżej, uśmiecha się do niego. Podobała mi się twoja piosenka.

Jest stara, mówi Anton, a jego głos znów jest ohydny, beznamiętnym głosem ulicznika, jego chropowatość tak niepodobna do dźwięku, który odbijał się echem od tych murów zaledwie kilka chwil temu.

Wiem. Też ją bardzo lubiłam, kiedy byłam w twoim wieku. W tym momencie na twarzy Antona pojawia się szeroki, ckliwy uśmiech, jego szczupła twarz staje się nagle chłopięca, zezowate oko skacze na wszystkie strony.

Czy śpiewałeś o kimś szczególnym?, pyta Rachel.

Anton patrzy na nią z wyrazem paniki. Nie, odpowiada, a w górę jego szyi zaczyna wędrować rumieniec, sprawiając, że uszy lśnią czerwienią. Wskazując głową na Annę, ześlizguje się z parapetu, ale wciąż stoi plecami do ściany.

Lewin mówił, że ona jest w porządku.

Rachel odwraca się, by na nią spojrzeć.

Bo to prawda, mówi Anna.

Nie trzeba było tam wtedy przychodzić.

Rachel znowu patrzy na niego. Nie pieprz głupot, Anton. Miała takie samo prawo, żeby tam być, jak ty i Lewin. Powinieneś być wdzięczny, że nie zawiadomiła glin.

Anton kiwa głową na boki, pełen drwiny i szyderstwa, ale Rachel nie daje się sprowokować.

Dzwonił twój kurator. Mówił, że znowu się nie zjawileś.

No i co?

Sądziłam, że już to ustaliliśmy, mówi zmęczonym głosem. Wiesz, że jeśli się tam nie pokażesz, to cię wsadzą.

Anton wpatruje się w nią posepnie.

Będziemy musieli zabrać cię do sądu w poniedziałek rano, żebyś wyjaśnił, dlaczego nie przyszedłeś.

Po co ją przyprowadziłaś?

Jesteśmy przyjaciółkami. Miałyśmy zamiar pójść gdzieś razem, ale zadzwonił twój kurator.

Gdzie miałyście iść?

Rachel masuje sobie nos. Nie mam czasu na te pierdoły, Anton. Obiecuj mi tylko, że w poniedziałek stawisz się w sądzie.

Anton wpatruje się w nią wyzywająco. I nagle przez chwilę na jego twarzy gości coś innego; wrażliwość wyraźnie wpleciona w jego młodzieńczy bunt.

Obiecuj.

Obiecuję.

Dobrze. Teraz mi, kurwa, powiedz, dlaczego nie przyszedłeś w tym tygodniu?

Bo ja wiem.

Czy Lewin powiedział ci, żebyś nie szedł?

Nie!, zaprzecza, jakby się bronił. Niby czemu miałby to robić?

Spędzasz z nim dużo czasu.

Patrzę tylko, jak pracuje.

Skoro tak mówisz. Ale to niebezpieczny człowiek, uważaj na niego.

Wcale nie, zapewnia chłopak, oczy mu błyszczą.

Słuchaj, Anton, mówi Rachel stanowczym tonem, wiem o nim kilka rzeczy z czasów, zanim ty się tutaj pojawiłeś, nieciekawych rzeczy. Został zabity pewien dzieciak, mniej więcej w twoim wieku. Więc mówię ci tylko, żebyś uważał.

Anton wpatruje się w nią, nic jednak nie odpowiada.

A zatem poniedziałek rano.

Gdy już mają odejść, Anna waha się i odwraca się do niego.

Mnie też podobała się twoja piosenka. Gdzie nauczyłeś się śpiewać?

W szkole, odpowiada. I w kościele.

Anna uśmiecha się. Chciałabym cię jeszcze kiedyś usłyszeć, mówi do niego i jeszcze raz na jego twarzy gości szeroki uśmiech, rozbrajająco szczeniacki.

Gdy są na zewnątrz, Anna zwraca się do Rachel.

O co chodziło, gdy mówiłaś te rzeczy o Lewinie?

Nie jest zbyt miłym facetem.

Powiedziałaś, że zginął jakiś chłopak.

W zasadzie dwóch.

Zabił ich?

Rachel wzrusza ramionami. Blaze uważa, że jednego tak. Zna Lewina od czasu, gdy pojawił się tutaj jakieś trzy lata temu. Blaze pracował wówczas w przytułku w zachodniej części miasta, a Lewin mieszkał na dziko z całą bandą innych w Erskineville. Nie malował wtedy, był znacznie bardziej przerażający, niż jest teraz: większy, podlejszy, miał złą reputację na ulicy. Tak czy owak, pewnej nocy na ich koczowisku zabito jakiegoś dzieciaka, ktoś zatłukł go na śmierć kawałkiem rury. Krew była wszędzie, ofiara stłuczona na miazgę, jakby zabójca wpadł w jakiś szal. Wszyscy zakładali, że zrobił to chłopak tego kolesia, był z niego kawał drania. Gliniarze zwinęli go w ciągu godziny niedaleko od miejsca zabójstwa, cały był we krwi.

Mówiłaś chyba, że to robota Lewina.

Rachel przystaje. Nie, powiedziałam, że Blaze uważa, iż Lewin to zrobił. Tak czy siak, policja wsadziła kolesia do aresztu, ale ponieważ nie za bardzo przejmują się ulicznikami, odłożyli przesłuchanie na kilka godzin, a w tym czasie facet się powiesił.

Jezu.

W każdym razie glinom to wystarczyło, więc zamknęli sprawę. Uznali pewnie, że szkoda czasu: ot, jeden ulicznik zabija drugiego. Ale

kilka miesięcy później Blaze rozmawiał ze swoim klientem, a on zaczął snuć opowieść, jak to Lewin zabił tego chłopaka. Facet twierdził, że dzieciak był mu winien pieniądze, a Lewin, który zresztą i tak go nienawidził, zaczął się o nie mocno dopominać. Klient Blaze'a ciągnął tę historię dosyć długo, ale wszystko sprowadziło się do tego, że Lewin kompletnie zwariował i zabił dzieciaka. Jego chłopak zjawił się w pewnym momencie, zobaczył, co się dzieje, ale jak tylko stwierdził, że jego luby nie żyje, prysnął.

Czy Blaze powiedział to glinom?

Rachel kręci głową. Ten jego klient miał wyrok w zawieszeniu, więc istniało pewne prawdopodobieństwo, że skończy w pudle za udział w tej sprawie. Nie był najlepszego zdrowia, więc pewnie byłby to jego koniec.

Sądysz, że Lewin *to* zrobił?

Rachel wzrusza ramionami. Diabli go wiedzą.



Studio mieści się w starej drukarni w Redfern. Widząc zatłoczoną samochodami Elizabeth Street, decydują się iść tam piechotą, więc kiedy docierają na miejsce, jest już ciemno. Odnalezienie ulicy nie stanowi problemu, ale kiedy już na niej są, mają trudności z połapaniem się w numerach domów, które zupełnie przypadkowo przeskakują z jednego budynku na kolejny. W końcu codex Anny doprowadza je przed ciężkie drzwi, obserwuje je kamera, która z pewnością przekazuje ich wizerunki

do jakiegoś centralnego rejestru, gdzie zostaną przechowane i odnalezione, gdyby zaszła taka potrzeba. Wciskają przycisk domofonu i zostają wpuszczone.

Kilka pięter wyżej stają przed właściwymi drzwiami. Otwiera je młody mężczyzna o anielskiej twarzy, na którą opadają blond loki.

Andrew?, pyta Anna, a on potakuje, wyciągając do niej dłoń na powitanie.

Miło nam cię poznać. Przepraszamy za spóźnienie.

Mężczyzna spogląda na zegarek.

Nic się nie stało, ale ja będę musiał zmykać. Wejdźcie do środka, pokażę wam, jak zamknąć drzwi.

Gdy już zostały zaznajomione z procedurami zabezpieczającymi i poinformowane, gdzie jest toaleta, Andrew wychodzi pośpiesznie. Anna rozstawia sprzęt, okiem profesjonalisty ocenia studio, podczas gdy Rachel kroczy wzdłuż jednej ze ścian, przyglądając się oprawionym w ramki fotografiom.

Zaraz skończę, mówi Anna, uruchamiając systemy sprawdzające w swoim aparacie. Możesz się w tym czasie rozebrać. Anna ukradkiem obserwuje reakcję Rachel, wiedząc, że będzie ona doskonałym wskaźnikiem tego, do jakiego stopnia zdoła się rozluźnić w czasie sesji. Ku jej uldze Rachel waha się jedynie przez moment i zaczyna rozpinąć guziki koszuli.

Kiedy już jest gotowa, wstępuje w krąg światła, a gdy odwraca się w stronę aparatu, Anna widzi w niej kanciaste rysy twarzy Setha, ale znacznie złagodzone. Rachel jest szczuplejsza, niż Anna się spodziewała, jej ciało smukłe jak brata, ale bardziej gibkie, umięśnione. Uwagę przyciąga brzuch. I piersi - małe, sterczące, o powiększonych sutkach; pod nimi płaska powierzchnia mostka, a poniżej twardy, wystający brzuch, jego krągłość w pewien sposób podkreślająca szczupłość całej sylwetki. Poniżej widać wąską łatę gęstych włosów łonowych. Oliwkową skórę znaczą nieliczne stare piegi na ramionach i dekolcie. Widząc, że Anna się jej przygląda, odwzajemnia się jej, posyłając spojrzenie niepewne, a jednocześnie wyzywające, spojrzenie, które, jak sądzi Anna, ma wyrażać jej zaufanie.

Gdzie mam stanąć?

Tu jest w porządku. Muszę ustawić światła.

Gdy kończy, odwraca się do Rachel, która stoi z jedną ręką założoną w poprzek ciała.

Możesz tak chwilę postać?

Rachel podnosi wzrok. Tak jak teraz?, pyta, zachowując postawę, która zainteresowała Annę.

Dokładnie tak.

Po kilku zdjęciach Anna chwali Rachel za zdolność wykonywania poleceń, a ona parska śmiechem.

Przez jakiś czas byłam modelką.

Anna spogląda na nią znad aparatu. Naprawdę? Gdzie?

W Londynie. Spędziłam tam dwa lata po ukończeniu szkoły.

Podobało ci się?, pyta Anna, a Rachel znowu się śmieje, głębokim, gardłowym śmiechem.

Boże, nie, to było niewiarygodnie nudne. Całe dni siedzenia w bezruchu w studiach, w których szalały przeciągi. Raz nawet dorobiłam się odmrożenia.

Anna chichocze, robiąc zdjęcia, gdy Rachel mówi i jest rozluźniona.

Wydaje się, że to było tak dawno.

Nie podczas twoich studiów w Cambridge?

Nie, w Cambridge robiłam dyplom znacznie później. A wtedy jeszcze nie studiowałam, to było, kiedy Seth robił doktorat w Oxfordzie.

Pojechałaś z nim?

Niezupełnie. Ale nie miałam powodu, żeby tu zostać, kiedy on wyjechał. Wstrzymywał swój wyjazd tak długo, ponieważ chodziłam jeszcze do szkoły.

To było po tym, jak umarli wasi rodzice?

Długo po tym. Umarli, kiedy miałam dziesięć lat.

Opuszczając aparat, Anna patrzy na nią. Nigdy mi nie mówiłaś, jak to się stało.

Wypadek samochodowy. Tata zwolnił się z pracy i razem z mamą

postanowili spędzić kilka miesięcy na podróżowaniu. Gdzieś pomiędzy Perth i Broome zderzyli się z ciężarówką.

To straszne. Ile lat miał wtedy Seth?

Osiemnaście. Sąd Rodzinny chciał nas rozdzielić i umieścić mnie w sierocińcu, bo sądzili, że nierozsądnym byłoby pozostawienie dziewczynki w moim wieku pod opieką osoby, którą oni uznali za wysoce niepełnosprawną. Ale Seth nie pozwolił im na to.

Pewnie nie było wam łatwo.

Rachel wzrusza ramionami. Mieliśmy pieniądze z ubezpieczenia. Jakoś sobie radziliśmy.

Coś w tonie Rachel jakby zamyka ten temat, więc przez jakiś czas zajmują się tylko zdjęciami. W końcu Rachel na nowo podejmuje rozmowę.

Dlaczego to porzuciłaś?

Słucham?

Fotografię, co sprawiło, że przestałaś robić zdjęcia?

Przecież je robię, odpowiada Anna głosem szorstkim i spiętym.

Nie chciałam być wścibska.

Przez wizjer aparatu Anna widzi, że oczy Rachel wciąż są w niej utkwione, bez mrugnięcia.

Nic się nie stało, mówi, to było całkiem sensowne pytanie. Nie powinnam być dla ciebie taka szorstka.

Odniosłaś przecież sukces, prawda?

Tak jakby.

A potem po prostu znikłaś.

Sprawdzałaś mój życiorys?

Nie. Mam przyjaciela, który posiada jeden z twoich portretów.

Zawsze go podziwiałam.

Poznałam kogoś. Mieszkał w Hongkongu.

Następuje chwilowa cisza, podczas której Rachel trawi to, czego Anna nie dopowiedziała.

Gdy nadal tam mieszka?

Opuszczając aparat, Anna zmusza się, by spojrzeć na Rachel. Nie wiem. Być może.

Kiedy Rachel odzywa się znowu, jej głos brzmi niepewnie. Ten portret, który ma mój przyjaciel... Widziałam go w zeszłym tygodniu. Jest na nim mężczyzna. Wygląda tak jak ty.

To Daniel.

Kto?

Mój brat bliźniak.

Kiedyś mówiłaś, że zginął.

Był wykładowcą na uniwersytecie w Hongkongu, mówi Anna beznamiętnym głosem. Zniknął w czasie inwazji chińskiej armii w sierpniu zeszłego roku.

Czy to znaczy, że nie wiesz, co się z nim stało?

Nie wiem, odpowiada, ponownie unosząc aparat.

Po zmroku robi się coraz cieplej, panoszy się brudny, cuchnący upał. Na ulicy, gdzie mieszka Seth, jest ciemno, gdzieś niedaleko wściekle ujada pies doprowadzony do szaleństwa przez coś, czego nie widzi.

Najpierw słyszy, że w środku ktoś się porusza, a potem jego głos w domofonie.

Kto tam?, pyta.

Anna.

Jest późno.

Wiem. Muszę z tobą porozmawiać.

Następuje chwila ciszy, a potem kliknięcie otwieranego zamka.

Wchodząc do środka, widzi go za wewnętrznymi drzwiami, ich ciężar niczym tarcza między nimi. Pragnąc go dotknąć, unosi dłoń do jego policzka, ale on się odsuwa, prawie niedostrzegalnie, zaś ona zabiera rękę ze złością.

Spałeś?, pyta go, widząc, że jest na bosaka, w luźnych spodniach i koszulce.

Nie, odpowiada, a jego twarz spogląda gdzieś ponad nią, gdy zamyka drzwi. Pracowałem.

O tej porze?

Często pracuję do późna w nocy. Jest wtedy spokojniej, mniej rzeczy mnie dekoncentruje.

W środku gra muzyka, wiolonczela, donośna powaga jej drewnianego pudła rezonansowego odbija się echem w przestronnym pokoju. Odwracając się, Anna widzi, że Seth wciąż stoi przy drzwiach z twarzą wyzutą z uczuć niczym maska.

Czy mówiłam ci, że moja siostra, Sophie, gra na wiolonczeli?

Chyba nie.

Mieszka w Nowym Jorku, razem z mężem grają w kwartecie smyczkowym.

To piękny instrument.

O, tak.

Byłaś gdzieś?

Byłam z Rachel, robiłam jej zdjęcia.

Więc w końcu cię poprosiła?

Tak.

Przez dłuższą chwilę oboje milczą. W końcu Seth przerywa ciszę.

Jak tam twoja dłoń?

Anna uśmiecha się, zwyczajność tego pytania przynosi jej ulgę.

Dużo lepiej, odpowiada. W zeszłym tygodniu zdjęli mi szwy.

A tak przy okazji, to Bach.

Co...? A, chodzi o muzykę.

W trakcie rozmowy Anna podeszła bliżej. Teraz wyciąga rękę, ujmuje jego dłoń. Seth wzdryga się pod jej dotykiem, ale się nie opiera.

Nie powinnam była wtedy tak wychodzić od ciebie, mówi. Zachowałam się jak tchórzliwe dziecko.

Mogłem to zrozumieć.

Nie, przeczy Anna. Myślę, że jednak nie rozumiałeś. Zapytałeś mnie, czego się boję, a ja odpowiedziałam, że nie ciebie.

Ale boisz się mnie?

Anna kręci głową. Nie, niezupełnie. Boję się tego, jaka się przy tobie staję, jak łatwo można mnie wtedy zranić. Gdy mówi, zaczyna się odsuwać, ale on zamyka jej dłoń w uścisku, powstrzymuje ją.

Mogę ci coś powiedzieć?, pyta Seth.

Oczywiście.

Zwykle kobiety pociąga we mnie moja ślepotą. Chcą się mną zajmować, troszczyć się. Ale z tobą jest inaczej.

Chodzi ci o to, że to ja jestem kaleką?, prychna cynicznie Anna.

Nie. Ale tak wiele ukrywasz, jesteś taka zamknięta w sobie.

Przeraża mnie to.

Nie tylko to.

Nie, przyznaje Anna, a do oczu napływają jej łzy. Boże, dlaczego to jest takie skomplikowane.

Seth kładzie rękę na jej policzku, jego kciuk na kości policzkowej,

jeden z palców pod szczęką. Chcesz tego?, pyta.

Najpierw Anna nie odpowiada, nie może. Potem jednym gwałtownym ruchem przywiera do niego, ramieniem przyciągając do siebie jego usta.

apokryf

(7)

Łatwiej jest czytać późniejsze zdjęcia Frasier w świetle serii „Wymarcie” z 2012 roku. W tym wczesnym cyklu skamieniałe amonity zostały sfotografowane, by zasugerować istnienie życia w śmierci czy może raczej ciągłość nie tylko pomiędzy tym, co zwykle odbieramy jako żyjące, a tym, co uznajemy za martwe, ale pomiędzy światem organicznym i nieorganicznym. Oczywiście były to kwestie dość kontrowersyjne w tamtych latach, kiedy to nastąpiła rewolucja nie tylko w biologii, ale i badaniach nad sztuczną inteligencją oraz w cybernetyce, w latach, kiedy rzeczywiście zaczęły zacierać się granice pomiędzy tymi dziedzinami, poprzednio uważane za święte. Na późniejszych zdjęciach muszle są zarazem twardsze i bardziej delikatne niż amonity z cyklu „Wymarcie”, ich gładkie, niemalże ceramiczne powierzchnie wydają się świadczyć o ich nieczułości, nawet gdy delikatne kolory i kryzy połączeń poszczególnych segmentów przywodzą na myśl coś dużo bardziej miękkiego, wręcz cielesnego. Ta sugestia staje się tym bardziej wyraźna, gdy weźmiemy pod uwagę trwale zainteresowanie Frasier ciągłością formy w świecie natury. Przez wiele lat fotografowała przedmioty i zjawiska, które domagały się wyjaśnienia przez sam fakt swojej egzystencji, obojętnie, czy byty to

rzeźbione linie gnanego wiatrem piasku, delikatna architektura prymitywnych paproci z Tasmanii, czy też geometryczne zawijasy muszli. W każdym z tych przypadków przedmiot czy zjawisko przykuwa naszą uwagę swoją odmiennością, jednocześnie zmuszając do zastanowienia nad jego regularnością i klarownością. Frasier potrafiła docenić piękno fotografowanego obiektu bez względu na to, czy należał on do świata organicznego, czy nieorganicznego, bądź, jak w przypadku amonitów, do obu z nich po trosze.

Tak więc nie będzie wielką przesadą, jeśli powiem, że te muszle z różowymi ząbkami i gładkie otwory konch to nie tylko erotyzacja świata nieożywionego, ale coś wręcz odwrotnego dogłębne zrozumienie ludzkiego ciała, w którym płynie słona krew morza.

MICHAELA RUTHYEN, *Anna Frasier: Retrospektywa.*

GORĄCZKA

GORĄCZKA - chorobowy stan organizmu, charakteryzujący się nadmiernym wzrostem temperatury oraz rozległymi zmianami i zniszczeniem tkanek.

Ze swojego okna w Browarach Anton obserwuje, jak mężczyźni krzątają się koło ciężarówki w zaułku poniżej, dobiegają go ich krzyki rozchodzące się w wilgotnym powietrzu. Przyjeżdża codziennie, o czwartej, piątej rano, jęki tłoków hydraulicznych przerywają jego sen. Czasem leży spokojnie, ręką przykrywa głowę, żeby odciąć się od pisków podnośnika, który unosi kontenery ku przepastnemu brzuchowi śmieciarki, od łomotu spadających śmieci; czasem jednak wspina się na parapet okna i obserwuje jej pracę. Gdy zawartość kolejnych kontenerów, wypełnionych odpadkami z pobliskich restauracji, ląduje w brzuchu pojazdu, wycieka z niego ciemna ciecz plamiąca spękaną powierzchnię ulicy. Z każdą nocą nieczystości jest coraz więcej. Czasami zatrzymuje się na ulicy, stoi i przygląda się zielonym koszom, z których wysypują się śmieci, niebieskim kontenerom tak zapchanym, że nie można ich zamknąć. Zastanawia się wtedy, dokąd wywożą to wszystko, te góry odpadków, dzień po dniu. Na horyzoncie ponad dachami, zalanymi żółtym światłem ulicami, ciemnymi wierzchołkami drzew unosi się

czerwona luna szalejących pożarów. Nad jego głową jakiś satelita bezgłośnie przemierza bezmiar nieba. Zbyt gorąco, żeby spać. Anton siedzi i obserwuje śmieciarkę, czeka na świt.

Niczym blada linia pozostawiona przez palec przeciągnięty po opalonej skórze, ciekłe kryształy zamazują się i formują na nowo pod jej kciukiem, gdy wodzi nim wokół sylwetki Rachel na wyświetlaczu aparatu. Ze wszystkich zdjęć, które zrobiła cztery dni temu, to podoba jej się najbardziej. Nie jest czarno-białe, jak mogłoby zmylić kogoś światło padające od spodu. Rachel stoi na nim przodem do obiektywu, jej spojrzenie jest bezpośrednie i niespeszone. Jedną rękę trzyma w poprzek ciała, rozsunięte palce spoczywają na barku; drugą obejmuje od dołu krągłość swego brzucha. Jej sutki mocno wciskają się w ramię trzymane na piersi. Pozorny brak sztuczek pozwolił pochwycić na obrazie chwilę niespodziewanej szczeroci - ale nie buntu - jak u dzikiego zwierzęcia pojawiającego się na moment, a potem znikającego.

Zeszłego wieczora, gdy siedziała na tylnej kanapie taksówki, usłyszała dzwonek telefonu, a sieć zidentyfikowała dzwoniącą do niej osobę jako Rachel. Patrząc przez przyciemnioną szybę na mijane budynki, Anna odebrała połączenie. Na dworze było gorąco, ale w klimatyzowanym wnętrzu taksówki panował przyjemny chłód. Gały dzień czuła się podenerwowana, jak gdyby coś pełzało pod jej skórą, jakby jej

kręć była za gorąca, krążyła szybciej, niż powinna. Barwy były jakby bardziej intensywne, nagłe zbitki słów i przedmiotów mistyczne, sugestywne jak przecucie. Nic nie wydawało się do końca realne.

Anna?, głos Rachel zabrzmiał tak blisko, jakby siedziała obok niej, przyciskała usta do jej ucha i szeptała jedwabście.

Jadę właśnie taksówką, odparła, jakby to miało coś wyjaśnić.

Rachel zaśmiała się. Ale chyba ma klimatyzację! Nam znowu wyłączyli ją w zeszłym tygodniu.

Wciąż jesteś w biurze?

Mam nadzieję, że zaraz się stąd wyniosę. Tu jest jak w domu wariatów. Tak jest co roku: Boże Narodzenie i upał wszystkim padają na mózgi.

Anna nie odpowiedziała, jedynie mocniej zacisnęła palce na sztywnym kształcie spoczywającym w jej dłoni.

Dlatego dzwonię. Zastanawiałam się, czy masz jakieś plany?

Na Boże Narodzenie? Nie. Gdy *to* mówiła, taksówka przejeżdżała przez Taylor Square, ogrom nieba nad jego otwartą przestrzenią przytłaczał otaczające go budynki, na wschodzie ciemne nietoperze unosiły się na tle bezgwiezdnego firmamentu.

Rozmawiałam właśnie z Oliverem Bloomem...

Tym kucharzem?

Zgodził się przygotować kolację dla jednej z misji, po części z

dobrego serca, a po części dla rozgłosu, w każdym razie Blaze i ja zostaliśmy zaproszeni. Pomyślałam sobie, że jak nie masz żadnych planów...

A Seth?, zapytała nagle, wypowiadając słowa, nim zastanowiła się, co mówi.

Nastąpiła chwilowa cisza, po czym Rachel rzekła: Pomyślałam, że jego też zaproszę.

W łóżku Setha, dwie godziny później, odwróciła się od niego i wbiła oczy w sufit.

Dzwoniła Rachel, powiedziała. Zaprosiła mnie na świąteczną kolację.

Pocałował ją w koniuszki palców, ale ona cofnęła rękę.

Pójdziesz?

Powiedziałam jej, że się zastanowię, odparła. Chcesz, żebym poszła?

Zawahał się. Tak, rzekł w końcu, chcę. Przez otwarte okno dolatywały ich odgłosy ruchu na ulicy, wycie syreny. A potem ostry odgłos strzału. I nastąpiła cisza.

Kładąc aparat na stole, stuka raz w wyświetlacz, żeby utrwalić zdjęcia, furkot obwodów ledwie słyhać, gdy dane przepływają do czekającego codexu, a potem do komputera Rachel. Coś z nią jest nie tak, czuje to, jakieś uniesienie w jej ciele. Przeraza ją to, ekscytuje, jej pełne usta są nabrzmiące, pulsują bólem jak siniaki, ruchy jej ciała gorączkowe.

Mięśnie są niespokojne, bolesne. I ten fetor jej wilgotnej skóry...

GORĄCZKA OPANOWAŁA ją po raz pierwszy trzy lata wcześniej, w hotelu na skarpie Luang Prabank, wysoko nad mulistymi wodami Mekongu. Nocne powietrze ciężkie było od smrodu palonej nafty i zgnilizny, gdy włóczyli się po zatłoczonych bazarach, szare poranki kołys zapachem kadzideł i głosami modlitwy.

Ona i Jared podróżowali wzdłuż rzeki z Wietnamu do Birmy. Na początku myślała, że to coś z żołądkiem, który kurczył się i ścisnął, każąc jej się zwijać nad porcelaną hotelowej muszli klozetowej, ale kiedy nie zadziałały pigułki, a ona coraz bardziej słabła, trawiona gorączką, Jared zaniepokoił się i poszukał hotelowego lekarza. Opatulona w śmierdzącą pościel, czując w powietrzu odór własnych wnętrzności, ledwie go zauważyła, zakwiliła jedynie, kiedy wbił jej igłę, pobrał krew do zbadania. Po godzinie znali już diagnozę. Malaria.

Nie mając wielkiego zaufania do transportu rzeczno i miejscowego szpitala, Jared zorganizował śmigłowiec do Wientian, a stamtąd lot do Hongkongu. Przez całą drogę był przy niej, uważał, by nie dotykać ran, które zaczęły pojawiać się wokół ust i nosa, a jego troska walczyła z odrazą do jej sączącego ciała, niekontrolowanych spazmów gorączki. Obudziła się raz w helikopterze, rozejrzała się, na moment odzyskawszy przytomność, zaskoczona głośnym łomotem śmigieł. Zobaczyła, że siedzi naprzeciwko niej, jego uwaga skupiona na górach

pod nimi, dywanach zieleni pokrywających ich stoki. Chciała usiąść, ale nie zdołała, ciasne pasy noszy przytrzymały ją na miejscu. Zaczął narastać w niej strach, wykręciła się, zawołała go, ale słowa nie chciały się uformować, z jej ust wydobył się jedynie dźwięk przypominający krakanie.

Wystarczył jednak, bo Jared odkrył, że się obudziła, odpiął swoje pasy i klęknął przy niej, jedną dłonią głaszcząc po czole. Wszystko będzie dobrze, wyszeptał. Ale na próżno, bo odwracając się do niej, miał w oczach błysk szybko stłumionej odrazy, a teraz czuła niechęć w jego dotyku, czuła, jak odpychało go jej ciało, choć bardzo starał się to ukryć.

Potem wmawiała sobie, że to tylko jej wyobraźnia, ale wspomnienie tamtej chwili nie zatarło się, jego każdy gest stał się nagle podejrzany.

Do piątku choroba ją zmógł a; majaczy we śnie, wykrzykując imiona, których Seth nie zna. Jej płytki oddech, jej gorąco budzi go przed świtem. Przestraszony, przykrywa jej roztrzęsione ciało, na próżno próbując obudzić ją z majaków. Kiedy mu się to nie udaje, dzwoni do Rachel.

Przyjeżdża szybko. Stoi przy drzwiach w szarym świetle, nie wypytuje o obecność Anny. Ale Seth zna ją na tyle dobrze, by wiedzieć, co oznacza jej energiczne zachowanie; koncentracja na bieżącej sprawie ma prawdopodobnie maskować inne uczucia, takie jak złość, na przykład.

Jednak przez chwilę opinia Rachel nie ma dla niego żadnego znaczenia, interesuje go jedynie stan Anny.

Gdy są już na górze, Rachel klęka przy łóżku, wierzchem dłoni dotyka jej policzka.

Ona płonie, mówi, oglądając się na niego.

Sądzę, że to malaria, mówi stojący za nią Seth.

Powiedziała ci to?

Zeszłej nocy.

Rachel kręci głową, zerkając na zegarek. Zadzwonię po Vinha. Będzie szybciej niż ci ze szpitala. A pewnie i tak nie jest ubezpieczona.

Vinh przyjeżdża przed upływem godziny, Rachel otwiera mu drzwi i prowadzi do łóżka, na którym leży Anna. Razem z Sethem stoją i czekają, gdy lekarz ją bada, zadając pytania o choroby, które przechodziła, ale żadne z nich nie umie na nie odpowiedzieć. W pewnym momencie pyta o HIV i żółtaczkę, a odwracając się, widzi twarde spojrzenie Rachel i Setha stojącego obok niej z założonymi rękami i zmizerowaną, zdradzającą niepokój twarzą. Ponieważ żadne z nich nie odpowiada, Vinh wraca do swej pacjentki, mówiąc, że pobierze krew do analizy i da jej coś na gorączkę.

Gdy lekarz już poszedł, Rachel parzy kawę, po czym stoi oparta o zlew i patrzy, jak dłonie Setha obejmują filiżankę. Jego nozdrza wydymają się, gdy bierze łyk.

Dlaczego mi nie powiedziałaś?, pyta w końcu Rachel głosem spokojnym, ale gniewnym. Unosząc wzrok ku sypialni na górze, dodaje po namyśle: I dlaczego ona mi nie powiedziała?

Seth nie odpowiada od razu, jego milczenie przypomina jej, że wcale nie jest do tego zobligowany, że to jego sprawa.

Powiedziałbym ci, mówi, we właściwym czasie.

Rozumiem, odpowiada lodowato. Jak długo to trwa?

Kilka tygodni.

Od koncertu?

Nie. Zaczęło się później.

Przerywa im głos Anny, piskliwy i słaby, wołający Seta.

Pójdę do niej, mówi Rachel, odstawiając swoją filiżankę, ale Seth też już wstał.

W sypialni Anna siedzi na łóżku, jej nogi zwisają luźno, ciało chwieje się z boku na bok. Podnosi wzrok na zbliżającą się Rachel, choć wydaje się ją rozpoznawać dopiero, gdy przy niej klękła.

Seth po ciebie zadzwonił?, pyta, a Rachel kiwa głową, kładąc dłoń na jej czole.

Tak.

Gdzie on jest?

Tu, odpowiada Seth, a Anna wyciąga do niego rękę.

Przepraszam.

Nie masz za co, mówi Rachel. Jesteś chora, to nie twoja wina. Spogląda na Seta, który stoi nad nimi, czując się niepewnie i niezręcznie.

Chyba temperatura jej trochę opadła.

Czyżby?, pyta Anna. Czuję się okropnie.

Rachel odgarnia kosmyk włosów z jej twarzy, na dłużej zatrzymując dłoń na policzku. Nawet w takim stanie jest piękna. Czując gorąco skóry, wyobraża sobie krew krążącą pod jej dłonią, małe, mutujące i rozpadające się cząsteczki, roznoszące chorobę po jej ciele.

Vinh bada twoją krew.

Anna kręci głową. Niepotrzebnie. To malaria. Mam ją od... trzech lat. Mówisz, że Vinh tu był?

Jakieś pół godziny temu.

Nie pamiętam. Z pewnym wysiłkiem wyciąga przed siebie lewą rękę, patrzy na miejsce, gdzie Vinh wstrzyknął jej środek przeciwgorączkowy. Już utworzył się ciemny siniak, rozlewając się wokół nakłucia, pod cienką osłoną skóry zbiera się krew. Rachel również spogląda na miejsce wkłucia, uśmiecha się współczująco.

Muszę iść do toalety, mówi Anna. Ale nie wiem, czy dam radę sama.

Pomogę ci, mówi Rachel. Możesz wstać?

Nie jestem pewna.

Rachel pomaga jej się podnieść. Jednocześnie widzi twarz Seta,

krótki błysk oburzenia. To ich odwieczny powód do kłótni, które zawsze przysparzają tego samego bólu.

Stojąc na nogach, Anna kołysze się niepewnie, ale udaje jej się dojść do toalety. Rachel zamyka za nią drzwi. Opierając się potem o ścianę przy drzwiach, słyszy mocny strumień moczu, patrzy, jak Seth się odwraca, jakby dzięki temu mógł się dociąć od tego dźwięku.

Kładąc się, Anna prawie natychmiast zapada w sen, ale Seth zostaje przy niej, głaszcze ją po plecach, Rachel ich obserwuje. W końcu dotyka jego ramienia, a po chwili wahania Seth wstaje, schodzi za nią po schodach.

Pójdę już, mówi Rachel. O dziesiątej mam być w sądzie, a muszę jeszcze jechać do domu i się przebrać. Poradzisz sobie?

Jasne, odpowiada Seth.

Jesteś pewien? Ma jeszcze tę przyjaciółkę, właścicielkę galerii.

Nic nie wiem o żadnej właścicielce galerii. I nie traktuj mnie jak dziecko. Przez dłuższą chwilę Rachel milczy, aż w końcu wzdycha i pociera czoło palcami.

Nie mam na to czasu, mówi ściśniętym głosem. Muszę być w sądzie.

Ale Seth nie odpowiada, tylko zakłada ręce.

Dobrze, mówi Rachel, zresztą jak sobie chcesz.



Gdzieś z daleka docierają do niej wznoszące się i opadające głosy,

niewyraźne i zmieszane niczym bełkot w zakamarkach umysłu, gdy człowiek dochodzi do siebie po kwasie. Jej roztrzęsione ciało trawi gorączka. Znacznie później budzi się, usta ma wysuszone, wciąż tkwi w szponach choroby, ale przynajmniej jest przytomna. Na poddaszu jest gorąco: przez żaluzje widzi słońce - późne popołudnie? A może kolejny dzień? Zrzucając z siebie przykrycie, leży jak półtora nieszczęścia na boku, rozgląda się po pokoju. Na stoliku przy łóżku stoi dzbanek, obok niego szklanka wody; wspierając się na łokciu, Anna sięga po nią, łykając chciwie ciepłą ciecz. Woła Seta, ale nie otrzymuje żadnej odpowiedzi, w mieszkaniu panuje cisza. Przez chwilę zastanawia się, gdzie też on może być, ale czuje się zbyt słaba, by wstać i go poszukać. Zostaje więc w łóżku, nieruchoma, wycieńczona, ale nie całkiem jeszcze gotowa, by znów zapaść w sen. Jakiś czas później słyszy kliknięcie zamka u drzwi, kroki Seta na twardej drewnianej podłodze. Odgłos kładzionych na stole kluczy. Przytłumione światło pokoju wdziera się głęboko w jej czaszkę, zadając kłujący ból za jednym okiem. I już Seth wchodzi po stopniach, jego szczupła sylwetka stopniowo wyłania się z cienia, gdy wkracza na poddasze. Staje u szczytu schodów, nasłuchuje. Anna wie, że powinna się odezwać, dać mu znak, że nie śpi, ale coś ją powstrzymuje, podobnie jak tamtego dnia w Muzeum. Czerpie jakąś przyjemność z tej niewidzialności, i nie tylko z niej; świadomość, że ona go widzi, a on jej nie, przeraża ją i podnieca jednocześnie, tworząc odurzającą kombinację

wrażień. Leży spokojnie przez prawie minutę, niezdolna przełamać czaru tego, co czuje. Wreszcie Seth robi krok w tył, odwraca się. Nie chcąc, żeby odszedł, Anna wyciąga rękę, mamrocze jego imię.

Nie śpisz, odpowiada, siadając obok niej na łóżku.

Czy Rachel...?

Poszła już.

Wcześniej wydawało mi się, że się kłócicie...

Seth wierzchem dłoni dotyka jej czoła, a przez Annę przebiega dreszcz, gdy czuje na sobie jego skórę.

To nieistotne.

Przykro mi.

Seth wieszka dłoń w dół, po policzku, skąd odgarnia jej kosmyki włosów.

Niepotrzebnie. Od czasu do czasu Rachel trzeba przypomnieć, że potrafię o siebie zadbać.

Anna bierze jego rękę w swoje dłonie, przyciąga ją do ust, lekko całuje rozpalonymi ustami. Nie chodzi mi tylko o to; przykro mi, że jestem chora, że ci się narzucam.

Nie bądź niemądra. Po chwili Seth uwalnia swoją dłoń z jej chwytu, ponownie dotyka jej czoła. Znowu jesteś rozpalona.

To na pewno malaria, mówi Anna, obracając się do niego, zapadając w ciemność jego ciała, w cuchnącą pościel.

To na pewno malaria.

Nie powinno to być żadną niespodzianką. Przez ponad dekadę, wraz z ocieplaniem się planety ten najstarszy z podróżników rozprzestrzeniał się na północ i południe, ponownie kolonizując terytoria utracone ponad sto lat wcześniej. Choroba szerzyła się coraz szybciej, jednocześnie mutując, jej nowe odmiany stawały się coraz bardziej zjadliwe, odporne na leki. Gdy przedostały się na obszary powszechnie uznawane za bezpieczne, to przeważnie była to choroba biednych - ogromne ilości roznoszących ją moskitów mnożyły się w stojącej wodzie pośród walących się chałup i slumsów, na porzuconych budowach i w zdemolowanych fabrykach - rzadko chwytająca w swoje szpony ludzi takich jak Jared czy Anna, nietykalnych w ich klimatyzowanych gniazdkach pośród szklanych i stalowych wież wielkich miast.

Szczep, którym zaraziła się Anna, był jednym z najniebezpieczniejszych, o dużym odsetku śmiertelności, ale kiedy już ją hospitalizowano, jej stan szybko się ustabilizował i wkrótce wypisano ją do domu. Jared zorganizował pielęgniarkę, Malajkę o zniszczonej cerze, która spędzała dni na oglądaniu singapurskich teleturniejów, raz po raz wybuchając przy tym śmiechem. Wydawała się mieć wyjątkowe upodobanie do jednego z prowadzących, Harry'ego Chana, do którego trwałej ondulacji i ewangelickiego uśmiechu Anna czuła szczególną odrazę. W przerwach reklamowych Talibowie z Afganistanu nadawali

lekcje z nauki ich świętej księgi, srogie recytacje zakazanych uczynków, zakazanych książek i filmów, które jakoś dziwnie nie współgrały z całym tym blaskiem teleturniejów. Czasami, obudzona odgłosami z ekranu albo piskliwym śmiechem pielęgniarki, Anna stawała przy drzwiach do kuchni, w której dziewczyna siedziała na stołku i oglądała swoje ulubione programy, łupiąc orzechy i zajadając je z otwartą buzią. Przy Jaredzie była służalczo uprzejma, ale w czasie jego nieobecności traktowała Annę z ledwo ukrywaną pogardą, z której odwzajemnieniem Anna, zła i dotknięta, nie miała wielkich trudności. Chciała mieć mieszkanie dla siebie i zwolniła pielęgniarkę, jak tylko Jared dał się do tego przekonać.

Gdy już jej nie było, Anna mogła w końcu spędzać długie dni w samotności. Jared zwykle wychodził przed świtem, bo musiał przejrzeć na-pływające nocą dane z Wall Street. Czasem kiedy się budziła, odnajdywała kształty jego ciała wciąż odcisnięte w pościeli, czuła jego zapach, ciepło jego ciała, półprzytomna pełzła na pogniecione miejsce poprzednio zajmowane przez niego i zapadała z powrotem w sen. Kiedy się ponownie budziła, blisko południa albo i później, oglądała kanały z wiadomościami, zatapiając się w niekończącym się hipnotycznym strumieniu danych. Jared zakupił jedną z tych nowych konsoli, wraz z goglami i rękawicami, ale Anna stwierdziła, że doświadczenia ciekłosurfowania są dla niej zbyt wyczerpujące, cały sprzęt leżał więc na biurku w jego gabinecie, nieużywany.

Nikt jej nie odwiedzał, nawet Daniel. Tak wiele czasu minęło, odkąd rozmawiali ze sobą po raz ostatni, że nie mogła do niego zadzwonić, już nie. Pewnego wieczoru, gdy Jared rozbierał się do snu, naskoczył na nią, że powinna spędzać więcej czasu z innymi ludźmi. Jego złość przestraszyła ją. Zapytała, z kim powinna się widywać, a on przez dłuższą chwilę stał z rękoma uniesionymi do krawata, który luźno zwisał mu u szyi, chłodno wpatrując się w jej odbicie w lustrze.

Spróbuj z Frey, powiedział. Albo z Rogerem czy Timem. Na Boga, są również twoimi przyjaciółmi. Zadzwoń do nich. Nie leż całymi dniami i nie rozczulaj się nad sobą.

Ale to byli jego przyjaciele, nie jej. Nie mogła do nich zadzwonić.

Aż pewnego ranka nie wstała wcale, zwyczajnie przeleżała w łóżku cały dzień, czekając na Jareda. Następnego dnia było tak samo, i tak ciągle przez tydzień, miesiąc. Jared nawet nie zauważył, że z jej dni nagle uleciała ich zasadnicza część; na giełdach zaczęła się właśnie największa, najbardziej długotrwała w historii gra na zwykłą, więc Jared i jemu podobni pracowali od świtu do nocy, bez przerwy nurzali się w oceanach danych pompowanych przez światłowody sieci, ścigając przesuającą się przez kulę ziemską linię dnia. Wszędzie: w Ameryce, Europie, Chinach, Japonii było tak samo, szaleństwo spekulacji na wcześniej niewyobrażalną skalę, jakieś wariactwo, jak nałóg i upojenie. Uczta, w której wcześniej uczestniczył wraz z kolegami może raz w tygodniu, stała

się codziennym rytuałem, wariacką euforią i żarłoczną konsumpcją pieniądza, danie po daniu, gdy niczym hazardziści unosili się na fali fortuny, nie bardzo wierząc we własne szczęście, przy czym owo niedowierzenie czyniło ich bankiet tym bardziej dzikim, tym bardziej szalonym.

Sama w ich mieszkaniu, wysoko nad zatłoczonymi ulicami, karmiona bezustannym szeptem telewizji, Anna czuła, jak zewnętrzny świat staje się dla niej coraz bardziej dziwny i przerażający, twarze z ekranu brzydkie, ich głosy ostre i skrzekliwe. Niekiedy pośród kanałów z wiadomościami napotykała kaznodziejów, plastikowe twarze głoszące ewangelię strachu i nienawiści, gadające o objawieniach i cudach, a od ich atlasowych głosów robiło jej się niedobrze. W Argentynie żaby padały z nieba, w Egipcie szarańcza pustoszyła pola, w Idaho miliony myszy pożerały wszystko na swojej drodze, a ziemia drżała, gdy przelewały się przez nią ich kotłujące się ciała. I z każdym dniem coraz trudniej było jej ukryć się przed głosami, których szept słyszała we własnej głowie.

Aż do pewnego dnia, pozornie nieróżniącego się od tak wielu, które już minęły, kiedy zobaczyła się w lustrze. Długie, słabe włosy i wytrzeszczone oczy jej odbicia przeraziły ją, sparaliżowały. Balon jej odrętwienia został nagle przebity przez wstyd, odrazę i nagłe gorące łzy; jej ciało osunęło się na podłogę, szloch wezbrał w niej niczym woda.

Nie wiedziała, jak długo siedziała skulona przy ubikacji. Może pół

godziny, a może i pół dnia, ale w końcu przenikliwy smutek minął, wypalił się, a ona otarła twarz, przejęta świadomością, że musi coś zrobić, cokolwiek, że nie może wciąż siedzieć tu sama, w mieszkaniu. Tłamsząc w sobie lęk, który nakazywał jej poddać się i zawlec się z powrotem do łóżka, Anna umyła się, szorując ciało i zęby, aż jej skóra się zaczerwieniła, a dziąsła zaczęły krwawić. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni myła zęby, ale czuła w ustach brud i niesmak, czuła smród własnego oddechu. Ubrała się w sypialni, zauważając, że ubrania wiszą na niej jak na kołku, ostrość własnych bioder i żeber pod skórą przestraszyła ją. Zastanawiała się, kiedy po raz ostatni jadła normalny posiłek, ale nie mogła sobie przypomnieć. Jedzenie stanowiło czynność wykonywaną wspólnie z Jaredem, a jego nigdy nie było w domu.

W hallu zawahała się, ruch i światło za szklanymi ścianami wydawały się przerażające, jak coś, nad czym nie da się panować. Ale stojąc tak przy wyjściu, zauważyła, że przyglądają jej się strażnicy o pełnych pogardy twarzach, przełknęła więc swój lęk i wyszła na ulicę, w ryk, który wybuchnął wokół niej, jak tylko rozsunęły się dźwiękoszczelne drzwi.

Na zewnątrz panowała duchota, zewsząd otoczyła ją ściana wilgotnego powietrza i zbyt szybki, zbyt hałaśliwy ruch uliczny, ale szła, kroczył za kroczkiem, trącana i popychana przez śpieszące się tłumy, płatanina ścieżek wciągała ją coraz głębiej, ludzie cisnęli się dokoła, gdy

przyłgnęła do poręczy ruchomych schodów. Poruszała się w tym strumieniu rozwrzeszczanej ludzkości niczym przybysz z obcej planety, czując się wyizolowana, nie całkiem prawdziwa. Choć wcale się tam nie wybierała, stwierdziła nagle, że stoi na chodniku przed Millennium Tower, gdzie, jak wiedziała, w swoim biurze wysoko ponad hałasem i upałem, który ją otaczał, będzie siedział Jared. Niepomna na rozzłoszczone spojrzenia przechodniów, którym blokowała drogę, spojrzała w górę, jej wzrok podążył za przyprawiającymi o zawrót głowy, pokrytymi czarnym szkłem krągłościami, wznoszącymi się ku oślepijącemu blaskowi słońca. Wiedziała, że może wejść, pójść do recepcji, poprosić oschłego recepcjonistę, by go odnalazł, zażądać, żeby odciągnęli go od wideokonferencji czy też rozmowy telefonicznej, która go akurat absorbowowała, ale nie zamierzała tego zrobić, nie chcąc, żeby ten człowiek czy ktokolwiek inny patrzył na nią jak na jeszcze jedną żonę albo partnerkę w potrzebie, walczącą z pustką przy pomocy niekończących się rundek spotkań tenisowych i lunchów, wycieczek na zakupy do Bangkoku, Szanghaju i Sydney.

Powrót do domu trwał dłużej, jej ciało było wyczerpane aktywnością, od której odwykło, ostrością światła, tak że nim dotarła do swojego bloku, musiała dusić w sobie łyżę zmęczenia. Lecz nagle usłyszała jakiś głos wołający jej imię, odwróciła się i ujrzała machającego Daniela, idącego do niej przez ulicę, jego twarz tak znajomą, że wydało jej się,

jakby rozmawiali ze sobą zaledwie przed kilkoma godzinami, nie miesiącami.

Cześć, powiedział, zrównując się z nią, czekałem na ciebie. Nie byłem pewien, kiedy wrócisz. Wyciągnął ręce i przytulił ją do siebie, oczekując, że ona zrobi *to* samo, ale Anna, przestraszona nagle, odepchnęła go sztywnym, nienaturalnym ruchem.

Byłam na spacerze, oznajmiła, jedną ręką wskazując kierunek, skąd przyszła, jak gdyby nie było to żadne wielkie osiągnięcie, ale zauważyła, jak się jej przyglądał, dostrzegła troskę w jego oczach.

Dzwoniła Sophie. Mówiła, że jesteś chora.

Anna wpatrywała się tępo w dal, próbując przypomnieć sobie telefon do siostry.

Malaria, rzekła w końcu. Miałam malarię.

Jezu. Kiedy? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Wzruszyła ramionami. Nie wiem.

Daniel wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię, podtrzymując ją. Wyglądasz na zmęczoną.

Bo jestem zmęczona.

Mogę wejść z tobą?

Tak, proszę.

Na górze przeprowadził ją przez drzwi, posadził na kanapie.

Dam ci coś do picia, powiedział, wyciągając jakąś butelkę z lodówki.

Może być inca cola?, zapytał, przyglądając się nalepce.

Tak, poproszę, odparła, gdy nalewał napój do dwóch szklanek. Z naczyniami w obu dłoniach usadowił się na kanapie obok niej, beztrąsko kładąc nogi na stolik.

Gdzie Jared?

W pracy, rzekła, a on spojrzał zaskoczony znad swojej szklanki.

W sobotę?

Przyłapana, starała się ukryć fakt, że nawet nie wie, jaki jest dzień tygodnia.

Giełdy amerykańskie pewnie dopiero co zamknięto na weekend, stwierdziła, ukrywając swą niewiedzę.

Na pewno jest ostatnio zajęty.

Anna przytaknęła. To prawda. Jak tam Briar?

Świetnie.

Gdy popijał zieloną colę, jego uśmiech stawał się coraz bardziej złośliwy. Miał teraz dłuższe włosy niż wcześniej, prawie do ramion, co czyniło go tym bardziej obojnaczym, jeszcze mocniej upodabniało go do niej. Stary, poczciwy Jared, rzekł niby to w zadumie. Jak tam jego serce?

Anna zaśmiała się, wbrew sobie. Wciąż bije. Naprawdę go wkurzyłeś tamtego wieczora, wiesz.

Wzruszył ramionami. Przepraszam.

Przepraszanie mnie nic tu nie da, stwierdziła Anna, a jej oczy

zalsniły; zaczęła powracać beztroska, jaką zawsze potrafił wzbudzić w niej brat.

Wynagrodzę mu to, naprawdę, powiedział Daniel i nawet udało mu się zachować powagę, dopóki Anna nie szturchnęła go łokciem w żebra.

Kłamca.

Przez chwilę przygryzał wargi, ale dłużej już nie mógł się powstrzymać i ryknął śmiechem.

Przyłapałaś mnie, rzekł, ale ona też już się śmiała, kładąc głowę na jego ramieniu i chłonąc jego zapach, tak niesamowicie znajomy.

o

W tej niezwykłej wesołości razem spędzili popołudnie, śmiejąc się i rozmawiając, a ich humor stawał się stopniowo coraz bardziej dziki i rubaszny. Anna już dawno nie czuła tego gorączkowego, szalonego podekscytowania, którego doświadczała tylko przy Danielu. Lecz choć napawała się tym szaleństwem, nieodpartą radością, to jednocześnie czuła strach, ponieważ wiedziała, nawet w tej samej chwili, że kiedyś się to skończy, a wtedy może ją ogarnąć trwająca wiele dni melancholia.

Kiedy byli młodszy, często miewali takie nastroje, bełkotali do siebie w nonsensownym języku, którego używali, chcąc odgrodzić się od świata, zamknąć się w kręgu przeciw innym, wywołując u siebie coraz to silniejsze napady śmiechu ze śpiewnymi inkantacjami, biegając i tańcząc coraz szybciej, aż ich matka albo Sophie krzyczały, żeby przestali,

rozdzielały ich, wciąż owładniętych dzikim chichotem, wciąż śpiewających, a ich szczupłe kończyny wciąż drżały w rytm opętańczego tańca. A potem, sama w swoim pokoju albo, gdy byli szczególnie uciążliwi, na przednim siedzeniu samochodu ojca, Anna cicho nucila sobie ich piosenkę, mruczała pod nosem, pragnąc, żeby Daniel ją usłyszał, poczuł to zjednoczenie, które ona czuła pomimo ich rozdzielenia.

Gdy dorastali, te nastroje wywoływały inne rodzaje zachowań. Jako nastolatki leżeli na swoich łóżkach z nogami opartymi o ścianę pomimo upomnień rodziców, żeby uważali na farbę, śmieli się i drażnili nawzajem. Oplatali się rękami jak papierem, cięli powietrze niby nożycami, boksowali się pięściami jak kamienie. Nożyce, papier, kamień. Nożyce, papier, kamień. Jej fartuszek zwijał się wokół talii, gdy nucili sobie i wywijali nogami wte i wewte w szkaradnej parodii tańca. Dziewczyny Daniela, których było niemało, czasami miały zaszczyt obejrzeć to przedstawienie, przy czym ich fizyczne podobieństwo i intensywna zażyłość odstawiała na bok każdego z zewnątrz, podobnie zresztą jak ich trajkoczący śmiech z tysięcy niewypowiedzianych, znanych im tylko żartów, jak ich zakodowany język slangu i przerośni, którego nie potrafili rozszyfrować nawet członkowie rodziny. Była taka jedna dziewczyna, Siri Anderson, której nastoletnia namiętność do Daniela była tak pochłaniająca, że nawet wówczas patrzenie na to sprawiało Annie

ból. Pewnego popołudnia rozplakała się w końcu, bo Daniel przez cały czas ich wspólnego spotkania nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Oboje z Anną zaśmiewali się do łez, gdy Siri wybiegła z domu.

Może tego dnia po raz pierwszy poczuła wyrzuty sumienia, które stopniowo miały zatruwać chwile po ustąpieniu tego ich szaleństwa. Nigdy nie zapomniała bólu na twarzy Siri ani tego, jak ją torturowali, nawet wtedy, gdy przed nimi płakała. Ta bezmyślność, ta bezwzględność stały się dla niej powodem do wstydu.



Na właśnie taki nastrój trafił Jared, kiedy wrócił do domu późnym wieczorem i zastał dudniącą muzykę, zapach trawki i pizzy, a ich dwoje tańczących w szalonych, groteskowych pozach: kręcili biodrami, Daniel wypinał krocze, a Anna piersi, ich usta małpowały słowa piosenek, w rozdziawionych buziach szybko pojawiał się i znikał język. Początkowo nie zauważyli jego obecności, a on w milczeniu przyglądał się tym pląsom z kamienną twarzą, aż w końcu Daniel go spostrzegł, dźgnął palcem Annę, by go zobaczyła, i oboje osunęli się na podłogę z na wpół dławionym śmiechem. Jared czekał z chłodem na twarzy, aż przestaną chichotać, ledwie raczył odpowiedzieć na pytanie Anny, jak minął dzień, po czym wycofał się do gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Jednak jego przybycie przerwało ich nastrój, ich wesołość zaczęła ustępować, Anna wodziła wzrokiem po bałaganie, który po sobie

zostawili, nagle czując wyrzuty sumienia.

Chyba już lepiej idź, powiedziała, a Daniel, być może onieśmielony krótką chwilą obecności Jareda, nie oponował. Przy drzwiach przytulił ją.

Uważaj na siebie, powiedział. Nie zniósłbym chyba, gdyby ktoś cię skrzywdził.

Uwalniając się z uścisku, Anna podniosła wzrok, ale jego twarz była spokojna.

Nie musisz się o mnie martwić. Jestem już dużą dziewczynką.

A jednak się martwię. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Jared pracował w gabinecie, jego codex leżał przed nim otwarty. Anna stanęła w drzwiach.

Poszedł już?, zapytał, nie odwracając się.

Tak, odparła, nagle ogarnięta strachem. Nie prosiłam go o to, po prostu się pojawił. Mówił, że zadzwoniła do niego Sophie i powiedziała, że jestem chora.

Nie całkiem tak było, rzekł Jared, wciąż zwrócony do niej plecami.

Co przez to rozumiesz?

Odwrócił się do niej, jego twarz nadal była chłodna. To ja zadzwoniłem do Sophie z prośbą, żeby się z nim skontaktowała w moim imieniu. Pomyślałem, że może będzie mógł ci jakoś pomóc. Wiem, że ja nie potrafię. Już nie.

Nie powiedział mi tego.

Nie? Może nie chciał.

W ciemnym mieszkaniu Setha nadal panuje skwar, powietrze ciężko wisi pod blaszanym dachem, ale Anna ledwie to zauważa. Co dzień odwiedza ją Vinh, sprawdza poziom nawodnienia, daje jej środki przeciwbólowe, ale niewiele może zrobić do czasu, gdy minie faza ostra. Któregoś dnia wniósł na strych telewizor, Seth podązał gdzieś za nim. Kiedy Anna się budzi, próbuje coś oglądać; na początku tylko filmy, ale intrygi zaczynają jej się plątać, więc przełącza na wiadomości, obrazy zamazują się, zlewają, nakładają na siebie w powodowanym gorączką mętliku, jaki czuje w głowie. Z wysiłku bolą ją oczy i głowa. Dwa razy budzi się podczas tego samego fragmentu o Murakamim, w którego prawym płucu rozwinęła się infekcja. Jego ciało, osłabione ciągłym promieniowaniem i depresją, widocznie nie może lub nie chce reagować na zastosowane leczenie. Rozmowy na temat *Prometeusza* sprowadzają się teraz do jednego, do braku zgody w kapsule, do złości i żalu, i chociaż centrum kontroli lotów zaprzecza plotkom, mnożą się one nie kontrolowane w kanałach z wiadomościami i w grupach dyskusyjnych.

Gdy tylko się budzi, Anna ma wrażenie, że on też tu jest, jego chłodne dłonie na jej skórze odnajdują węzły gorączki splątane w jej ciele i rozsypują je delikatnymi ruchami. Raz na dzień zmienia jej pościel, gdy ona trzęsie się bezwładna i naga na krześle, potem kąpie ją, a kiedy

wyciera jej skórę ręcznikiem, czuje się taka słaba i zdesperowana, że płacze przy tym za każdym razem, oparta o niego szlocha cicho, nim ponownie pogrąży się w objęciach snu.

Budzi się po południu w sobotę, w nocy gorączka trochę opadła. Kręci się jej w głowie, kiedy siada, przyciska dłoń do twarzy, próbując zdusić ból głowy, który właśnie ją zaatakował. Potem strachliwie stawia stopę na deskach, wstaje, a kiedy idzie do łazienki, podłoga wydaje się jej nienaturalnie odległa. Zatrzymuje się przed lustrem, patrzy na swoje ciało, przez bladą skórę sterczą żebra, jej twarz jest wychudzona, ciemne włosy zwisają bez życia. Dotyka karku, brzucha, piersi, jak gdyby chciała upewnić się co do swojej fizycznej obecności. Przekręcając kurki pod prysznicem, czuje na skórze wodę i dobrze jej z tym, nie drży już i nie jest trawiona gorączką. Gdy się osusza, po raz pierwszy zastanawia się nad obecnością lustra. Jak na mieszkanie niewidomego, dom Setha wydaje się całkiem dobrze wyposażony w udogodnienia potrzebne osobom widzącym: telewizory, lustra, światła.

Kiedy wychodzi z łazienki, Seth siedzi na łóżku z twarzą w cieniu. Okrągłe szkła jego okularów migoczą w słabym świetle. Siedzi tak spokojnie i bez ruchu, że nie od razu go zauważa. Zaciska usta, słysząc, jak zaskoczona wdycha powietrze, gdy go zauważa.

Przestraszyłem cię?

Trochę, przyznaje, wiedząc, że powinna do niego podejść, niemniej

jednak powstrzymuje się od tego.

Jak się czujesz?

W porządku. Jestem dość słaba, ale poza tym w porządku.

Kiedy Seth się nie odzywa, Anna ciasniej owija się ręcznikiem.

W powietrzu czuć dym.

To przez te pożary. Wszystko jest nim przesiąknięte.

Anna nie odpowiada, stoi tylko i patrzy na niego.

Skrzypnięcie łóżka wydaje się nader głośne w panującej ciszy. Seth wstaje i podchodzi do stołu.

Wyprałem twoje ubrania, informuje, podnosząc je i wyciągając w jej stronę.

Dziękuję, mówi Anna, lecz nie podchodzi, żeby je zabrać, więc on stoi nadal z wyciągniętymi ramionami. Kiedy jasne jest, że ona się do niego nie zbliży, opuszcza ręce, kładzie ubrania z powrotem na stole. Anna obserwuje sztywność i godność jego postawy, to, jak stoi, jak gdyby gotów był uskoczyć przy najlżejszym dotknięciu. Wie, że to nie tak powinni się rozstać, wie, że on też się boi. Anna dwoma krokami pokonuje dzielącą ich przestrzeń, bierze jego dłoń w swoje ręce.

Muszę iść, mówi.

Przez chwilę Seth nie reaguje, jego ciało opiera się jej dotykowi.

Mogłabyś zostać.

Przyciąga go do siebie tak, że jej głowa spoczywa na jego ramieniu.

Nie, muszę pobyć sama. Chyba rozumiesz dlaczego.

Oddech wędruje głośno w jego piersi, doskonale słyszalny dla Anny.

Tak.

Przy taksówce całuje ją delikatnie w czoło, ale Anna unosi głowę, przyciąga jego usta do swoich, chce, by ten moment trwał. Potem syczą drzwi auta, nikt nie hałas, krzyk i blask ulicy. Seth stoi na zewnątrz bez ruchu, zbyt blisko krańca chodnika, przez co Anna chce otworzyć okno i powiedzieć mu, żeby się cofnął. Jego koszula wilgotna w miejscu, gdzie spoczęła jej głowa...

Gdy siedzi sama na tylnym siedzeniu taksówki, otwiera swój codex i po raz pierwszy od tygodnia przegląda pocztę. Jest wideowiadomość od ojca, który obwieszcza swoje i matki plany na przerwę świąteczną i informuje, gdzie może ich złapać; jest też wiadomość od Sophie, żeby do niej zadzwoniła. Kolejna od agenta z Hongkongu, ale wyłącza ją przed końcem. Potem krótka wiadomość od Dylana, że Seth powiedział mu o jej chorobie i żeby zadzwoniła, jeśli czegoś potrzebuje. I wreszcie od Jadwigi, która zastanawiała się, co się z nią dzieje. Oprócz wideowiadomości jest też mnóstwo wiadomości głosowych i tekstowych, głównie reklam, ale wśród nich znajduje kartkę świąteczną od Sophie, jej życzenia ciepłe i pełne przebaczenia. Do kartki załączony jest obrazek, który narysowała dla niej Gwynny: chuda Anna z dwoma kucykami, ogrom błękitnego morza, łuk Mostu i picassowaty budynek Opery za jej plecami. Dwa ptaki

na tle białego nieba. Jej stopy unoszą się nieco nad ziemią. Opuszczając codex na kolana, wpatruje się w obrazek, wspominając uczucie trzymanej w dłoniach małej główki Gwynny przed pięciu laty, kruchość jej czaszki. Teraz ma prawie sześć lat. Na ostatnim przesłanym przez Sophie wideo Gwynny jest szybka i szczupła, jej włosy czarne i kręcone jak jej ojca, oczy równie zielone jak oczy Sophie albo Anny. Albo Daniela.

Powietrze w mieszkaniu jest gorące i stęchłe. Po kolei otwiera wszystkie okna i drzwi, nie bacząc na upał na dworze. Z kosza w kuchni unosi się ohydny smród. Zakrywa dłonią twarz, wyciąga worek i wynosi do śmietnika, cały czas trzymając przed sobą, z dala od swojego ciała. Do mieszkania wraca powoli i z trudem. Wyczerpana, dochodzi do niepościelonego łóżka i opada na nie. Oczy utkwivszy w gładkim suficie, żałuje, że nie jest dość ciemno, by mogła zobaczyć rozsiane po pokoju fluorescencyjne gwiazdki, które właściciele mieszkania rozlepili dla ich zielonkawego blasku jako swego rodzaju żart.

Nagle budzi się, obok niej dzwoni telefon. Zaskoczona, sięga po niego, ale to tylko połączenie audio, a dzwoniąca osoba rozłącza się, słysząc głos Anny. Nie zostawia swojego numeru. Opadając ponownie na łóżko, Anna próbuje dojść do siebie. Na dworze przedwieczne niebo jest brudnopomarańczowe, nad morzem wisi całun dymu. Od plaży dochodzi szum fal, rzadkie piski dzieciaków. Przebudzona, lecz jakby bez życia, z ciałem jak z ołowiu, lecz czujnym umysłem patrzy, jak ostatnie

światło dnia opada za ocean, niebo najpierw staje się krwistoczerwone, potem chorobliwie blade. Jest już ciemno, gdy zbiera całą siłę woli, żeby wydostać się z objęć znużenia, a przechodząc przez nieoświetlony pokój, czuje się dziwnie nerwowa. W części dziennej mieszkania futerał z aparatem leży tam, gdzie go położyła sześć godzin wcześniej. Otwiera go i wyjmuje płytkę z pamięcią, odtwarza zdjęcie, nad którym pracowała tego wieczora, gdy zachorowała. Cieszy się, widząc, że nie straciło nic ze swej mocy, bezruch pochwycony we wzorach światła i koloru pozostaje dziwnie, niezrozumiale wymowny. Nie zamierzała dziś pracować, ale skoro ma już przed sobą tę fotografię, dostrzega rzeczy, które chce, które musi zmienić. Jednak kiedy już dokonała kosmetycznych poprawek, o których początkowo myślała, wprowadza dalsze zmiany, zwiększa rozdzielczość ekranu, wchodzi w ziarna obrazu, wyszukuje skazy i usuwa je.

Dziesięć lat temu, kiedy była na studiach, ta część pracy należała do montażyistów i techników laboratoryjnych, narzędziami fotografa wciąż były antyki z innej epoki: aparaty, klisze, odczynniki chemiczne, ale Anna uwielbiała je, uwielbiała kapryśność i zawilóść ich części i obsługi.

Dopiero kilka miesięcy po skończeniu liceum wynajęła pokój w domku szeregowym w Redfern, w pełnym zakrętasów, wąskich schodów i malutkich izdebek mrowisku; podobali się jej mieszkający tu artyści, projektanci i studenci, spontaniczne imprezy, psy, kuchnie bez lodówek.

Jednak najbardziej ceniła sobie luksus prywatności w malutkim pokoiku nad kuchnią, który należał tylko do niej, lubiła jego łuszczące się ściany i drewnianą podłogę. Urządziła go tak, jak urządziła potem wszystkie swoje siedliska: czyste ściany, łóżko, niskie półki na książki, żadnych zbędnych rzeczy, niemal ascetycznie, gdyby nie kwiaty - lewkonie, mięsiste orchidee, niekiedy maki zwisające nad poskręcanyimi, włóchatymi łodygami - które kupowała dwa razy w tygodniu prosto z samochodu dostawczego, tanio, pewnie na lewo, a których płatki tak absurdalnie, rozpustnie kolorowe odznaczały się w surowości pokoju. Na jednej ze ścian powiesiła zdjęcie Daniela, które zrobiła mu pewnego popołudnia, gdy spał nawalony i rozczochrany na jej łóżku: jego twarz spokojna, usta na wpół rozchylone, jakby do pocałunku. Zmysłowość warg oraz sińce pod oczami tłumiły przywoływane przez zdjęcie wspomnienia dzieciństwa. Srebrny medalion na rzemieniu, zawieszony na jego szyi, opadł z boku pomiędzy barkiem a brodą. Łuszcząca się farba na ścianie ponad nim pochwycona została w skośnym promieniu złocistego światła późnego lata. Ponieważ spodobało się jej wrażenie przestrzeni, jakie dawało to zdjęcie, powiększyła je i powiesiła naprzeciw łóżka niby lustro odbijające inny czas, możliwą przyszłość. Kiedy Daniel je zobaczył, roześmiał się - a nie był to śmiech zbyt przyjemny - zażądał, żeby powiedziała mu, kiedy je zrobiła, potem podszedł bliżej i kręcąc się, jakby szukał czegoś, czego do tej pory nie widział, po chwili dodał, że

naprawdę jest całkiem niezłe. Później znowu przyłapała go przed portretem, jak przestępował prawie niedostrzegalnie z nogi na nogę - odruch, który u niego oznaczał skrępowanie. Coś w tym zdjęciu zaniepokoiło go, może jego niewinność, a może, w świetle spojrzenia w przeszłość, niestałość piękna, do którego owa niewinność się przyczyniła. I chociaż wozila to zdjęcie ze sobą z miejsca na miejsce przez następne pięć lat, aż do Hongkongu, do czasu Jareda, Daniel nigdy go nie polubił, zawsze twierdząc, że widząc je, czuje się nerwowy.

Podczas pierwszego roku na studiach prawie mieszkała w ciemni. Każdego ranka wstawała o świcie, myła się w prowizorycznej łazience na podwórzu, a chłodna, piaszczysta ziemia przylepiała się do jej skóry, kiedy wyszukiwała drogę wśród małych kępek perzu. Dom wokół niej milczał, gdy się ubierała. Ruch na drogach dopiero się zaczynał, a ona lawirowała na swoim rowerze pomiędzy samochodami, czując gorąco pierwszych promieni słońca, kiedy jechała po Crown Street w kierunku wysadzanych drzewami alejek, które przez park prowadziły do szkoły. Uwielbiała pierwsze kilka godzin w ciemni, zanim zaczęli przychodzić inni studenci, wykładowcy, zaczęła cenić koncentrację i dyscyplinę, jakich od niej wymagały. Kończyła niekiedy bardzo późno; jechała wtedy do domu w ciemności i upale, wszędzie unosił się zapach deszczu, asfaltu i zgnilizny, bieżnikowane opony jej roweru furkotały na spękanej nawierzchni drogi. Zostawiała rower w hallu domu i leżała na łóżku, a

chemiczny zapach ciemni przylegał do jej palców i włosów. Paznokcie miała kruche od ciągłego zanurzania w odczynnikach.

Mieszkała w tym domu sześć miesięcy, aż w końcu wrzaski powodowane złością i wzajemnymi wyrzutami z powodu rachunków i czynszu, i kochanków tak zaczęły zaprzętać innych mieszkańców, że stały się nie do wytrzymania, przeprowadziła się więc do malutkiego studio w Surry Hills. Kiedy się wyprowadzała, jedna z mieszkanek domu, kobieta, którą Anna uważała za przyjaciółkę, która sypiała z Danielem, a kiedyś, niby półzartem, próbowała tego samego z nią, wściekła się i wyrzuciła z siebie tyradę o skrytości Anny, jej snobizmie i braku uczuć. „Mała księżniczka”, zadrwiła z twarzą siną ze złości, po czym oglądając się na zebranych mieszkańców domu, podłączyła ich do swojej krytyki, twierdząc, że wszyscy myślą jak ona, tylko nie mają odwagi się do tego przyznać. Atak był tak nagły, tak niespodziewany, że Anna stała w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć. Potem, gdy pakowała swoje książki do kartonów, kilkoro z nich stało przy jej drzwiach, jak gdyby chcieli się odżegnać od słów, które padły w kuchni. Ale nie wiedząc, jak rozpocząć rozmowę, odeszli po kolei i zostawili ją samą, pozwolili jej wyjechać bez pożegnania.

Próbowała wtedy zlekceważyć słowa tamtej baby, uznać je jedynie za wybuch zazdrości i chociaż w tym ataku mógł być jakiś jej wymysł, to później zaczęła podejrzewać, że kobieta miała rację; była księżniczką, zbyt

piękną, zbyt bystrą, zbyt przyzwyczajoną do sukcesu, ochranianą przed ciosami i wszelkimi trudnościami, dzięki którym człowiek dorasta i przechodzi przemianę. Ale było w tym wybuchu coś jeszcze, coś, czego wtedy nie dostrzegła, przytyk do tego, że z taką pasją zmierzała do obranego przez siebie celu, przez co stała się odludkiem. Teraz, kiedy to doświadczenie wydaje się tak odległe, jakby nie było jej udziałem, zaczyna podejrzewać, że w ten sposób chciała uciec od presji swego dawnego życia, ciężaru bycia najładniejszą dziewczyną w szkole, brzemienia sukcesów w nauce. Od presji związanej z byciem siostrą Daniela.

Dekadę później jest umęczona życiem nie do poznania, a to poprzednie wcielenie wydaje się jej nieznajome i dziwne, świecące jedynie blaskiem młodości, arogancji i ignorancji. Siedząc przy stole w domu ludzi, których nigdy nie poznała, jeszcze raz przygląda się zdjęciom na płycie, nie mogąc się nadziwić, jak bardzo pasują one do tego poczucia straty i - co dziwniejsze, a co uświadamia sobie nagle - także zysku i zmiany.

Telefon zadzwonił tuż po 3:30, wrywając ją z głębokiego, kolorowego snu. Jared obok niej stęknął, ale to ona sięgnęła po słuchawkę.

Na ekranie przy łóżku pojawiła się twarz Wena, jednego z asystentów Jareda, jego głos cichy i ponaglący.

Anna, daj Jareda.

Jared śpi, wymamrotała.

Nieważne, obudź go.

Ale w międzyczasie Jared już włączył światło. Odbiorę w gabinecie, powiedział.

Wrócił chwilę później. Twarz miał bladą.

Co się stało?, zapytała, gdy zakładał ubranie, które miał na sobie, wracając do domu ledwie trzy godziny temu.

W Tokio było trzęsienie ziemi, odparł.

Prawie natychmiast ponownie zadzwonił telefon, potem jego komórka, a po chwili prowadził już trzy rozmowy naraz, wydając jakieś polecenia, a jednocześnie wsuwając buty. W tym samym czasie włączył telewizor, gdzie komentatorzy starali się zebrać do kupy fakty; jedyne zdjęcia pochodziły z podrygującego helikoptera i z chińskiego satelity meteo, krążącego gdzieś nad Morzem Japońskim. Już sam brak informacji nie wróżył nic dobrego.

Jared wyszedł, jak tylko skończył się ubierać, zostawił ją samą, zmieniającą kanały w poszukiwaniu informacji. Przed świtem, gdy zespoły reporterskie przybyły do ruin miasta, zaczęły napływać nowe obrazy zniszczenia: bezkresne morze poskręcane metalu i potłuczonego szkła, a wszystko przykryte całunem oleistego dymu. W starszych dzielnicach wybuchły pożary, całe przedmiścia spowijały

plomień. Ilość śmiertelnych ofiar szacowano już na setki tysięcy.

Do dziewiątej wiele spraw się wyjaśniło. Trzęsienie ziemi uderzyło o 4:02 czasu tokijskiego z siłą 8,4 w skali Richtera. O 7:19 nastąpiły wstrząsy wtórne o sile 7,1, na jakieś piętnaście minut przerywając transmisję. Zniszczenia były ogromne, nie tylko w samym Tokio, ale i w pobliskiej Jokohamie; zawało się wiele „odpornych na wstrząsy” budynków, a przeważająca część tokijskiej dzielnicy finansowej osunęła się do portu. Już teraz krążyły pogłoski o korupcji wśród inspektorów rządowych. ONZ, USA i Chiny zaoferowały pomoc w usuwaniu skutków trzęsienia, jednak poważne zniszczenia infrastruktury i lotnisk wielce utrudniały rozmieszczenie oddziałów ratowniczych. Tsunami zmiotły z powierzchni ziemi wiele przybrzeżnych osad zarówno w Japonii, jak i Korei, a teraz obawiano się, że mogą zagrozić nawet wschodnim wybrzeżom Tajwanu i północnych Filipin. W kilka minut po trzęsieniu na giełdach zaczęła się - podsycana pierwszymi obrazami z chińskiego satelity meteo, wiadomościami z centrów badań sejsmicznych w Australii, Chinach i Kalifornii oraz danymi, które przeciekały z amerykańskich baz wojskowych na Tajwanie - masowa wyprzedaż jena, powodując ogromny spadek jego wartości. Zamknięcie Wall Street o siódmej rano czasu tokijskiego powstrzymało to na chwilę, ale wszystko zaczęło się od nowa, gdy godzinę później otwarto giełdę w Sydney. Wielki spadek jena pociągnął za sobą spadek wartości dolara, euro i nowego

juana. Amerykański Bank Rezerw Federalnych i inne banki centralne gorączkowo próbowały przeciwdziałać szkodom, ale komentatorzy nie byli do końca przekonani, że ich wysiłki coś pomogą.

Tuż po dziewiątej zadzwonił telefon. Odbierając go, Anna zdziwiła się widokiem twarzy Rolanda na ekranie.

Jezu, Anna, oglądasz to?

Od samego początku.

Jareda już pewnie dawno nie ma.

Wyszedł zaraz po tym, jak się o wszystkim dowiedział.

Roland z niedowierzaniem pokręcił głową.

Dopiero co się obudziłem, a wszędzie już o tym trąbili. Wiesz coś więcej ponad to, co mówią w wiadomościach?

Próbowałam dodzwonić się do Jareda jakieś pół godziny temu, ale nie mogłam się z nikim połączyć, nawet z recepcjonistą.

Kurwa. Słuchaj, nie wychodź nigdzie, przyjadę do ciebie, okej?

Roland przyjechał w ciągu godziny, wpadł do środka z pogłoskami, które wyszperał jego codex. Otworzył lodówkę, wziął sobie butelkę piwa i usiadł obok niej na kanapie z oczami utkwionymi w ekran naprzeciwko. Nie odrywając od niego wzroku, podał jej butelkę, a ona nie odmówiła; szyjka jeszcze była wilgotna i czuć na niej było smak jego ust. Jego ubranie i skóra przesycone były smrodem cygar, które palił. Wzięła duży łyk i oddała mu butelkę. Gdy podnosił ją do ust, Annie przyszło do głowy

pytanie, dlaczego zadzwonił akurat do niej. Nigdy tak naprawdę nie rozumiała związku Jareda z Rolandem. Gdy go o to pytała, Jared odpowiadał, że to jego najstarszy kumpel, i rzeczywiście była to prawda. Poznali się w szkole, w tym samym roku zdawali egzaminy i studiowali razem w Oxfordzie, przynajmniej do czasu, gdy Roland przepadł w Indiach. Ale ich przyjaźń zawsze wydawała się bardziej skomplikowana, niż mogła sugerować taka relacja, ponieważ z czasem Anna zaczęła dostrzegać dwuznaczność, a niekiedy wręcz wrogość w nastawieniu Jareda do kolegi. Jednak były też długie spędzane razem godziny, kiedy to dyskutowali o rynkach, grali w nogę i w kosza, pili. Czasem nie widziała go całymi miesiącami, a potem nagle pojawiał się na tydzień, dwa, czasem na dłużej, po czym znowu znikał.

Nigdy też tak naprawdę nie wiedziała, jak rozumieć samego Rolanda. Mrocznie przystojny, o pełnych ustach, ciężkich powiekach i oczach, które wydawały się świecić ciągłym, wewnętrznym rozbawieniem, Roland zawsze stanowił dla niej dziwne połączenie cech: wiecznie się spóźniał, był nieodpowiedzialny, ordynarny, nieobliczalnie hojny, współczujący, czarujący i niegodny zaufania - tej ostatniej cesze wcale nawet nie zaprzeczał. W ciągu ostatniego roku pracował dla jakiejś wytwórni w Bangkoku, produkującej programy kulinarne dla BBC. Było to zajęcie, które wymagało chyba jedynie tego, by spędzał sporo czasu z prowadzącym show i swoim partnerem w tym przedsięwzięciu, tajskim

księciem wątpliwej reputacji finansowej, który o gotowaniu nie wiedział prawie nic, był za to ekspertem w sprawie drogich dziwek i kokainy. Jednak ta praca nie różniła się zbytnio od wielu innych przedsięwzięć, w które Roland był zaangażowany w ciągu minionych lat.

Sześć miesięcy wcześniej, w domku na plaży w południowym Wietnamie, Roland pocałował ją w kuchni, podczas gdy inni siedzieli na werandzie i pili. Jego wargi smakowały nikotyną i alkoholem, były słodkie, popędliwe. Jego język poruszał się w jej ustach, jego ręka wylądowała na krągłości jej tyłka, a potem niżej, aż uniósł ją ku sobie. Poczuła twardość jego członka na swoim płaskim brzuchu. Sama na wpół pijana, nie opierała mu się, pozwalając, by jego ręka ścisnęła jej pośladek, aż jakiś podniesiony głos z tarasu przywrócił jej przytomność umysłu. Wyswobodziła się z jego objęć, nerwowo wycierając usta, rozmazaną szminkę. Roland pozostał tam, gdzie był, i uśmiechał się do niej, gdy oparła się o zlew. Spojrzała na niego, prawie tak samo zła na siebie, że na coś takiego pozwoliła, jak na niego; ale była podniecona obcością jego smaku, zapomnianym dreszczem niestosowności.

Kurwa!, zaklęła, tylko po części ze złością, ale Roland nic nie powiedział, na jego twarzy gościł jedynie krzywy, tajemniczy uśmiech. Anna odwzajemniła jego spojrzenie, usta miała rozchylone, oddech ciężki, wilgotny. Po czasie, który wydawał się wieloma minutami, a mógł być paroma sekundami, Roland wziął butelkę, po którą przyszedł, i wrócił

na werandę, jak gdyby nic się nie stało. Rano już go nie było, został niespodziewanie wezwany do Bangkoku. Przynajmniej tak powiedział Jared.

Nigdy nie mówiła o tym, co zdarzyło się tamtego wieczora. Nazajutrz, przygnębiona i skacowana, zastanawiała się, czy Roland sam mógł się wygadać, ale Jared nigdy o tym nie wspominał, a dwa tygodnie potem, w Luang Prabang, zapadła na malarię. Gdy była chora, miała czasem nadzieję, że Roland zadzwoni, wpadnie do niej podczas jednej ze swoich okazjonalnych wizyt w Hongkongu, ale nigdy się nie pojawił, a Jared o nim nie mówił.

To wszystko czyniło jego obecność tutaj jeszcze dziwniejszą. Gdy ekran mrugał przed nimi, Anna sięgnęła po jego butelkę, pociągnęła z niej jeszcze raz.

Nie wiedziałam, że wróciłeś, powiedziała, a on uśmiechnął się szeroko.

W zeszłym tygodniu, odparł.

Skończyliście już z tym programem kulinarnym?”

Na razie tak.

Rozmawiałeś z Jaredem?

Pokręcił głową i zwrócił się twarzą do niej, wbijając w nią swoje ciemne oczy.

Widziałem się z Frey. Mówiła, że byłaś chora.

Anna przytaknęła wolno. Miałam malarię.

Jezu, nikt mi nie powiedział...

I nagle Anna miała pewność, że odwiedziłby ją, nawet nie musiałaby go o to prosić, gdyby tylko wiedział. Wyciągnęła rękę i poklepała go po dłoni.

Nie martw się. Już ze mną lepiej.

W miarę upływu dnia przybywało wiadomości przynoszących obrazy jak z tryptyków Boscha. Szkielety wież niczym zepsute zęby ziejące pustymi dziurami na tle spowitego czarnym dymem nieba. Ulice powybrzuszane i spękane, pogrzebane pod morderczym deszczem lśniącego szkła. To, że trzęsienie nastąpiło o tej porze, znaczyło, iż wielu ludzi zginęło w swoich łózkach, przygniecionych spadającymi elementami konstrukcji.

I rzeczywiście, wydawało się, że trupy są wszędzie, okaleczone kończyny i zwisające bezwładnie głowy groteskowo wystawały z ruin; inne, zapakowane do worków, leżały w stosach na poboczu jak przygotowane do wywózki śmieci. Ale pośród ruin byli też żywi, ratownicy, nie zważając na własne ryzyko, morderczo pracowali, żeby do nich dotrzeć, pełzali przez rozpadające się szkielety bloków mieszkalnych, ich poranione dłonie krwawiły od przekopywania się przez gruzy, twarze zasnuł strach, wyczerpanie, świadomość ogromu strat. A dookoła i obok nich inni gorączkowo walczyli z płomieniami, od wody zgliszcza robiły się

śliskie. Jednak wśród przelatujących obrazów ogólnego zniszczenia migły też tragedie pojedynczych ludzi. Nieruchoma twarz młodego mężczyzny o skórze bladej pod pokrywającym ją kurzem, czarna folia worka rozwarta wokół jego szyi. Drobną dziewczynką, z kitką na czubku głowy, naga, nie licząc majtek w szokująco różowym kolorze, patrząca niewzruszenie, jak czarne wrony dziobią zwłoki. Poskręcane dźwigary jakiegoś biurowca, odbijające się w ciemnej wodzie, która wyciekła z pękniętej rury. Jakiś płaczący żołnierz, skulony przy sterczących skądś zwłokach starszej kobiety w koszuli nocnej przyzwoicie zapiętej pod samą szyję.

Wszędzie, w każdym punkcie świata, w każdym węźle oplatającej go sieci danych, od Patagonii po Alaskę, od Sierra Leone po Tajwan, nawet na Platformie Kosmicznej takie oto obrazy pojawiały się na ekranach telewizorów. Oglądały je miliardy ludzi, były ciągle powtarzane, w sieci dudniło od spekulacji i liczb, kondolencji i gorączkowych pytań o przyjaciół, krewnych, ukochanych; kursy walut, akcji zmieniały się jak szalone, gdy upadały całe gospodarki. I przez dzień, może dwa, świat był zjednoczony, wstrzymał oddech przed nadawanymi na żywo obrazami własnej śmiertelności. Po południu Anna i Roland zamówili do domu jedzenie, zajadali się wieprzowiną na ostro z kluskami z kartonowych pudełek i patrzyli, zahipnotyzowani.

Niczym rekin ślizgający się w głębinach oceanu, helikopter o cichych silnikach wznosi się bezgłośnie ponad zaciemnionymi dachami i ulicami, a badawczy palec światła szperacza wije się wszędzie, oświetlając rozkołysane konary i liście w ogrodach, poruszane wiatrem od śmigieł maszyny. Z odległości kilometra jest ledwie widoczny, jak cień na tle granatu nieba, jedynie przesuwający się snop światła łączy go z ziemią, ale przez poskręcany, wznoszący się do góry obłok dymu z marihuany Anton widzi go przez chwilę, pochwyconego w blasku naziemnych reflektorów, jego kształt przez chwilę jest wyraźny, lecz zaraz znika. Kanapa, na której siedzi, śmierdzi pleśnią, ale nie przeszkadza mu to, gdy kładzie się na niej, czekając, aż odurzenie trawą pomoże dojrzeć jakiś wzór w wijących się pasmach, aż każdy zawijas stanie się cząstką jakiejś większej całości, wyczuwanego siódmym zmysłem porządku ukrytego głęboko we wznoszącym się dymie.

Dziś Anton miał dobry dzień, dziś wieczór mijał szczęście. Robił to pierwszy raz, zdenerwowany i przestraszony, zbyt zielony, by znać cenę swej pracy. Ten mężczyzna sam też mu nie powiedział, ale gdy Anton kucnął przy otwartych drzwiach samochodu, czując gorąco jedwabiście śliskiego, długiego członka w swojej dłoni, zobaczył popłoch w jego oczach, a potem mając w ustach wciąż wyraźny smak jego nasienia, pochylił się nisko, żeby go jeszcze bardziej przestraszyć, a facet grzebał w portfelu, nagradzając wreszcie jego wysiłki zwitkiem banknotów

wciśniętym pośpiesznie do ręki. W końcu trzasnęły drzwi.

Anton klepie się po kieszeni z zadowoleniem, czując, że pieniądze wciąż tam są. Za drzwiami baraku pracuje Lewin, żółte światło okrągłej lampy mruga, gdy owady samobójczo rzucają się w jej stronę. Anton nie widzi go, ale słyszy jego kaszel, teraz prawie nieustający. Normalnie wszedłby do środka i patrzył, przyglądałby się, jak krzywe linie układają się w kształty postaci na płótnie, ale dzisiaj jest za gorąco, nawet tu na zewnątrz. Fascynuje go sposób, w jaki Lewin widzi swoje obrazy, nim zacznie je malować, jak gdyby nie wymyślał ich, ale odkrywał coś, co zawsze istniało i czekało tylko na ujawnienie. Dla Antona podobnie jest z muzyką: nuty rodzą się bez wysiłku w jego głowie i gardle, harmonia przychodzi instynktownie; mimo to fascynuje go fakt, że Lewin robi to samo z kolorami i kształtem.

Podoba mu się tu w nocy, zapach farb miesza się z zapachem trawy i owoców, lubi nawet smród pleśni na kanapie. Niedaleko słyszy, jak ktoś pobrzękuje talerzami, dźwięk wznosi się ponad odgłosy telewizora; gdyby się teraz odwrócił, w jednym z okien ujrzałby sylwetkę mówiącej osoby, niczym aktora na ekranie. Znowu zaciągając się jointem, przeciąga się, czuje się wspaniale. Jedną ręką głaska się po brzuchu, odwraca głowę, gdy dochodzi go ostry smród spod pachy, jego dłoń toczy coraz grubszego, ciepłego członka, ugniata go lekko. Zeszłej nocy śniła mu się matka, jej twarz, ale teraz jej nie pamięta; wszystko, co pamięta, to

strach, nagle wybuchy złości jego ojca.

o

Dziecko kopnęło ją już trzeci raz w ciągu kilku minut i Rachel ma kłopoty z koncentracją. Unosi dłoń i zaczyna masować sobie czoło.

Chce pani chwilkę odpocząć?, pyta siedząca na krześle obok policjantka. Rachel spogląda na nią ostro, gotowa negatywnie odpowiedzieć, ale twarz kobiety jest życzliwa.

Miałam długi dzień, mówi. Muszę iść do toalety.

Rozglądając się dookoła, widzi, że drugi policjant patrzy na nią z założonymi rękoma. Pomiedzy nimi jej klient stuka w stół z irytującą arytmia, oczy ma rozbiegane.

Zna pani drogę, mówi ten drugi policjant, jego ton wyraźnie mniej przyjazny.

W toalecie opuszcza majtki i podciąga spódnicę po raz czwarty w ciągu godziny. Płód mocno naciska na jej pęcherz, cienki strumień moczu wpada do wody. Dziecko w jej łonie znowu się przekręca, boksuje ją mocno, aż Rachel się krzywi. Co za koszmarne tygodnie, jedno aresztowanie po drugim. Rząd obiecywał Boże Narodzenie bez przestępstw, co oznaczało niekończący się cykl prymitywnego pieprzenia bez najmniejszych oznak tolerancji, a do tego zdawało się, że w tym czasie wszystko musi zostać wyolbrzymione - upał podgrzewał nastroje tak, że nawet najbardziej trywialne sprawy urastały do rozmiarów niezwykle

poważnych konfrontacji. Piętnastogodzinne dni pracy, którym na dodatek towarzyszyły opuchnięte kostki, bolące plecy, ciągłe wycieczki do toalety i z powrotem. Jest już jedenasta, a znalazł się kolejny młodociany potrzebujący prawnika, który załatwiłby jego sprawę. No i to całe zamieszanie z Anną i Sethem.

Być może gdyby nie była taka zmęczona, nie wyglądałoby to tak strasznie, wmawiała sobie, ale kiedy ona nie jest zmęczona, kiedy zdarza się, że nie ma nic do roboty? Ostatnio sama przyłapywała się na tym, że warczy i pyskuje, że jest zła i ma wszystkiego po dziurki w nosie, że się wścieka i ma dość samej siebie. Zastanawia się wtedy, gdzie podziała się osoba, którą kiedyś była, osoba, która potrafiła się śmiać, tańczyć całą noc, całowała się, piła i pieprzyła. Osoba, która wspięła się na szczyt Harbour Bridge w dniu swoich dwudziestych piątych urodzin, naćpana, szeroko rozłożyła ramiona, żeby poczuć, jak kołysze nią wiatr, a dysząca daleko w dole ziemia wydawała się pod nią obracać. Następne dwa ciosy w jej brzuchu, wzmagają ból głowy. Dobrze, że jutro jest Boże Narodzenie, myśli sobie, przynajmniej pośpię sobie trochę dłużej, nie będzie żadnych aresztowań, żadnych tych bzdur, nawet jeśli to tylko jeden dzień, nawet jeśli to tylko jeden dzień...



Sama w mieszkaniu, Anna czuje, że zaczyna ogarniać ją wyczerpanie, zęby szcękają pomimo upalnej nocy. Odkładając płytkę,

włącza telewizor i szuka kanału z pogodą.

Nazajutrz ma być gorąco, ponad czterdzieści stopni, a następnego dnia jeszcze goręcej i tak bez końca. Dołączone do pogody informacje mówią, że jest już dwanaście ofiar upałów, najwięcej od 2008 roku. A nie skończył się jeszcze grudzień, skwar prawdziwego lata, które z każdym rokiem przychodzi coraz później, dopiero nadejdzie. W górach i na południu szaleją pożary, szpitale pełne są pacjentów z udarem słonecznym, zwykle osób starszych i biednych. W Nowym Jorku i Paryżu pada śnieg, kolorowe światła tańczą w czystym, mroźnym powietrzu, dzieci jeżdżą na łyżwach po lodowiskach na tle bladego północnego nieba. W Moskwie mają miejsce marsze uliczne, gwałtowne starcia z policją, podczas gdy burzuje w futrzanych czapkach robią zakupy w butikach. W Finlandii spadł radioaktywny deszcz. W New Delhi i Islamabadzie chorzy leżą w namiotach ONZ, rzędy łóżek wypełniają skurczone ciała umierających. Na bagnach Szkocji ekolodzy świętują narodziny pisklęcia czapli białej, pierwszego potomka jedynej pozostałej przy życiu pary zdolnej do rozrodu. Anna patrzy, jak poszczególne obrazy przesuwają się po ekranie, wzory koloru i dźwięku wydają się tak idealne, lecz zbyt szybko znikają. Jakim cudem świat to znosi?, zastanawia się. Jakim cudem jeszcze trwamy? Ten nieustanny szum bytów, ich zbyt krótkie błyski światła na tle ciemności, ich ciągła obietnica spełnienia, połączenia, przelatująca przez nasze palce niczym woda; niczym sny o

złudnym znaczeniu.

Świt Bożego Narodzenia jest upalny, ulice ciche, niebo zasnuwane morderczym dymem. W nocy Seth otworzył okna, które wychodzą na ulicę, z nadzieją, że powietrze na zewnątrz jest chłodniejsze, ale na strychu prawie nie ma czym oddychać. Gdzieś w oddali słychać odrzutowiec, niemal zagłuszony przez metaliczne brzęczenie cykad. Wstając po cichu, Anna podchodzi do okna, zamyka je.

Spał już, kiedy przyszła o trzeciej nad ranem, dzwoniła do drzwi tak długo, aż w końcu usłyszała w domofonie jego podejrzliwy głos. Tu Anna, powiedziała, i jeśli nie był zbyt zadowolony, że go obudziła, to nie dał tego po sobie poznać; zaprowadził jej wyczerpane ciało do łóżka i rozebrał ją. Chciałam być z tobą, wyznała, chciałam tylko przy tobie zasnąć.

Schodzi na dół, siada skulona na kanapie przed ekranem z kolanami podciągniętymi pod brodę i przelatuje po kanałach. Słyszając telefon, podrywa się niepewna, czy powinna go odebrać, ale zanim się zdecyduje, dzwonięcie ustaje; słyszy dochodzący z góry głos Setha.

To była Rachel, mówi jej, schodząc na dół, a ona bierze go za rękę, gdy się nad nią nachyla, i kładzie ją na swoim nagim brzuchu. Powiedziała, że wpadnie po drodze.

Rachel przyjeżdża tuż po jedenastej, Seth otwiera jej drzwi. Anna patrzy, jak się obejmują, dostrzegając w tym geście pewną ostrożność,

ostrożność, której nie widziała, gdy po raz pierwszy zobaczyła ich razem. Puszczając go, Rachel robi krok do tyłu i odwraca się do Anny, jedną dłoń przykładając do pleców w okolicach nerek. Mimo luźnej sukienki widać, jak znacznie przytyła w ciągu ostatnich dwóch tygodni, jej brzuch sterczy coraz twardszy, tak więc porusza się z większą trudnością, przytłoczona jego ciężarem.

Na pewno jesteś na to gotowa?, pyta, pochylając się, by pocałować Annę w policzek.

Anna potakuje.

Powiedziałam Bloomowi, że będę tam, zanim pojawią się media.

Media?, pyta Seth.

Rachel prycha z drwiną. Nie wiedziałaś? Bezdumność świetnie sprzedaje się w wiadomościach, kiedy bogaci dają pieniądze.

Na dworze jest cicho i gorąco. Gdy wychodzą, Anna pozwala Rachel prowadzić Seta, trzymając się w stosownej odległości przez całą drogę do centrum. Im bardziej się tam zbliżają, tym tłoczniej robi się na ulicach, samochody warczą w upale, który drży i tańczy na ich maskach. Powietrze jest niemal błękitne od wylotów, słodkie, duszne i przesycone spalinami. Nawet asfalt stał się miękki i lepki, ugina się pod ich stopami. Mimo iż próbuje to ukryć, Rachel strasznie się poci, zmagając się z ciężarem, który w sobie nosi. W jakimś zaułku walczy ze sobą para psów zachęcanych przez dwóch mężczyzn w przepoconych podkoszulkach;

wargi zwierząt są uniesione, ukazują zgrzytające zęby, mięśnie pod ich sierścią tańczą. W drzwiach tłoczą się chłopcy i kobiety, wokół ich oczu i ust widnieją rany podobne do rakowatych narośli, strupy po wrzodach pokrywają ich ręce. Na rogu Albion Street kobieta z kwilącym dzieckiem pod ręką przemieszcza się w tłumie przechodniów, zaczepiając ich po kolei i prosząc o drobne. Gdy ją mijają, żebraczka zwraca się do Anny, luźno trzyma niemowlę w ramionach, niczym dziecko niedbale dzierżące kociaka; jego głowa kołysze się wraz z wychudzonym ciałem. Proszę, mówi, jej źrenice są wąskie jak czubek igły, jej ręka wyciągnięta, jej ciało zbyt blisko Anny, zbieram na bilet na pociąg do mojej matki. Ale Anna cofa się, tuli się do Seta, zawstydzona i zła, ale niezdolna odwrócić od kobiety wzroku.

W połowie Elizabeth Street Rachel wyjmuje swoją komórkę, zwalnia kroku, próbując skoncentrować się na rozmowie. Mija ich policyjny transporter przyozdobiony lametą, a gdy jego hałas cichnie, Anna widzi, że wyraz twarzy Rachel się zmienił.

Jesteśmy tuż za rogiem, mówi do słuchawki, będę tam za chwilę.

Kończąc rozmowę dotknięciem palca, Rachel wydyma usta.

Dzwonił Blaze. Mówi, że Anton został napadnięty.

Nic mu się nie stało?, pyta Anna.

Nie jestem pewna. Blaze powiedział, że są w Centrum; Lewin go przyprowadził. Cholera! Nie mogę spóźnić się do Blooma.

A Blaze nie może tego załatwić?

Uważa, że Anton chętniej porozmawia ze mną.

Anna już ma coś powiedzieć, ale wtrąca się Seth. Bloom może zaczekać.

Rachel patrzy na brata zaskoczona. Tak, mówi, chyba może.

Paul czeka przy drzwiach do Centrum. Chwyając go za ramię, Rachel cicho pyta, co się stało.

Nie jestem pewien, mówi Paul, ale to chyba robota jego ojca.

O Chryste, rzuca Rachel, otwierając drzwi. Gdy odwraca się do Anny, szepce: Tylko tego mu potrzeba. Dorastał w jakiejś dziwnej wspólnocie chrześcijańskiej na północy. Modlitwa osiem razy dziennie, nadchodzą sądne dni, i takie tam bzdury. Pierdolone świry, wszyscy. W dodatku nie wystarcza im samo nawracanie, lubią od czasu do czasu wpaść do Babilonu, żeby stłuc paru grzeszników, pokazać im jedyną prawdziwą drogę.

Sądysz, że to właśnie zrobił jego ojciec?

Być może. Im mniej Anton ma z nim do czynienia, tym lepiej.

W środku Blaze siedzi na biurku, Anton kuli się pod ścianą, przy nim kuca Lewin. Obaj dorośli mężczyźni podnoszą wzrok, gdy wchodzi. Rachel przyspiesza i klęka przy Antonie, lecz on nie patrzy na nią.

Anton?, rzuca, ale on nie odpowiada. Blaze i Lewin powiedzieli, że ojciec cię pobił.

Anton wzrusza ramionami nagłym, konwulsyjnym ruchem. A co ciębie to obchodzi?, pyta, podnosząc głowę i spoglądając gdzieś w dal, pokazując sińce, które znaczą jego twarz.

Obchodzi, skoro przychodzę tutaj w Boże Narodzenie, mówi Rachel. Potrzebujesz lekarza?

Anton ponownie wzrusza ramionami, tym razem mniej gwałtownie.

Rachel wyciąga rękę, chwyta go za brodę, obraca głowę i bada siniaki.

Czy on to zrobił?

No, odpowiada Anton.

Jezu, Anton, ilu pomocników ze sobą przyprowadził?, pyta, pociągając za kołnierz koszuli, by ujawnić kolejne ślady pobicia ciągnące się na szyi, ślady butów na jego rękach.

Czterech.

Skurwysyny, syczy Rachel. Możemy ich oskarżyć.

Anton kręci głową.

Jesteś pewien?

No.

Na kilka sekund zastygają w takiej pozycji, nie poruszają się, nie odzywają. W końcu Rachel przełamuje ciszę.

Więc przyjdiesz na ten świąteczny obiad?

Anton wzrusza ramionami. No, może, mówi. Spoglądając w dół,

uśmiecha się niepewnie. Jak tam dziecko?

Obejmując ramieniem jego szczupłą postać, Rachel ściska go.

Robi się ciężkie.

Podczas gdy ona i Blaze pomagają Antonowi doprowadzić się do jako takiego porządku w gabinecie Vinha, Anna zostaje sama z Lewinem i Paulem. Paul kręci głową.

To przerażające, czyż nie?, mówi, oczekując, że tamci podziela jego wściekłość. Lewin odwraca się do niego z prawie nie krytą pogardą.

Odpierdol się.

Paul, oniemiały, nic nie mówi, jego usta otwierają się tylko i zamykają jak u ryby.

Słyszałeś, mówi Lewin.

Paul odwraca się do Anny, jak gdyby szukał wsparcia, ale ona, pamiętając ton jego głosu podczas kolacji kilka tygodni wcześniej, nic nie mówi. Anton skamle w pokoju Vinha, słysząc Blaze'a, który mówi mu, żeby siedział spokojnie, że musi szczypać. Rzucając Lewinowi pełne jadu spojrzenie, Paul wycofuje się w stronę gabinetu.

Świętoszkowaty kutas, woła Lewin do oddalających się pleców Paula, chichocze, widząc, jak ten sztywnieje. Niby kupa mięśni, a miękki jak siu-siak niemowlęcia. Odwracając się do Anny, uśmiecha się szeroko, ukazując swoje poczerńiałe zęby. Nie lubisz mnie, co?

Anna wymijająco wzrusza ramionami. Nie znam cię.

Lewin śmieje się. Ale na pewno słyszałaś, co o mnie sądzą twoi znajomi, Rachel i Blaze.

Tak, odpowiada zwyczajnie.

Lewin chrząka. Są dobrzy dla Antona, mówi, kiwając głową w stronę gabinetu Vinha. Nie jest takim twardzielem, za jakiego chciałby uchodzić. Nie takim, jakim powinien być.

Wydawał się całkiem twardy tamtego popołudnia u ciebie.

Lewin cmoka, zastanawia się nad odpowiedzią. Nie trzeba było tam przychodzić, mówi. Ludzie tacy jak ty nie pasują do nas. Poza tym, on by cię nie skrzywdził.

Skąd wiesz?

Lewin kręci głową. Nie wiem, przyznaje.

Patrząc, jak spogląda w stronę gabinetu Vinha, Anna przypomina sobie historię o chłopcu z dzikiego obozowiska, którą opowiedziała jej Rachel. Łatwo w nią uwierzyć; mimo że wygląda na schorowanego, to daje się w nim wyczuć coś groźnego, coś, nad czym ledwo panuje, jak gdyby mógł rzucić się na kogoś w każdej chwili, nie w napadzie furii, ale z chłodnym wyrachowaniem.

Powinien iść na policję, stwierdza Anna. Złożyć skargę na ojca.

Gliny i tak miałyby to gdzieś.

Musieliby coś zrobić.

Naprawdę wierzysz, że policję obchodzi, co dzieje się z takimi jak

my? Dla nich nie jesteśmy nawet ludźmi, tylko utrapieniem, jak szczury albo karaluchy, tylko że trudniej się nas pozbyć. To po to są te nowe przepisy prawne, żeby mogli nas zebrać i umieścić w obozach na zachodzie, gdzie wszyscy ci mili ludzie nie będą musieli na nas patrzeć.

To szaleństwo, mówi Anna.

Wpatruje się w nią, jego oczy błyszczą i przez chwilę Anna dostrzega w nich magnetyzm, o którym mówiła Jadwiga.

Tak myślisz?

o

Przed misją reporterzy tłoczą się wokół niezwyklej pary, ciężarnej Rachel i zmalretowanego Antona, ale gdy przeciskają się, by zrobić choć jedno zdjęcie, Rachel praktycznie zasłania swego młodego podopiecznego, przeprowadzając go przez tłum. W hali stoją długie stoły na kozłach, przykryte białymi obrusami, rzadko rozstawieni kelnerzy tkwią nieruchomo, ich schludne czarno-białe uniformy wyraźnie kontrastują z obszarpanymi, brudnymi postaciami przy stołach. Oczy wszystkich zwrócone są na ekran w rogu, na którym widać twarz przemawiającej komandor Svenson dowodzącej *Prometeuszem*. Za nią unoszą się i podskakują pozostali członkowie załogi. Gdy wchodzi, kobieta uśmiecha się, życząc wszystkim wesołych świąt, a kilka osób klaszcze w dłonie i gwizdże.

Co się dzieje?, Anna pyta kelnera.

Życzenia od astronautów. Najwyraźniej Murakami miewa się już lepiej.

Lewin nachyla się do niej. To w końcu i tak tylko jakiś pierdolony film, stwierdza.

Anna kuli się przed nim; nie podoba się jej, że tak się do niej przyczepił. Ale nim zdąży odpowiedzieć, wraca Rachel z radosnym, niezbyt zadbanym mężczyzną o pulchnych policzkach naznaczonych dziobami po ospie.

To Oliver Bloom, przedstawia go Annie. Lewin za jej plecami ulatnia się gdzieś.

Trzymaliśmy dla pani miejsce, mówi Bloom do Anny, potrząsając jej ręką, i zaraz zorganizujemy jeszcze dwa.

Przy stole Anna dotyka ramienia Setha, wtula się w jego szyję. Siedząc, czuje, jaka jest zmęczona, powraca jej słabość. Słyszy, jak obok ktoś odsuwa krzesło, podnosi wzrok, widzi stojącego Lewina i kelnera przygotowującego kolejne nakrycie, sprawnie i bez słowa, jakby obsługiwał bankiet rodziny królewskiej. Siedząca po drugiej stronie stołu Rachel obserwuje wszystko. Kiedy kelner skończył, Lewin siada.

On to uwielbia, mówi.

Kto?, pyta ostro Anna.

Bloom. To dla niego jak rozgrzeszenie, na dodatek wszystko będzie w telewizji.

Dość kosztowny sposób uzyskiwania rozgrzeszenia, stwierdza Anna. A zresztą, skąd wiesz?

Lewin wyciąga rękę i ze stojącego pośrodku stołu koszyka bierze bułkę, a jej biel odbija się wyraźnie od umorusanych farbą dłoni. Był moim kumplem, mamrocze, wpychając sobie pieczywo do ust.

Z kuchni zaczęli wychodzić kelnerzy ze srebrnymi wazami schłodzonej zupy pomarańczowej.

Chociaż teraz już mnie pewnie nie pamięta. Nikt mnie nie pamięta.

o

Pomieszczenie wydaje się odpływać, jakby traciła kontakt z otoczeniem. Wszyscy dokoła rozmawiają i jedzą, atmosferę wypełnia brzęk sztućców, gwar rozmów i śmiech. Spoglądając na pełen talerz przed sobą, na równo pokrojonego indyka, szynkę i nadzienie, Anna dłubie niemrawo widelcem, jakby była w tym daniu jakaś tajemnica, której jeszcze nie pojęła. Obok niej Seth wyjaśnia coś Rachel i Blaze'owi. Jego usta poruszają się, jakby mówił pod wodą albo stał za szybą. Widzi, że siedzący naprzeciwko Anton także słucha. Jakby wyczuł skupioną na sobie uwagę, spogląda powoli to na nią, to na Rachel i z powrotem. Anna wstaje chwiejnie, Seth odwraca się do niej.

Wszystko w porządku?, pyta Blaze, widząc jej bladą twarz.

Przeceniłam trochę swoje siły, odpowiada. Potrzebuję tylko świeżego powietrza.

Obok niej Seth podnosi się, ale Rachel dotyka jego ramienia.

Ja z nią pójdę, mówi. Przez chwilę Anna myśli, że Seth się sprzeciwi, ale on się rozluźnia.

Na zewnątrz upał śpiewa dźwiękiem cykad, powietrze stoi całkowicie nieruchome. Anna i Rachel idą powoli ścieżką, powierzchnię asfaltu pod ich stopami powybrzuszały korzenie wznoszących się nad nimi platanów.

Jak ty to robisz?, pyta Anna, gdy kroczą tak blisko siebie.

Co jak robię?

No, to wszystko, z tymi ludźmi.

Oni mają tylko nas. Nas i kilka innych osób. Po prostu uczysz się, jak nie pozwolić, żeby to na ciebie jakoś tam wpływało. Nie ma innego sposobu.

Przestajesz czuć?

Rachel kręci głową. Nie, uczysz się tylko czuć inaczej. Uczysz się kontrolować swoje reakcje.

Lewin mówił, że gdzieś na zachodzie budują obozy odosobnienia.

Rachel znów kręci głową. Lewin ma paranoję.

W bramie po drugiej stronie ulicy jakiś mężczyzna z brodą leży na boku, śpi w upale, jego dobytek spoczywa w foliowej torbie pod głową. Anna wpatruje się w niego.

Czy ludzie nie widzą, co się dzieje?, pyta. Czy nie rozumieją?

Wiesz, jak to jest ze złem: nie widzieć, nie słyszeć, nie mówić, ponuro odpowiada Rachel.

o

Później czując, że ma nogi jak z ołowiu, Anna opiera się o Seta. Jest wzdęta i objedzona, czuje się podle w upale brzęczącym od much, ale podnosząc wzrok, na wschodzie dostrzega chmurę, długie pasmo szarości na zasnutej dymem kopule nieba.

O, jest chmura, mówi do Seta. Może spadnie deszcz.

Ale tej nocy nie pada, chmury jedynie ciągną w głąb lądu, pozostawiając za sobą znowu czyste niebo. Anna budzi się przed świtem zziębnięta pomimo upału, ciało Seta tuż obok niej. W blasku księżyca jego oczy lśnią, światłocienie igrają na jego twarzy. Przysuwa się do niego jeszcze bliżej, ich twarze prawie się stykają.

Skąd to masz?, pyta głosem niewiele mocniejszym od szeptu, koniuszkami palców wodząc po bliźnie ciągnącej się przez jego nos aż do ust.

Przeleciałem przez szybę, kiedy miałem dziesięć lat.

Mówiąc, wciąż to słyszy. Prucie powietrza, coś twardego ustępujące miejsca rozdzierającemu bólowi. Odgłos jak bicie dzwonów, jak brzęczenie lodu. Ciepło krwi ciekącej na lodowate płytki, było jej tak wiele, że był ze strachu, wyżęty jak mokra szmata, czuł przesłaniającą mu

wszystko czerwoną falę bóleści.

To też od tego?, pyta Anna, dotykając białej linii biegnącej przez bark u nasady szyi.

Tak. Mam jeszcze blizny na dłoniach, przedramieniu - unosi lewą rękę, pokazując jej kolejną szramę, prowadzącą od nadgarstka w górę, Zakręcającą przy łokciu - i na głowie. Anna patrzy na niego zdziwiona, iż nie przyszło mu do głowy, że ona może już je znać, że wyczula je sama w ciemności.

A tu?, dotyka jego brzucha, gdzie mięśnie przecina półkolista bruzda.

Wyrostek.

Tak jak astronauty.

Nie rozumiem.

Ci z *Prometeusza*; wszystkim musieli wyciąć wyrostek, w razie gdyby mieli atak w czasie podróży. Gromeko chyba pozbył się go wcześniej.

Seth milczy. Myśli o tej kapsule, jej kruchej powłoce, delikatnym ciepłe zamkniętych w niej ciał, odwiecznym zimnie próżni. Odnajdując usta Anny, tuli ją do siebie, jego wargi szukają jej ciepła, napęniają się jej oddechem, wciskają w nią swój. Gorąca krew krąży pod jej nieskazitelną skórą, jego palce naciskają na jej plecy niczym skalpel deformujący ciało, zanim przetnie powłokę, szybko i pewnie.

PRZEZ KILKA TYGODNI po trzęsieniu ziemi prawie nie widywała się z Jaredem. Pracował od świtu do nocy, do mieszkania wracał tylko po to, żeby się przespać, Po kryzysie walutowym pojawiły się nowe problemy. Najpierw padły fundusze powiernicze, potem banki. W samym Hongkongu zwolniono setki tysięcy ludzi i wkrótce zaczęła się mnożyć liczba bezdomnych. Zamarł bezustanny ryk maszyn, zamilkły koparki i spychacze, gdy wstrzymano projekty rozbudowy, wieżowce zastygły na wpół zbudowane, foliowe płachty powiewały na rdzewiejących szkieletach.

Potem zaczęły się protesty. Na początku tylko studenckie, ale wkrótce dołączyli do nich bezrobotni, związki zawodowe, a w końcu organizacje demokratyczne.

Co wieczór Anna oglądała telewizję, patrzyła na demonstracje, przeglądała listy aresztowanych i rannych w poszukiwaniu imienia Daniela. Często do niego dzwoniła, ale rzadko był u siebie. Rozmawiali kiedyś, a on zapewnił ją, że wszystko jest w porządku, że rząd się ugnie. Powiedziała mu, że to nie jest jego walka, że jest Australijczykiem, a on roześmiał się, odparł, że nie może stać z boku, gdy jego przyjaciele nadstawiają karku.

A potem zaczęto się czyszczenie miasta, ciężarówki jeździły po ulicach, zbierając bezdomnych i nielegalnych imigrantów, których następnie zsyłano do obozów na wyspach. Wtedy protesty wzmożyły się

jeszcze bardziej, zdarzały się coraz częściej. Raz widziała go w telewizji z Briar u boku, maszerowali za jakimś transparentem, a tydzień później, gdy jedna z demonstracji zakończyła się rabowaniem i starciami, zobaczyła, jak jego szczupłe ciało uderza w trzech policjantów z uniesionymi pałkami, bijących człowieka. Pojawił się nie wiadomo skąd, wylądował na ich tarczach, obalając dwóch, trzeciego odepchnął jak opętany, szarpnięciem postawił na nogi ich ofiarę i odciągnął ją w snujący się gaz i lejącą się z armatek wodę.

Lecz poza telewizją Anna niewiele z tego widziała. Widziała tylko blokady na drogach i policję, sklepy zamknięte ze względu na groźby zamachów bombowych. Ona, Jared i inni wciąż wychodzili, pili, jedli, śmiali się, robili zakupy, podczas gdy miasto wokół nich żyło jak w oblężeniu.

JAK TY to robisz?, pyta go, siedząc na schodach prowadzących na poddasze. Skąd wiesz, co zagrać bez nut?

Z pamięci, odpowiada. Gram z pamięci.

Jest drugi dzień Bożego Narodzenia i Annę obudziły dźwięki fortepianu. Schodząc na dół, zobaczyła siedzącego przy nim Seta, ubranego jedynie w znoszone wojskowe szorty; jego palce powoli posuwały się po klawiaturze.

Co to jest? Nigdy wcześniej tego nie słyszałam.

Seth uśmiecha się, jego palce dalej wciskają klawisze, pojedynczo i

po kilka naraz, robią pauzy, które wydają się równie ważne jak same dźwięki, to, jak zamierają w chwilach ciszy, sprawia, że wspomnienie ich rezonansu trwa. Annę przechodzi dreszcz.

Ten utwór nie ma tytułu, mówi Seth. Został skomponowany przez sztuczną inteligencję.

Z miejsca, w którym stoi, widzi, jak mięśnie na jego plecach poruszają się pod skórą, oplatają mocno widoczną klatkę jego żeber.

Mam to gdzieś nagrane, ale wolę grać sam. Jest w tym jakaś nieznaną wartość, wrażenie istnienia innego bytu, do którego mogę się w ten sposób zbliżyć.

Brzmi to... smutno. Nie, poprawia się, słuchając dziwnego, nieziemskiego dźwięku fortepianu, milknących nut, nie smutno. Brzmi raczej jak... nie potrafię tego opisać. Jak szum wiatru w trawie albo falująca woda, ten spokój, uczucie bez wyrazu. Waha się. Może nie umiem znaleźć odpowiednich słów, bo takie nie istnieją.

To tak jak próba opisanie brzmienia geometrii, nieprawdaż? Czy możesz sobie wyobrazić, jak to jest: rozumieć, być świadomym, ale bez materii, bez formy? Bez miejsca. Jak duch w maszynie.

Anna kręci głową. Nie, mówi. Ale słuchając powolnej melodii, wyczuwa w niej samotność tej istoty złożonej z bitów i światła, tego sztucznego umysłu zmieniającego się niczym zorza w obwodach jakiegoś komputera, melodii jak tęskne zawrodożenie wieloryba w oceanicznej nocy,

jak długa pieśń stukającej klawiatury, na którą nikt nie odpowiada.

Niemy deszcz pestycydu padał z helikopterów, dryfujące płachty błyszczały zawieszane w powietrzu jak tchnienie wodospadu, a śmigła maszyny tworzyły w tej mgielce lepkie wiry. Anna patrzyła na to wszystko przez przydymioną szybę. Wiszące w powietrzu kadłuby śmigłowców wyglądały jak widziane z dołu łodzie.

Odruchowo uniosła rękę do szyby, chociaż wiedziała, że środek owadobójczy nie dosięgnie jej tam, gdzie stała. Jak dziecku patrzącemu na chmury, wydawało się jej, że jego warstwa jest tak gruba, iż można by po niej chodzić.

Nagle poderwało ją dyskretne odkaszlnięcie. Odwróciła się i ujrzała Clare, asystentkę Jareda.

Zaraz tu będzie, zapewniła ją tamta, a Anna nieprzytomnie skinęła głową.

Clara zawahała się. Czy jest coś, co... zaczęła, ale Anna jej przerwała.

Nie, nic mi nie potrzeba. Zaczekam tutaj, powiedziała. Mówiąc to, odwróciła się z powrotem do okna, do opadających chmur.

Zanim Jared wyszedł z konferencji, helikoptery przesunęły się dalej, leciały wzdłuż wybrzeża przez Wan Chai na wschód. Bez słowa stanął obok niej, ale ona nie odwróciła się, żeby się z nim przywitać,

tkwiła w miejscu z założonymi rękoma, wpatrując się w oddalające się sylwetki śmigłowców.

Jezu, powiedział cicho, puszczają chyba tysiące litrów tego świństwa.

Anna pokiwała głową. Myślisz, że *to* coś daje?

Kto wie. Tobie z pewnością nie pomogło.

Nie wiadomo, gdzie się zaraziłam.

Tak naprawdę to martwią ich obozy, odezwał się po chwili. Tam najwyraźniej wszystko wymknęło się spod kontroli. A wydaje się, że nie zabija komarów wystarczająco szybko.

Podobno to niebezpieczne.

Jared zerknął na nią. W świetle wpadającym przez okna zobaczyła ciemne podkowy pod jego oczami, spuściznę po tygodniach niedosypiania w czasie, gdy sytuacja ekonomiczna zmieniała się ze złej na jeszcze gorszą.

o

Co masz na myśli?

Słyszałeś, co ludzie mówią, odparła ostrzej, niż zamierzała. Ale Jared nie odpowiedział, popatrzył na nią tylko, a jej smutek stał się tym bardziej dotkliwy, gdy w ten sposób przypomniał jej, że coraz bardziej się od niej oddala.

Widziałam taki program w telewizji. Pokazywali noworodki

cierpiące na pewne zaburzenia. Zapomniałam nazwę tej choroby, ale jest podobna do tego, co miały dzieci podczas Wojny w Zatoce, jakieś zniekształcenie symetryczne.

Obustronne, poprawił Jared. Też nie pamiętam dokładnej nazwy, ale było to zniekształcenie obustronne.

Anna zamyśliła się na chwilę. Tak czy owak, jest to bardzo rzadkie schorzenie, ale w obozach i na Nowych Terytoriach cierpi na nie trzy procent noworodków. Nawet gdy mówiła, miała przed oczami obrazy z telewizji, bezustanny płacz dzieci, ich zniekształcone twarze i pletwiaste kończyny. Dłonie bez palców i ręce bez dłoni, zaróżowione kikuty nóg w miejscu, gdzie powinna być stopa. Organy, które wyrosły nie tam, gdzie trzeba. Twarze bez oczu, ust, nosa. A obok tego wszystkiego toporna, ponura twarz niemieckiego korespondenta, pod nim angielskie tłumaczenie jego komentarza.

Są pewni, że to od pestycydów?

Anna pokręciła głową. Wiesz przecież, że tam jest tyle różnego dziadostwa, że niczego już nie są pewni. Tak jak z tą białaczką, na którą ludzie zaczynają chorować. Ale te deformacje mają podłoże genetyczne, a pestycydy mają sterylizować komary, wiążąc ich DNA.

Jared kiwał głową, trawiając informacje. Jesteś w ciąży?, zapytał nagle, nie patrząc jej w oczy.

Co?, zdołała wyjąkać. Nie, to znaczy... nie.

Odwracając się, spojrział na nią, jakby nie był pewny, czy jej wierzyć, i przez chwilę Anna nie miała wątpliwości, że wie, iż skłamała. Jednak wtedy odwrócił się od okna.

Jesteśmy spóźnieni, powiedział.

W taksówce każde z nich usiadło jak najbliżej drzwi po swojej stronie, nie dotykali się, obserwowali mijające ich pojazdy, zatopieni we własnych myślach. Drgania elektrycznego silnika przenikały ich ciała. Gdy samochód wspinał się na wzgórze, Anna poczuła kielkujący w niej zimny gniew, chęć napadnięcia na Jareda, podrapania go, poznaczenia tej jego nieskazitelnej twarzy. Ale właśnie wtedy, gdy stali przed bramą miejsca swojego przeznaczenia, Jared pochylił się i pocałował ją, obracając ku sobie. Bliskość jego tak dobrze znanego ciała, zapach krochmalu, potu, mydła rozbroiły ją, lekko uderzyła głową o jego pierś, raz, dwa, trzy razy, nie chcąc mu wybaczyć, nie będąc do tego zdolną.

Pozostali czekali na balkonie. Gdy Anna i Jared się zjawili, Roger, jeden z gospodarzy, odwrócił się do nich, uniósł kieliszek w geście powitania. Po drugiej stronie wody, w Koulun, zaczęły rozbłyskać neonowe światła, jasne na tle głębokiej czerwieni tropikalnego zachodu słońca.

Oto nasz człowiek z pierwszej linii frontu. I jego dzika, kolonialna dziewczyna, zawołał.

Jared przywitał się z nim, a potem podszedł do Tima, drugiego z

gospodarzy, który stał przy balustradzie z Bernardem i Frey.

Pozostawiony sam z Anną, Roger w geście fałszywej troski podniósł dłoń do jej policzka.

Jak się teraz czujesz?, zapytał. Tęskniliśmy za tobą, wiesz?

Anna odwzajemniła jego spojrzenie. Nie podobało jej się, że dotyka jej twarzy, a do tego, prawdę mówiąc, nigdy nie przepadała za Rogerem. Zajmował się funduszami powierniczymi, a każdy interes z nim był jakąś niekończącą się makiaweliczną siecią gier i intryg.

Lepiej, odpowiedziała, dużo lepiej.

To dobrze, rzekł Roger, po czym czyniąc gest w stronę znikających helikopterów, spojrzał na pozostałe osoby.

Gin z tonikiem dla wszystkich? Zamiast chininy. W końcu nie można wymagać, żeby Ośrodek Kontroli Zakażeń zmagął się z tym sam.

Wśród grzecznościowego śmiechu Roger nachylił się do Jareda. Roland jak zwykle się spóźnia, zagadnął śpiewnie.

To żadna niespodzianka, skwitował Jared na tyle ostrym tonem, że Anna odwróciła się zaskoczona. Ale obaj uśmiechali się z oczami utkwionymi w porcie.

Stojący obok niej Tim zaproponował jej drinka. Ukradkowo spoglądając na Jareda, odmówiła. Wystarczy woda mineralna.

Z nagłym błyskiem zainteresowania Tim uniósł brwi. Och? Czy jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

Słyszając pytanie Tima, Roger i Frey odwrócili się zgodnie, ale Anna pokręciła głową. Nie, to jeszcze wciąż przez tę malarię, skłamała.

Na wzmiankę o chorobie Tim uśmiechnął się ze zrozumieniem, a Anna na chwilę przypomniała sobie, dlaczego go lubiła. Chociaż potrafił być okrutnie nudny to, w przeciwieństwie do złośliwości i knowań Rogera, był również życzliwy i bezpośredni.

Kto jeszcze przyjdzie?, spytała. Stół nakryty jest dla...

Ośmiu osób, zaczął Tim, ale nim skończył, zabrzmiał dzwonek. Roger wcisnął się między nich, kładąc rękę tam, gdzie kończyły się plecy Tima.

To pewnie Roland, stwierdził, popychając przyjaciela w stronę drzwi.

Tim wrócił z Rolandem i kobietą, której Anna nie знаła. Była wysoka, nawet wyższa od niej; miała blond włosy i twarde spojrzenie nienaturalnie błękitnych oczu. Jej szczupłe ciało i wysokie piersi poruszały się swobodnie pod długą suknią skrojoną z ciasno przylegającej do ciała tkaniny, tak samo arktycznie niebieskiej jak jej oczy. Poczula, że stojący obok niej Ja-red sztywnieje, zdała sobie sprawę, że obserwuje nowo przybyłą. Zastanawiała się, czy ją zna. Uśmiechając się figlarnie, Roland przywitał się z Jaredem, następnie uścisnął się z Bernardem, ucałował Frey, a na końcu zwrócił się do niej. Zawahał się na moment, po czym wyciągnął rękę. Potrząsnęła nią mocno, spostrzegając ze

zdziwieniem, że jego włosy zaczęły siwieć, czarne loki poprzetykało srebro.

Znowu jesteś w Bangkoku?, spytał Jared, a Roland potaknął.

Złapałem dziś lot wahadłowy, wyjaśnił z oczami wciąż utkwionymi ze zdziwieniem w Annę.

Wtedy pojawił się przed nimi Roger z blondyną u boku. To jest Tara, rzekł, przedstawiając wszystkich po kolei; Bernarda, Frey, Annę. Jareda chyba znasz.

Stojący obok niej Jared wyciągnął rękę. Tak, odparł neutralnym tonem, zwykle zarezerwowanym dla osób, których nie lubił. Anna podniosła wzrok i zobaczyła, jak posyła Rogerowi spojrzenie pełne ostrej zjadliwości. Ale tamten uśmiechnął się, najwyraźniej wielce z czegoś zadowolony. Stojący obok niej Roland z zaciekawieniem przyglądał się wszystkiemu i przypomniała sobie, że pomimo całej swej pozornej figlarności, był wnikliwym obserwatorem ludzi. Przelotnie spojrzął na nią, ich oczy spotkały się i zobaczyła w nich coś w rodzaju cierpienia. Zaniepokojona, zaczęła przysłuchiwać się konwersacji.

Przez następne dwadzieścia minut cała ósemka stała na balkonie i podziwiała zachód słońca. Gdy w końcu zdecydowali się wejść do środka, Anna podeszła do Jareda i wsunęła mu rękę pod ramię. Podskoczył jak kot, czując jej dotyk, a gdy się odwrócił, zobaczyła, że oczy ma ciemne od furii. Zaszokowana, puściła jego ramię, a on oddalił się i zajął miejsce na

końcu stołu. Gdy patrzyła na niego, niepewna, jak zareagować, Roland usiadł obok niej, uprzedzając Tima, który miał zamiar zrobić to samo.

Cześć, wyszeptał Roland, nachylając się do jej ucha. Ocaliłem cię.

Nie przypominam sobie, bym prosiła o ratunek, odszepnęła, ale uśmiechając się przy tym szeroko.

Uniósł brwi. Jednak zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Bernard zadał jakieś pytanie o Sydney, skąd właśnie wróciła Tara. Odwracając się do nich, Anna odpowiedziała najlepiej, jak potrafiła, kończąc przypomnieniem, że nie była tam od czterech lat, z nadzieją, że to zastrzeżenie usprawiedliwi jej brak precyzji. Tara obrzuciła ją spojrzeniem, które wcale jej się nie spodobało.

Co cię tam zawiodło?, zapytała Anna, wierząc, że demonstracja przyjaznego nastawienia przedrze się przez powłokę wrogości Tary.

Praca, odparła kobieta, chłodno wzruszając ramionami.

Tara pracuje w Credit Suisse, rzucił Roger z drugiego końca stołu.

Siedzący obok Anny Roland odchylił się do tyłu i obserwował. Od niechcienia dumiała, dlaczego nie usiadł bliżej Tary, która, jak zauważyła z jadowitą satysfakcją, nader grymaśnie przesuwała swoje jedzenie po talerzu w sposób kojarzony zwykle z zaburzeniami łaknienia. Po drugiej stronie stołu Tim rozpoczął tyradę na temat rosnących cen produktów importowanych. Gdy rozwodził się nieubłaganie, a końca tego wywodu nawet nie było widać, Roland ukradkowo trącił ją łokciem, teatralnie

unosząc przy tym brwi. Anna łapczywie zaczęła pić wodę, żeby zduścić śmiech.

Anegdota Tima zapoczątkowała dyskusję na temat pogarszającej się sytuacji politycznej Strefy Autonomicznej, a w szczególności trwającego kryzysu walutowego i coraz bardziej aktywnych ruchów demokratycznych. Roger i Bernard wydawali się zgadzać, że sytuacja jest niepokojąca, ale że zbyt ostre reakcje pogorszyłyby ją jedynie, z czym zgodziła się Frey. Tara milczała, podobnie jak Jared. Przez cały czas Tim usiłował wyrazić swoje zdanie, ale natychmiast przerywał mu Roger, pilnujący rozwoju dyskusji z bezwzględną sprawnością. W końcu Bernard powtórzył powszechną wówczas opinię, że rząd i tak będzie zmuszony spełnić niektóre z żądań demokratów, chcąc uspokoić jakoś sytuację. Wiedząc ze swoich gorzkich doświadczeń, że jej poglądy na te tematy zostaną wyśmiane, Anna słuchała w milczeniu. Ale gdy minęło pół godziny, a oni wciąż spierali się o politykę, przeprosiła i cicho wyszła na balkon. Wiał chłodny wiaterek, a ona stała tam przez jakieś piętnaście minut, patrząc na rozciągające się przed nią światła miasta i portu. W górze migwały małe sterówce i świetlne reklamy, nazwy Sony, Coca Cola i Motorola wirowały tam, gdzie normalnie świeciłaby Droga Mleczna, podczas gdy na północy złowieszcze sylwetki sześciu tajemniczych helikopterów zawróciły nad Wan Chai, zmierzając szybko w głąb lądu. W końcu dostała gęziej skórki, weszła do środka innymi drzwiami i przez

pokój przeszła do kuchni, gdzie Minh, Wietnamczyk, którego Roger i Tim zatrudnili jako kucharza, lokaja i służącego w jednej osobie, wrzucał do kosza resztki z talerzy i wkładał naczynia do zmywarki. Gdy weszła, wyprostował się, zapytał, czy czegoś potrzebuje.

Nie, odparła przepaszająco. Chciałam tylko uciec na chwilę od...
zawahała się... stamtąd.

Minh uśmiechnął się konspiracyjnie, choć przez cały czas stał na baczność. Po sekundzie odezwał się: Pozwoli pani, że...

Oczywiście, odparła Anna. Ja sobie tylko postoję.

Minh skinął głową i powrócił do swojego zajęcia. Działał szybko i sprawnie. Roger i Tim nazywali go swoim sługą, co sprawiało jej ból za każdym razem, gdy to słyszała. Przyglądając się jego pracy, Anna zastanawiała się, czy on sam uważał to za poniżające, czy też za część swojego losu. Minh był tylko jednym z dziesiątek tysięcy Wietnamczyków i innych mieszkańców kontynentu w Hongkongu, z których wielu przebywało tu nielegalnie, co oznaczało, że nie mieli żadnych praw, byli związani ze swoimi pracodawcami na dobre i na złe ze strachu przed ulicą albo deportacją, przy czym większość z nich utrzymywała ze swej pensji całe rodziny, które widywali rzadko albo wcale. Mnożyły się opowieści o ich złym traktowaniu i nadużyciach i Anna zastanawiała się, czy Roger i Tim nie wykorzystywali go także do innych rzeczy. Jakby czując, że na niego patrzy, Minh uniósł wzrok.

Na pewno niczego pani nie potrzebuje?

Na pewno, wszystko w porządku. Gdy to mówiła, pojawił się za nią Roland.

A, tu jesteś, rzekł.

Tak, tu jestem.

Martwiłem się o ciebie.

Anna wzruszyła ramionami. Za dużo gadaliście o polityce.

Dyskusja stawała się coraz bardziej zażarta, więc chyba już damy sobie z tym spokój, powiedział. Chociaż nigdy o tym otwarcie nie rozmawiali, to Anna zawsze podejrzewała, że poglądy polityczne Rolanda są jej bliższe niż poglądy Jareda, który, co stopniowo zaczynała rozumieć, był w zasadzie neotorysem pogardzającym przemysłem państwowym i próbami ujarznienia sektora finansowego, a podziwiającym poczynania rządu wspierające przedsiębiorstwa prywatne i jego wiarę w rozwój biznesu. Podziwiał również same rozmiary chińskiej gospodarki, jej praktycznie niewyczerpany potencjał wzrostu. Taki rodzaj sympatii wyrażany przez ludzi interesu pokroju Jareda wobec komunistycznych władz wydawał się Annie osobliwy.

Czy Tara to ktoś nowy?, zapytała. Czy też po prostu nie spotkałam jej wcześniej?

Spojrzał na nią z nieznanym jej, nietypowym dla niego niepokojem. Ale nie odpowiedział. Coś w rodzaju lęku zaczęło pełzać wzdłuż jej

kręgosłupa.

O co chodzi?, zapytała.

Anno, przemówił w końcu, ja jej w ogóle nie znam. Tylko przypadkiem zjawiliśmy się tu razem.

Anna wpatrywała się w niego, czując, że ziemia wymyka jej się spod stóp.

Jak to?, spytała zmieszana, zdając sobie sprawę, że brzmi to śmiesznie. Nie rozumiem, sądziłam, że... W jej głowie wszystko zaczęło się łączyć w zawrotnym tempie, gwałtownie się w niej buntując.

Anno, zaczął Roland, kładąc rękę na jej ramieniu, to może nie...

Może nie co?, rzuciła. Nie jestem dzieckiem, Rolandzie, ani tępakiem, więc nie traktuj mnie tak, jakbym nim była. Jej oczy lśniły.

Kiwając głową, Roland cofnął dłoń, nerwowo złożył ją na piersi. Wyminęła go, ruszając w stronę jadalni. Muszę iść, powiedziała, starając się, żeby jej głos brzmiał normalnie i nie drżał. I wyszła. Unosząc wzrok, Roland zobaczył, że Minh obserwuje go z drugiego końca kuchni z brudnym talerzem w dłoni. Współczujące spojrzenie młodszego mężczyzny było tak niewzruszone, że Roland odwrócił się zawstydzony.

Jared stał, gdy weszła do jadalni, palcem dźgał Rogera w niepodobnej do niego furii. Jego twarz, zwykle łagodnie piękna, była czerwona i zniekształcona złością. Roger na wpół leżał na swoim krześle z przyklepionym do twarzy denerwującym uśmiechem, nie chciał podjąć

wyzwania Jareda. Tim także stał, w kółko powtarzając Jaredowi, że to nie w porządku, że nie powinien się tak zachowywać, i że dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby się uspokoił. Bernard i Frey byli pogrążeni w prywatnej rozmowie, Frey rękoma obejmowała głowę, Bernard krzychał jej do ucha. Czerwone wino rozlało się przed nią niczym krew, przewrócony kieliszek wciąż leżał na stole. Tylko Tara była spokojna, siedziała niewzruszona i obserwowała Jareda i Tima z absolutnie beznamiętnym wyrazem twarzy. Gdy Anna weszła do pokoju, Jared wrzeszczał akurat, że to właśnie takie zakichane liberalne wahanie wpędziło ich w kłopoty.

Ostatecznie, mówił nieco ciszej głosem trzęsącym się ze złości, gdyby demokratom nie pozwolono na robienie tego całego szumu, kryzys walutowy nigdy nie osiągnąłby takiej skali. A każdy, kto sądził, że rząd wyrazi zgodę na ich żądania, śnił, ponieważ jeśli wtedy rząd by ustąpił, rozpiisał wolne wybory, dał im prawną i sądową autonomię, której ci idioci żądali, wtedy całe to pierdolone przedstawienie, cała cholerna Republika Ludowa zaczęłaby się walić, o czym Pekin doskonale wiedział. Poczytajcie trochę o historii, pamiętacie Tiananmen, pierdoły, które ludzie wygadywali wtedy o chińskim rządzie, że wyrazi zgodę na żądania demokratów i reformatorów? I co się wydarzyło? Czołgi, kurwa, oto co się wydarzyło, i to samo stałoby się tutaj, może wcześniej, może później, ale na pewno byłoby to samo; pojawiłaby się armia i rozpieprzyła ten bajzel,

a wtedy zginęłoby wielu ludzi. Padłyby rynki i wszyscy tkwiliby w gównie po uszy.

A tak naprawdę wkurzało go to, że gdyby działali zdecydowanie od samego początku, gdyby stłumili demokratów, zanim ci stali się zbyt pewni siebie, to nigdy by do tego nie doszło.

Stojąc w drzwiach, Anna słuchała go w milczeniu, a gdy już skończył, wyrzucając w górę ręce i odchodząc od stołu, cicho powiedziała: Wychodzę.

Jared odwrócił się do niej z dzikim wzrokiem.

Wychodzę, powtórzyła. Teraz.

Jared wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym zerknął na Tarę, której niebieskie oczy były nienaturalnie szeroko otwarte. Anna pomyślała o przestraszonych zwierzętach, koniach z wydętymi chrapami, a potem o kochankach przyłapanych *in flagranti*. Spoglądając ponownie na Jareda, zobaczyła, że dyszy ciężko, i pomyślała, że powinien uważać na serce, przypomniała sobie jednak, dlaczego wychodzi, i powtórzyła tylko: Teraz.

To jakby go pohamowało, bo odwrócił się do Rogera ze spokojem, który klócił się z poprzednim wybuchem złości. Dobry smak Anny nakazuje jej opuścić to miejsce, rzucił, więc dziękujemy za wspaniały posiłek. Zdanie to ociekało lodowatym sarkazmem.

Roger uśmiechnął się. Jesteś pewien, że chce wyjść z tobą?

Jareda zamurowało. Potem, szybko niczym wąż, chwycił stojący przed nim kieliszek z winem i chlusnął Rogerowi w twarz. Płyn eksplodował purpurowosiną plamą na jego białej koszuli. Roger zamykał i otwierał usta, w pokoju nagle zapanowała cisza.

Pierdol się, powiedział Jared wolno i wyraźnie. Następnie podszedł do Anny, złapał ją za rękę i zaczął ciągnąć w stronę drzwi. Przestraszona jego furią, nie opierała się, gdy wywłókł ją na ulicę, ze złością machnął na przejeżdżającą taksówkę i nie czekając, aż się zatrzyma, gwałtownie wtargnął na jezdnię. Wokół nich rozległy się klaksony i krzyki, Jared wepchnął ją, czy raczej wrzucił do taksówki i zatrzaskał za sobą drzwi. Z kamienną twarzą warknął na kierowcę, podając adres, i walnął pięścią w siedzenie. Pierdolony Roger, wyrzucił z siebie. Kiedy Anna nic nie odpowiedziała, obrócił się i spojrzał na nią.

Co jest?, zapytał. Na co się tak gapisz?

Na nic, odparła zgodnie z prawdą. Nie powinieneś być oblewać go winem.

Właśnie że powiniennem, powiedział po chwili słabym głosem, chociaż jasne było, że jego gorąca furia ustępuje zimnej złości.

Przez kilka minut żadne z nich się nie odzywało. W końcu Anna przełamała ciszę, mówiąc jak gdyby nigdy nic: Jak długo się z nią widujesz? Jej spokój zaskoczył ją samą. Pytanie zabrzmiało tak zwyczajnie, banalnie.

Nie jest tak, jak myślisz, odrzekł Jared.

W lusterku wstecznym zobaczyła oczy kierowcy, który miał niezły ubaw z przedstawienia dwojga białasów. Nagle stwierdziła, że ma dość Hongkongu, Chińczyków, Jareda, wszystkiego. Łzy wezbrały w jej oczach, spłynęły po policzkach. Jared patrzył w swoją stronę. Anna pociągnęła nosem, załkała i odwrócił się w końcu, a widok jej łez wywołał u niego nieznośną troskliwość. Wyciągnął ku niej rękę, ale odtrąciła ją. Przestań, rzuciła cicho niepewna, czy bardziej przeraża ją to, czego się dowiedziała, czy też nagle, niekontrolowane uczucie, które ta wiedza w niej obudziła.

Co chcesz zrobić?

Pokręciła głową. Nie wiem. Nie kochasz mnie, prawda? Już nie.

Jared nie odpowiedział, siedział tylko z zaciśniętymi ustami.

A czy kiedykolwiek mnie kochałeś?

Wzruszył ramionami. Kiedy cię poznałem, byłaś wspaniała: piękna, inteligentna jak nikt, kogo do tej pory znałem.

Anna patrzyła na mijane budynki, neonowe światła. Dla ciebie rzuciłam wszystko, sam wiesz. Moją pracę, przyjaciół, rodzinę.

Wiem. Ale nigdy cię o to nie prosiłem.

Nie, ale mi na to pozwoliłeś.

Może. Czasami człowiek pragnie czegoś za bardzo.

Anna pokręciła głową. Chciałeś powiedzieć kogoś, pragnie *kogoś* za bardzo.

Nieważne, stwierdził. Teraz jestem zbyt zmęczony. Możemy porozmawiać o tym później?

Nagle Anna chwyciła za klamkę przy drzwiach, pociągnęła za nią. Prawie nie zdawała sobie sprawy, że kierowca zauważył to i gwałtownie wcisnął hamulec, tak że taksówka prześlizgnęła się po gładkiej nawierzchni, a Anna wypadła z niej wprost pod inne samochody. I szła przez zatłoczone ulice, nie oglądając się za siebie, desperacko pragnąc uciec.

Deszcz nadchodzi w sylwestrowy wieczór, spada na miasto falami, rozlewa się po dachach i okapach, wypełnia rynsztoki. W mieszkaniu Setha Anna otwiera okna i drzwi, pragnąc, by wilgoć wypełniła powietrze, by jej chłód osiadł na jej skórze. Na dworze rechoczą obudzone z drzemki żaby, cykają świerszcze. Samochody na drogach ślizgają się, hałaśliwi biesiadnicy tańczą na ulicach, pozwalają, żeby deszcz przylepił ich ubrania do skóry, włosy do głowy i szyi.



A Rachel w swoim mieszkaniu śni o dziecku, które nosi w sobie, ciało z jej ciała, umysł z jej umysłu. Jedna zwinięta w kłębek istota zawierająca w sobie inną. Krew pulsuje w pępowninie zgodnie z rytmem jej serca. Każdej nocy śni o dziecku i może dzięki jakiemuś osmotycznemu przepływowi ono śni wraz z nią, czekając na wyślizgnięcie się z łona, na

skurcze pochwy, której pofalowane ujście przyssie się do maleńkiej główki.



Dwie dzielnice dalej Anton wpatruje się w deszcz, dotyka palcami bolącego miejsca na twarzy, tam, gdzie wylądował but jego ojca. Pod nosem nuci sobie jakąś melodię, jego głos powoli, pięknie przemyka ponad tekstem, gdy patrzy, jak deszcz zalewa zaułek poniżej, jak bije i przesuwa nadęte od śmieci foliowe worki, jak falami omywa kontenery, a spadające krople uderzają w ich metalowe pokrywy jak w bęben. Browary pogrążone są we śnie, a on w swoim gniazdku może udawać, że jest sam. Musi śpiewać, bo gdy śpiewa, wydaje mu się, że potrafi odnaleźć znaczenie, że w tym całym hałasie i pustce jest jakiś sens, jakby piosenki pozwalały mu dojrzeć coś lepszego. Kaznodzieja w kościele jego ojca mówił, że doświadcza w takich chwilach obecności Boga, i może rzeczywiście tak jest. Anton wie jedynie, że gdy śpiewa, wyczuwa jego istnienie, wie, że tu jest.



Swoją prawą ręką Anna unosi jego prawą dłoń, splata swoje palce z jego, widzi, że on próbuje się wyrwać. Nawet teraz.

Czytałam kiedyś książkę o bliźniętach, mówi. Było w niej napisane, że większość jednojajowych bliźniąt jest symetryczna, jak lustrzane odbicia: jedno jest praworęczne, drugie leworęczne, wszystko jest odbite,

odciski palców, loki włosów, los.

Ja nie mam bliźniaka. Tylko Rachel. Urodziłem się sam.

Anna kręci głową. Nie, posłuchaj. Większość bliźniąt jest niedonoszona, większość umiera w ciągu pierwszych kilku miesięcy ciąży. Czasami ich ciało zostaje wchłonięte przez łono matki, czasami staje się częścią tego, które się rodzi, jądrem jego kości i tkanką ukrytą gdzieś w ciele. Podobno stąd właśnie biorą się leworęczni, są bliźniakami, którzy przetrwali do narodzin.

Próbujesz powiedzieć, że mogłem mieć brata bliźniaka?

Chodzi mi o coś więcej, mogłeś mieć drugiego siebie, odbicie, wyjaśnia, ale milknie, gdy zdaje sobie sprawę z tego, co mówi. Jego dłoń zamyka się wokół jej, dodaje śmiałości. Po chwili Anna mówi dalej.

Niektórzy ludzie twierdzą, że czują tę stratę przez całe swoje życie, czują ją jak ducha, pewną nieobecność we własnym istnieniu.

A ty?

To było trudne, oboje byliśmy tak bardzo podobni.

Tak?

Na zewnątrz mogliśmy wydawać się różni, ale w środku... Anna kręci głową...byliśmy jak jedna osoba.

To musiało być przerażające.

Nic nie mówiąc, Anna kładzie się wzdłuż jego boku, kuląc się łgnie do niego. Jego ręka wciąż tkwi w jej dłoni, druga w jej włosach, na szyi.

Słyszy przytłumione bicie jego serca.

O tak, to było przerażające, mówi, ale po chwili poprawia się. *To Jest* przerażające.

GŁOS DANIELA przez domofon brzmiał ostrożnie.

To ja, rzekła, przyciskając twarz do kratki.

Anna?, zapytał z niedowierzaniem, a jednocześnie zabrzęczały otwierane drzwi.

Na górze Chiu siedział przy stole przed konsolą. Popatrzyła wpierw na jednego, potem na drugiego i rozkleiła się, łzy strumieniem spłynęły po jej twarzy. Prowadząc ją na kanapę, Daniel skinął na Chiu, żeby przyniósł wody. Anna wycierała twarz i pociągała nosem, pijąc.

Co się stało?, spytał Daniel, po jego minie poznała, że już wie.

Chodzi o Jareda.

Z pokoju obok wyszła Briar z nieobecną twarzą osoby rozmawiającej przez telefon. Widząc Annę, wycofała się. Jak gdyby wejście Briar przypomniało mu o czymś, Chiu chwycił konsolę.

Dokończę w drugim pokoju, oznajmił, idąc w ślady Briar.

Anna popatrzyła za nim. Siedzisz w tym dość głęboko, prawda?

Daniel potaknął powoli. No. Są pewne rzeczy, które cudzoziemcy tacy jak ja mogą zrobić dla studentów, rzeczy, których oni nie mogliby zrobić sami.

Ale chyba będzie dobrze, prawda, zapytała, chiński rząd ustąpi?

Oczywiście, odparł Daniel. A co innego może zrobić? Wszyscy chcą reform, nie tylko malkontenci. Rząd nie może stawać temu na drodze. Nagle zawahał się na moment. Ale to teraz nieważnie, ważna jesteś ty. Pokłóciłaś się z nim? Czy...

Gorzej, odrzekła.

Możesz tu zostać, jeśli chcesz.

Anna uśmiechnęła się smutno. Nie sądzę, żeby Briar się to spodobało.

Daniel pogłaskał jej włosy. Jakoś by sobie z tym poradziła. Mówiąc to, przyglądał się jej twarzy. Błada jesteś.

Anna pociągnęła nosem. Trochę mi niedobrze. Ostatnio często mi się to zdarza... Pozwoliła, by to zdanie zawisło między nimi.

Malaria?

Nie odwracając się, czekała, chciała, żeby sam zrozumiał, żeby telepatia, w którą kiedyś wierzyła, zadziałała znowu.

O, nie, wymruczał po chwili.

Poczuła, jak jego dłoń zatrzymała się na jej głowie.

Tak, odparła ledwo słyszalnie.

Ale jak to możliwe? Nie stosowałam niczego?

Oczywiście, że stosowałam. Pewnie malaria miała jakiś wpływ na środki.

I co teraz zrobisz?

Czuając, że łzy znowu napływają jej do oczu, nie odpowiedziała, jedynie wzruszyła ramionami.

Czy on o tym wie?

Anna pokręciła głową. Nie. A w telewizji widziałam jeszcze ten program o deformacjach spowodowanych pestycydami. Co, jeśli...? Urwała, nie mogąc dokończyć.

Na wszystko są teraz testy.

Jesteś pewien?

Przyciągnął ją do siebie. Oczywiście, że tak, powiedział, i chociaż wiedziała, że skłamał, poczuła się bezpieczniej.

Najgłupsze w tym wszystkim jest to, że przez parę ostatnich miesięcy prawie tego nie robiliśmy, powiedziała, śmiejąc się gorzko przez łzy.

Daniel również się zaśmiał, poczuła jednak, że sztywnieje. Odsuwając się od niego, zobaczyła stojącą w drzwiach Briar, jej twarz napiętą ze zdenerwowania. Daniel popatrzył na nią, potem na Annę, i znów na nią. Bez słowa rozłożył ręce, a Briar, kręcąc głową, ponownie znikła.

Jeśli musisz iść... zaczęła Anna, ale Daniel zaprzeczył ruchem głowy.

Nie, to może poczekać.

Zepsułam wszystko, stwierdziła, patrząc za Briar. Nieprawdaż?

Daniel wyciągnął rękę, ale jakby po zastanowieniu, cofnął ją.

Nie.

Spojrzała na niego, pociągając nosem. Nie?

Nie wszystko.

o

Wróciła tuż przed świtem. W środku było ciemno, w ich łóżku nikt nie spał. Wchodząc do systemów zarządzających mieszkaniem, dowiedziała się, że wyszedł o 00:23 i nie wrócił.

W ciszy przechodziła z pokoju do pokoju, zbierając te kilka rzeczy, których potrzebowała. Tylko to, co mogła udźwignąć, parę ubrań, aparat. A potem, zakładając torbę na ramię, wyszła, ostatni raz zamknęła za sobą drzwi.

Idąc ulicami, dziwiła się panującej na nich pustce. Od czasu do czasu mijali ją biegnący ludzie, ale nie miała pojęcia, czy śpieszyli dokądś, czy też skądś uciekali.

Gdzieś w oddali zaterkotała seria z karabinu, potem następna, tym razem bliżej. Odwracając się, usłyszała odległy warkot, a potem je zobaczyła, czołgi sunące dwójkami w jej stronę i powiewającą nad nimi flagę Chińskiej Republiki Ludowej.

Deszcz już ustał, gdy obudził ją pisk codexu. Na zewnątrz jest spokojnie, woda na ulicach tłumi odgłosy pojazdów. Gdzieś w listowiu

głośno cmoka i piszczy nietoperz. Wyślizgując się z łóżka, w ciemności przechodzi przez pokój, wyciąga komputer z pokrowca. W łóżku za jej plecami Seth porusza się, jego pierś rozszerza się i kurczy, faluje. Pływowy sen. Otwierając codex, widzi powód, dla którego ją obudził. Program skanujący odnalazł Daniela.

apokryf

(8)

Przez wiele lat uczyłem się grać na fortepianie ze słuchu. Jako że byłem niewidomy, zadanie to nie było dla mnie łatwe, a bez luksusu posiadania zapisu nutowego musiałem zapamiętać każdy dźwięk. Z konieczności wymyśliłem więc pewne sztuczki mnemotechniczne, które pozwalają mi zapamiętywać dłuższe utwory, sztuczki, które koncentrują moją uwagę na wewnętrznej strukturze muzyki, wewnętrznych relacjach, harmonicznym i czasowym, które nadają jej kształt i znaczenie. Postępując w ten sposób, zacząłem rozumieć każdy utwór bardziej jako całość niż jako sekwencję pojedynczych nut.

Wzrok narzuca pewne poznawcze ograniczenia. Ich to zasługą jest, że organizmy żywe postrzega się jako odrębne istoty: zwierzęta, rośliny, owady. Ja natomiast odnajduję życie nie tylko w rzeźbionych krzywiznach i ciepłych ciałach, które poznaję moimi dłońmi, ale również w większych systemach. Kolonia termitów, na przykład, funkcjonuje jako jeden organizm, a umiejętności i zdolności całej kolonii znacznie przewyższają możliwości pojedynczego osobnika. Umiejętność budowania regulujących temperaturę kopca systemów wentylacji bądź też projektowania tuneli, które potem łatwo obronić w razie napaści, nie jest wpisana w geny ^każdego termita. Umiejętność ta objawia się w

następstwie kolektywnego działała milionów osobników poprzez proste i oszałamiająco piękne procesy matematyczne. Kolonia, podobnie jak każdy termit z osobna, jest organizmem samoregulującym. A skoro jesteśmy skłonni uznać termity za organizmy żyjące, to dlaczego nie uznać za takowy całej kolonii?

Bardzo prawdopodobne jest, że osoba przyzwyczajona do widzialnego świata odpowie, iż kolonia nie jest pojedynczym organizmem, stanowi ją wiele jednostek, nawet jeśli razem pracują. Jednakże podkreślanie indywidualności nie jest w tym miejscu stosowne: nawet pojedyncze stworzenia są na wiele sposobów organizmami kolektywnymi, złożonymi nie tylko z wielu różnych rodzajów komórek współdziałających ze sobą, żeby podtrzymać funkcje życiowe większej całości, ale nawet współistniejącymi w harmonii z innymi, obcymi organizmami, jak ma to miejsce, na przykład, z człowiekiem i bakteriami odpowiedzialnymi za nasze procesy trawienne.

Ja jednak nie podlegam tym ograniczającym nawykom myślowym. Łatwo mi jest wyobrazić sobie biosferę w takich samych kategoriach jak aranżację nut w utworze muzycznym: jako system istniejący dzięki interakcji pomiędzy jego częściami składowymi, z których wylaniają się wzory, podobnie jak układ nut tworzy melodię. A jeśli te wzory - obojętnie, czy będą to ruchy kontynentów, migracje

ptaków i zwierząt związane z porami roku, czy też ciągle zmieniająca się pogoda - rządzą się tymi samymi zasadami, które regulują pracę innych, mniejszych organizmów, bardziej nam znajomych, to czyż tak śmiesznym jest uznanie tego rozwijającego się, zmieniającego, samoregulującego się bytu, który zwiemy Ziemią, za organizm sam w sobie?

Rozumiane w ten sposób życie jest wszędzie wokół nas, istnieje na każdym poziomie, od komórkowego do planetarnego. Jest częścią samej struktury wszechświata. W rzeczy samej bowiem wszechświat jest, w bardzo realnym sensie, żywy.

SETH LAMARQUE, *Język muszli*

MIASTO JEZYKÓW

1. A ziemia była jednego języka i jednakej mowy. 2. I gdy ludzie szli od wschodu słońca, znaleźli nizinę w ziemi Senaar a w niej zamieszkali. 3. I rzekli jeden do drugiego: Pójdźcie, naczyńmy cegiel i wypalmy je ogniem. I używali cegły miasto kamienia, a klejowatego iłu miasto wapna. 4. I rzekli: Pójdźcie, zbudujmy sobie miasto i wieżę, którejby szczyt sięgał do nieba; a uczyńmy sławne imię nasze, nim się rozproszymy po wszystkich ziemiach. 5. I zstąpił Pan, aby oglądać miasto i wieżę, którą zbudowali synowie Adamowi. 6.1 rzekł: Oto jest lud i jeden język u wszystkich; a poczęli to czynić, więc też nie zaprzestaną myśli swych, aż je wykonają i wypełnią. 7. Przeto pójdźcie, zstąpmy a pomieszajmy tam ich języki, żeby nikt nie rozumiał, co mówi bliźni jego. 8. I tak rozproszył ich Pan z onego miejsca po wszystkich ziemiach, że przestali budować miasto. 9.1 przeto nadano mu imię Babel, ponieważ pomieszany został język ludzi na wszystkiej ziemi; i zoną rozproszył ich Pan po wszystkich krainach.

KSIĘGA RODZAJU, 11 (tłum. ks. Jakub Wujek)

Na lotnisku jest przed siódmą, krąży niespokojnie po poczekalni, lśniaca anonimowość jej konstrukcji przypomina jakiś hipermarket albo biuro. Nie śpi od trzeciej, a w świetle poranka czuje się roztargniona,

lekką pijaną z braku snu. Gdy porusza się wśród grup przechodniów, postacie surrealistycznie przemykają obok niej na ruchomych schodach, stężałe, a jednak w ruchu. Posadzka pod jej stopami jest chłodna i lśnącym marmur, ale połyskiem lakieru, który na pewno jest sztuczny.

Kręci się, ponieważ nie może ustać w miejscu.

Zatrzymując się przy węźle danych, dowiaduje się, że do przylotu została jeszcze godzina. Poruszona i niespokojna, rozgląda się dokoła, zdając sobie sprawę, że daje się ponieść nerwom. Po jednej stronie biznesmeni czekający na lot wahadłowy do Tajpej, Seulu czy Szanghaju stoją w budkach dostępu do ciekłosci, ich twarze anonimowe, skryte za goglami. Kabiny z przyciemnionego szkła, osłaniające górną połowę ich ciał, nie maskują dziwnych ruchów obleczonych w rękawice dłoni, które zwisają w bezruchu i machają, gdy biznesmeni prowadzą negocjacje w niewidzialnych światach, zdobywając i sortując informacje. Ich głosy wznoszą się i opadają w delikatnym szepcie. Poprawiając torbę na ramieniu, idzie dalej, mija reklamy wolnych od cła produktów elektronicznych i perfum, ekran ścienny, na którym wyświetlany jest obraz frontu burzowego: szeroki wał chmur, który wznosi się niczym fala nad znajdującą się pod nim ziemią, w Ameryce, może w Chinach albo w Rosji. Wśród chmur tańczą błyskawice, a na pierwszym planie widać świecące słońce i drzewa, nieziemsko spokojne. Stając przed ekranem, drży, niezamierzony symbolizm sceny niepokoi ją.

W kawiarni przy ekranach zamawia kawę. Gdy tylko siada, czuje ogarniające ją wyczerpanie. Otwierając swój codex na ladzie przed sobą, jeszcze raz wchodzi w program poszukujący. Od czasu zapisu śladów z zeszłej nocy nie było żadnych innych, ale nie zaskakuje jej to. W końcu tutaj jest ledwie świt, a w Hongkongu jeszcze wcześniej. W świetle dnia niezwykłość pierwszych kilku śladów wydaje się tym bardziej uderzająca. Opłaty za dwa kursy taksówką, seria zakupów na straganach ze sprzętem elektronicznym w Yaumatei i sesja ciekłosieciowa w miejscu zwanym Miss Tong's Virtual Penthouse w Mong Kok. Żadnych opłat za hotele, za przeloty, żadnych nowych kont, które mogłyby doprowadzić do adresu, nic z tego, czego można by się spodziewać, gdyby Daniel ukrywał się przez ostatni rok.

Jest tak wiele pytań, na które potrzebuje odpowiedzi. Po pierwsze, dlaczego znowu się pojawił. Skoro zaaranżował swoje zniknięcie, to po co w ogóle się ujawniał? Jaki jest sens znikania, jeśli nie jest ono kompletne, nie jest rodzajem samobójstwa wymazującego życie tak samo jak kula albo umykająca sylwetka pędzącego pojazdu? Kiedy świadkowie znikają, bladym świtem przyjeżdżają ciężarówki, reflektory oświetlają szybką i dokładnie przygotowaną operację usuwania wszelkich śladów życia, zabieg wycinania bytu, raz na zawsze. Nawet gdyby Daniel zdołał wyslizgnąć się z matni, w którą się uwikłał, jakoś wyjaśnił swoje nagłe zmartwychwstanie, to dlaczego zrobił to właśnie teraz, dlaczego w

Hongkongu? Przecież w każdym innym miejscu na pewno byłby znacznie bezpieczniejszy?

Ale jest jeszcze coś, czego nie rozumie. Daniel na pewno wie, że go szukała, wie też, ile bólu sprawiło całej rodzinie jego zniknięcie, więc dlaczego się z nimi nie skontaktował? A może to przed nimi się ukrywa? I z jakiego powodu?

Siedząc w kawiarni, roztrząsa te pytania w swojej głowie. Wie, że ostatecznie one i tak są nieistotne. Liczy się tylko to, że on żyje. Nie obchodzi jej, gdzie był i dlaczego, byle tylko wrócił. Tylko tego pragnie.



Samolot ląduje późnym popołudniem. Anna otwiera swój codex, gdy tylko schodzi z pokładu, ale wciąż nie ma nowych śladów, nagle iskiarki nadziei ostatnich dwudziestu czterech godzin ponownie gasną, niczym blednące ślady luminescencji za pływakiem. Przez kilkanaście minut czeka, pragnąc, żeby program poszukujący odezwał się ponownie, ale nic takiego nie następuje.

Gdy dojeżdża do hotelu, jest już piąta. W recepcji wyjmuje kartę kredytową i paszport, patrzy, jak recepcjonista melduje ją bez słowa. Nie bardzo ją stać na ten hotel i w chwili, gdy składa swój podpis, ogarniają ją wątpliwości związane z takim wydatkiem. Ale kiedy już jest na górze i zamyka za sobą drzwi, wie, że jej decyzja była słuszna: otacza ją i ochrania kosztowna anonimowość ciszy pokoju. Przez okna, stanowiące

jedną ze ścian, Anna widzi port, neonowe światła i beton budynków czerwieniących się o zmroku.

Rzucając torby na łóżko, jeszcze raz otwiera swój codex, ale i tym razem nie ma nic nowego. Sfrustrowana, lekko uderza w niego pięścią. Przez jakiś czas rozważa opcje, zdecydowana dziś wieczorem pójść tropem pierwszego ze śladów. Oczywiście musi zacząć od straganów ze sprzętem. Chociaż nie ma adresu, to w danych policji figurują one jako część bazaru w Koulun. Anna nie zna samego targowiska, ale warunki licencji („zakaz handlu między 18:00 a 6:00”) sugerują, że jest to część nocnego targu, który ciągnie się w wąskich uliczkach Yaumatei.

Chowając codex z powrotem do torby, wychodzi na dwór. Jest prawie ciemno, wieje chłodny wiatr, po ciepłym dniu nie pozostał nawet ślad. W zeszłym roku o tej porze na Peak padał śnieg, marznący deszcz i grad, podczas gdy przed nastaniem zimy panował nieznośny upał, temperatury przez wiele tygodni sięgały prawie czterdziestu stopni i bez przerwy wiał gorący, suchy wiatr. Z ulicy ruchome schody niosą ją w dół, głęboko ku trzewiom wyspy, tłumy ciągną ją ze sobą, zmierzając w stronę metra. Tam świat porusza się z dziwną, niemal surrealistyczną prędkością, pociąg wtacza się bezgłośnie wśród poszumu wiatru, tłum rusza naprzód, żeby wcisnąć się w ograniczoną przestrzeń, popychając się nawzajem, ciało napiera na ciało, a na nie jeszcze inne ciało. Granice widoczności oddalają ciekłokrystaliczne ekrany reklamowe ciągnące się

na przeciwległych ścianach i suficie, a na nich sekwencje reklamowe powtarzane w dziesięciosekundowych cyklach, którym towarzyszy dudnienie muzyki. Anna nigdy nie lubiła przejeżdżać pod portem, chociaż nie trwa to długo; świadomość obecności milionów ton ziemi i wody nad głową sprawia, że cierpienie jej skóra, ale metrem dotrze do celu szybciej niż promem. Po dwóch przystankach podróż się zakończyła, a ona niesiona przez tłum, wychodzi na powierzchnię. Nie zapomniała sztuczek poruszania się po zatłoczonych ulicach, lekkiego, chybotliwego chodu, jaki pozwala omijać wiry płynących dokoła ludzi, którzy zawsze dokądś śpieszą, ciągle, bezustannie gdzieś pędzą, szybko więc dociera do sieci uliczek, których szuka. Jest po szóstej, rękodzielnicy zamykają swoje sklepy, przed którymi - dosłownie na ich progach - wyrastają teraz nocne stragany. Samochody wiją się wąskimi zaułkami, rozpychając się wśród drepczących tłumów, które niechętnie się rozstępują, kiedy zbliża się jakiś pojazd, po czym zamykają się za nim jak woda. Wśród ludzi lawirują i przystają skutery i motorowery, trąbiąc klaksonami i siłą prawie torując sobie drogę.

Wszędzie są ludzie. Mężczyźni i kobiety w garniturach i koszulach, wracający z pracy, przepychający się obok zabieganych sklepikarzy, kramarzy i turystów; podobne do żyraf sylwetki nastolatek w butach na wysokich obcasach, chichoczących i lgnących do siebie dwójkami, trójkami i czwórkami, ich błyszczące włosy upięte wysoko w anglezach w

stylu Marii Antoniny; młodzi Chińczycy na deskorolkach, przemykający pomiędzy palącymi na rogu żołnierzami i złowrogimi sylwetkami opartych o ściany AK-47. Na jednej z ulic północnokoreańskie punki w kurtkach z wymalowanymi holograficznymi wizerunkami Najwyższego Przywódcy demonstrują poruszający, paradoksalny sam w sobie konfucjański konformizm, krzyczą i gestykują nad szczekającym zza metalowego kagańca psem, szarpiącym się na smyczy trzymanej przez drobną kobietę. Gdy Anna ich mija, widzi, że wizerunek na ich kurtkach zaprojektowany jest tak, by mrugał i łypał okiem, kiedy noszący ją człowiek się poruszy, co w połączeniu z napuszoną fryzurą Przywódcy dawało dość zabawny efekt.

W końcu odnajduje tę część rynku, której szuka, skupisko zszarganych straganów sprzedających pirackie płyty, chińskie konsole po obniżonych cenach, zestawy stereo, monitory, codexy nowe i używane, niskiej jakości gogle i rękawice masowo produkowane na Filipinach i w Birmie, a nawet używane kombinezony. Jej serce zaczyna bić szybciej, gdy lawiruje od stoiska do stoiska, wypatrując jakichś szyldów, mając nadzieję, że będą gdzieś wyłożone jak licencja albo dyplom w gabinecie lekarza, ale choć dochodzi już do końca ulicy, to nie udaje jej się nic znaleźć. Zawracając, zaczyna znowu, zatrzymuje się przy każdym straganie i wymienia nazwy, które podał jej codex, ale straganiarze odganiają ją nie zainteresowani, warczą niezrozumiale od czasu do czasu,

albo, co gorsza, ignorują ją. Gdy zbliża się do miejsca, w którym zaczynała szukać, wzrasta w niej rozpacz, zrodzona ze zmęczenia, strachu i poczucia, że coś, czego bardzo pragnie, wymyka się jej, a wrażenie to pogłębia jeszcze hałas i tłoczące się wokół niej masy ludzi. W końcu chłopak z trzeciego straganu od końca wstaje, gdy do niego podchodzi, spogląda na listę nazw wyświetloną na ekranie codexu, jego szeroka twarz wydaje się życzliwa. Wskazując na pierwsze trzy macha w stronę, z której nadeszła, i rozkłada ręce w geście rezygnacji. Ale gdy dochodzi do czwartej, stuka palcem w ekran, a na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech; wskazuje ponad jej ramieniem na zatłoczony front sklepu po drugiej stronie ulicy.

Tam?, pyta Anna. Tamten sklep? Czy to... obraca się, żeby spojrzeć na ekran swojego codexu...Good Fortune Music? Ale chłopak tylko kiwa głową, wciąż szeroko uśmiechnięty. Chwytając swój komputer, Anna odwraca się i przepycha w stronę sklepu. Wąskie pomieszczenie zavalone jest pudełkami płyt, porno-plakatami i minidyskami lśniącymi w foliowych kopertach na stojakach za ladą. Z głośników płynie hałaśliwa muzyka. Przed nią jakiś mężczyzna w średnim wieku z zapalem naciąga dwóch Niemców, ale Anna, nie mogąc się powstrzymać, przepycha się obok nich, kładzie swój codex na ladzie.

Proszę tu spojrzeć, mówi, wskazując na jeden z tropów, ten człowiek, dodaje, przywołując zdjęcie Daniela, był tu wczoraj wieczorem.

Kupił coś. Pamięta go pan?

Sprzedawca spogląda na zdjęcie, potem na Annę.

Dlaczego pani pyta?

Jest moim bratem. Muszę go znaleźć.

Mężczyzna patrzy na nią z wyższością.

Wielu ludzi tu przychodzi.

Wiem, mówi Anna, ale proszę spojrzeć jeszcze raz, pamięta pan, cokolwiek?

Wy, biali, wszyscy wyglądacie dla mnie tak samo, odpowiada, śmiejąc się grubiańsko.

Świadoma teraz, że popełniła błąd, Anna spogląda na dwójkę Niemców, patrzących na nią z niepewnością zarezerwowaną dla ludzi, którzy w każdej chwili mogą zrobić coś głupiego.

Proszę, błaga Anna, ale mężczyzna przerywa jej.

Nie widzi pani, że jestem zajęty?

Ale nie może pan chociaż spojrzeć?

Tym razem mężczyzna nawet nie odpowiada, pogardliwie macha na nią ręką i odwraca się do Niemców.

Zawstydzona i zła, Anna wraca na ulicę. Na zewnątrz alarm samochodowy piszczy w dialekcie kantońskim na dwójkę dzieciaków skaczących po jego dachu, jego głos brzmi jak cięty metal. Spoglądając w dół, Anna widzi bezrękie dziecko skulone przy schodach pośród brudnych

gazet, jego pozbawiony warg otwór gębowy jest cały w bąblach; nieszczęśnik wymachuje trzymanym stopą plastikowym kubkiem. Annie zbiera się na wymioty, oddala się więc, prawie się przewracając, po omacku szuka ściany i osuwa się na ziemię.

Nie wie, jak długo tak siedzi, hałas ulicy rozbrzmiewa dokoła, niewyraźny jednak z powodu łez i poczucia straty. Światła wirują. W końcu Anna czuje dłoń na swoim ramieniu, słyszy głos wymawiający jej imię. Dysząc ciężko, podnosi wzrok i dociera do niej, że zna rozmywającą się przed jej oczami twarz. Nie wiedząc, co powiedzieć, wypowiada pierwszą rzecz, jaka przychodzi jej do głowy. Jego imię.

Roland?

o

Anna? Co ty tu robisz? Co się stało? Mrugając, patrzy na niego, wprawiona w osłupienie. Anna, powtarza. Przewróciłaś się?

Anna potakuje głupekowato, po czym zbiera się w sobie. Nie, ja... Brałaś coś?, pyta Roland, obracając jej twarz tak, żeby mógł się jej lepiej przyjrzeć.

Nie, zapewniam, żadnych narkotyków.

W takim razie...

To dość skomplikowane.

Możesz wstać?

Chyba tak, mówi, dając się dźwignąć na nogi, ale gdy już stoi, czuje,

że zaczyna drżeć, grunt pod nią wydaje się poruszać, wywołując mdłości.

Roland podtrzymuje ją, gdy się ślania.

Ups, mówi, wszystko w porządku?

Nic mi nie jest, odpowiada Anna, przykładając dłoń do czoła, próbując się skoncentrować. Chyba... chyba tylko jestem... głodna.

Kiedy ostatnio jadłaś?

Nie pamiętam. Wczoraj. Dziś cały dzień spędziłam w samolocie.

To może coś zjemy.

Rozglądając się po straganach, Anna kręci głową. Nie, muszę kogoś znaleźć.

Roland chwyta ją za ramię. Ledwo możesz ustać. Znajdziesz tę osobę później.

Już ma mu się sprzeciwić, ale powstrzymuje ją jego niewzruszone spojrzenie. No dobrze, mówi, masz rację.

Możesz iść?, pyta. Bar Pod Smokiem jest tuż za rogiem.

Jakoś dojdę.

Po drodze Anna przygląda mu się ukradkowo. Wygląda tak jak wtedy, gdy widziała go po raz ostatni, ponad rok temu - nie licząc koziej bródki i większej ilości siwych włosów na skroniach. Anna przypomina sobie Frey - którą, pomimo jawnej do niego niechęci, Anna zawsze podejrzewała o to, że była z nim kiedyś związana - i jej stwierdzenie, że wygląda jak jeden z rozbójników Ali Baby. Frey nie mówiła tego z

sympatii, ale takie porównanie utkwiło Annie w pamięci jako bardzo trafne. Przyłapując ją na tym, że mu się przygląda, Roland uśmiecha się.

Schudłaś.

Dzięki.

To nie miał być komplement.

Znowu byłam chora, mówi Anna, śmiejąc się z jego szczerości.

Przez jego twarz przemyka wyraz troski.

Teraz już nic mi nie jest, zapewnia, a on kiwa głową, choć wcale nie wygląda na przekonanego.

Bar jest zatłoczony, ale po długich negocjacjach i szczodrym napiwku Rolandowi udaje się zdobyć miejsce przy oknie. Na ulicy poniżej trupa akrobatów i połykaczy ognia skręca się i skacze, dziki blask ich pochodni klóci się z neonowym oświetleniem ulicy. Usadowieni, siedzą w milczeniu, oboje przyglądają się widowisku za szybą.

Dokąd odeszłaś, Anno?, pyta w końcu Roland z niezwykle poważną miną. Szukałem cię, martwiłem się. Zostawiałem wiadomości w twojej wideopoczcie, ale nigdy nie odpowiadałaś.

Anna spuszcza wzrok. Przepraszam, mówi, i w tej chwili rzeczywiście brzmi to szczerze. Nie chciałam nikogo martwić, chciałam się tylko stąd wyrwać. Ale prawda jest taka, że czuje wcale niemały wstyd.

Roland obserwuje ją bez słowa. Wyraz jego twarzy nie jest ani zły, ani nieprzyjemny, tylko trochę zdumiony.

Widziałeś kogoś z nich?, zaczyna Anna, trochę za szybko. Bernarda, Rogera albo... Waha się.

Jareda?

Spogląda nagle na niego, jej oczy są szeroko otwarte, przestraszone.

Roland wzrusza ramionami, spogląda na ulicznych tancerzy.

Widuję go od czasu do czasu. Wszystko u niego w porządku.

Czy on, to znaczy, czy ma...

Mitsuko, jest Japonką.

Anna wpatruje się w obrus.

Nie widziałem Rogera ani Tima, ale u nich nic się chyba nie zmieniło. Z Bernardem nie jest za dobrze.

Anna podnosi wzrok. O?

Odkąd umarła Frey, nie może uwolnić się od wspomnień. Ćpa prawie codziennie. Wylali go z banku - będzie już z pół roku - miał rozkręcić jakiś własny interes, ale raczej nic z tego nie wyszło. Chyba Jared pożyczca mu pieniądze. Roland waha się. Wiedziałaś o Frey, prawda?

Czytałam o tym. Nie znam szczegółów.

To było straszne. Dostała się w ogień walki gdzieś w Western w Czerwony Piątek. Trafiała ją jakaś zabłąkana kula, ale umierała przez wiele godzin. Bernard nie wiedział o tym prawie przez tydzień. Wiesz, jak wtedy było.

Anna nie odpowiada.

Teraz rozumiesz, dlaczego się martwiłem?

Anna kiwa głową. Biedny Bernard.

W tej chwili kelner przynosi im posiłek, Roland gawędzi z nim po chińsku, wydaje się go znać. Anna obserwuje wszystko, uśmiecha się nieśmiało. Zapomniała, że Roland znakomicie mówi po kantońsku i całkiem znośnie posługuje się dialektem mandaryńskim - na pewno znacznie lepiej niż reszta obcokrajowców, w tym ona sama. Gdy kelner już odszedł, nakłada jej do miseczki całą hałdę solonej ryby, po czym obsługuje siebie.

No, zjadaj, dziewczyno, wszystko, wyglądasz na wygłodzoną, mówi.

Tak jest, odpowiada Anna, czerwieniąc się i śmiejąc jednocześnie.

To lubię, sepleni Roland z pełnymi ustami. Trochę szacunku. Ale mówiąc to, krzywi się, unosi dłoń i delikatnie maca policzek.

Coś nie tak?, pyta Anna.

Ząb, wyjaśnia z grymasem na twarzy. Wracalem od dentysty, kiedy cię znalazłem.

Trochę późno jak na wizytę u stomatologa.

Roland uśmiecha się szeroko. To znajomy, robi to za darmo poza godzinami pracy.

Zakładał ci plombę?

Roland kręci głową. Zrobi to podczas następnej wizyty. Mam złamany ząb, który nie daje mi spokoju, ale dzisiaj nakładał tylko szklivo przy dziąsłach, gdzie zaczynają mi wychodzić korzenie. Jednak to nie moje zęby stanowią problem, tylko moja jama ustna, dziąsła i całe to gówno. Jest tam jak pod Sommą.

O rany.

A nic, co robię, nie wydaje się pomagać. Rzuciłem nawet cygara.

Dzięki Bogu chociaż za to.

Spoglądając na nią, Roland chichocze, nakładając jej więcej ryby i ryżu bez pytania, czy sobie tego życzy. Anna patrzy na niego z pobłażaniem, szczęśliwa.

Nie odpowiedziałaś jeszcze na moje pytanie, mówi Roland. Co się z tobą działo? Gdzie się podziewałaś od tamtego wieczoru u Rogera?

Anna spuszcza wzrok na jedzenie. Przez jakiś czas miałam mieszkanie w Western, chociaż niewiele tam przebywałam. Trochę pracowałam, trochę podróżowałam. Aż w końcu jakieś trzy miesiące temu wróciłam do Sydney.

Dlaczego nie wyjechałaś zaraz po wkroczeniu armii? Wielu ludzi tak zrobiło.

Ponieważ Anna nie odpowiada, Roland spogląda na nią. W porządku, mówi, nie musisz... Ale Anna unosi dłoń, żeby go uciszyć.

Daniel zniknął w dniu, w którym wjechały czołgi. Od tamtej pory

próbuję go odnaleźć.

O Jezu.

Anna kiwa głową.

Czy, to znaczy...

Wynajęłam program poszukujący.

I nic, aż do wczoraj. W ciągu ostatniej doby znalazł jakieś ślady tutaj, w Hongkongu. Dlatego byłam na rynku, niektóre tropy prowadziły właśnie tam.

Do jakiegoś sklepu?

Tak, i do kilku straganów. Ale nikt nie chciał ze mną rozmawiać.

Kutasy, rzuca Roland. Chociaż, jak sądzę, mają powody do nieufności. A co z pozostałymi śladami?

Oplaty za wirtualny burdelik, taksówki.

Burdelik? To raczej do niego niepodobne.

Anna kręci głową. Pewnie, że nie.

Masz jakiś adres albo telefon? Dowody opłat za media, wideopocztę?

Anna znów kręci głową. Nie. Nic takiego nie mam. To takie frustrujące.

Roland odchyła się w swoim krześle. Na pewno. Rozmawiałaś z tymi ludźmi z burdeliku?

Nie, właśnie miałam tam iść.

Rolad wzrokiem szuka kelnera.

Pójdę z tobą.

Lokal Madam Tong znajduje się na północ od Mong Kok Road, prawie w Sham Shui Po. Oboje idą zygzakiem przez rynek, najpierw na północ, potem na zachód, potem znowu na północ. Po drodze Roland zadaje jej pytania o Daniela, o Sydney, o pracę, a ona odpowiada szczegółowo, nawet jeśli nie do końca uczciwie. Kiedy pyta ją o Sydney, mówi mu, że starała się unikać dawnych znajomych, ale spędzała sporo czasu z osobami, które poznała przez pracę. Nagle postanawia nie wspominać Setha, ale wykrętność jej odpowiedzi sprawia, że sama głupio się czuje. Gdy jedli, zaczął padać lekki deszcz, pokrywając dachy wilgotną mgiełką, a teraz woda płynie po zaśmieconym asfalcie. Wzdłuż Tung Choi deszcz skrapla się na szklanych ścianach trzymetrowych akwariów, które górują nad ścieżką, żywe kolory rybek połyskują jak magiczne latarnie, bajeczne, niezwykle. Skalary, gupiki, karpie, gurami, nieprawdopodobnie niebieskie ryby z raf koralowych i szalone paski polujących na nie drapieżników. Dalej na północ znajduje się Ptasi Rynek, powietrze wypełniają trele i piski dochodzące z klatek zwisających z każdego możliwego miejsca. Jared zawsze nienawidził ptaków, a ona nigdy nie rozumiała tej niechęci. Często uważał ich pokryte łuskami szpony, złośliwe kłapanie dziobów, zbyt szybkie mruganie gadzich oczu za dowód bliskiego pokrewieństwa z węzami, których również nie znosił. Nigdy nie

ufaj stworzeniom mniej rozwiniętym od ssaka, mawiał niby żartobliwie, jak gdyby jakaś przedpotopowa zazdrość zmuszała niessaki, by czaiły się głodne i upiorne u stóp łożyskowców. Był gotowy nadłożyć drogi, byle tylko nie przechodzić przez tamto miejsce i nie słyszeć ptasich śpiewów, pożywki dla jego koszmarów. Za to jej ptaki nigdy nie przerażały, przerażały ją tylko ciemne klatki o tekowych prętach i rzeźbionych dnach. Gdy mijają kilka z nich, widzi, jak jeden z ich mieszkańców, o żółto-czarnym lśniącym upierzeniu, obserwuje ją, przechyla głowę na bok i się odwraca.

Idą wzdłuż Mong Kok do Canton Road, ponownie skręcają na północ, aż w końcu Roland, sprawdzając adres w jej codeksie, prowadzi ją w bok, w labirynt zaułków i betonowych budynków, brudnych, bez wyrazu i złowieszczych. Anna nigdy wcześniej nie była w tej części Koulun, a już na pewno nie po zmroku, i nawet z Rolandem u boku czuje pełzający po plecach niepokój. Światła budynków odbijają się w kałużach pod jej stopami, falują i rozmywają się jak fosfor, gdy przez nie przechodzi. Klimatyzatory i talerze anten satelitarnych zasłaniają niebo, a pod nimi transparenty z materiału ze świecącymi nazwami mają przyciągać uwagę przechodniów; plątanina kabli i przewodów dostarcza prądu całej masie budynków. Stojący w bramach mężczyźni i kobiety przyglądają się im.

Gdy mijają grupę ubraną w drogie garnitury i koszule lśniące bielą

na tle ciemnych marynarek, Roland ogląda się. To terytorium Triady, mówi. Nie ma tu zbyt wielu cudzoziemców.

Mężczyźni obserwują ich zza przyciemnionych okularów. Jeden dłubie w zębach wykałaczką, która lśni srebrzyście w światłach, jego zaostrzone jak u ryby zęby wyglądają na sztucznie białe.

Nie zaczepią nas, jeśli nie będziemy wchodzić im w drogę, zapewnia Roland, prowadząc ją pomiędzy dwoma motocyklami, które blokują drogę. Widzisz ich okulary? Noszą je, żeby ukryć modyfikacje, najprawdopodobniej sztuczne gałki oczne. A gdybyś zdjęła im koszule, to pod skórą też pewnie byłiby ulepszeni, uzbrojeni w jakieś bajeranckie pancerze z Manili.

Anna przyspiesza kroku. Jezu, skąd ty wiesz takie rzeczy?

Roland wzrusza ramionami. Słyszysz się to i owo.

Nim dotrą pod adres, który podał im jej codex, Anna czuje się kompletnie zagubiona. Roland prowadzi ją wyjątkowo zafajdanym zaułkiem, licząc wytkniętym palcem, aż dochodzi do otwartych drzwi. Nad nimi wisi szyld z chińskimi symbolami, a obok niego ekran z filmem porno, na którym mocno umalowana Chinka wprawnie obejmuje ustami napęczniałego penisa, trzymając go jedną dłonią u nasady; wykrzywia usta, próbując uśmiechać się do obiektywu. Od czasu do czasu kamera ukazuje twarz mężczyzny, potem odjeżdża i robi ponowne zbliżenie. Anna patrzy na film zde gustowana.

Jesteś pewna, że to jest to miejsce?, pyta Roland.

Jeśli to przybytek Madam Tong, to on tu był, odpowiada Anna.

No, dobrze, mówi Roland, przestępując próg. Skoro tak mówisz. Na końcu korytarza zieją w ciemności drzwi do pustego szybu windy. Wejście przegrodzone jest sznurem, na którym wisi znak z chińskimi symbolami. Anna wychyla się za sznur, ale jest zbyt ciemno, by dojrzeć dno szybu.

Tu jest pewnie napisane „Winda nieczynna”, mówi Anna, cofając się.

Coś w tym stylu, odpowiada Roland.

Wchodzą razem po schodach, których wydaje im się o wiele za dużo. Z góry cieknie woda, rdzawy szlak wilgoci plami podłogę pod ich stopami, odór pleśni wypełnia chłodną przestrzeń. Gdzieś nad nimi warczy wentylator. W końcu, pięć pięter wyżej, dochodzą do ciężkich drzwi. Kieruje się na nich oko kamery. Lekko skłaniając głowę w jej stronę, Roland naciska guzik przy drzwiach.

Po chwili jakiś kobiecy głos mówi coś, czego Anna nie rozumie, a Roland odpowiada za szybko, by mogła cokolwiek wylapać. Następuje krótka przerwa, po której znowu odzywa się kobieta. Po krótkiej wymianie zdań drzwi uchylają się do wewnątrz.

Sądzieli, że jesteśmy z policji, wyjaśnia półgłosem Roland.

W skąpo oświetlonym pomieszczeniu dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn rozwalonych na sofie z zainteresowaniem obserwuje nowo

przybyłych. Gdy kobieta zamyka za nimi drzwi, Anna przysuwa się do Rolanda; słysząc pstryknięcie zamka, podskakuje.

Chcecie kabinę?, pyta kobieta. Jest w średnim wieku, a przynajmniej na tyle wygląda; jej koścista sylwetka spowita jest w jakiś materiał, który faluje, gdy się porusza.

Nie, nic z tych rzeczy, mówi Roland.

Anna robi krok do przodu. Szukamy mojego brata.

A dlaczego tutaj?

Bo tu był, zarezerwował kabinę.

Kobieta przygląda im się, wciąż ostrożna. Skąd to wiecie?

Roland uśmiecha się łagodnie. Mamy trop w codeksie.

Wielu ludzi tu przychodzi.

Możemy go pani opisać.

Kobieta waha się, namyśla.

A może mogłaby pani sprawdzić, czy w waszym systemie nie pozostał po nim jakiś ślad, mówi Roland, wyjmując z portfela zniszczony banknot o nominale pięciu tysięcy nowych juanów.

Kobieta spogląda na goryli na kanapie, ale oni jedynie wzruszają ramionami. Chinka bierze pieniądze i podchodzi do stojącej w rogu konsoli. Otwierając swój codex, Anna pokazuje jej informacje, które znalazł program poszukujący, a kobieta wprowadza je do własnego systemu. Ponad jej ramieniem Anna widzi wąski korytarz. Po jednej

stronie widnieją otwarte drzwi, a za nimi kabina ciekłosieciowa i dwa kombinezony wiszące jak porzucone pancerze jakiegoś dwunożnego owada, siatka przewodów ciśnieniowych wyraźnie odbija się na tle czarnego włókna polimeru. Hełmofony, przypominające hełm Morfeusza ze starych komiksów, stoją w równym rzędzie na półkach. W rogu mruczy maszyna kwantowa w przezroczystej osłonie, jej wnętrzości mrugają niespokojnie konstelacją pryzmatycznych światel, grube zwoje światłowodów wychodzą z tyłu i biegną do kabiny. Anna tylko raz doświadczyła całkowitego zanurzenia, stwierdziła jednak, że nie tylko nie dało jej to przyjemności, ale wręcz zdenerwowało. Osiemnaście miesięcy później wciąż pamięta dotykową nanosieć kombinezonu, która oplata ją niczym żywa istota, pełza po niej, przenikając mokre rejony jej ciała nieprzyjemną, niechcianą intymnością, lepka i natarczywą. Była w programie erotycznym, ale stwierdziła, że wrażenia wirtualnych dłoni, ciał i języków są jakieś brudne, ich wtargnięcie w jej pochwę i usta, nacisk wokół sutków, śliskie ruchy pomiędzy pośladkami prawie jak inwazja, chociaż zawzięła się i próbowała czerpać z tego jakąś przyjemność. Później ktoś powiedział jej, że taka reakcja jest dość powszechna, że trzeba się po prostu do tego przyzwyczać. Ale Anna wiedziała, że najbardziej nie pasowało jej poczucie bycia zabawką w czyjejś fantazji, fakt, że unosiła się w zbiorniku ślepa, niema, głucha na świat zewnętrzny, to, że musiała absolutnie poddać się czyims nieokiełznanym marzeniom.

Lokalizując jakieś pliki, Madam Tong przełącza kilka ekranów, zbyt szybko dla Anny, by mogła zorientować się, co na nich było.

Nic nie mamy, oznajmia kobieta niemal natychmiast. Przyszedł, zamówił seans w kabinie, zapłacił, wyszedł.

Z jakiego programu skorzystał?, pyta Anna.

Kobieta unosi wzrok, znowu podejrzliwa, następnie stuka w klawiaturę.

Sorge, odpowiada.

Roland i Anna patrzą na siebie w osłupieniu.

To program japoński, mówi kobieta. Pełen seksu i przemocy. Uśmiecha się okrutnie, pokazując inkrustowane drogimi kamieniami zęby i przebity kolczykiem język. Chcecie skorzystać?

Anna kręci głową. Pokazuje jej tylko jeszcze raz zdjęcie Daniela w swoim codeksie.

To on, dodaje. Jest pani pewna, że go nie pamięta?

Kobieta spogląda na fotografię bez zainteresowania. Wielu ludzi tu przychodzi, powtarza.

Anna odwraca się do mężczyzn na kanapie.

Może wy go pamiętacie?, pyta, wymachując przed nimi przenośnym komputerem.

Mężczyźni spoglądają na zdjęcie, kręcą głowami i wracają do swojej rozmowy. Anna przygryza wargę, zmuszając się do zachowania spokoju.

Oczy stojącego obok niej Rolanda nieruchomieją pod ciężkimi powiekami.

Proszę, mówi do kobiety, wręczając jej następny pięciotysięczny banknot. Proszę zadzwonić, gdyby wrócił. Oto mój numer.

Na ulicy Anna oddała się szybko, nie czekając na niego.

To było na nic, cedzi przez zęby.

Nie całkiem, mówi Roland, chcąc ją ułagodzić. Wiemy, że tu był.

No i co? Nie obchodzi mnie, gdzie był. Muszę wiedzieć, gdzie jest.

Ale to już jakiś początek.

Patrzy na niego i tylko własna złość i frustracja pomagają jej się jakoś trzymać.

Nie musisz tego robić, mówi. Nie musisz mi pomagać.

Wiem... zaczyna Roland, ale Anna mu przerywa.

I nie powinieneś marnować na mnie pieniędzy. Proszę, mówi, grzebiąc w portfelu.

Roland przykrywa jej dłoń swoją.

Przestań. Robię to, bo sam chcę. Pozwól mi sobie pomóc.

Anna waha się, w końcu ustępując. Jesteś pewien?

Tak.

Przepraszam, mówi, jej gniew mija. Nie powinnam była wściekać się na ciebie. Jestem zmęczona, to był długi dzień i...

Nie musisz przepraszać. Wszystko w porządku, rozumiem.

Przerywa i zastanawia się chwilę. Słuchaj, zaczyna znowu, w moim mieszkaniu jest dość miejsca. Możemy tam pojechać, prześpisz się trochę, a rano wznowimy poszukiwania.

W hotelu recepcjonista pyta ją, czy zaistniał jakiś problem, skoro wymeldowuje się tak szybko. Anna mówi mu, żeby się nie martwił. Potem, gdy wychodzą z Rolandem, jakaś kobieta ustępuje im z drogi. Anna mijając ją i zdaje sobie sprawę, że tamta przygląda się jej. Odwraca się bez namysłu.

Tak?

Kobieta kręci głową. Przepraszam, mówi, zdawało mi się, że już się kiedyś spotkałyśmy.

o

Jest już po północy, gdy docierają do mieszkania Rolanda w Stanley. Zgiełk miasta, ryk samochodów zostaje zastąpiony odgłosami z telewizji, unoszącymi się pomiędzy balkonami.

Nigdy tu nie byłam, mówi, gdy Roland otwiera drzwi wejściowe.

To się za bardzo nie podniecaj, mieszkanie nie jest za duże.

Jest małe, ale wygodnie urządzone, dwa pokoje i wąski balkon z widokiem na port. Podniszczona kanapa stoi pod jedną ze ścian, a przy drugiej na półkach ułożonych jest więcej książek, niżby się spodziewała. Na balkonie znajduje się ławka i stojak z hantlami. Roland rzuca jej torbę na kanapę.

Rozłożę ci łóżko. Chcesz może herbaty?

Jeśli masz, odpowiada, otwierając drzwi na balkon i wychodząc na chłodne powietrze. Za sobą słyszy, jak systemy zarządzające mieszkaniem informują, że temperatura na zewnątrz jest za niska i że powinna zamknąć drzwi, by uniknąć wychłodzenia wnętrza. Pojawiając się obok niej z dwiema filiżankami zielonej herbaty, Roland wzrusza ramionami.

Głupia maszyna, mówi, ale właściciel nie chce jej usunąć. Mówi, że bez tego nie mogą ubezpieczyć mieszkania.

Anna bierze od niego filiżankę i odwraca się, żeby podziwiać widok. Para podryguje jak bicie maluskiego serca na wietrze od zatoki. Daleko w dole, za wieloma domami, poruszają się przycumowane łodzie, cichy stukot metalu o metal dochodzi do miejsca, gdzie stoją.

Jak tu spokojnie...

Roland stoi tak blisko, że Anna słyszy jego oddech, mimo chłodu, czuje jego ciepło.

I to mi się właśnie podoba, mówi do niej, widok na północ zawsze studzi emocje.

Niczego dziś nie znaleźliśmy.

Roland kręci głową. Nie, ale to już jakiś początek. Wiemy, że tam był. No i może sam się z tobą skontaktuje.

Może. Chyba powinnam sprawdzić program poszukujący, może są jakieś nowe ślady.

Z filiżanką w dłoniach, Anna wraca do środka, pozostawiając Rolanda na balkonie. Otwierając swój codex, widzi, że zarejestrował kilka nowych tropów. Ręce jej się trzęsą, wchodzi do nich po kolei, program przedstawia je na wykresach czasoprzestrzennych. Z pomocą programu kartograficznego podąża za nim od bankomatu w Mong Kok do galerii ciekłosciowej, potem do supermarketu i sex shopu. W międzyczasie pojawia się za nią Roland.

Coś nowego?, pyta.

Sporo śladów w Mong Kok, odpowiada. Wskazując na supermarket, mówi: Spójrz! Przechodziliśmy obok niego. Podnosząc codex, Anna wstaje.

Muszę tam wrócić.

Roland pochyla się nad ekranem. Te ślady pochodzą sprzed jedenastej, Anno. A teraz jest prawie pierwsza. Nawet o tej porze dojechanie tam zajmie ci pół godziny. Już dawno go tam nie będzie, przekonuje ją.

Ale może jeszcze... zaczyna Anna.

Na pewno go już nie będzie, a jeśli nawet jeszcze stamtąd nie odszedł, to jak go znajdziesz? Odpocznij trochę. Był w Mong Kok wczoraj, był dzisiaj. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że będzie tam i jutro, a skoro tak, to i my tam będziemy. Mam też paru znajomych, którzy mogliby zdobyć dla ciebie więcej informacji. Może nawet jego adres.

Jedźmy do nich.

Roland kręci głową. Mieszkają daleko stąd, jest przecież środek nocy. Pojedziemy do nich jutro.

Anna opiera się ciężko o stół, wznosząc ręce w geście rozpacz.

Byłam już tak blisko. Może nawet minęłam go na ulicy.

Wiem, mówi Roland, i rozumiem, jakie to frustrujące. Ale jeśli zaczekasz do jutra, to obiecuję, że moi znajomi będą mogli ci pomóc.

ANNA BUDZI się o świcie. Szare zimowe światło sączy się pomiędzy zasłonami. Zza drzwi sypialni słyszy oddech Rolanda, ciężki i powolny. W wąskiej kuchni robi sobie kawę, ekspres bulgoce głośno w cichym mieszkaniu. Wiatr poszturkuje oknem nad zlewem, tak że klekocze pomiędzy ramami. Unosząc rękę, by je domknąć, czuje chłód powietrza. Dziś rano nieobecność Daniela mniej daje się jej we znaki. Po raz pierwszy czuje, że mogłaby się odwrócić i ze wszystkim zerwać, ale wie, że tego nie zrobi. Dotarłszy tak daleko, wie, że do końca, że go znajdzie.

Słyszy, jak rytm oddechu Rolanda w pokoju obok załamuje się. Nagle zdaje sobie sprawę, iż nie chce, by wychodził, nie chce, żeby ten dzień się zaczął. Ale gdy o tym myśli, słyszy, jak łóżko pod nim skrzypi, słyszy jego kroki na parkiecie.



Gdy dojeżdżają do Tsuen Wan, niekończącego się przedmieścia

domów i ogrodów hydroponicznych, przesiadają się do kolejki naziemnej. Gdziekolwiek ponad szeregami budynków mieszkalnych wznoszą się zbudowane z prefabrykatów ślepe bryły instalacji infotechnicznych, ogrodzone kolczastym drutem. Gdzieś pomiędzy Sham Tseng i Tuen Mun do wagonu wsiada dwóch żołnierzy, żeby sprawdzić tożsamość podróżujących. Szukają nielegalnych imigrantów, uspokaja ją Roland. My ich nie interesujemy. I rzeczywiście, kiedy dochodzą do nich, bez zainteresowania biorą paszport Anny, przesyłają jej dane do centralnego komputera i po chwili oddają dokument bez słowa. Anna zauważa, że to jeszcze prawie dzieci, mają może po osiemnaście, dziewiętnaście lat, i zszokowana ich młodym wiekiem, uśmiecha się do tego, który sprawdzał jej paszport.

Dziękuję, mówi cicho. Jakby dopiero teraz ją zauważył, żołnierz skupia na niej swój wzrok, mówiąc coś, czego Anna nie rozumie. Wpatruje się w niego bezradnie, ale on nie czeka na odpowiedź, tylko rusza dalej.

Co powiedział?, pyta Rolanda, który sztywno siedzi obok.

Lepiej, żebyś nie wiedziała, odpowiada, patrząc na oddalające się postacie żołnierzy.

Na stacji Tuen Mun Roland prowadzi ją pod arkadami na postój taksówek. Gdy są już na zewnątrz, Anna widzi wykonany sprayem na ścianie angielski napis „Uwolnić Tybet”, litery dwumetrowej wysokości,

ale koślawe, jakby pisane w pośpiechu. Anna przygląda się dwóm mężczyznom w kombinezonach, którzy ścierają napis przy pomocy jakiegoś środka w aerozolu; litera „U” znikła już prawie całkowicie pod ich szmatami. W powietrzu unosi się ostry zapach octanu.

Taksówka wywozi ich z miasta na główną szosę, a potem jedzie bocznymi drogami, wzdłuż których domy powoli zaczynają ustępować magazynom i porzuconym budynkom przemysłowym. Na rogu, gdzie wznosi się olbrzymi słup, z którego chytrze spoglądają karykatury Rady Rządzącej, a wykrzywiona twarz Najwyższego Przywódcy obwisa niczym roztapiający się воск, znowu skręcają, aż w końcu, na polecenie Rolanda, zatrzymują się przy budynku, który wygląda na opuszczony magazyn. Po hałasie w Tuen Mun miejsce to wydaje się nienaturalnie spokojne.

Obecnie mieszka tu wielu artystów i pisarzy, mówi Roland. I ludzi, którzy nie chcą mieć za dużo do czynienia z rządem.

Czy ta osoba, z którą przyjechaliśmy się zobaczyć, jest pisarzem czy też innego rodzaju artystą?, pyta Anna sarkastycznie, ale Roland nie odpowiada, prowadzi ją przez furtkę, przez parking, w stronę magazynu.

W środku wiedzie ją po schodach do drzwi.

To tutaj, oznajmia, naciskając dzwonek. Kamera wisząca nad głowami obraca się w ich stronę, a po chwili otwierają się drzwi, w których stoi szczupła postać w wojskowym stroju, tatuaż wijącego się węża ciągnie się od boku głowy, wzdłuż ucha, aż na ramię.

Roland, mówi, robiąc krok do przodu, żeby się z nim przywitać.

Tung, to jest Anna, znajoma, o której ci opowiadałem. Tung robi jeszcze jeden krok i podaje jej rękę. Ma ciemne, inteligentne oczy.

Roland mówił, że chcesz kogoś znaleźć.

Mojego brata, odpowiada, a Tung odsuwa się, żeby ich wpuścić.

W takim razie wejdźcie i zobaczmy, co da się zrobić.

Wnętrze stanowi długi pokój, skąpo umeblowany, przedzielony tu i ówdzie płaskimi ekranami, na których wyświetlano obrazy w stylu Andy'ego Warhola. Wzdłuż jednej ze ścian rząd mniejszych ekranów podłączony jest do dwóch konsoli, wychodzące z nich poplątane przewody biegną w stronę źródła zasilania. Widnieją na nich różne obrazy: reporter NBC na obrzeżach tymczasowej stolicy w Bombaju; Scooby Doo; giełda; migawki z *Prometeusza*. Przed nimi siedzi kobieta, nogi trzyma na stole i prowadzi ożywioną rozmowę przy pomocy zestawu słuchawkowego. Gdy wchodzi do środka, podnosi wzrok, ale nie macha na powitanie. Podobnie jak Tung, ubrana jest w stare ubranie wojskowe, głowę ma ogoloną i pokrytą tatuażami. Gdy się do niej zbliżają, kończy rozmowę i wstaje. Anna nie rozumie, co mówi, ale jasne jest, że jest zdenerwowana, ze złością wytyka coś palcem. Roland zachowuje spokój, odpowiada jej pojedynczymi słowami, krótkimi zdaniami, aż w końcu kobieta wyrzuca jedną rękę w geście pogardy i oddala się do monitorów i konsoli. Tung idzie za nią i dalej się o coś kłóca, a Anna patrzy na

Rolanda, który uśmiecha się, ale wcale nie przekonywająco.

Powiedziała, że nie powinienem był cię przyprowadzać.

Tak mi się wydawało, mówi Anna, rozglądając się nerwowo. Kim oni są?

Przyjaciółmi. Swego rodzaju.

W końcu towarzyszka Tunga wraca, ma założone ręce. W okolicach bicepsu na jej ramieniu widnieje okrągła różowa blizna. Anna czuje się spięta, z kobiety wydaje się promieniować gniew. Wyciągając rękę, bez cienia uśmiechu przedstawia się. Jestem Wei.

Ściskając jej dłoń, Anna zauważa, że jej paznokcie są obgryzione do żywego.

Pokażcie, co macie.

Było kilka śladów ostatniej i przedostatniej nocy, mówi Roland. Anna ma szczegóły w swoim codeksie.

Wei i Tung zgrywają jej dane do swoich konsoli i biorąc się do pracy, od razu zaczynają się kłócić po kantońsku.

I co teraz?, pyta Anna.

Posprawdzają dane, spróbują zdobyć więcej informacji. Potrwa to trochę.

Anna patrzy, jak zakładają gogle i rękawice. Nigdy nie lubiła podglądać ludzi zanurzonych w ciekłosci, a teraz, gdy tak wiele od tego zależy, ma na to tym mniejszą ochotę. Na ekranie za nimi reporter NBG

opowiada o pladze szczurów w Szanghaju, strumień stłoczonych ciemnych futer gryzoni próbuje uciec ludziom, którzy walą w nie kijami i łopatami. Anna odwraca się z drżeniem.

Mogę się przejść?, pyta. Chciałabym przez chwilę być sama.

Roland kiwa głową. Jasne, ale nie odchodź daleko.

Zostawiając go, żeby pilnował Wei i Tunga, Anna mija płaskie monitory, drzwi, schodzi powoli po schodach i wychodzi na opuszczony parking.

Na dworze zrobiło się chłodniej, jakby miał padać deszcz, Anna obserwuje sunące nisko nad jej głową złowrogie sinoczarne chmury. Nie wiedząc, dokąd iść, chodzi powoli wokół parkingu, wśród rozkładającego się papieru i porozrzucanych śmieci. Czuje na sobie ciężar chmur, przenika ją samotność tego miejsca. Znowu powraca uczucie, że teraz, gdy jest już tak blisko, być może wcale tego nie pragnie. Smutek. Z założonymi rękoma opiera się o płot, odbija się od niego lekko. Ale wtedy w drzwiach pojawia się Roland i kiwa na nią.

Wei twierdzi, że ma coś, co powinnaś zobaczyć, mówi, poganiając ją po schodach. To może mieć jakiś związek z Danielem.

Na górze na wszystkich sześciu monitorach widnieje teraz ten sam obraz. Ziarnisty, o słabej rozdzielczości, wydaje się zapisem z kamery w jakimś sklepie. W dolnym rogu jest zegar; stoi w miejscu. Wei wciąż ma na sobie gogle, ale Tung stoi obok niej, przez przydymione soczewki

widać jego ciemne oczy.

Porównaliśmy porę, kiedy dokonał zakupu w sex shople, z danymi ochrony w sklepie, mówi Tung. Gdy Anna patrzy, obraz na ekranach ożywa, ciemne sylwetki poruszają się w słabo oświetlonym pomieszczeniu.

To chyba on, mówi Tung, wskazując na jakąś postać. Anna widzi osobę biorącą ze stojaka jakieś pisemka i przeglądającą je jedno po drugim.

Stoi do nas plecami, narzeka Anna.

Wiem, odpowiada Tung. Nagle obraz przyspiesza, a postać przed stojaka zbliża się do kamery.

Widzisz, mówi Roland, stojący obok niej. Mówiłem, że go znajdą.

On utyka, mówi Anna.

Widzę.

Szkoda, że nie możemy zobaczyć twarzy.

Ale przynajmniej wiemy, że żyje.

Wciąż jednak nie wiemy, gdzie jest. Równie dobrze mogłabym wrócić do Mong Kok i gonić po jego śladach, gdy się pojawią. Ja chcę wiedzieć, co robi *teraz*.

Wei obraca się do nich, zdejmując gogle. To twój brat. Nie wiesz, jak myśli? Mówiąc, puka się w bok głowy, co wydaje się w tej chwili gestem bardzo pogardliwym. Nie patrząc na Annę, odwraca się do zatrzymanego

obrazu Daniela, jego twarzy zasłoniętej przez poziomy pas.

To nie wszystko, co mamy, mówi. Weszliśmy również do jego pliku bezpieczeństwa. Zapala papierosa.

Co tam znaleźliście?

To dziwne, ale nic. Tak jakby ktoś usuwał z niego wszystko.

Ale po co?, pyta Anna.

Ty mi powiedz, ripostuje Wei.

Robiąc wdech, Anna stara się zignorować wyrachowaną zaczepkę. Nie możecie znaleźć jakiegoś z nim kontaktu, adresu, sposobu na odszukanie go?

Był wystarczająco ostrożny, żeby nie dać się znaleźć przez rok, takie nawyki szybko nie mijają. Żadnego adresu zamieszkania, e-maila czy wideopoczty, numeru telefonu ani nawet nazwiska.

Anna czuje, jak coś się w niej rozdziera. Nie, mówi, przeraża ją nuta desperacji we własnym głosie. Musi coś być.

Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że to może przed tobą się ukrywa?, pyta Wei z paskudnym błyskiem w oku.

Anna kręci głową, nie przyjmując tego do wiadomości. Nie zrobiłby tego; na pewno ma jakieś kłopoty.

A ty zamierzasz go ocalić?

Anna wpatruje się w Wei, jej afektowaną twarz i wytatuowaną głowę. Nie traktuj mnie z góry, mówi głosem lodowatym od furii. Nie

wiesz nic o mnie ani o Danielu. Czuje dłoń Rolanda na swoim ramieniu, ale strząsa ją.

Przez kilka sekund Wei odwzajemnia jej spojrzenie z wyzwaniem w oczach. W końcu wzruszając ramionami, wraca do konsoli. Oto, co możemy zrobić. Założymy na niego kilka haczyków, tak że kiedy następnym razem znajdzie się w ciekłosieci, zostanie poinformowany, że go poszukujesz. Na początek dobre i to. Jak się nie uda, spróbujemy innych rzeczy.

Następuje długa cisza, Anna wciąż wpatruje się w nią rozeźlona. W końcu Roland robi krok naprzód.

Podajcie mu mój adres.

o

To przestępcy, prawda?, pyta Anna. Ta kobieta... Roland u jej boku waha się. Są osobami, których nie ma.

W świetle tej informacji jej gniew wydaje się dziecinny. Co ona zrobiła?

Powiedziała coś niewłaściwego w niewłaściwym czasie. Może się cieszyć, że w ogóle żyje. Donosiła?

Roland wzrusza ramionami. Nie wiem. Prawdopodobnie tak. Była zupełnie inna, kiedy ją poznałem, mówi, spoglądając na rozciągające się za Anną bezkresne miasto.

Godzinę później w metrze odzywa się codex Anny, rejestrując

kolejny ślad. Walcząc o trochę miejsca w ścisku, Anna otwiera go i odkrywa, że Daniel wszedł do ciekłosci z publicznego terminalu na tyłach Chungking Mansions. Jak szalona usiłuje się z nim połączyć, dźgając dziko w interfejs, którego powolność i niedoskonałość sprawiają, że trzęsie się z wściekłości i frustracji. W końcu wchodzi w kanał, ale w tym samym czasie ślad Daniela zanika.

Cholera! Rozłączył się.

To nie ma sensu, mówi Roland. Na pewno dostał wiadomość, którą nadała Wei.

To samo zdarza się dwukrotnie tego wieczora. Krótki sygnał, po którym następuje natychmiastowe rozłączenie, gdy tylko Anna próbuje otworzyć kanał. Chodzi po mieszkaniu, usiłując znaleźć jakieś wyjaśnienie, czekając, aż zadzwoni albo jakoś się z nią skontaktuje. Roland czeka wraz z nią, jego obecność uspokaja ją, ale nic jej nie pasuje. Nic nie pasuje.

o

Leży jak dziecko przed telewizorem i bezmyślnie wpatruje się w obrazy. Jest już po drugiej w nocy, ale ona jest zupełnie rozbudzona. Na ekranie *Prometeusz* obraca się na tle ciemności, pod nim porusza się bezgłośnie twarz spikerki. Balet w wykonaniu statku, jego precyzja, uspokaja ją. Otwiera codex i jeszcze raz przegląda ślady, szukając jakiejś wskazówki, jakiegoś schematu, ale nic nie znajduje. Okazuje się, że jest

do niej wiadomość, otwiera ją, widzi, że to coś od Setha. Są w niej spakowane inne dane, które zaciekawiona zgrywa do wyciągniętej z teczki konsoli. W ciemności pokoju rozlega się cichy dźwięk obu urządzeń, szum napędów i danych sunących wzdłuż promienia niewidocznego światła. Bierze z teczki rękawice i wkłada je, czuje znajome, lecz wciąż niezwykle pełzanie systemów dopasowujących się do kształtu dłoni, czuje jedwabistość włókien, zakłada okulary, świat odpływa.

Wewnątrz jest ciemno i boleśnie rozczarowana zaczyna sądzić, że dane mogą być uszkodzone. Ale wtedy jej lewa dłoń napotyka coś twardego i nieustępliwego. Unosząc drugą dłoń, wyczuwa kamień, miękki i warstwowy jak łupek. A potem wystającą z niego na milimetr czy dwa gładszą powierzchnię, która ślizga się pod jej palcami jak macica perłowa wyściełająca muszlę. Gdy przesuwając po tym ręką, uświadamia sobie, że to jej dotyk, ale nie wizualny, jedynie przestrzenna siatka, tekstura; w kącikach jej ust pojawia się uśmiech wywołany myślą o koncepcie Setha. Stopniowo odkrywa kształt palcami, wyczuwa, że muszla została spłaszczona prawdopodobnie przez ciśnienie z góry, tak że teraz siedzi płytko w kamieniu, jej powierzchnia jest śliska jak emalia wypalanych naczyń glinianych. Czuje zbyt ściśnięte komory, skręcające się zwoje spirali biegnącej do wewnątrz, na zewnątrz. Siatkę pęknięć i szczelin, które ją pokrywają, zakłócając perfekcję, ale i na swój sposób przyczyniając się do jej piękna.

Czy jest jeszcze jakaś wiadomość?, szepcze do systemu. Kiedy to mówi, znikąd - zewsząd - pojawia się delikatne światło, wydobywając z ciemności skamielinę, szaro-białą na tle ciemnego łupku. Macając ją ponownie, stara się pogodzić wrażenia wzrokowe i dotykowe, nie po raz pierwszy przekonując się, że każde z nich daje jej zarazem więcej i mniej niż to drugie. Gdy przesuwa dłonią po kamieniu, pojawiają się na nim słowa.

Droga Anno.

Miałem do czynienia z takimi eksponatami tyle razy, że nie potrafię zliczyć, jednak ten jest jakiś inny, uderzyła mnie jego delikatność, wręcz nieprawdopodobieństwo, że zachował się w takim stanie. Kiedy codziennie ma się do czynienia z relikami przeszłości, kiedy stanowią one przedmioty, które się wymienia z innymi i klasyfikuje, opisuje i magazynuje, to człowiek jakoś się na nie uodpornia, nie tylko na to, że fakt ich zachowania jest świadectwem wielkiej straty, ale również na przypadkowość ich przetrwania. Dzisiaj jednak, gdy poczułem go pod palcami, przypomniałem sobie o obu tych rzeczach. I o Tobie.

Przypuszczam, że było to objawienie, moment jasności, ale wtedy czułem - właściwie to więcej niż czułem - kim w tej chwili jestem, że jestem jednym wielkim pragnieniem Ciebie. Chciałem, żebyś tam ze

mną była, żeby nasze ciała się stykały, chciałem doświadczać miękkiego ciepła Twoich piersi na moim policzku, chciałem słyszeć ruch krążącego w Tobie oddechu. Zapach Twojej skóry i włosów błąkał się gdzieś na granicy mojej świadomości, jego wspomnienie prawie namacalne. Nie było to jedynie seksualne pożądanie, chociaż to także; ogarnęło mnie pragnienie samej Twojej obecności, płynącego od Ciebie ciepła Twego istnienia.

Czy to miłość? To pragnienie Ciebie tak potężne, że wydaje się tworzyć mnie na nowo. To poczucie nieskończonej drogocенności każdej spędzonej z Tobą chwili, każdego szczegółu Twojego istnienia, jaki zachowałem w pamięci. Poczucie, że cały świat może zatrzymać się pomiędzy uderzeniami serca, świat określany bliskością naszych ciał, naszych splatających się oddechów.

Po wielu eonach jakież ślad może pozostać po czymś tak niezwykłym, tak doskonałym i wiecznym? Znak na kamieniu bądź w kamieniu? Może coś, co da się wykopać i zapamiętać? Niemożliwym wydaje się, że to coś mogłoby tak po prostu zniknąć, przepaść w nicości. Astronomowie potrafią odczytać wspomnienie narodzin świata z promieniowania, które nas otacza, przenika, ale czy ten moment zostanie tak zapamiętany?

Czy też może chwil tych jest tak niewiele w czeluściach czasu, że musimy odrzucić wszystkie te pytania i po prostu zawierzyć im, po

prostu je przeżyć?

Nie ma nic więcej, tylko jego imię i ejdetyk muszli. A po opuszczeniu ciekłosci jej ciało spowite jest w grę światła z ekranu, biała sylwetka *Prometeusza* obraca się na tle jej piersi i ramion, dłonie w rękawicach trzyma wyciągnięte przed sobą. Zaś w drzwiach do sypialni stoi Roland i obserwuje ją w milczeniu.

o

O siódmej budzi ich dzwonek telefonu. Anna słyszy, że Roland odebrał w sypialni. Rozmawia krótko po kantońsku i pojawia się w drzwiach.

Dzwoniła Wei, mówi. Mają jakiś adres.

Jaki?, pyta Anna, wstając i jednocześnie naciągając na siebie koszulę.

Gdzieś w Mong Kok.

Docierają tam w ciągu czterdziestu minut. Roland siedzi obok kierowcy i wskazuje mu drogę wśród uliczek. W końcu odnajdują adres, który podała im Wei, wąski budynek wciśnięty pomiędzy sypiące się bloki mieszkalne. Ciemny korytarz oświetla jedynie fluorescencyjna kula, która mruga nieregularnie. Biegiem pokonują pięć ciągów schodów, nie zwracając uwagi na to, że czwarty skrzypi złowrogo. Przy drzwiach Anna unosi rękę, żeby zapukać, i widzi, że drży. Stukanie odbija się echem w

pustym korytarzu. Przez dłuższy czas nie ma żadnej odpowiedzi, Anna podnosi więc dłoń, żeby zapukać raz jeszcze, ale w tej samej chwili drzwi uchylają się lekko. W środku jest ciemno. Spowita w cień postać przygląda im się w ciszy.

Anna próbuje się odezwać, ale nie może, więc Roland wysuwa się przed nią.

Szukamy Daniela, mówi spokojnym głosem.

Postać za drzwiami nie odpowiada.

Proszę, mówi Anna, wiemy, że tu jest.

Nie sędzę, odpowiada mężczyzna, powoli i z wysiłkiem. Ma ciężki akcent, polski albo rosyjski.

Nie rozumie pan, mówi Anna, jestem jego siostrą, szukam go od dłuższego czasu. Nie jesteśmy z policji.

Drzwi zamykają się, zbyt szybko, by mogli temu zaradzić, choć Anna rzuca się do przodu i uderza w nie głucho.

Proszę, woła. Proszę mu powiedzieć, że to Anna. Anna!

Zza drzwi dobiega szept rozmowy pomiędzy dwoma mężczyznami, ich głosy wznoszą się i opadają. Po chwili, równie nagle jak zostały zamknięte, drzwi się otwierają, tym razem na całą szerokość. Stoi w nich ciemnowłosy facet niewiele starszy od Anny.

Powinniście tu wejść, mówi, proszę.

Pokój jest malutki, ledwie dość w nim miejsca na dwie maty do

spania rozłożone na podłodze, tanią konsolę i monitor w rogu. Zasłony są zaciągnięte, powietrze czuć potem i snem. Gdy wchodzi do środka, ciemnowłosa mężczyzna zamyka za nimi drzwi. Ten, który pierwszy im otworzył, przygląda się spod okna, jego twarz ogorzała i nieogolona.

Gdzie on jest?, pyta Anna, patrząc to na jednego, to na drugiego. Co mu zrobiliście?

Ten, który ich zaprosił do środka, nerwowo przebiera nogami, a stojący przy oknie mówi coś, chyba po rosyjsku, rozzłoszczonym głosem. Ale ciemnowłosa unosi dłoń, żeby go uciszyć. Człowiek spod okna odsuwa się, skupiając uwagę na papierosie.

Ja myślę, że wy nie rozumieją, mówi w końcu ciemnowłosa. Ja jestem Daniel.

Anna wpatruje się w niego w osłupieniu.

Czy to jakiś żart?, pyta, wodząc wzrokiem od młodszego mężczyzny do Rolanda. Myśli pan, że to śmieszne?

Ale twarz Rolanda wygląda na równie zaskoczoną jak jej, a ciemnowłosa mężczyzna macha pojednawczo ręką. Nie, mówi. To nie żart. Popróbowuję wyjaśnić. Ale najpierw musicie mi i Michaiłowi dać obietnicę, ręką wskazuje na mężczyznę przy oknie. Obiecacie nam, żadnej policji. Dobrze?

Oczywiście, zapewnia Anna. Żadnej policji.

Ciemnowłosa mężczyzna wyraźnie się rozluźnia. Dziękuję wam, mówi. Mój angielski jest... macha bezradnie ręką...niezbyt dobry, więc być może mi wybaczycie? Jestem marynarz z Rosji, tak jak Michaił. Wyciąga rękę do Anny, która wpatruje się w nią jak sparaliżowana. Mam na imię Aleksander.

Zdając sobie sprawę, że to gest powitania, Anna podaje mu swoją dłoń. Aleksander uśmiecha się nerwowo.

To ty wysyłałaś mi wiadomości?

Tak, to znaczy, nie, wysyłałam je do Daniela. Co mu zrobiłeś?

Nic mu nie zrobiłem, odpowiada Aleksander, ale...

Ale co?, dopytuje się Anna, robiąc krok do przodu. Wyczuwając jej złość, Aleksander cofa się. Stojący przy oknie Michaił prostuje się, napina, przygotowuje na jakąś konfrontację. Chcąc ją uspokoić, Roland kładzie dłoń na jej ramieniu, odciąga ją ku sobie.

Proszę, mówi Aleksander, przyrzekam, ja nie miałem z tym nic wspólnego.

Z czym? Anna prawie krzyczy. Gdzie on jest, gdzie jest Daniel?

Nie żyje.

Co?, pyta Anna nagle spokojnym głosem. Skąd wiesz?

Nie wiem, nie na pewno, ale ja kupił jego tożsamość od pasera. Paser mówił, że on nie żyje prawie od roku.

Anna słyszy, jak stojący za nią Roland długo i powoli wypuszcza

wstrzymywane wcześniej powietrze.

Nie rozumiem, jak to, kupiłeś jego tożsamość? Jaki paser? To jakiś obłąd!

Aleksander patrzy na Rolanda. Ja dumam, że twój przyjaciel rozumie. Może... Robi ręką taki gest, jakby błagał Rolanda o pomoc.

Anno, on może mówić prawdę...

Nie! To nie ma żadnego sensu. Znowu czując na ramieniu dłoń Rolanda, próbuje mu się wykręcić, ale jest dla niej za szybki, chwytą ją za nadgarstki. Sam powinienem był o tym pomyśleć, to wyjaśnia wszystko, kontynuuje, starając się ją utrzymać, uspokoić.

On kłamie, mówi Anna, walcząc z jego uściskiem. Daniel żyje; widzieliśmy go!

Roland kręci głową, jego oczy są pełne bólu, gdy trzyma ją, zmuszając do słuchania. Takie rzeczy ciągle się zdarzają. Kupujesz pełen profil kredytowy, dowody istnienia w wielu miejscach, dostęp do aktu urodzenia, prawa jazdy, paszportu, prac. Hakerzy włamują się do baz danych i zmieniają informacje, które tego wymagają, zmieniają DNA i wzory tęczy, zdjęcia. Nie jest to doskonałe, ale i nie musi, dopóki nikt nie nabierze podejrzeń. Po wkroczeniu armii gliniarze sprzedawali dowody tych, którzy zaginęli, nielegalnym imigrantom i przybyłym z kontynentu więźniom obozów. Ponieważ były to dokumenty aktywistów, wraz z nimi ludzie ci nabywali jakiś bagaż, ale i tak było im lepiej niż w

miejscach odosobnienia. Mogli przynajmniej poruszać się swobodnie, wynająć jakieś mieszkanie, znaleźć pracę. Ale Daniel był biały, jego dowodu na pewno trudniej było się pozbyć.

Z Anny odpłynęła już cała energia, ale Roland i tak jej nie puszcza. Nie, powtarza, nie.

Czy dwie noce temu byłeś w Mong Kok, pyta spokojnie Roland Aleksandra.

Aleksander potakuje powoli. Tak.

Kupiłeś coś?

Rosjanin nerwowo przełyka ślinę.

Tak.

Co?, pyta Roland.

My kupili... pisemka i dyski.

Te?, pyta Roland, patrząc na stos magazynów pornograficznych leżących przy jednej z mat do spania. Za nimi, przy taniej konsoli leżą rozrzucone dyski.

Tak, potwierdza cicho Aleksander. Musicie zrozumieć, ja kupił ten dowód tylko po to, żeby móc wyjechać, zacząć nowe życie w Australii.

Roland kiwa głową. A dzień wcześniej. Co robiłeś?

Byłem w wirtualnym burdelu.

Odwracając się do Anny, która tępo wpatruje się w Aleksandra, Roland potrząsa jej nadgarstkami.

Widzisz, mówi. To jego widzieliśmy na tamtym filmie. I to on był u Madam Tong.

Niemożliwe, szepcze. Niemożliwe.

Owszem, mówi Roland. Możliwe.

o

Gdy wychodzą z budynku, Anna nie odzywa się, patrzy beznamiętnie przed siebie. Podchodząc do taksówki, Roland wsadza ją na tylne siedzenie, jej kończyny są bezwładne, ale nie uginają się. Chce ją objąć, ale przeraża go jej sztywność, boi się, że dotyk jego dłoni może ją zniszczyć. A po jakimś czasie, nagle, gdy wyjeżdżają z tunelu na wiadukt, jej usta zaczynają drżeć, zaczyna lkać, krztusić się. Dopiero wtedy wyciąga do niej ręce, próbuje ją do siebie przytulić. Jednak Anna opiera mu się, strąca jego dłonie konwulsyjnym ruchem ramion. Niezniechęcony, Roland tuli ją do siebie, tym razem Anna zaczyna płakać na dobre w jego ramionach.

Policja go zabiła, prawda?, pyta przez łyzy.

Być może. Albo wojsko. A może został postrzelony. Kto wie.

Co się stało z jego ciałem?

Anno...

Powiedz mi.

Niektórzy ludzie mówią, że na nowo zagospodarowanych terenach znajdują się masowe groby, ale teraz stoją już na nich wieżowce. Ciała

innych zostały wyrzucone przez ocean na plażach. Jeszcze innych pochowano w grobach dla nie zidentyfikowanych.

Jak w Potter's Field?

Tak.

Anna znowu zaczyna łać łzy na jego koszulę.

ZACHOWUJE SIĘ tak przez całe popołudnie i wieczór. Chwilami jest spokojniejsza, a chwilami wręcz przeciwnie, jej napady płaczu powoli przechodzą w agonalne wycie, tak pierwotne, że samo przebywanie blisko niej sprawia ból. I chociaż każde włókno jej ciała szuka zaprzeczenia - jak u osoby po amputacji skonfrontowanej z brutalnym faktem nieobecności kończyny - gdzieś w sobie czuje chłód wzrastającej pewności, że Roland ma rację, że Daniela nie ma, a jego ciało zostało rzucone w wody oceanu albo do bezimiennego grobu. Roland nie opuszcza jej, głaszcze jej plecy i włosy, a ona wciąż płacze, jego koszula jest mokra, jej gardło i oczy opuchnięte, aż po północy zasypia, wypłakawszy wszystkie łzy.

o

Wciąż jest przy niej, gdy Anna budzi się rano, nie przebrał się nawet.

Całą noc tu siedziałeś?

Roland uśmiecha się.

Prawie. Jak się czujesz?

Anna zastanawia się chwilę. Jestem zmęczona, bardzo zmęczona.

Zrobić ci herbaty?

Kiwa głową. Przydałaby się też szklanka wody.

Przyniosę. A ty odpoczywaj.

Muszę iść się załatwić.

Roland śmieje się. No dobrze, ale zaraz wracaj.

Anna kładzie dłoń na plamie na jego piersi. Zniszczyłam ci koszulę.

Naciągając materiał, Roland z powagą przygląda się tkaninie.

Wypierze się, nie masz się czym przejmować.

Trzy minuty później Anna, owinięta ręcznikiem, idzie do kuchni, gdzie Roland parzy herbatę. Zerka na nią i się uśmiecha, po czym wraca do swojego zajęcia. Anna przygląda mu się w milczeniu. Wreszcie Roland odwraca się do niej.

O co chodzi?, pyta.

Anna waha się, nim odpowie, w tym czasie widzi, że wyraz jego twarzy zaczyna się zmieniać, jakby wiedział, co zaraz nastąpi.

Dlaczego to dla mnie zrobiłeś? Dlaczego mi pomagałeś?, pyta Anna.

Roland wzrusza ramionami. Bez powodu. Potrzebowałaś pomocy, a ja jestem twoim przyjacielem.

Tak. Ale chodzi o coś więcej, prawda?

Przez długi czas stoi z oczami wbitymi w podłogę, w końcu mówi:

Tak.

Chyba wiesz, że kogoś mam?

Roland potakuje.

No i jest jeszcze Jared.

Patrzy na nią ostro. Pieprzyć Jareda. Zobacz, jak cię potraktował.

Myślałam, że był twoim kumplem.

Był, wciąż jest, ale nie zmienia to jego zachowania w stosunku do ciebie...

Co do mnie czujesz?

Kocham cię.

Anna kręci głową. Nie, nie kochasz.

To chyba nie w porządku, że tak mówisz.

Może i nie. Ale myślę, że powinnam już sobie pójść.

Dokąd?

Do domu. Rano jest pewnie jakiś lot.

Dwie godziny później Anna stoi przy oknie w poczekalni, patrzy na pas startowy. Znowu pada deszcz, gęsty i ponury, po pasie jak tłuste plamy rozlewają się kałuże, woda zamazuje linię horyzontu nad szarym morzem. Twarz i zatoki bolą ją od płaczu, ale dziś nie ma już więcej łez. Jest tylko zmęczenie, które zdaje się przenikać wszystko. Roland nie protestował, kiedy powiedziała mu, że sama pojedzie na lotnisko, w drzwiach zadrżał, gdy ustami musnęła jego policzek, ale nie próbował przeciągać tej chwili, pozwolił jej odejść. Kiedy tak patrzy, deszcz wzmaga

się, całymi płachtami uderza o szybę, w której odbija się poczekalnia. Nagle ktoś z tyłu wymawia jej nazwisko, co tak ją zaskakuje, że słyszy je trzykrotnie, nim zda sobie sprawę, że osoba ta zwraca się właśnie do niej.

Anna odwraca się i widzi białą kobietę ubraną w drogą garsonkę. Przypuszczając, że to pracownica linii lotniczych, Anna staje prosto.

Anna Frasier, czy tak?, mówi tamta z niewyraźnym, australijskim akcentem.

Tak. Czy my się znamy?

Kobieta kręci głową. Nie, ale gdy to mówi, Anna nabiera pewności, że już ją gdzieś widziała.

Jest pani pewna?

Tak, odpowiada. Ale byłam w Empire Hotel trzy dni temu, kiedy się pani wyprowadzała.

Anna patrzy na nią, zagubiona.

Może poszłybyśmy w jakieś bardziej ustronne miejsce, proponuje kobieta.

Anna podąża za nią do rzędu krzeseł za filarem.

Mam na imię Victoria, przedstawia się kobieta, wręczając jej wizytówkę. Papierowa, w tych czasach to niemal ekstrawagancja, mówi przeprasząc, gdy Anna wyciąga po nią rękę.

Muszę z panią porozmawiać, ponieważ... Victoria waha się, patrzy na swoje dłonie, jakby nie była pewna, co ma dalej mówić. Nie,

powinnam zacząć od początku. Kiedy spotkałyśmy się wtedy w hotelu, rozpoznałam panią, lecz dopiero po chwili zorientowałam się, skąd znam tę twarz. Jednak pani zdążyła już wyjść.

Twierdzi pani, że mnie zna?, pyta Anna.

Nie, i właśnie dlatego nie rozpoznałam pani od razu. Recepcjonista podał mi nazwisko, a ja kazałam szukać śladów pani programowi komputerowemu. Zawiadomił mnie o kupnie biletu na samolot.

Coraz bardziej wytrącona tą rozmową z równowagi, Anna wstaje.

Przepraszam, mówi, nie wiem, czego pani chce...

Ależ ja niczego nie chcę, ja tylko...

Tylko co?, mówi Anna, coraz bardziej rozeźlona.

Ma pani brata, bliźniaka?

Anna przełyka ślinę. Miałam. On nie żyje, mówi. Po raz pierwszy użyła tych słów, a one zabrzmiały twardo i zimno. Głos jej się nie trzęsie.

Więc wie pani?

Co wiem?

Co się z nim stało?

Anna kręci głową, a Victoria kaszle lekko.

Tego się obawiałam, mówi.

Znała go pani?

Nie. Spotkałam go tylko raz, tego dnia, kiedy wkroczyło wojsko. Waha się, jakby miała nadzieję, że Anna poprosi ją, by przestała. Ale

ponieważ nic takiego się nie zdarza, Victoria powoli kontynuuje.

Tego ranka miałam zarezerwowany lot do Sydney, jeden z ostatnich przed zamknięciem lotniska. To było istne wariatkowo, wszędzie tłumy ludzi, wszyscy desperacko próbujący się stąd wydostać. Jakiś strażnik otworzył ogień do turystów. Byłam przerażona.

Jak wszyscy, wtrąca Anna, zaciskając zęby na wspomnienie tego dnia, tego, co miało nadejść.

Byłam tu zupełnie sama, więc może pani sobie wyobrazić, jak się bałam. Ja... chyba zaczęłam płakać, może właśnie dlatego do mnie podszedł. Może usłyszał mój akcent, a może tylko chciał być uprzejmy, nie wiem. Ale klęknął przy mnie, żeby zobaczyć, czy dobrze się czuję. Powiedział, że ma na imię Daniel.

Anna czuje puchnącą w gardle bryłę, przełyka ją jednak.

Zgadza się, mówi.

Był do pani taki podobny, ciągnie Victoria, patrząc na nią oczami szklistymi od łez. To dlatego pomyślałam, że panią znam.

Byliśmy bliźniętami.

Tak czy owak, siedział ze mną. Miał zarezerwowane miejsce na inny lot, wydawał się zdenerwowany, ale został ze mną, po prostu siedzieliśmy i rozmawialiśmy. Mówił, że czeka na dziewczynę, ale ona nie przychodziła, wyraźnie zaczął się martwić, że coś się stało.

A potem?

Potem byli policjanci, bardzo wielu policjantów. Szukali konkretnych ludzi, to było oczywiste, a on nie miał gdzie się ukryć, i... cóż, przyszli i go zabrali.

Nie opierał się?

Victoria kręci głową. Nie, wyglądało to tak, jakby się wszystkiego spodziewał.

Gdy Anna się nie odzywa, Victoria mówi dalej. Zabili go, prawda?

Chyba tak.

Przykro mi, chociaż go nie znałam, to wiem, że był dobrym człowiekiem.

Ponieważ Anna nadal nic nie mówi, Victoria nerwowo przełyka ślinę. Pomyślałam sobie, że powinna pani wiedzieć.

Tak, mówi Anna, błędząc gdzieś myślami. Dziękuję.

apokryf

(9)

Jedynie próżności można przypisać założenie, że świat, a nawet wszechświat, wyobrażony jako żywy organizm funkcjonujący dzięki istniejącym w nim połączeniom, troszczy się o dzieła swych części składowych; podobnie zresztą my nie zwracamy uwagi na bakterie, które żyją na naszej skórze i w naszych trzewiach. Życie i śmierć łączą się nierozdzielnie w większych cyklach zmian. I ciągłości.

SETH LAMARQUE, *Język muszli*

PEKNIĘCIE

Cóż rzeknąć mam, ty Boże? Iż patrzysz na ludzi? Lub że to wszystko kłamstwo, że człowiek się ludzi, Jeżeli mu się zdaje, że jest bogów plemię, Gdy czysty li przypadek opanował ziemię?

EURYPIDES, *Hekabe* (tłum. Jan Kasprowicz)

Znów słyszę zakładające gniazda mewy, ich piski niosą się ponad dachami do otwartego okna nad moim biurkiem. Blżej, na klifach ponad koloniami gawronów, ich głosy wydają się jeszcze donośniejsze, niemal ogłuszające. Słyszałam, jak niektórzy ludzie, głównie w średnim wieku, mówili, że ich krzyki burzą spokój widoku oceanu, że ich piski budzą rano i nie dają spać późno po zmroku, że plaża zafajdana jest ich odchodami, ale dla mnie ich obfitość, ich hałaśliwe, dobitne świadectwo obecności życia i jego trwania niosą wielką pociechę. Ptaki były tu przed nami i najprawdopodobniej pozostaną, tak jak klify i sama ziemia, gdy my odejdziemy.

W pokoju obok moja nowa opiekunka odkurza książki. Powiedziała, że ma na imię Rebecca. Nie jest tak ładna jak Denzel, ale wie, jak okłamać starą kobietę, jak sprawić, bym myślała, że interesują ją moje książki i zdjęcia. Pierwszego dnia otworzyła okna, mówiąc, że jest już wiosna, że powinniśmy wpuścić trochę świeżego powietrza, nie tak jak Denzel, który

ciągle sprawdzał instalacje w domu i niepokoił się o jakieś przypadkowe infekcje.

Potem poproszę ją, żeby poszła ze mną na spacer wzdłuż klifów, do ptaków. Do punktu, z którego widok na południe rozciąga się aż do Malabar. Kiedyś klify były brudnobrązowe, ale w miarę jak mikroorganizmy zjadają nieczystości nagromadzone w ciągu setek lat panoszenia się przemysłu, ponownie stają się złote, gdzieś tam splamione ochrą utlenionej wody dobywanej się z głębi ziemi, ciemniejszymi łatami traw i bluszczu w miejscach, gdzie zapuściły korzenie w spękanej skale. Opowiem Rebecce, jak tu było trzysta lat temu, kiedy morze było zatrute, zanim powróciły foki i garbate wieloryby, zanim morze znów zapełniły ławice ryb. A ona pewnie potaknie i uśmiechnie się, zbyt grzeczna, by powiedzieć, że ma to gdzieś, że tak właśnie zawsze wyglądał jej świat, a moje wspomnienia nie mają dla niej żadnej wartości. Jest zbyt młoda, by wiedzieć, iż pewnego dnia też będzie stara i nudna.

Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki, jak mawiał Heraklit, rzeka bowiem płynie bez względu na wszystko. Nawet te klify, sypiące się, spękane pokłady piaskowca, na którym zbudowane jest miasto, były kiedyś górami, których materia sunęła poprzez równiny Gondwany i została tu złożona ziarenko po ziarenku. Woda, co ją przyniosła, niegdyś większa od potężnej Amazonki, znikła, tak samo jak znikły równiny, po

których płynęła, rozdarte ruchami kontynentów; pozostały po nich tylko klify, spękany piaskowiec. Może pewnego dnia jego pył znowu stanie się składnikiem gór wystających w niebo z nowego kontynentu wydartego ze skorupy planety, a może skały zsuną się do oceanu, który się o nie rozbija. Jedyną pewną rzeczą jest to, że nie pozostaną takie same, nadejdą zmiany, choćby nie wiem, co się działo.

Na lotnisku w Sydney czeka na nią Seth, obok niego Rachel. Jego wysokie ciało pochylone lekko nad jej mniejszą sylwetką. Rachel stoi niezgrabnie, plecy ma wykrzywione z powodu zaawansowanej ciąży, stopy skierowane na zewnątrz. Jej dłoń muska plecy Setha, gdy zauważa Annę - odruch, który Anna pamięta od ich pierwszego spotkania w kawiarni. Nie ruszają się z miejsca, gdy pokonuje dzielącą ich przestrzeń. Zatrzymuje się przed nimi, wyciąga rękę do Setha, a on bierze ją bez słowa, przykrywa jej dłoń swoją, przyciąga ją do siebie. Jest w jego uścisku jakaś pewność, jakby coś się między nimi zmieniło. Gdy do Anny dociera zapach skóry na jego szyi, czuje, że się w nim zatapia, jej dłonie mocno chwytają materiał marynarki, nie chcą go puścić. W końcu jednak odsuwa się, robi krok do tyłu, pociąga nosem i wyciera twarz. Dociera do niej spojrzenie Rachel, troskliwy dotyk jej dłoni.

Bagniste powietrze na parkingu jest ciepłe i spokojne. Światła sodowych lamp wokół Botany Bay rozmywają się w słonej mgiełce wody,

tworząc płachtę luminescencji na tle ciemności. Seth i Rachel idą powoli obok niej, nie odzywają się, za co jest im wdzięczna. Żadne z nich nie wie, czego się dowiedziała, dlaczego wróciła, ale też żadne z nich o to nie pyta. Dzwoniła do Setha z lotniska w Hongkongu i po powrocie chciała opowiedzieć mu o wszystkim, ale to było przed rozmową z Victorią. Przed usłyszeniem historii, która w końcu przyniosła jej ulgę.

Samochód wydaje się unosić na autostradzie, hałas poza kabiną brzmi jak odległy szum. Zwracając się ku migającym cieniom drzew, Anna myśli, że będzie musiała zadzwonić do rodziców do Londynu, do Sophie, by przynajmniej w skrócie opowiedzieć im, co się stało. Cały dzień zmagala się z implikacjami opowieści Victorii. Wokół tego co pewne, wokół utraty Daniela krążą inne, trudniejsze do rozwikłania tajemnice: spóźnienie Briar tego ranka na lotnisku; to, że udało jej się przetrwać. Fakt, że nie wiadomo, skąd wiedziała, iż Daniel nie wsiadł do samolotu.

W mieszkaniu Setha wchodzi na poddasze, rozbiera się. Pod prysznicem poddaje się strumieniowi wody spływającej po piersiach i głowie, której napór na policzki i powieki zmywa zmęczenie, rozluźnia twarz i ramiona, oczyszczając. Osusza się powoli i ubiera, napawa się chłodnym ciężarem mokrych włosów przyklejonych do szyi, ciasno przywierającą do ciała koszulką.

Na dole Rachel i Seth siedzą przy stole.

Jadłaś coś?, pyta Rachel. My jeszcze nie.

Tak więc czterdzieści pięć minut później zajądają zamówioną do domu pizzę, Seth otwiera butelkę czerwonego wina, które miał w kuchni. W czasie kolacji Anna siedzi blisko niego, ich ciała się stykają; popija wino, rozkoszując się zapachem alkoholu, dymnym oddechem dębu, ciepłym smaku czarnej porzeczki. Rachel śledzi wzrokiem jej ruchy, szukając oznak załamania. Rozmowa ucichła, ani Seth, ani Rachel nie chcą jej wypytywać, ale ich milczenie nie zostawia wiele miejsca na inne słowa. Kiedy kończą jeść, Anna odstawia kieliszek, pochyla się do przodu i powoli, bez jednej łzy czy śladu wahania zaczyna opowiadać, czego się dowiedziała.

Nie zajmuje jej to wiele czasu, fakty są proste, a oni jej nie przerywają. Kiedy kończy, zapada cisza, aż w końcu Rachel pochyla się ku niej, kładzie swoją dłoń na jej ręce.

Tak mi przykro, mówi. Naprawdę.

Potem, przy drzwiach, ona i Anna stoją przed sobą, nie bardzo wiedząc, jak się pożegnać. W końcu obejmują się, ale pękaty brzuch Rachel przeszkadza im w tym. Anna chichocze, Rachel również zaczyna się śmiać, aż w końcu obie pogrążają się w nieopanowanym rechocie. Obok nich Seth robi się spięty, a Anna, wyczuwając jego troskę, wyciąga rękę, uspokaja go.

Zostało ci już pewnie tylko kilka tygodni, odzywa się Anna, a Rachel

jęczy.

Trzy, ale pierwsze zawsze rodzi się później.

Jak dasz dziecku na imię?

Wycierając łzę z kącika oka, Rachel kręci głową.

Nie wiem, odpowiada, mam nadzieję, że przyjdzie mi coś do głowy kiedy, ją zobaczę. Albo jego.

Gdy są z powrotem w środku, Anna przyciąga Setha do siebie, całuje go długo i powoli, potem tuli w dłoniach jego głowę.

Choć do łóżka, mówi, i biorąc jego dłoń, prowadzi go na strych.

Kiedy Anna się budzi, Seth jest już ubrany, siedzi przy niej na łóżku.

Mam spotkanie, mówi. Poradzisz sobie sama?

Obracając się, Anna całuje jego dłoń.

Tak, nic mi nie będzie, odpowiada, sama zaskoczona tym, że naprawdę tak myśli.

Kiedy Seth wychodzi, wstaje, zaparza sobie jaśminową herbatę. Na wszystkich kanałach dominują wiadomości z *Prometeusza*, przygotowania do jutrzejszego lądowania. Na kanale z pogodą mówią, że dzień będzie gorący, ale na zdjęciu satelitarnym widać nadciągające z zachodu chmury.

Otwierając swój codex, Anna po raz ostatni wchodzi do programu poszukującego, zamyka swoje konto. Gdy autoryzuje kasowanie, waha się

przez chwilę, świadoma, że kończy się jakiś okres jej życia; wreszcie finalizuje transakcję. Potem odchyła się w krzesło ze świadomością, że powinna zadzwonić do rodziców i Sophie, ale w Londynie jest już po północy, i choć w Nowym Jorku jest dopiero wieczór, Anna decyduje się poczekać do chwili, kiedy będzie mogła załatwić obie rozmowy w jednym czasie, nie chcąc, by rodzice dowiedzieli się ostatni.

Zamyka codex i spaceruje wolno po mieszkaniu. To dziwne, myśli sobie, tak wiele się skończyło, a ona czuje się bardziej wolna niż kiedykolwiek przedtem. Nie szczęśliwa, ale i nie do końca smutna, jej uczucia, czymkolwiek są, wydają się jej prawdziwe, dogłębnie przeżyte. Wczoraj wieczorem, gdy Rachel już poszła, a oni leżeli razem, czując ciepło swych ciał, odwróciła się do niego, jej twarz spoczęła na jego szyi. Przez okna widać było niebo, chmury poruszane nie wyczuwalnym wiatrem, ich szaro-białe kształty zmieniające się na tle głębokiego błękitu firmamentu. Żadnych gwiazd, tylko księżyc i jego delikatna powierzchnia.

Czasami, kiedy patrzę na Rachel... zaczęła.

Obok niej Seth poruszył się, uniósł jeden palec i dotknął nim miękkiej skóry na jej biodrach i w talii.

Tak?

Anna pokręciła głową; upajała się jego zapachem, teksturą jego skóry przylegającej do jej policzka, tak kojąco przypominała o jego obecności.

Po tym jak Daniel... podjęła, ale głos zawiódł ją znowu, słowa ugrzęzły w gardle. Przy tym drugim zawahaniu Seth przysunął się do niej bliżej, odgarnął włosy z jej twarzy.

Anno... zaczął, ale ona położyła mu dłoń na ustach, każąc milczeć.

Nie, rzekła. Chcę, żebyś tego wysłuchał.

Seth nie odpowiedział, ścisnął tylko dłoń, którą położyła mu na ustach, i czekał. Kiedy odezwała się znowu, jej głos był spokojny, słowa ostrożnie dobrane.

Byłam w ciąży z Jaredem, wyznała. Gdy od niego odeszłam, tego już było dla mnie za wiele. Świat wydawał się rozpadać. Wszędzie było wojsko, czołgi. Nie mogłam znaleźć Daniela...

Tak, rzekł, cierpliwie, delikatnie.

Zdecydowałam się na usunięcie ciąży. Wtedy wydawało się to najlepszym wyjściem. Nigdy wcześniej nie miałam dziecka, myślałam, że to będzie łatwe, ale... Przerwała, pociągnęła nosem.

Nie musisz czuć się winna. Postąpiłaś właściwie.

Wiem, ale potem... Wzruszyła ramionami, nie mogąc dokończyć.

Mówiłaś o tym komuś? Czy Jared wiedział?

Nie, nigdy nikomu nie powiedziałam, że byłam w ciąży. Tylko Danielowi. Czuję się tak głupio, było mi tak wstyd.

Ponieważ zamilkła, Seth przytulił ją do siebie bez słowa, przycisnął usta do jej czoła.

Wciąż pamięta jego wargi na swojej skórze, gdy stoi przed oszkloną gablotą w jego gabinecie, patrzy, jak ślad jej palców zanika, kiedy wodzi nimi po szklanym wieczku. W gablocie leży kawałek kamienia z zatopioną w nim rybą. Jej głowa jest jak szufla. Pewnego wieczora, kilka tygodni temu, zapytała o nią Seta, a on otworzył wieko, jego dłonie badały spłaszczone łuski.

Była ślepa, powiedział wtedy, przystosowana do życia poza zasięgiem światła. Widzisz pancerz, który okrywa głowę? Nie ma oczodołów. Musiała żyć gdzieś blisko podwodnego wulkanu, ponieważ kiedy zginęła, jej ciało zatopiło się w mule wulkanicznym, a później, dużo później, dno oceanu zostało wypchnięte w górę, ponad powierzchnię wody. Jest teraz radioaktywna, rad znajdujący się w mule przeniknął jej ciało.

Rad?, zapytała.

Z wulkanu, wyjaśnił. Nawet obecnie dno oceanu jest radioaktywne, ziemia sączy truciznę przez pęknięcia w skorupie.

Dlaczego nie zabija to ryb?

Są przystosowane. A tak w ogóle, nie jest to bardziej groźne niż powietrze, którym oddychamy. A może nawet mniej niebezpieczne po tym, co się stało w Delhi.

Otwierając gablotę, przebiega palcami po rybie, zastanawiając się nad niewidzialnym promieniowaniem przenikającym nawet w tej chwili

jej ciało. Seth mówił, że potrafią określić wiek ryby na podstawie okresu połowicznego rozpadu radu, i wspomnienie tej uwagi nie daje jej teraz spokoju. W końcu zamyka gablotę, jej palce spoczywają na szkle. Nagle stuka w szybę, rozumiejąc już, co musi zrobić, jej intuicja raptem z pełną mocą podpowiada jej rozwiązanie.

Z telefonu na biurku Seta dzwoni do Dylana, bębni palcami po stole, czekając, żeby podniósł słuchawkę.

Odpowiada w pośpiechu, jak to zwykle on, ale gdy widzi, że to Anna, wyraz jego twarzy łagodnieje.

Anna, mówi, wróciłaś. I wtedy, jakby przestraszony, że okazał się wścibski, nerwowo przelyka ślinę.

Chcesz znowu przyjść?

Anna kręci głową. Nie. Ale chciałabym wiedzieć, czy macie ejdetyki amonitów.

Chyba tak. Dlaczego pytasz?

Chciałabym je wykorzystać na zdjęciach. Czy myślisz, że Muzeum wyrazi zgodę?

Jasne, odpowiada. Wiesz dokładnie, co byś chciała?

Nie, ale gdybyś mógł mi je przesłać, przejrzę je sobie w domu.

Już się robi, mówi Dylan, uruchamiając swoją konsolę. O, są. Wysyłam ci je. Podnosząc wzrok, uśmiecha się. Dobrze cię znowu widzieć. Brakowało mi twojej obecności w Muzeum.

Dziękuję, mówi, chociaż jestem pewna, że twoje życie będzie beże mnie łatwiejsze.

Wkładając gogle i rękawice, Anna dociera do ejdetyków, które przesłał jej Dylan, przegląda muszle. W końcu znajduje jedną, prawie doskonale zachowaną, o żebrach eleganckich i szeroko rozstawionych, zwojach spirali gładkich i równych. Powoli i ostrożnie zaczyna ją badać, kazać ejdetykowi zapamiętać ruchy jej dłoni, zaznaczyć je świetlistymi smugami. Gdy skończyła, usuwa część wizualną, podobnie jak zrobił to Seth w wiadomości, którą przesłał jej trzy dni temu, i zatrzymuje pozostały obraz.

Następnie zgrywa go do pamięci aparatu, przegląda zdjęcia, które zrobiła, zanim zachorowała, oczyszcza je i wygładza, zadowolona, że praca posuwa się płynnie i szybko.

Gdy kończy, jest już prawie szósta. Zostawiając wiadomość dla Seta w systemie zarządzającym mieszkaniem, bierze ukończone fotografie i wypada na zatłoczone ulice, upał skrzy się na maskach samochodów, warczą silniki. Gdy słońce opadło, drzewa uwalniają w powietrze pylastą woń, która miesza się ze spalinami, fetorem unoszącym się z kanałów. Na Bourke Street skręca w stronę Taylor Square, z ulgą stwierdzając, że laboratorium, z którego kiedyś korzystała, wciąż tam jest i jest otwarte. W środku jest chłodno, szum drukarek zagłusza muzyka

taneczna z operowym wokalem. Za ladą pracuje kilku techników, a kiedy do nich podchodzi, jeden wstaje, żeby ją obsłużyć.

Chciałabym wydrukować kilka zdjęć, mówi. Da się to zrobić jeszcze dzisiaj?

Ku jej uldze mężczyzna potakuje. Nie ma problemu. Jakie mają być?

185 na 127. Półmat, bez kwasu. Podwójna grubość.

Mężczyzna unosi brwi. Chce pani kosztorys?

Anna kręci głową. Nie, wiem, że będą drogie. Najpierw poproszę o próbny wydruk na czymś mniejszym.

To nie powinno być zbyt skomplikowane, mówi tamten, wpuszczając ją za ladę.

Pracują przez trzy, może cztery godziny, drukarka szumi i mruczy, drukując dwadzieścia wybranych fotografii o barwach głębokich i mrocznych; brzegi wydruków pozostają nieobrobione, mają dawać poczucie faktury, przelanego na papier atramentu. Gdy gotowe zdjęcia wyskakują z drukarki jedno po drugim, zbierają się wokół nich pozostali pracownicy, najpierw w milczeniu, jedynie obserwują, zaskoczeni pięknem zdjęć, potem okazują więcej podekscytowania, rozmawiają między sobą i z Anną. Jedna z kobiet pamięta ją sprzed wyjazdu, zaczynają rozmowę, czas mija, aż w końcu drukarka wypluwa ostatnie ujęcie.

Kiedy stamtąd wychodzi, na ulicach roi się od ludzi zdążających do restauracji i klubów. Anna wsiada do taksówki, podaje adres mieszkania Jadwigi na Elizabeth Bay. Każe taksówkarzowi poczekać chwilę, w razie gdyby nie było jej w domu, ale Jadwiga szybko odpowiada na dzwonek. Muszę się z tobą zobaczyć, mówi Anna. Mam ci coś do pokazania. Jadwiga stara się skryć swój uśmiech. No to cię wpuszczę, mówi, naciskając guzik.

W mieszkaniu Anna oczyszcza stolik z resztek samotnego posiłku. Spójrz na to, mówi, usuwając ochronną tekturę. Pierwsze jest zdjęcie muszli, które zrobiła tego ranka, ogromnej i zdumiewającej.

Jak to zrobiłaś?, pyta Jadwiga, pochylając się nad nim.

Wykorzystałam ejdetyk, wyjaśnia Anna.

Jest wspaniałe.

Anna nie odpowiada, odkrywa tylko kolejne zdjęcie. Tym razem jest to mikowa muszla o splekanych komorach.

Jadwiga przekręca głowę, patrząc na nią pod różnymi kątami. To też robi wrażenie.

Tak więc oglądają je po kolei, aż dochodzą do ostatniego, zdjęcia odcisku, którego nieziemiska zawilść na wydruku wydaje się tym bardziej wyraźna i przypomina raczej podpis unicestwionego boga niż zwykłą muszlę. Ciasne zwoje przyciągają wzrok do samego środka. Jadwiga zatrzymuje się przy tym zdjęciu.

Dylan mówił, że pojechałaś z powrotem do Hongkongu, odzywa się, nie podnosząc wzroku.

Tak, cicho odpowiada Anna.

Znalazłaś go?

Anna kręci głową. Nie. Ale chyba wiem, co się z nim stało.

Ponieważ nie mówi nic więcej, Jadwiga kiwa głową. Jeżeli te zdjęcia mają stanowić jego memoriał, to sędzę, że byłby szczęśliwy.

Tak, mówi Anna, powstrzymując łzy. Mam nadzieję.

Przy drzwiach chce objąć Jadwigę, lecz ta ją odpycha. Dość tych sentymentów, mówi. Wprawiasz mnie w zakłopotanie. Anna pociąga nosem, wycierając twarz wierzchem dłoni.

Matka Dylana mówi, że masz kogoś, z Muzeum.

Anna uśmiecha się. Tak.

Ale to nie Dylan? Jestem zdumiona: to taki przystojny chłopak.

To prawda, przytakuje Anna, tym razem ze śmiechem.

Poznam go?

Wkrótce, obiecuje jej. Wkrótce.

W taksówce w drodze powrotnej do mieszkania Setha Anna zaczyna się śmiać, rozbawiona ruchem pojazdu po spękanej powierzchni jezdni, przechyłami na zakrętach. Opuszcza trochę szybę, żeby wpuścić pędzące powietrze, które bije ją po twarzy, obmywając niczym falą, rozwiewając jej włosy. Siedzący przed nią kierowca, drobny sikh w zielonym,

górującym nad szczupłą twarzą turbanie, odwraca się zaniepokojony, ale widząc jej minę, uśmiecha się szeroko. Zamykając oczy, Anna poddaje się hukowi wiatru naciskającego na twarz i ciało. Nagle zmienia się jego odgłos, wysokość. Podnosząc powieki, Anna zauważa, że kierowca też uchylił okno obok siebie, a jego śmiech wznosi się ponad burzę dźwięków.

Wracając, zastaje Setha przy pracy, w ciemnym mieszkaniu rozlega się tylko głos z komputera. Obejmują się bez słowa.

Dzwoniła Rachel, mówi Seth. Przyjdzie rano oglądać lądowanie.

To fajnie. A ty jak się czujesz?

Gorąco mi, odpowiada, głaszcząc jej włosy, poza tym wszystko w porządku. Ale ważniejsze, jak ty się czujesz?

Tuli głowę do jego piersi.

Chyba dobrze. Po chwili odsuwa się trochę. Pozwolisz mi coś zrobić?

Co takiego?, pyta, uśmiechając się ostrożnie.

Mogę zrobić ci zdjęcie?

Przez długi czas Seth nie odpowiada, zwyczajnie stoi i rozważa jej pytanie.

Dobrze, mówi w końcu, jeśli chcesz.

Rachel dzwoni o świcie, dźwięk telefonu niesie się po całym mieszkaniu. Anna chwytą słuchawkę, starając się go uciszyć.

Przepraszam, że cię budzę, mówi Rachel, ale musisz tu przyjechać.

Gdzie?, pyta Anna. Gdzie mam przyjechać?

Jestem u Lewina, gliniarze zniszczyli jego barak. Przywieź ze sobą aparat.

Dobrze. Już jadę.

Co się dzieje?, pyta Seth, gramoląc się z łóżka.

Nie wiem, odpowiada Anna, ubierając się. Coś się stało w baraku Lewina.

Będiesz na siebie uważała?, pyta, a ona pochyła się i całuje go w usta.

Oczywiście. I dopilnuję, żeby Rachel zdążyła na transmisję lądowania.

Anna zamawia taksówkę i zbiega po schodach, chwytając ze stołu futerał z aparatem, pozostawiony tam zeszłego wieczora. O tak wczesnej porze ulice są spokojne, szare niebo zaścielają nisko wiszące chmury.

Rachel czeka na nią przed barakiem, siedzi na boku zapadniętej kanapy. Dookoła widać jedno wielkie rumowisko: stare ubrania, koce, farby, połamane ramy obrazów. W powietrzu unosi się silny zapach terpentyny.

O, Jezu, mówi Anna, patrząc na poniszczone malowidła i porozrzucany dobytek Lewina. Co się stało? Gdzie jest Lewin?

W środku. Usłyszał ich w magazynie i ukrył się na tyłach.

Dlaczego to zrobili?

Rachel kręci głową. Nie wiem.

Ale jego obrazy...

Nie będąc w stanie dokończyć, Anna podchodzi do drzwi, zagląda do środka, widzi Lewina klęczącego przy jednym z malowideł, próbującego je wygładzić. Płótno jest rozdarte, przecięte do jednej trzeciej wysokości.

Lewin?, odzywa się cicho. To ja, Anna. Ponieważ mężczyzna nie odpowiada, Anna podchodzi do niego, klęka, ale gdy go dotyka, on podskakuje, odsuwa się od niej.

Nie bój się, to tylko ja, uspokaja, unosząc rękę. Nic ci nie zrobię.

Zniszczyli wszystko, mówi, wszystko. Anna nie jest pewna, czy ją w ogóle rozpoznał. Wygląda na bardziej chorego, niż kiedy widziała go po raz ostatni, jego twarz jest bledsza, bardziej anemiczna. Rany pokrywają głowę i szyję, wycieka z nich ciemny płyn.

Anna nie odzywa się, przytakuje tylko.

Przyjechali ciężarówką, żeby mnie zabrać. Widziałem ją.

Co?

Była czarna.

Chcieli cię zabrać?, pyta Anna z niedowierzaniem.

Moje obrazy, jęczy.

Nagle w drzwiach pojawia się Rachel. Anna? Mam Blaze'a na linii.

Mówi, że policja była nie tylko tu, już przed świtem zaczęli oczyszczać podobne miejsca w Redfern i Erskineville.

Ale dlaczego?

Rachel kręci głową. Nie wiem. Ale to jakaś większa operacja. Musisz zrobić parę zdjęć.

Anna wyciąga aparat, zaczyna od ślepo patrzącego w dal Lewina. Gdy toruje sobie drogę wśród pozostałości jego dobytku, on odzywa się do niej po raz pierwszy. Anton, pyta, co z Antonem?

Pewnie będzie w Browarach, mówi Rachel. Musimy tam pojechać. Skończyłaś już?, pyta Annę, która opuszcza aparat.

Można tak powiedzieć.

Z Lewinem przy boku łapią taksówkę, kierowca gapi się na niezwykłą trójkę: Annę z aparatem, Rachel w zaawansowanej ciąży, brudny, cuchnący cień Lewina. Rachel otwiera swój codex, jak w amoku szukając informacji.

Znalazłaś coś?, pyta Anna, lecz ona kręci głową.

Wszędzie pełno informacji o *Prometeuszu*. Kierowca odwraca się do nich.

Podchodzą już do lądowania, mówi. Mam tu mały telewizorek. Wskazuje ręką na ekran na desce rozdzielczej. Przewija się na nim marsjański krajobraz, głęboka czerwień pustyni, powierzchnia barwy ochry poprzecinana bliznami dawnej aktywności geologicznej: wijącymi

się korytami wyschniętych rzek, spękanyimi górami, pryszczami po uderzeniach meteorytów i stożkami wulkanów. Nawet gdy patrzą, widok zaczyna się zmieniać, wygładzać, spłaszczać, kiedy statek przelatuje nad jednym z zaginionych mórz, którego powierzchnię zamazuje jakiś ruch w atmosferze.

To burza piaskowa, objaśnia podekscytowany kierowca. Siedzący obok niego Lewin gapi się, jakby oglądał coś zupełnie niezrozumiałego.

O, mam coś, mówi Rachel, czytając nagłówki z codexu. „Rząd rozprawia się z przestępczością w mieście. „W samą porę!” „Ustawę o zatrzymaniach czeka sprawdzian.”

Jednak Anna nie reaguje. Przez okno obserwuje przetaczającą się kolumnę policyjnych transporterów, ich ciemne bryły zasłaniają światło, górują nad taksówką. Dalej ciągnie się rząd czarnych ciężarówek; w ich bocznych ścianach osadzone są kraty. Unosząc aparat, Anna robi kilka zdjęć, nie zważa na kompozycję, chce to jedynie udokumentować.

To oni, po mnie też przyjechali taką ciężarówką, mówi Lewin. Podnosząc wzrok, Rachel blednie. O Jezu, co oni, kurwa, wyprawiają?

Obozy, zabierają nas do obozów. Mówiłem ci, że to planują.

Ale Rachel nie odpowiada, wpatruje się tylko w oddalające się ciężarówki.

Przed Browarami jest spokojnie. Kierowca zatrzymuje się przy bramie. Rachel zostawia Annę, żeby zapłaciła, a sama idzie szukać

Blaze'a. Jest w środku, rozmawia z grupą starszych ludzi o brudnych bosych stopach.

Co się dzieje?, pyta Rachel.

Wiesz tyle, co i ja, mówi Blaze. Z Lewinem wszystko w porządku?

Rachel kiwa głową. Jeszcze żyje. Na Regent Street widzieliśmy policyjne transportery i ciężarówki.

Też je widziałem. Ładowali na nie, kogo tylko mogli, nie byli przy tym delikatni.

Jeżeli byli wszędzie, to nie ominą i tego miejsca.

Ale jeśli spróbują oczyścić je siłą, to będzie zadyma. Chyba o tym wiedzą.

Rachel spogląda ponad jego ramieniem na twarze gromadzących się dokoła ludzi. Na pewno mają to gdzieś, stwierdza.

Gdy mówi, wszyscy czują nagły podmuch, zadzierają głowy i widzą czarną sylwetkę policyjnego helikoptera, wyciszony silnik ledwie słyhać, gdy się nad nimi unosi. Ponad dachami widać dwa następne, wiszące jak owady, jadowite i wzdęte.

Jakieś dziesięć minut temu odeskortowali stąd helikopter telewizyjny, mówi Blaze. Rachel spogląda na niego i Annę przestraszonym wzrokiem. Musimy ich stąd wydostać, mówi. Wszystkich. I to teraz.

Ale gdy to mówi, helikopter nad nimi wznosi się i cicho znika za

spękaną skorupą Browarów. Z zewnątrz dochodzi jazgot silników. Blaze rusza do bramy, Rachel i Anna tuż za nim. Dwa transportery zajęły pozycje po obu stronach ulicy, a między nimi ustawili się policjanci w czarnych mundurach: ich skóra ciemna za przydymionym pleksiglasem tarcz, głowy w hełmach z przyłbicami kanciaste. Za nimi wznoszą się sylwetki ciężarówek, takich jak te, które mijali na ulicy ledwie kilka minut temu, zwrócone tyłami do bramy, drzwi otwarte w oczekiwaniu. Jedną ręką Anna sięga po aparat, unosi go ku twarzy i szybko, konwulsyjnie zaczyna robić zdjęcia, zamrażając obrazy w pamięci urządzenia. Wszędzie dookoła gromadzą się ludzie z Browarów, pojedynczo i dwójkami zmierzają ku bramie, gdzie czeka policja. Nikt się nie odzywa. I wtedy powoli, z rozmysłem oddziały ruszają w ich stronę, pałkami złowieszczo uderzając w tarcze.

Przyjechaliśmy za późno, stwierdza Rachel, ale Blaze nie odpowiada. Nawet Anna zastygła w bezruchu, trzymając przed sobą aparat. Uderzenia pałek działają jak hipnoza, budzą przerażenie jak taniec kobry przed ofiarą. Przez chwilę, która wydaje się całym życiem, trwa okropne dudnienie, oddziały zbliżają się, aż w końcu uderzenia milkną, powietrze nagle nieruchomieje, cisza dźwięczy równie okropnie jak bicie pałek. Poranne powietrze już jest gorące.

I nagle jakby znikąd dobiega ich pojedynczy głos, przerywający ciszę, wznoszący się, niosący po ulicy słowa „Jeruzalem” - wolny, czysty,

pulsujący całą mocą i gniewem poezji Blake'a*[* William Blake (1757-1827) - poeta, malarz, miedziorytnik i myśliciel angielski, przedstawiciel wczesnego romantyzmu. Tworzył dzieła wizyjne, mistyczo-prorocze, osnute na tematyce i problematyce biblijnej.]. Anna, Blaze i Rachel odwracają się, próbują zlokalizować jego źródło, ale nim zdołają, słyszą za sobą głos wołający: Tam jest! Wyciągnięta ręka wskazuje miejsce, gdzie w oknie siedzi Anton.

Oglądając się za siebie, Anna widzi wzbierające w oczach Blaze'a łzy, chwyta jego dłoń, ściska ją. Gdy głos Antona wznosi się w ostatnim wersie, następuje wspaniała chwila, kiedy nic nie wydaje się okropne, kiedy rodzi się wiara, że może nie zakończy się to katastrofą, że wszystko będzie dobrze.

A potem następuje piekło.

Po wszystkim i tak obwinia Lewina. Bo właśnie on odwraca się ku oddziałom w niezwyklej, prawie surrealistycznej ciszy, która następuje, gdy Anton skończył śpiewać, on podnosi rozbitą cegłę i w kalekiej, kulawej imitacji szarży mierzy nią w ustawionych w szeregach policjantów. To on wymachuje ramieniem, a cegła z głuchym trzaskiem trafia w jedną z tarcz, zaś trzymający ją przewraca się, po czym kamień upada na asfalt. To Lewin wraca do bramy, gdzie pozostali stoją i obserwują, wznosi swoje kościste ramię w pełnym złości salucie, a jego

głos rozbrzmiewa w wojennym okrzyku buntu.

Jednak śledztwo, które uczyni go winnym, zignoruje fakt, że w chwili, gdy ten pierwszy, zaimprovizowany pocisk chybia, wydany zostaje rozkaz otworzenia ognia z granatników gazowych, że palce naciskają spusty, a siła odrzutu powoduje, że policjanci odchylają się do tyłu.

Jeden z pocisków gazowych ląduje niedaleko Anny i Blaze'a, uderza o ziemię i ze złowieszczym sykiem toczy się w ich stronę. Na ten widok potykając się, ruszają tyłem w tłum panikujących ludzi. Wznoszący się obłok zasłania im widok, nie mogą więc zobaczyć sunących w ich stronę szeregów pierwszego oddziału, ich tarcz ustawionych w równym rzędzie jak u rzymskich legionistów, uderzających o nie pałek.

Jednak Rachel ich widzi, gdy zostaje porwana przez grupę uciekających przed gazem. Widzi, że tłum rozstępuje się przed nimi, widzi wznoszone i opadające pałki, słyszy uderzenia tytanu o ciała, przyprawiający o zawroty głowy trzask kości. I widzi krew. Zaczyna w niej wzbierać panika, gdy postacie w hełmach ciągną jakąś kobietę, właściwie to jeszcze dziecko, w stronę ciężarówek, a ona krzyczy i próbuje się wyrwać. Z jedną ręką na brzuchu, jak gdyby w ten sposób miała nadzieję osłonić przed tym chaosem dziecko w swoim łonie, Rachel kręci się we wszystkie strony, nie wiedząc, dokąd iść, pamiętając tylko, że musi się ruszać, musi uciec przed oddziałami. Obok siebie słyszy nagle uderzenie pocisku, spowija ją chmura gazu, jej twarz, uszy, oczy, nos i usta palą

żywym ogniem, więc krzyczy i dusi się, potyka, ślizga po żwirze, który rozcina jej dłonie i kolana, gdy uderza o ziemię.

Kiedy Rachel upada, pierwszy z transporterów zderza się z metalowym ogrodzeniem za namiotami, jego zadarty nos unosi się, aż siatka wygina się i pęka, a ośmiokołowy potwór opada z ciężkim, hydraulicznym łomotem, namioty i baraki kładą się przed nim pokotem, gdy warcząc, sunie do przodu. Siła strumienia z armatki wodnej na dachu pojazdu rozdziera tłum, woda przelatuje na tyle blisko Anny, że teraz jest cała mokra. Odwracając się, widzi, że strumień trafia Blaze'a w pierś, unosząc jego zwalistą sylwetkę jak lalkę i odrzucając do tyłu, a w jego oczach maluje się wyraz absurdalnego zaskoczenia. Za nim wiją się tumany gazu. Za pojazdem jadą buldożery, przed nimi, na fali gruzów, unoszą się namioty. Słyszą pierwsze krzyki ludzi uwięzionych w swych mizernych domach. I nagle ze strachem Anna zdaje sobie sprawę, że nie widzi już Rachel. Za sobą słyszy jedynie krzyki, pojawia się coraz więcej falującego gazu, ale i tak się odwraca, wykrzykuje jej imię, w panice cofa się przed drażniącą chmurą; wszędzie widzi ciała, które biegną i pełzają, przewracają ją, gdy próbuje uciec przed wrogim obłokiem. I wreszcie dostrzega ją, skuloną przy krwawiącej postaci jakiejś kobiety, kaszle i dławi się. Z jej imieniem na ustach Anna, potykając się, zmierza w tamtą stronę, a Rachel, być może słysząc ją, podnosi się z powiekami zaciśniętymi w obronie przed gazem, z zaczerwienioną twarzą, pokrytą

smugami po łzach. Ale gdy wstaje, pałka trafia w szyję u jej nasady, a Rachel pada, policjant, który ją uderzył, kopniakiem odwraca ją na plecy, z mgły wyłania się dwóch kolejnych z pałkami uniesionymi do ciosu. Nie!, krzyczy Anna. Nie! I rzuca się w ich stronę, nie bacząc na gaz, który pcha się jej do oczu, chcąc jedynie powstrzymać tytanowe drągi, które wznoszą się i opadają na wijącą się Rachel. Ale Anton jest tam przed nią, rzuca się na pierwszego policjanta od tyłu z taką siłą, że tamten wali się na ziemię, rura w dłoniach chłopca opada raz za razem na przyciemniony pleksiglas hełmu, który w końcu pęka, i słychać tylko przyprawiające o torsje trzaski kości.

Wiele lat później Anna będzie pamiętała otepienie, jakie ogarnęło ją w tej chwili; będzie pamiętała krew na rurze, gdy Anton wznosi ją, by uderzyć po raz kolejny; jego oczy szaleńczo rozbiegane, niezdolne prosto patrzeć na mężczyznę, któremu odbiera życie. Plamki krwi i czegoś gęstszego, kości albo mózgu, pojawiają się na rurze, którą nie przestaje wymachiwać.

Ale w końcu i ona tam dociera, od tyłu łapie za szyję jednego z policjantów, ciągnie hełm do tyłu, jej palce majstrują przy zapięciu pod brodą, tak że ściąga go jednym, płynnym ruchem, ukazując twarz niewiele starszą niż Antona. Twarz dziewczyny, jak zauważa Anna, gdy zostaje odrzucona na bok, dziewczyny o długich do ramion włosach związanych w kitkę. Padając na ziemię, zauważa pałkę, którą upuściła

ofiara Antona; zaciska na niej palce, a potem zamachuje się w stronę majaczącej nad nią postaci. Cios trafia w szczękę dziewczyny, wytrąca ją ze stawów, policjantka z krzykiem pada na ziemię. Stając na nogi, Anna waży pałkę w dłoni ze wzrokiem skupionym na pochylonej nad Rachel postaci, która trzyma bezwładną głowę za włosy.

Może mężczyzna widzi furię w oczach Anny, może odstrasza go krew, która plami twarz, ręce i koszulę Antona; tak czy owak, wydaje się wahać, aż wreszcie prostuje się i puszcza głowę Rachel, która z głuchym tąpnięciem opada na ziemię, a on wycofuje się. Nie zważając na gliniarza, Anna klęka przy Rachel. Jej powieki są lekko rozchylone, usta mamroczą coś, czego nie sposób zrozumieć, wąska strużka krwi i śliny ścieka z kącików ust.

Wszystko będzie dobrze, Rachel, mówi Anna, wszystko będzie dobrze, powtarza, tuląc jej głowę do piersi, starając się nie słyszeć chrzęstu kości jej szyi. Wiedząc, że musi znaleźć ambulans albo szpital, próbuje wsunąć pod nią dłonie, unieść ją, ale Rachel jest za ciężka, jej ciało brzemiennie rozwijającym się w niej życiem, więc na wpół niesie ją, na wpół ciągnie obok buldożerów w stronę przewróconego ogrodzenia. Oglądając się za siebie, widzi, jak Lewin tłucze drewnianym kłocem z rdzawymi gwoździemi jakiegoś policjanta, który zwała się na ziemię. Widzi patrzącego za nią Antona, jego ręce zakrwawione aż po łokcie, wciąż tkwiącą w dłoni rurę. Ich oczy spotykają na chwilę, w której z jego

twarzy znika wyraz udręczenia, zastąpiony furją, jakiej nie mogłaby się spodziewać po chłopcu z tak anielskim głosem, ale wtedy między nimi spada kolejny gazowy pocisk i Anton znika jej z oczu.

Anna ciągnie Rachel w jakiś boczny zaułek, głaszcze jej włosy, błaga, żeby się odezwała. Proszę, powtarza wciąż. Proszę. Rozgląda się szaleńczo w poszukiwaniu pomocy, ale nie ma nikogo, kto mógłby jej udzielić. Aż wreszcie na drugim końcu uliczki dostrzega czerwone światła karetki, puszcza dłoń Rachel i wstaje, machając rękoma i krzycząc, aż pojawia się ktoś i woła, żeby zaczekała, a w jej stronę ruszają postacie w jasnoniebieskich kitlach. Ponownie klękając, widzi, że Rachel otworzyła oczy, czerwone, opuchnięte i zażawione od gazu.

Anna?, pyta. Czy to ty? Chyba jestem ranna.

Głaszcząc jej włosy, Anna wyczuwa w nich zakrzepłą krew.

Tak, to prawda, odpowiada. Ale wydobrzejesz, obiecuję. Jednak w chwili gdy to mówi, oczy Rachel zamykają się, a głowa opada na bok.

Już się nie odzywa, ani w karetce w drodze do szpitala, ani gdy leży na wózku, na którym pędzi do sali operacyjnej, ani na bloku operacyjnym przed znieczuleniem. Przy drzwiach pielęgniarka pyta Annę, czy jest członkiem rodziny, a gdy ona w odpowiedzi kręci głową, zaznacza coś i znika wraz z wózkiem.

Kiedy siostra poszła, gdy skończyła się koszmarne szarża przez

korytarze i Anna została sama przy wahadłowych drzwiach bloku operacyjnego, przypomina sobie Seta i z ciężkim sercem włącza telefon, by do niego zadzwonić. A potem stoi w samotności, poziom adrenaliny spada, czyniąc ją słabą i roztrzęsioną, tak że chwieje się i opiera o ścianę, żeby nie upaść.

Na ekranie w rogu widać *Prometeusza* na tle wciąż jeszcze obracającej się czerwonej powierzchni Marsa, ale tu nikt się tym nie interesuje, głos z telewizora zagłuszają postękiwania i jęki rannych, stukot łóżek i sprzętu medycznego.

Seth przyjeżdża w ciągu kilku minut, do pokoju wprowadza go dziewczyna ubrana w wojskowe buty i srebrzystą sukienkę, o źrenicach przerażająco wielkich od amfy albo ekstazy z minionej nocy. Anna śpieszy do niego, a dziewczyna zaczyna wyjaśniać, że znalazła go na zewnątrz, jak gdyby rozmawiała z jego opiekunką, ale Seth ją ignoruje, pyta, co się stało. Nic, odpowiada Anna, wciąż ją operują.

Dziewczyna zauważyła stojący w rogu ekran i wskazuje na niego z okrzykiem. Lądowanie, podnieca się i toruje sobie drogę do telewizora przez panujący w pokoju chaos. Wspina się niczym małpa na krzesło, a potem na automat do napojów w poszukiwaniu pilota, w końcu ustawia dźwięk tak, że zagłusza cały szpitalny rumor.

Anna nieprzytomnie wpatruje się w ekran. Wykres w rogu pokazuje drogę podchodzenia do lądowania, której statek przebył już ponad

połowę. Zadowolona dziewczyna z łomotem opada na krzesło, czekając na zetknięcie się pojazdu z powierzchnią Marsa. Anna po raz pierwszy zastanawia się, co ona tu robi.

Dopiero po godzinie widzi pojawiającą się w wejściu postać lekarki, która zajmowała się Rachel. Sztywnieje ze zdenerwowania, a Seth ściska jej ramię.

To jej lekarka, mówi mu, pomagając wstać i podejść do drzwi.

Co się stało?, pyta, jak tylko tamta wchodzi do poczekalni. Czy ona...

Lekarka unosi dłoń, żeby ją uciszyć. Chyba powinniście pójść ze mną, mówi ze zmęczeniem na twarzy.

Prowadzi ich przez wahadłowe drzwi do pokoju badań, zaciąga zasłony, żeby odciąć ich od tamtego tumultu.

Ma pani dla nas złe wieści, czy tak?, pyta Anna, a kobieta kiwa głową.

Tak, obawiam się, że tak. Czekaj, aż dotrą do nich te słowa. Po chwili zaczyna mówić dalej.

Rachel miała poważny uraz głowy. Nastąpił rozległy krwotok, którego nie udało nam się zatamować. Testy pnia mózgu, przeprowadzone piętnaście minut temu, wykazały, że nastąpiło całkowite zatrzymanie aktywności mózgu.

Seth stoi obok niej zupełnie nieruchomo.

Nie rozumiem, mówi Anna.

Ujmując to prościej, nastąpiło coś, co zwykle określane jest jako śmierć mózgu.

Ale ona mówiła, rozmawiałam z nią. Zanim przyjechał ambulans.

To się zdarza, odpowiada kobieta. Jednak krwotok spowodował zbyt poważne uszkodzenia.

W końcu odzywa się Seth, głos mu się trzęsie. A dziecko?, pyta.

Lekarka uśmiecha się lekko. Zrobiliśmy cesarskie cięcie. To dziewczynka. Jest żywa i zdrowa.

Możemy ją zobaczyć?, pyta Anna.

Oczywiście. Przenosimy ją na oddział noworodków, ale to jeszcze chwilę potrwa. W tym czasie poproszę pielęgniarkę, żeby was do niej zaprowadziła.

Odwracając się do wyjścia, lekarka się waha.

Jest jeszcze jedna sprawa. To nigdy nie jest przyjemne, ale w dokumentach Rachel jest jej zgoda na wykorzystanie organów w razie śmierci. Pomogą innym, zakończą ich cierpienia...

Weźcie je, mówi Seth łamiącym się głosem. Chciałaby tego.

o

Pielęgniarka przynosi dziecko zawinięte w biały, szpitalny kocyk, podaje je Annie. Główkę wieńczą czarne włoski, jak u Rachel, buzia jest pomarszczona i czerwona. W ramionach Anny maleństwo wydaje się

takie lekkie. Bez słowa odwraca się do Seta, którego ramiona niepewnie zamykają się wokół niemowlęcia. Jego sztywność ustępuje, gdy czuje ciepło dziecka, słyszy lekko zdyszany, chrapliwy oddech. Spoglądając przez jego ramię na ekran, niemy za szybą, Anna widzi komandor Svenson stojącą przy drabinie, widzi równinę usianą otoczkami pod bladym niebem. Za szybą ludzie klaszczą, podają sobie ręce, ale ona nic takiego nie robi, odwraca się tylko do Seta, do osieroczonego dziecka w jego ramionach.

apokryf

(9)

Jednak być może to właśnie w muszli odnajdujemy tego najbardziej elokwentny wyraz. Ponieważ w swojej spójności, doskonałości zakrzywionego kształtu, przyrastającej spirali muszla jest wyrazem prostoty zasad, które stanowią o życiu, wyrazem jedności natury oraz porządku tak doskonałego, tak całkowitego, że można jedynie go podziwiać. I milczeć.

SETH LAMARQUE, *Język muszli*

EPILOG

Ze stanu duszy, który tego odległego roku był dla mnie tylko przewlekłą torturą, nic nie przetrwało. Bo jest na tym świecie, gdzie wszystko się zużywa, gdzie wszystko czeźnie, coś, co rozsypuje się w gruzy, coś, co podlega zniszczeniu jeszcze kompletniejszemu, pozostawiając po sobie jeszcze mniej śladów niż Piękno: to Smutek.

MARCEL PROUST, *W poszukiwaniu straconego czasu*

(tłum. Julian Rogoziński)

Nazywają to głębokim polem.

Te porozrzucane po niebie otwory, przez które wzrok nasz sięga poza gwiazdy, które nas otaczają, aż na krańce wszechświata, gdzie jak klejnoty na tle welwetowej ciemności roją się galaktyki, równie niezliczone i różnorodne jak ziarenka piasku na plaży. Ich odwieczne światło jest wspomnieniem czasu, kiedy wszechświat był młody, jest świadectwem wielkości, której nasze umysły nie są w stanie ogarnąć.

W ogromie czasu i przestrzeni nasze życie wydaje się niczym więcej jak mgnieniem, błyskiem robaczka świętojańskiego w nocy wieczności. Maleńkim poruszeniem światła i dźwięku, które przemija zbyt szybko, jak błyskawica. Moje życie także.

Może to i dobrze, że moje wspomnienia zaczynają się od Pierwszego

Reliktu, tej starożytnej muszli z zaginionego morza, którą Leonid Gromeko wyrwał zimnej, marsjańskiej skale. Ponieważ w tym jałowym fantomie tamtego świata widzimy dowód nie tylko na to, że życie było wszędzie, ale również, że tam, gdzie ono rozbłyśnie, coś zawsze pozostanie.

Dziesięć tysięcy lat temu ludzie w Europie czcili muszle jako święte. Ci, którzy mieszkali nad zimnymi morzami północy, kładli je zmarłym do grobów w nadziei, że podobnie jak ślimak, który każdej zimy wydaje się kurczyć i umierać po to tylko, by obudzić się wiosną, te amulety zapewnią zmartwychwstanie ciała. Może też uważali, że nasze życie jest jak muszla, jak wieczna spirala, w której nasza przyszłość nakłada się na przeszłość, gdy wznosimy; jak niekończąca się krzywa zmierzająca w stronę punktu, w którym zaczęliśmy; jak krąg, który się nigdy nie zamyka.

Nigdy nie poznałam mojego ojca; Rachel zabrała jego imię do grobu, a jeśli wiedział, że to jego nasienie się w niej rozwijało, to nigdy się z tym nie zdradził. Anna i Seth wychowali mnie jak własne dziecko. Ona była moją matką, a on moim ojcem. Kochałam ich i opłakiwałam tak, jak dziecko opłakuje rodziców, kiedy grypa zabrała ich zimą w roku moich osiemnastych urodzin, jedno zaledwie kilka dni po drugim.

Może sama stałam się muszlą, naczyniem dla ich nadziei, życia i marzeń. Może odrodzą się poprzez mnie, wyłonią z surowej materii snów, przechowywanej w cieple mego ciała, podobnie jak ja zostałam zrodzona

z Rachel. Wciąż przechowuję muszlę, którą Lo dał Annie tamtego ranka dawno temu, wciąż mam zdjęcia, które zrobiła. Mam moje wspomnienia, chociaż one akurat mogą skruszeć i wyblaknąć.

No i mam imię mojej matki.

Rachel.

PODZIĘKOWANIA

Dla tych, którzy interesują się ślepotą i jej wpływem na formowanie indywidualnej świadomości, dobrym początkiem będzie klarowne i dające do myślenia studium Olivera Sacksa o odzyskiwaniu wzroku, „To See and Not See” („Widzieć i nie widzieć”) w *An Anthropologist on Mars* {*Antropolog na Marsie*}. Polecam też obrazoburczy, plotkarski i niewiarygodny „List o ślepcach” Diderota, jak również godny uwagi opis ślepięcia Johna M. Hulla w *Touching the Rock* („Dotykając skały”). Bardziej techniczna, ale wdzięczna jest pozycja von Sendena *Space and Sight: The Perception of Space and Shape in the Congenitally Blind Before and After Operation* („Przestrzeli i wzrok: percepcja przestrzeni i kształtu u osób z wrodzoną ślepotą przed i po operacji”).

Moje przemyślenia o życiu i skomplikowanych systemach wykorzystują prace kilku naukowców, biologów, matematyków, a w szczególności Stuarta Kauffmana, Jamesa Lovelocka, Stevena Rose’a, Edwarda O. Wilsona, Nilesa Eldredge’a, Lyn Margulis, D’Arcy Thompsona i Briana Goodwina. Dla wszystkich zainteresowanych ciekawym początkiem może być pozycja Kauffmana *At Home in The Universe* {*Zapan brat z Wszechświatem*}. Dobrym ogólnym wprowadzeniem do studium nad naturalnym porządkiem świata i złożonymi systemami są pozycje Iana Stewarta *Life’s Other Secret* (*Inna*

tajemnica życia) oraz Petera Coveneya i Rogera Highfielda *Frontiers of Complexity* {*Granice złożoności*).

Materiał w apokryfie (2), dotyczący odcisków łap ptaków i pisma klinowego, oparty jest na fragmencie *A History of Reading* {*Historia czytania*) Alberto Manguela, zaś wyobrażenie życia jako skomplikowanego wiru metabolicznego w apokryfie (4) pochodzi z *At Home in the Universe* Kauffmana. Definicja gorączki podana w tekście pochodzi z *The Oxford English Dictionary* (2nd edition).

Wiele osób pomogło mi w badaniach, bez których nie napisałbym tej powieści, i jestem im niezmiernie zobowiązany. Wśród nich są dr Craig Hargreaves i dr Melanie George, mój brat Patrick Bradley i mój ojciec Michael Bradley, Linda Javin, Jonathan Delacour, Mac Walker, Ky McManus, Jonathan Cohen, Richard Fidler i Danni Townsend. Chcę również podziękować Belindzie Morrissey i Ianowi Parsonsowi za ich gościnność w Hongkongu; Peterowi Goldsworthy'emu, McKenzie'emu Warkowi i Timowi Storerowi za przeczytanie różnych szkiców tej powieści i za ich nieocenione rady; Robowi Jonesowi z Australian Museum za czas poświęcony na rozmowy ze mną, chociaż muszę podkreślić, że Muzeum i pracujący w nim personel opisany w tej powieści jest całkowicie fikcyjny i jakiegokolwiek podobieństwo do osób żyjących czy też zmarłych jest całkowicie przypadkowe.

Dr Shane'a Richardsa być może ucieszy fakt, że zachowała się

wzmianka o kanibalizmie wśród amonitów, chociaż może nie w takiej formie, jakiej by sobie życzył. Gdyby mogło to stanowić jakieś podziękowanie za jego hojną pomoc w ciągu wielu lat w dziedzinie matematyki, modelowania i problemów badawczych, to byłbym bardzo szczęśliwy.

Spośród moich wielu wydawców chciałbym podziękować Lisie Highton, Karen Deighton-Smith, Amandzie o'Connell i Bernadecie Foley, Trący Brown i Geraldine Cooke. Już i tak zbyt wiele zawdzięczam mojej agentce Fionie Inglis z Curtis Brown Australia, ale jej pomoc podczas pisania tej powieści była nieoceniona, więc dziękuję raz jeszcze. Wiele podziękowali kieruję również do Jill Grinberg ze Scovil, Chichak and Galen.

Napisanie tej powieści byłoby o wiele trudniejsze, gdyby nie stypendium dla początkujących pisarzy z Literature Fund of the Australia Council, i jestem bardzo wdzięczny za tę pomoc.

Na końcu chciałbym podziękować mojej partnerce, Mardi McConnochie, za jej miłość i cierpliwość.